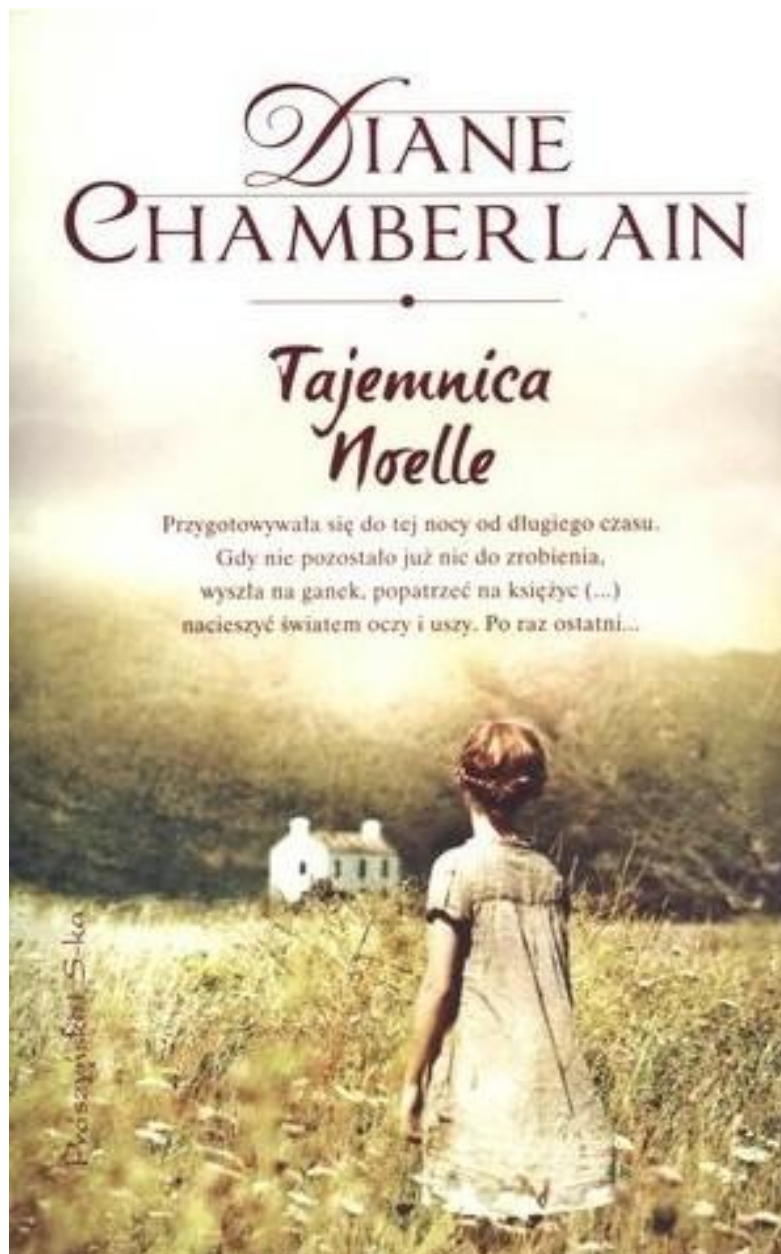




*Diane Chamberlain*

*Tajemnica Noelle*

Przełożyła Agnieszka Barbara Ciepłowska



TLR

Prószyński i S—ka

TLR

Pamięci Kay Eleanor Howe

2000—2010

*Część pierwsza*

*Noelle*

TLR

# *Rozdział 1*

*Noelle*

*Wilmington, Karolina Północna*

*Wrzesień 2010*

Siedziała na najwyższym stopniu schodków prowadzących na ganek, przed bungalowem zbudowanym w osiedlu Sunset Park. Oparła się o filar i utkwiała wzrok w okrągłym księżycu. Będzie jej tego brakowało. Nocnego nieba. Opląty spływającej z gałęzi dębów. Wrześniowego powietrza, pieszczącego skórę jak atlas. Nie uległa pokusie przejścia do sypialni. Wzięcia pigułek.

Jeszcze nie teraz. Miała czas. Mogła tu siedzieć nawet całą noc.

Podniosła rękę i obrysowała palcem księżyc. Zapięły ją oczy.

— Kocham cię, świecie — szepnęła.

Znienacka przytłoczył ją ciężar tajemnicy. Opuściła dłoń na kolano, bo ręka zmieniła się w stutonowy głaz.

Budząc się rankiem, nie wiedziała, że rozpoczyna dzień, w którym nie zdoła już dłużej dźwigać swojego brzemienia. Jeszcze wieczorem podśpiewywała, krojąc seler, ogórki i pomidory na sałatkę, i rozmyślała przy tym o jasnowłosym wcześniaku, urodzonym poprzedniego dnia, kruchej istotce, która potrzebowała jej pomocy. Tymczasem gdy usiadła z sałatką przed komputerem, poczuła się tak, jakby z monitora wyrosły dwa grube, muskularne ramiona i ścisnęły ją za głowę, za szyję, za barki... zdławiły płuca, nie pozwalając zaczerpnąć tchu.

Nawet litery sięgały ku niej ostrymi szponami. Zrozumiała, że nadszedł czas. Nie czuła strachu, ani trochę. Wyłączyła komputer, zostawi-

ła na biurku ledwie napoczętą kolację. Już nie będzie jej potrzebowała. Już jej nie chciała. Naszykowała wszystko jak należy, bez trudu. Przygotowywała się do tej nocy od długiego czasu. Gdy nie pozostało już nic do zrobienia, wyszła na ganek popatrzeć na księżyc, odetchnąć balsamicznym powietrzem, napełnić nim płuca, nacieszyć światem oczy i uszy. Po raz ostatni. Nie przewidywała zmiany decyzji, ponieważ miała jej ona przynieść długo wyczekiwaną ulgę. Kiedy w końcu wstała, akurat wówczas, gdy księżyc zsunął się za korony drzew rosnących po drugiej stronie ulicy, miała na ustach cień uśmiechu.

TLR

## *Rozdział 2*

### *Tara*

Od jakiegoś czasu wchodzenie na piętro, by poprosić Grace na kolację, stało się obyczajem. Wiedziałam, że zastanę ją przed komputerem, ze słuchawkami w uszach. Dlatego nie miała szans mnie usłyszeć, gdybym wołała z kuchni. Czy to celowe działanie? Zapukałam do drzwi, po czym, skoro się nie odezwała, popchnęłam je i uchyliłam. Stukała w klawisze, ze wzrokiem utkwionym w monitor.

— Kolacja prawie gotowa — powiedziałam. — Chodź, nakryjesz do stołu.

Twitter, nasz goldendoodle, mieszaniec pudła z golden retrieverem, leżał wyciągnięty przy bosych stopach Grace, lecz na dźwięk słowa „kolacja” błyskawicznie znalazł się u mego boku. W przeciwieństwie do mojej córki.

— Sekundkę. Muszę to skończyć.

Od progu nie widziałam, co robi, jednak — moim zdaniem — raczej pisała e—mail, niż odrabiała lekcje. A nadal miała zaległości. Tak to już jest, gdy rodzic uczy w szkole, do której chodzi dziecko. Wiedziałam o wszystkim, czy chciałam, czy nie. Grace była doskonałą uczennicą i jedną z najlepszych autorek tekstów w gimnazjum. Niestety, w marcu, po śmierci Sama, wiele się zmieniło. Wtedy wszyscy jej pobłażali. Miałam nadzieję, że najpóźniej jesienią weźmie się w garść, tymczasem Cleve zerwał z nią przed wyjazdem do college'u, więc tkwiła w dołku. Przyjęłam, że właśnie z powodu tego rozstania skryła się głębiej w skorupie. Skąd miałam wiedzieć, co się z nią rzeczywiście dzieje? Nie rozmawiała ze mną. Własna córka stała się dla mnie obcą

osobą. Zapieczętowaną księgą. Zaczynałam o niej myśleć jako o nieznamym kobiecie, wynajmującej pokój na piętrze.

Oparłam się o framugę i przyjrzałam Grace. Mamy takie same włosy, jasnobrązowe, oproszone przez fryzjera pasemkami blond, tyle że jej, długie i gęste, zachowały jeszcze połysk charakterystyczny dla lat szesnastu. Moje, podcięte na wysokości brody, gdzieś po drodze straciły ten blask.

— Robię makaron z pesto — powiedziałam. — Będzie gotowy za dwie minuty.

— Ian jeszcze nie wyszedł?

Nie przerywając pisania, zerknęła przez okno. Z pewnością zobaczyła należącego do Iana lexusa, zaparkowanego na ulicy.

— Zostaje na kolację.

— Siedzi u nas bez przerwy — zauważyła. — Równie dobrze mógłby się wprowadzić.

Oniemiałam. Nigdy dotąd nie odezwała się słowem na temat wizyt Iana. Odkąd zostały uregulowane sprawy spadkowe Sama, zaglądał do nas raz, najwyżej dwa razy w tygodniu.

— Przecież to nieprawda. Zapomniałaś, że pomógł nam z dokumentami? Poza tym, kochanie, musiał przejąć sprawy taty, a niektóre akta są w domowym gabinecie, więc... Dobra, mniejsza o większość.

Uniosła barki, jakby mogła w ten sposób odgrodzić się od mojego głosu. Na moment przerwała pisanie. Skrzywiła się, patrząc w monitor, następnie podniosła na mnie wzrok.

— Mogłabyś powiedzieć Noelle, żeby mnie zostawiła w spokoju?

— Noelle? Jak to?

— Bez przerwy do mnie mailuje, bo ja i Jenny...



— Jenny i ja.

Ona przewróciła oczami, a ja skuliłam się wewnątrz. Niech to licho. Z jednej strony, chcę, żeby do mnie mówiła, z drugiej, przychodzę i na wstępie ją poprawiam.

— Nieważne — rzuciłam. — Czego od was chce?

— Żebyśmy się udzielały w jej projekcie „Dzieci w potrzebie”. — Machnęła ręką w stronę monitora. — Teraz wymyśliła, że „taka aktywność na rzecz społeczeństwa będzie doskonale wyglądała na liście motywacyjnym do college'u”.

— Trudno zaprzeczyć.

— Ona ma świra na punkcie roboty. — Położyła dłonie na klawiaturze, jej palce znów frunęły nad klawiszami. — Gdyby jej zrobić rezonans magnetyczny mózgu, na pewno by miała zupełnie inny obraz niż normalny człowiek.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Grace prawdopodobnie miała rację.

— Co zrobić? Dzięki niej pojawiłaś się na tym świecie, zawsze będę jej za to wdzięczna.

— O tym też nie pozwala mi zapomnieć. Na dole zadzwonił minutnik.

— Kolacja gotowa — powiedziałam. — Chodź.

— Sekundę.

Wstała, pochylona nad biurkiem, zaciekle bębniła w klawisze. Nagle jęknęła, przycisnęła dłonie do ust. Cofnęła się o krok.

— O nie... O nie!

— Co się stało?

— O nie — powtórzyła, tym razem szeptem. Opadła na krzesło, zamknęła oczy.

— Kochanie, co się stało?

Odruchowo poszłam do przodu, całkiem jakbym mogła cokolwiek naprawić. Zatrzymała mnie machnięciem ręki.

— Nic — mruknęła, ze wzrokiem wbitym w monitor.

— Nie jestem głodna.

— Musisz coś jeść — zaprotestowałam. — Już prawie nie jadasz ze mną kolacji.

— Zjem później. Trochę płatków. Teraz... muszę coś zrobić.

Posłała mi spojrzenie mówiące wyraźnie, że nasza rozmowa dobiegła końca. Kiwnęłam głową, wycofałam się posłusznie.

— Dobrze — powiedziałam. I dorzuciłam bezradnie:

— Daj mi znać, jeśli będę mogła ci pomóc.

— Jest w dołku — wyjaśniłam Ianowi, wchodząc do kuchni. — I nie jest głodna.

Ian właśnie kroił pomidory na sałatkę.

— Może lepiej pójdę? — spytał.

— Mowy nie ma.

Przełożyłam do dużej białej miski makaron rurki.

— Sama nie zjem tego wszystkiego. Zresztą jej nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Unika mnie, jak może.

Nie chciałam, żeby Ian wyszedł. Jego obecność podnosiła mnie na duchu. Był partnerem Sama w kancelarii prawnej, a na gruncie prywatnym przyjacielem od piętnastu lat. Bardzo potrzebowałam towarzystwa

kogoś, kto znał mojego męża i darzył go sympatią, Ian był dla mnie od śmierci Sama prawdziwą opoką. Zajął się wszystkim, od kremacji, poprzez zarządy powiernicze, po zarządzanie naszymi inwestycjami. Jak ludzie radzą sobie z traumatycznymi zdarzeniami, nie mając przy sobie takiego Iana?

Postawił miskę z makaronem na stole, po czym nalał sobie kieliszek wina.

— Twoja córka chyba się martwi, że będę chciał zająć miejsce Sama.

Przeczesał palcami przerzedzone jasne włosy. Należał do mężczyzn, którzy doskonale wyglądają z łysą czaszką, ale wiedziałam, iż ta perspektywa mu się nie uśmiecha.

— Raczej nie — oceniłam, jednak równocześnie wróciły mi w pamięci słowa Grace.

Powiedziała, że równie dobrze Ian mógłby się wprowadzić. Może powinnam była spytać, co miała na myśli? Z drugiej strony, wątpliwe, żebym dostała odpowiedź.

Usiadłam naprzeciwko Iana i wsunęłam ząbki widelca w makaronową rurkę, której wcale nie miałam ochoty jeść. Od śmierci Sama straciłam dziesięć kilogramów.

— Strasznie szybko przestała być dzieckiem. — Przygryzłam wargę, patrząc w ciemne oczy Iana za szklami okularów. — Gdy była małą, chodziła za mną krok w krok.

Przy każdej okazji mościła mi się na kolanach. Przytulałam ją i śpiewałam, czytałam jej i... — Wzruszyłam ramionami.

— Wiedziałam, jak być dobrą matką dla małej dziewczynki, ale kiedy to było...

— Chyba każdy rodzic przeżywa podobne rozterki, gdy dziecko staje się nastolatkiem.

Ian nie miał dzieci. Chociaż skończył czterdzieści pięć lat, nigdy nie był żonaty, co w wypadku innego mężczyzny mogłoby budzić niedwuznaczne skojarzenia. U niego po prostu zaakceptowaliśmy ten stan. Dawno temu był naprawdę blisko z Noelle. Chyba nigdy się nie otrząsnął po gwałtownym zakończeniu tego związku.

— Sam wiedziałby, co jej powiedzieć. — W moim głosie brzmiała irytacja. — Kocham ją z całego serca, jednak nie mogę zaprzeczyć: zawsze była przede wszystkim córeczką tatusia. On... pełnił rolę tłumacza. Pośrednika.

Właśnie tak wyglądała prawda. Sam i Grace rozumieli się bez słów. Byli do siebie bardzo podobni.

— Wystarczyło wejść do pokoju, gdzie siedzieli oboje, a czuło się, że stanowią jedność. Nawet jeśli jedno czytało, a drugie tkwiło przy komputerze. To się po prostu czuło.

— Perfekcjonistka z ciebie — zauważył Ian żartobliwie.

— Chcesz być matką doskonałą, a przecież taka nie istnieje.

— Wiesz, co najchętniej robili razem? — Uśmiechnęłam się do siebie w duchu. Ostatnio sporo czasu poświęcałam wspomnieniom. — Gdy zdarzało się, że miałam późno umówione spotkanie, po powrocie do domu zastawałam ich w salonie na oglądaniu filmu i popijaniu jakiegoś świeżo obmyślnego napoju kawowego.

— Sam i te jego pomysły na kawę! — zaśmiał się Ian.

— Potrafił pić jedną za drugą, miał żołądek ze stali.

— A Grace przy nim uzależniła się od tej używki, zanim skończyła czternaście lat. — Skubnęłam odrobinę makaronu. — Tęskni za nim jak oszalała.

— Ja też — przyznał Ian.

Szturchnął widelcem kluskę polaną sosem.

— I jeszcze na dodatek Cleve z nią zerwał... Tak niedługo po... — Pokręciłam głową. Grace rzeczywiście przeszła niemało. — Wolalabym, żeby miała w sobie nieco więcej mojego charakteru. — Natychmiast uświadomiłam sobie, że te słowa nie były najszcześliwiej dobrane. — Raczej żebym ja była odrobinę bardziej do niej podobna. Chciałabym po prostu, żebyśmy miały ze sobą więcej wspólnego, jakieś zainteresowania czy hobby. A my jesteśmy jak ogień i woda. Wszyscy w szkole to dostrzegają. To znaczy, wszyscy nauczyciele. Chyba oczekiwali, że moja córka będzie tak jak ja zainteresowana teatrem.

— O ile dobrze sobie przypominam, istnieje przepis prawny stanowiący, że w jednej rodzinie może być tylko jedna gwiazda sceny — oświadczył Ian.

Kopnęłam go lekko pod stołem.

— Nie jestem gwiazdą — powiedziałam. — Zawsze uważałam — podjęłam już serio — że teatr będzie dla niej odpowiedni. Zgodzisz się ze mną, prawda? Pomógłby jej wyjść ze skorupy.

— Grace jest cicha i spokojna. Nie zbrodnia być introwertykiem.

Nie zbrodnia, to prawda, lecz jako osoba, u której potrzeba przebywania z innymi ludźmi graniczyła z patologią, miałam kłopot ze zrozumieniem rezerwy swojej córki. Grace odnosiła się niechętnie do każdego spotkania towarzyskiego, w którym miały uczestniczyć więcej niż dwie osoby. Tymczasem ja, jak mawiał mój ojciec, z ochotą gadałabym nawet do obrazu.

— Próbuje trochę jeździć?

Pokręciłam głową. Od śmierci Sama Grace bała się jeździć samochodem. Nawet jeśli ja prowadziłam, siedziała nieruchoma i spięta.

— Podsunęłam jej temat ze dwa razy, ale nie ma ochoty go podtrzymać — powiedziałam. — Z Samem na pewno by o tym porozmawiała.

Wsunęłam widelec pod następną kluskę. Raptem znokautowała mnie bezlitosna prawda, która potrafiła mnie dopaść w każdej chwili: podczas lekcji, w czasie próby teatralnej młodszych klas, w trakcie prania. Sam nie wróci. Nigdy. Już nie będziemy się kochać. Nie będziemy rozmawiać nocą w łóżku. Nie obudzę się rankiem w jego ramionach.

Miałam w nim nie tylko męża, lecz i najlepszego przyjaciela. Nie każda mężatka może się podpisać pod taką deklaracją.

Akurat wstawialiśmy naczynia do zmywarki, gdy odezwał się mój telefon. Popłynęły z niego elektronicznie przetworzone dźwięki Ali That Jazz. Wytarłam ręce, zerknęłam na wyświetlacz.

— Emerson — przeczytałam na głos. — Nie będzie ci przeszkadzało, że odbiorę?

— Skądże.

Ian był jeszcze mocniej niż ja uzależniony od swojego blackberry, wobec czego nie miał prawa narzekać.

— Cześć, słońce — rzuciłam w słuchawkę. — Co tam?

— Rozmawiałaś ostatnio z Noelle? — spytała Emerson.

Odniosłam wrażenie, że znajduje się w samochodzie.

— Prowadzisz? Masz zestaw głośnomówiący? — Oczywiście wyobraźni zobaczyłam ją z komórką przy uchu, ciemne loki spływają na dłoń. — Jeśli nie masz, to...

— Mam, spokojnie, mam.

— To dobrze.

Od czasu wypadku Sama byłem przewrażliwiona na punkcie korzystania z telefonu w czasie prowadzenia samochodu.

— I jak, rozmawiałaś z nią ostatnio? — spytała ponownie.

— Hm... — Zastanowiłam się chwilę. — Chyba ze trzy dni temu. A o co chodzi?

— Od jakiegoś czasu nie mogę się do niej dodzwonić. Jadę tam teraz. Czy wspominała, że się gdzieś wybiera?

Odszukałam w pamięci ostatnią rozmowę z Noelle. Opowiadała mi o przygotowaniach do hucznej imprezy, jaką miała zamiar, razem z Emerson, zorganizować dla Suzanne Johnson, jednej z wolontariuszek biorących udział w realizacji projektu wymyślonego przez Noelle. Suzanne była też matką Cleve'a. Na pomysł urządzenia przyjęcia wpadła Noelle, ja natomiast pomagałam z radością, szczęśliwa, że mam się czym zająć.

— Nie przypominam sobie, żeby się gdziekolwiek wybierała — odparłam.

Ian spojrział na mnie pytająco. Z pewnością wiedział, o kim rozmawiamy.

— Właśnie — przytaknęła Emerson. — Ja też nie.

— Martwisz się o nią?

Ian dotknął mojego ramienia.

Noelle? — upewnił się bezgłośnie.

Pokiwałam głową.

— Miała do mnie zajrzeć wczoraj — powiedziała Emerson — ale się nie zjawiała. Najwyraźniej... Ej! Cholera jasna! — krzyknęła. — Wybacz. — Zamilkła na moment. — Facet przede mną depnął po hamulcach bez powodu.

— Bądź ostrożna. Trzymaj się dalej od niego.

— Dobrze. Już w porządku. — Usłyszałam głośny wydech. — Wracając do sprawy, jeszcze niedawno telefony nam się rozgrzewały do czerwoności, a teraz nie mogę jej złapać, więc postanowiłam do niej zajrzeć po drodze. Wracam z Hot!

Nazwą Hot! została ochrzczone kafejka prowadzona przez Emerson, usytuowana niedaleko nabrzeża.

— Pewnie zbiera fundusze na najnowszy projekt. — Pewnie tak.

Cała Emerson. Zawsze o wszystkich się martwiła. Dobroduszna i troskliwa, a przy tym nie sposób ją było opisać bez użycia słowa „przeziła”. Jenny przypominała ją w każdym calu, ja zaś byłam uszczęśliwiona, że córka mojej najlepszej przyjaciółki jest najlepszą przyjaciółką mojej córki.

— Jestem w Sunset Park — podjęła Emerson. — Zaraz skręcam do Noelle. Pogadamy później, dobrze?

— Pozdrów ją ode mnie. — Jasne.

Rozłączyłam się, podniosłam wzrok na Iana.

— Noelle miała wczoraj zajrzeć do Emerson, ale nie przyszła, więc Emerson do niej wpadnie, sprawdzi, czy wszystko w porządku.

— Na pewno nie ma powodu do niepokoju — ocenił Ian. — Spojrzał na zegarek. — Czas na mnie — dodał. — Pewnie chcesz zanieść kolację Grace. — Pochylił się, cmoknął mnie w policzek. — Dzięki za poczęstunek. Pojutrze wpadnę po resztę dokumentów, dobrze?

Odprowadziłam go wzrokiem. Zastanowiłam się nad odgrzaniem klusek dla Grace, uznałam jednak za wątpliwe, by doceniła ten gest, a na dodatek nie miałam najmniejszej ochoty po raz kolejny tego wieczoru spotkać się z chłodnym przyjęciem. Zająłam się więc czyszczeniem granitowych blatów. Rzeczywiście, pomogło. Uspokoilo mnie. Do



chwili gdy zawiesiłam wzrok na drzwiach lodówki, gdzie tkwiło, przy-  
czepione magnesem, zdjęcie przedstawiające nas troje: Grace, Sama i  
mnie. W ciepły letni wieczór, nieco ponad rok temu, staliśmy na pro-  
menadzie Riverwalk. Oparłam się o kuchenną wyspę i długo przyglą-  
dałam nam trojgu w komplecie. Wiele bym dała, by cofnąć czas.

Dość tego, przywołałam się do porządku.

Wróciłam do czyszczenia blatów.

Wyobraziłam sobie Emerson przyjeżdżającą do Noelle, przekazu-  
jącą jej moje pozdrowienia. Rozmawiałam z Noelle przynajmniej kilka  
razy w tygodniu, lecz jakiś czas rzeczywiście się nie widziałyśmy.  
Ostatni raz... pod koniec czerwca, w sobotni wieczór, gdy całkiem nie-  
spodziewanie stanęła w moich drzwiach. Grace wyszła wtedy z Jenny i  
Cleve'em, a ja usiłowałam zaprowadzić jaki taki ład na stojącym w na-  
szej sypialni sekretarzyku, pełniącym funkcję biurka Sama. Porządko-  
wanie jego rzeczy sprawiało mi ból. Dotykałam przedmiotów, które  
jeszcze nie tak dawno znajdowały się w jego rękach. Układałam na  
podłodze sterty dokumentów. Zamierałam je wszystkie oddać Ianowi,  
sama nie potrafiłam się w nich rozeznaczyć. Sam był nieporządny. Swego  
czasu umówiliśmy się, że może mieć bałagan, jaki zechce, póki mnie  
nie będzie kłuł w oczy. Teraz oddałabym wszystko za codzienny widok  
tego kramu.

Nie od razu się zorientowałam, dlaczego Noelle zajrzała do mnie  
tamtego wieczoru. Wiedziała od Emerson, że Grace wyszła z Jenny. Ze  
zostałam w domu sama w sobotnią noc, gdy człowiek ma wrażenie, iż  
wszyscy ludzie na całym świecie połączyli się w pary. Lato mnie do-  
datkowo przygnębiało, bo nie mogłam szukać zapomnienia w pracy,  
nie byłam też zaangażowana w żaden projekt teatralny. Noelle miała  
świadomość, w jakim nastroju mnie zastanie: przygnębioną i zrezy-  
gnowaną lub wściekłą na los. W każdym z obu tych stanów stawałam  
się zbyt wrażliwa, by znosić towarzystwo innych ludzi, ale przy niej

czułam się bezpieczna. Przy niej każdy czuł się bezpiecznie, zawsze umiała wyciągnąć pomocną dłoń.

Tamtego wieczoru zapadłam się w fotel biurowy Sama, ona usiadła na kanapie i zapytała, jak sobie radzę. Normalnie odpowiadałam na to pytanie krótko: „Dobrze”, jednak udawanie przed Noelle wydawało się pozbawione sensu. I tak by mi nie uwierzyła.

— Wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem — odparłam.

Noelle miała na sobie długą spódnicę w niebieskich i zielonych pastelowych barwach, w uszach ogromne koła. Wyglądała jak rudowłosa Cyganka. Była piękna urodą niepowседневną. Biała, nieomal przejrzysta cera. Jaskrawoniebieskie oczy. Pełne wargi, skóre do uśmiechu, odsłaniające równe białe zęby. Lekki tyłozgryz. Była kilka lat ode mnie starsza, w jej długich, kręconych włosach zaczęły połyskiwać pojedyncze srebrne nitki. Znałyśmy ją z Emerson od college'u, wiedziałyśmy, że choć na swój sposób piękna, nie należy do kobiet przyciągających męskie spojrzenia. Skoro już jednak jakiś facet zwrócił na nią uwagę, na przykład mijając ją na ulicy — mężczyzna wrażliwy, poeta, artysta, maniak komputerowy — zafascynowany jej urodą potykał się o własne nogi. Niejeden raz byłam świadkiem takiej sceny. Dawno temu jednym z takich mężczyzn był Ian.

Zrzuciła sandały i podciągnęła nogi pod siebie.

— Rzeczywiście czujesz się taka krucha?

— W sumie chyba tak.

Długo wtedy rozmawiałyśmy. Prowadziła mnie przez labirynt emocji niczym wprawny doradca. Mówiłam o smutku i żałobie. O bezsensownym gniewie na Sama za to, że mnie zostawił, że stał się przyczyną zmarszczek na czole. Zmienił moją przyszłość w jeden wielki znak zapytania.

— Miałabyś ochotę skorzystać z pomocy grupy wsparcia? — spytała Noelle.

Pokręciłam głową. Na samą myśl o wsparciu grupy innych wdów dostawałam gęsiej skórki. Nie chciałam towarzystwa kobiet w sytuacji równie rozpaczliwej jak moja. Pociągnęłyby mnie w dół, nigdy bym nie doszła do siebie. Trzymałam uczucia na wodzy, bałam się przerwania tamy, jaką odgrodziłam od świata swoją rozpacz.

— Dobrze, wobec tego nie mówmy o grupie wsparcia — ustąpiła Noelle od razu. — To nie dla ciebie. Jesteś szczerą, ale nie otwartą.

Powiedziała mi to samo kiedyś wcześniej. Zaniepokoiła mnie taka opinia.

— Byłam otwarta w stosunku do Sama — zaprotestowałam buńczucznie.

— Rzeczywiście — zgodziła się Noelle. — Przy nim był to naturalny stan. — Zapatrzyła się w ciemność za oknem, zatoneła w myślach. Przypomniały mi się słowa, jakie wypowiedziała na pogrzebie Sama. „Sam był słuchaczem doskonałym”.

Racja.

— Brakuje mi rozmów z Samem — wyznałam.

Objęłam spojrzeniem dokumenty poukładane na podłodze. Zszywacz zasilany bateriami, stojący na biurku. Książeczkę czekową. Cztery bloczki karteczek samoprzylepnych.

Przygarbiłam się.

— Tęsknię za nim.

— Ty i Sam... — Noelle pokiwała głową. — Nie chcę mówić o braterstwie dusz, bo to banał, a w dodatku nie wierzę w nic takiego.

Muszę jednak przyznać, że byliście wyjątkową parą. Trudno o męża bardziej dbającego o żonę.

Musnęłam klawiaturę komputera. Klawisze liter D i E błyszcząły, wytarte do gołego. Przeciągnęłam opuszką palca po gładkim plastiku.

— Nadal możesz z nim rozmawiać — powiedziała Noelle.

— Wolne żarty!

— Daj spokój. Na pewno do niego mówisz, gdy jesteś sama. Nic w tym dziwnego. Na przykład: „Dlaczego mnie zostawiłeś, do jasnej cholery?!“.

Znów przeniosłam wzrok na klawiaturę. Bałam się otwartości i szczerości. Mogły spowodować pęknięcie tamy i potok łez.

— Nie rozmawiam z nim — skłamałam.

— A powinnaś. Nie zaszkodziłoby powiedzieć mu, co czujesz.

— Po co? — rozżłościłam się. Noelle uwielbiała stawiać na swoim. — Czemu by to miało służyć?

— Cóż, konkretnie rzecz biorąc, nie masz pewności, czy w jakimś sensie nie odbiera twojego przekazu.

— Konkretnie rzecz biorąc, mam taką pewność. — Skrzyżowałam ręce na piersi, okręciłam się z fotelem w jej stronę. — Nauka dowodzi, że to niemożliwe.

— Nauka stale dokonuje nowych odkryć.

Nie potrafiłam jej opowiedzieć o tym, jak przy śniadaniu albo w samochodzie, czy w drodze do szkoły, czasami słyszałam jego głos. Tak wyraźnie, jakby siedział tuż obok. Zastanawiałam się przy takich okazjach, czy próbuje się ze mną porozumieć. Gdy nikogo nie było w pobliżu, prowadziłam z nim długie głośnie rozmowy. Uwielbiałam wrażenie, że jest blisko. Nie wierzyłam w możliwość przesyłania sygnałów

z tamtego świata, lecz musiałam ją brać pod uwagę. Bo co by było, gdyby on istotnie starał się ze mną skontaktować, a ja bym ignorowała jego wysiłki? Czułam się jak wariatka, mówiąc do niego na głos, i bałam się tego szalonego wrażenia.

— Zawsze się obawiałaś kłopotów psychicznych, odziedziczonych po matce — odezwała się Noelle, jakby czytała mi w myślach. Niekiedy potrafiła mnie tym naprawdę wystraszyć. — Podejrzewam, że bardzo się tego boisz, chociaż jesteś najzdrowszą osobą pod słońcem. — Wstała, przeciągnęła się, unosząc smukłe ramiona wysoko nad głowę, westchnęła głęboko. — Twoja mama była leczona psychiatrycznie. — Opuściła ręce. — A ty nie. I nigdy ci to nie grozi.

— Boję się pęknięcia tamy. — Podniosłam na nią wzrok. Chciałam, żeby jeszcze została. — Nie wiem, co by się stało.

— Spokojnie. Na pewno nie utoniesz. To nie w twoim stylu. — Uścisnęła mnie serdecznie. — Kocham cię — powiedziała cicho. — W razie czego dzwoń.

Polerowałam granitowe blaty dotąd, aż światła sufitowe przejrzały się w nich jak w lustrze. Dopiero wtedy odważyłam się ponownie spojrzeć na fotografię naszej trójki na lodówce. W tamtą straszną sobotnią noc Noelle bardzo mi pomogła, uporałam się dzięki niej z wieloma trudnymi emocjami, niestety, jedna pozostała: strach, że oddalam się od córki.

Na zdjęciu uśmiechnięta Grace stała między Samem a mną, i tylko człowiek bardzo spostrzegawczy mógłby zauważyć, że się ode mnie odsuwa, a pochyla ku ojcu. Zostawił mnie z dzieckiem, któremu nie umiałam matkować. Z dziewczyną, którą pragnęłam poznać, lecz niestety, nie mogłam się przedostać za mur, którym się otoczyła. Z młodą istotą, która właśnie mnie za wszystko winiła.

Zostawił mnie z zamieszkałą na piętrze obcą osobą.

# *Rozdział 3*

*Emerson*

Gruchot Noelle stał na podjeździe, więc zaparkowałam za nim. Robiło się ciemno, nadal jednak mogłam przeczytać hasła poprzyklejane na zderzaku: COEXIST, MOKRADŁA = ŻYCIE W OCEANACH, STRAŻ RZEKI CAPE FEAR, TOFU JESZ?, RODZIĆ PO LUDZKU i mnóstwo innych. Rozrzucone po całym wyszczerbionym zderzaku, świadczyły o licznych pasjach Noelle. Gdy zatrzymywała się na skrzyżowaniu, prawdziwi mężczyźni pokazywali jej środkowy palec, a ona odpowiadała im kpiącym salutem. Cała Noelle, cała ona.

Mniej więcej przed rokiem zrezygnowała z pracy jako położna, by skupić się na projektach związanych z pomocą dzieciom, chociaż oznaczało to konieczność życia z oszczędności. W tym samym czasie zaczęły krążyć pogłoski, że gabinety ginekologiczne będą zwalniać położne, więc Noelle uznała, że czas dać sobie spokój, chociaż pewnie czuła się, jakby jej ktoś odciął prawą rękę. Musiałaby dysponować dziesięcioma ludzkimi żywotami, by zrealizować wszystkie swoje plany i zamierzenia. Za nic w świecie nie potrafiłaby się ograniczyć do jednego.

Przestaliśmy z Tedem obciążać ją czynszem, chociaż przy niepewnej sytuacji w gospodarce krajowej, a jednocześnie naszych zwiększonych wydatkach, związanych z rozruchem Hot!, nie do końca nas było stać na posłanie córki do college'u. Krótko przed ślubem Ted kupił zniszczony, dość prymitywny bungalow z lat czterdziestych. Wtedy uważałam tę inwestycję za chybioną, mimo że właściciel oddawał nieruchomości za marne grosze. Dom wyglądał, jakby go nikt nie remontował od 1940 roku, ogródek szpeciły dwie zniszczone opony rowerowe, połamany grill, mnóstwo innych śmieci oraz wychodek. Ted, pośrednik w handlu nieruchomościami, wyczytał w kryształowej kuli, że



Sunset Park czeka prawdziwy renesans. Przepowiednia kryształowej kuli sprawdziła się po latach. Okolica wreszcie zaczynała pięknieć. Tymczasem bungalow Noelle w dalszym ciągu wyglądał żałośnie. Grill i wychodek zniknęły, lecz krzewy stały u progu śmierci. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli Noelle się wyprowadzi, konieczny będzie gruntowny remont. Finansowo stanęliśmy na nogi, więc użyczenie jej domu pod warunkiem opłacania mediów nie przyczyniało nam wielkiego uszczerbku.

Z początku Ted nie był zachwycony pomysłem zwolnienia Noelle z opłat czynszowych. Inwestował wtedy w moją kawiarnię, oboje denerwowaliśmy się stanem finansów rodzinnych. Od lat marzyłam o otwarciu kawiarenki. Wyobrażałam sobie klientów ustawiających się w kolejce, by spróbować moich dań i wypieków, podobnie jak niektóre kobiety fantazjują na temat gorącej nocy z Matthew McConaugheyem. W tej chwili Hot! zarabiała na sobie. Zyskałam stałych klientów wśród okolicznych mieszkańców, a w sezonie turystycznym nawet zatrudniałam pomoc. W rezultacie Ted zaakceptował i moją kawiarenkę, i fakt, że Noelle korzysta z naszej nieruchomości, nie płacąc czynszu.

Z zachwaszczonego podjazdu widziałam lewą część podwórka z tyłu domu, gdzie Noelle założyła ogródek. Nie przejmowała się stanem budynku i nie dbała o wygląd kawałka ziemi przed domem, ale w tym jednym miejscu na tylnym podwórzu przed laty urządziła zaskakująco piękny zakątek. Szybko stał się on jedną z jej największych pasji. Sadiła rośliny starannie dobrane w taki sposób, by w zasadzie przez cały rok ciągle coś kwitło. Pośrodku stało poidło dla ptaków, dzieło jej zaprzyjaźnionego rzeźbiarza. Przywodziło na myśl drogocenny eksponat muzealny. Typowy kamienny zbiornik pozwalał skupić uwagę na bosonogiej dziewczusce z brązu, stojącej na palcach i sięgającej nad jego krawędzią, by dotknąć lustra wody. Sukienkę i włosy małej unosił delikatny wietrzyk. Wieść o poidle szybko się rozeszła. Zjawiło się nawet dwóch reporterów, którzy chcieli je sfotografować i napisać o autorze, Noelle jednak nie wyraziła zgody. Bała się \_ rozgłosu, który mógł sku-

sić złodzieja. Oddałyby ostatnią koszulę potrzebującym, ale nie życzyła sobie intruzów w ogrodzie. Podlewała, nawoziła, pielęła i kochała ten skrawek ziemi. Troszczyła się o niego tak, jak inne kobiety o mężów i dzieci.

Ściany bungalowu pokryte były łuszczącą się bladoniebieską farbą, przypominającą wytarte na kolanach džinsy. W czerwonym blasku zachodzącego słońca barwa nabrała chorobliwego odcienia. Idąc pokruszonym chodniczkiem prowadzącym do ganku, zauważyłam dwie koperty wystające ze skrzynki pocztowej przy drzwiach. Chociaż wieczór był ciepły, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Coś tu było nie tak. Poprzedniego dnia czekałam na nią z kolacją. Noelle miała przynieść dla Jenny tkaninę na dziecięce kocyki, które moja córka, ku memu niebotycznemu zdumieniu, szła w ramach jednego z projektów pomocowych. O takich sprawach moja przyjaciółka nie miała zwyczaju zapominać. Niepokoiliam się, bo nie oddzwoniła. Moja pierwsza nagrana wiadomość z wczoraj brzmiała: „Kolacja gotowa. Zaraz siadamy do stołu”. Drugą zostawiłam około dziesiątej: „Nic konkretnego, kochanie. Zdawało mi się, że miałaś dzisiaj wpaść do nas na kolację, ale pewnie coś pomyliłam. Daj znać, czy wszystko w porządku”. Ostatni, trzeci raz, nagrałam się dziś rano: „Noelle? Nie mam od ciebie żadnej wiadomości. Czy wszystko w porządku? Całuję”. Przez cały dzień się nie odezwała. Teraz, wchodząc po kilku stopniach na ganek, byłam pełna obaw.

Zadzwoniłam, przez cienkie szyby dotarło do mnie buczenie brzęczyka. Zastukałam, w końcu nacisnęłam klamkę. Drzwi okazały się zamknięte. Gdzieś w domu miałam klucz, ale nie pomyślałam, żeby go ze sobą zabrać. Zajrzałam do środka przez okno kuchenne obok drzwi. Na stole zobaczyłam torebkę, bez której Noelle nigdzie się nie ruszała. Właściwie była to raczej torba, a nawet prawie worek — bezkształtna, z rudawej skóry, przewieszana przez ramię, spokojnie mieszcząca połowę dobytku. Z tego wora Noelle wyciągała zabawki dla maleńkiej Jenny. Kiedy to było! Przez tyle czasu nie zmieniła torby. I zawsze



wszędzie ją ze sobą nosiła. Rude włosy, ruda torba. Skoro torba leżała na kuchennym stole, Noelle była w domu.

Zastukałam głośno w szybę.— Noelle!

— Proszę pani... Pani ma na imię Emerson? Obróciłam się w kierunku głosu. Przez trawnik szła do mnie dziewczynka, może dziesięcioletnia. Ściemniało się coraz bardziej, więc nie od razu zauważyłam, że niesie kota.

— A ty jesteś... — Zerknęłam na sąsiedni dom. Mieszkała tam rodzina Afroamerykanów z trójką czy może czwórką dzieci. Poznałam ich wszystkich, ale miałam spory kłopot z zapamiętaniem imion.

— Nazywam się Libby — powiedziała dziewczuszka. — Wczoraj wieczorem pani Noelle musiała szybko wyjechać.

Odetchnęłam z ulgą. Wyjechała. Dziwne, że zostawiła torbę, jednak to się na pewno wyjaśni.

Libby oparła stopę na pierwszym stopniu, resztki światła otuliły szylkretowej barwy sierść kota. Pochyliłam się nad nią.

— To Makata?

— Tak, proszę pani. Pani Noelle poprosiła mnie, żebym na razie wzięła ją do nas.

— A dokąd pojechała?

— Nie powiedziała. A mama mówi, że to źle. — Podrapała kotkę po łebku. — Ja się nią już zajmowałam, tylko zawsze u pani Noelle. Dlatego mama myśli, że pani Noelle wyjechała na długo. Czasem przecież tak robi. Tylko teraz nie powiedziała, kiedy wróci, i nie odbiera telefonu.

Jasny gwint, co tu się działo?

— Masz klucz do tego domu?

— Ja to nie mam, proszę pani, ale wiem, gdzie pani Noelle go trzyma. Nikt inny nie wie.

— Pokaż mi tę skrytkę, proszę.

Libby poprowadziła mnie do ogródka. Poprzedzały nas nasze długie i chude cienie. Pewnym krokiem podeszła do poidła, kucnęła i uniosła kamień leżący tuż obok stopy dziewczynki z brązu.

— Zawsze jest tutaj — szepnęła, podając mi go.

— Dziękuję.

Wróciłyśmy do wejścia. Na stopniach przystanąłam. Gdy wejść do środka, dowiem się, dlaczego Noelle zniknęła. Znajdę coś, co mi wyjaśni, z jakiego powodu nie wzięła ze sobą torby. Dlaczego oddała kota. Wróciło złowieszcze przeczucie. Spojrzałam na dziecko.

— Kochanie, wracaj do domu. I zabierz ze sobą Makatę. Sprawdź, co tu się dzieje, i przyjdę ci powiedzieć, dobrze?

— Dobrze.

Odchodziła jednak powoli, jakby niespokojna o los klucza. Odprowadziłam ją wzrokiem, póki nie zniknęła na własnym podwórku.

Klucz był oblepiony ziemią. Wytarłam go w koszulkę, co niechybnie stanowiło sygnał, że przestało mnie obchodzić cokolwiek poza sprawą Noelle. Otworzyłam drzwi, weszłam do kuchni.

— Noelle?

Zamknęłam się od wewnątrz, najwyraźniej zaczynałam popadać w obłąd. Poza torbę, bezkształtnym skórzanym workiem, znalazłam w kuchni także kluczyki od samochodu. Leżały na blacie, między zlewem a kuchenką. Kocie miski na karmę i wodę stały także na blacie, dnem do góry, na ściereczce do naczyń. Zlew — pusty i czysty. Jednym sło-

wem, w kuchni panował nienaturalny porządek. Noelle zawsze wytwarzała wokół siebie lekki nieład, był to u niej naturalny stan.

Weszłam do mikroskopijnego saloniku, omiotłam wzrokiem półki uginające się od książek, stary telewizor, który Noelle dostała od Tary i Sama, gdy kupili sobie większy, powycieraną brązową wersalkę. Przed telewizorem stały dwa wózki dziecięce, na kartonach, zapewne wypełnionych ubrankami dla dzieci, tkwiły trzy foteliki samochodowe. Kolejne pudła piętrzyły się na szafie. Oto świat Noelle. Nad sofą wisiały oprawione w ramki zdjęcia Jenny i Grace, a także czarno—biała fotografia matki Noelle, stojącej przed furką ogrodową. Zawsze mnie rozczulał widok podobizn dziewczynek tuż obok zdjęcia matki mojej przyjaciółki. Trudno o bardziej czytelne podkreślenie, że traktowała nasze córki jak rodzinę.

W pierwszej z dwóch sypialni, którą Noelle wykorzystywała w charakterze biura, także nikogo nie zastałam. Podobnie jak w saloniku, również tutaj większość miejsca zajmowały kartony i torby, a na biurku piętrzyły się dokumenty oraz książki. Stała tam także duża salaterka sałaty z pomidorami.

— Noelle?

Cisza przyprawiała o dreszcze.

Czyżby moja przyjaciółka poślizgnęła się pod prysznicem? W takim razie jednak dlaczego miałaby prosić Libby o opiekę nad kotką?

Znalazłam się przed drugą sypialnią. Drzwi były otwarte, więc zobaczyłam ją od razu. Leżała na plecach, z rękami splecionymi na piersiach, cicha i spokojna, jakby pogrążona w medytacji. Tyle że twarz blada jak ściana i buteleczki po lekach na stoliku nocnym zdradzały prawdę. Oddech utknął mi w gardle, zmartwiałam przemieniona w kamień. Stałam kompletnie sparaliżowana. Nie pojmowałam, co widzę. Nie chciałam pojąć.

Niemożliwe, pomyślałam.

To niemożliwe.

— Noelle?

Zrobiłam jeden ostrożny krok, jakbym stopą sprawdzała temperaturę wody w basenie. Wtedy rzeczywistość uderzyła mnie obuchem. Rzuciłam się naprzód, chwyciłam przyjaciółkę za ramię, potrząsnęłam z całej siły. Jej włosy rozsypały mi się na dłoni jak żywe, lecz ona pozostała martwa.

— Nie. Nie, nie! — krzyknęłam. — Noelle, proszę! Tak nie wolno, błagam!

Chwyciłam jedną z opróżnionych buteleczek, jednak żadne ze słów widocznych na opakowaniu nic mi nie wyjaśniało. Chętnie bym zamordowała ten pojemnik, z którego moja przyjaciółka zaczerpnęła śmierć. Rąbnęłam nim o ścianę, po czym opadłam na kolana przy łóżku. Ścisnęłam w rękach zimną dłoń trupa.

— Dlaczego? — szepnęłam. — Dlaczego?

Człowiek ogłuszony emocjami bywa ślepy. List znajdował się tuż obok, na stoliku nocnym. Musiałam go widzieć, sięgając po telefon leżący na blacie, dosłownie o centymetry od dłoni Noelle. Mogła bez trudu zadzwonić do mnie czy do Tary. Mogła powiedzieć: „Popełniłam głupstwo. Przyjedź, pomóż mi”. Nie zrobiła tego. Nie chciała zostać uratowana.

Policja i zespół karetki pogotowia zawłaszczyli do spółki ostatnią drobinę przestrzeni i powietrza. Zlewali się przed moimi oczami w rozmazane szarobure tło. Gdy ratownik medyczny zdiagnozował jej śmierć, siedziałam na krześle, które mi ktoś przyniósł z kuchni. Potem czekaliśmy na przybycie lekarza. Odpowiadałam na pytania policji,

targające mną jak pociski. Szefa patrolu, Whittakera, znałam osobiście. Przychodził do Hot! codziennie z samego rana. Brał croissanta z twarogiem i malinami, a do tego ciepłą babeczkę z bananem i orzechami. Nalewałam mu do kubka najmocniejszą kawę i patrzyłam, jak wrzuca do niej pięć torebek cukru.

— Zawiadomiła pani męża?

Zawsze zwracał się do mnie per „pani”, chociaż wiele razy prosiłam, by mówił mi po imieniu.

Wolnym krokiem obchodził klaustrofobiczną sypialnię. Przyjrzał się oprawionej fotografii matki Noelle na ścianie, dotknął grzbietu książki stojącej w regaliku pod parapetem, a wreszcie zbadał uważnie poduszkę na szpilki, leżącą na toalecie, jakby od niej miał zamiar uzyskać informację na temat tego, co tu zaszło.

— Tak.

Rzeczywiście, zawiadomiłam Teda, jeszcze zanim ściągnęła policja i medycy. Nie rozmawiałam z nim jednak. Oprowadzał kogoś po nieruchomości, musiałam zostawić wiadomość. Najwyraźniej do tej pory jej nie odebrał. Gdyby wysłuchał mojego niezrozumiałego bełkotu jak po zawale, oddzwoniłby natychmiast.

— Kto jest jej najbliższym krewnym? — spytał Whittaker.

O nie.

Najbliższą krewną Noelle była jej matka. Poproszę Teda, żeby do niej zadzwonił. Ja nie dam rady. Tara też się na to nie zdobędzie.

— Matka — szepnęłam. — Ma osiemdziesiąt lat, jest bardzo wrażliwa... Mieszka w domu opieki w Charlotte.

— Widziała to pani?

Whittaker, uzbrojony w rękawiczki, podniósł ze stolika nocnego kawałek papieru. Podał mi go, żebym przeczytała.

*Emerson, Taro, wybaczcie mi. Zajmijcie się moim ogrodem, proszę. I dopilnujcie, żeby moja mama miała należyłą opiekę. Kocham Was wszystkich.*

— O nie... — jęknęłam. Zacisnęłam powieki. — Nie.

Aż do tej pory udawało mi się unikać w myślach pojęcia „samobójstwo”. Teraz miałam to słowo przed oczami, ogromne i wyraźne.

— Czy to jej pismo? — zapytał Whittaker.

Z wysiłkiem rozwarłam powieki, ledwie odrobinę. Nie umiałam ponownie objąć spojrzeniem całego listu. Niedbale przechylone litery byłyby zapewne trudne do rozszyfrowania dla kogoś do nich nienawykłego. Ja doskonale je znałam.

Pokiwałam głową.

— Czy była przygnębiona? — spytał Whittaker. — Czy miała jakiś powód do zmartwienia?

— Nie. — Pokręciłam głową. — Nic podobnego. — Podniosłam wzrok na stróża prawa. — Kochała swoją pracę, nigdy by nie... Może była chora? Albo ktoś ją zabił i upozorował samobójstwo?

Zerknęłam na list. Na buteleczki po tabletkach. Na nalepkach widniało nazwisko Noelle. Któryś z ratowników zwrócił uwagę, że jedno z opakowań zostało wykupione miesiąc wcześniej, ale inne miały daty nawet sprzed roku.

Zbierała je?

— Czy ostatnio wspominała coś o kłopotach zdrowotnych? — odezwał się Whittaker. — O wizytach u lekarza?

Potarłam czoło, szukając w pamięci.

— Jakiś czas temu doznała w wypadku samochodowym kontuzji kręgosłupa. Dość dawno. Już od lat nie skarżyła się na ból. — Wtedy niepokoiła nas ilość łykanych przez nią tabletek, ale zdążyliśmy już o tym zapomnieć. — Powiedziałyby nam, gdyby coś było nie tak. — Z pewnością robiłam wrażenie osoby, która wie, co mówi.

Whittaker położył mi dłoń na ramieniu.

— Bywa, że ludzie skrywają swoje tajemnice bardzo głęboko. Nie zdradzają ich nawet najbliższym. Nawet tym, którym się wydaje, że dobrze ich znają.

Przeniosłam spojrzenie na twarz Noelle. Piękna, lecz pusta. Mojej przyjaciółki tu nie było. Chyba już zapomniałam jej uśmiechu.

Nic się nie zgadza, to bez sensu, pomyślałam.

Przecież miała mnóstwo planów.

Musiałam zadzwonić do Tary. Nie mogłam się z tym borykać sama. Razem coś wymyślimy. Dojdziemy prawdy. We dwie wiemy o Noelle wszystko.

Chociaż... zimne ciało na łóżku dowodziło niezbicie, że w rzeczywistości nie wiedziałyśmy nic.

## *Rozdział 4*

*Noelle*

*Hrabstwo Robeson, Karolina Północna*

*1979*

Była sową. Trochę jakby nie mogła się rozstać z mijającym dniem, kładła się spać dopiero nad ranem, a w nocy czytała albo — o czym matka nie wiedziała — spacerowała po okolicy. Czasami leżała w starym hamaku, szukając gwiazd schwytych w sieć konarów drzew. Lubiła noc od zawsze, od urodzenia, przez całe swoje trzynaście lat życia. Zdaniem matki, dlatego że przyszła na świat dokładnie z wybiciem północy, wobec czego mylił jej się dzień z nocą. Noelle tymczasem przypisywała ten stan domieszce jednej ósmej krwi indiańskiego plemienia Lumbee. Jeśli wierzyć matce, była także w jednej ósmej Holenderką, a co więcej, w takiej samej części Żydówką, i z lubością szokowała tą informacją znajomych w szkole, gdyż na prowincji w Karolinie Północnej był to rys niezaprzeczalnie egzotyczny. Ponieważ matce zdarzało się fantazjować, córka nabrała zwyczaju wyłuskiwania z jej opowiadań fragmentów, w które chciała wierzyć.

Którejś letniej nocy, gdy czytała w łóżku *Władcę pierścieni*, na zwirowanym podjeździe zachręściły alarmująco prędkie kroki. Ktoś biegł do ich domu. Zgasiła światło, wyjrzała przez otwarte okno. W blasku pełnego księżyca zobaczyła leżący na podjeździe rower, wyraźnie porzucony w pośpiechu.

— Pomocy! — zawołał męski głos. — Potrzebna położna!

Słowom zawtórowało walenie w drzwi.



Noelle wciągnęła szorty, upchnęła w nich top i pognęła do wyłożonego sosnowymi panelami salonu.

— Mamo! — krzyknęła, odwracając się w stronę pokoju matki. — Wstawaj!

Dopadła drzwi frontowych, otworzyła je szarpnięciem, zapaliła światło na ganku. Stał tam czarnoskóry chłopak o oczach zogniętych ze strachu. Jeszcze trzymał w górze zaciśnięte pięści, gotów nadal dobijać się do cudzego domu. Noelle знаła go ze szkoły. Na imię miał James, nazwiska nie pamiętała. Kilka lat od niej starszy, ile mógł mieć, piętnaście? W zeszłym roku go nie widywała. Zawsze był cichy, zamknięty w sobie, kiedyś przypadkiem usłyszała nauczyciela mówiącego, że chłopak ma perspektywę, może zdać maturę, nawet dostać się na studia. Nie o każdym uczniu z jej szkoły można było wydać taką opinię, białym, czarnym czy Lumbee. Od czasu gdy James zniknął ze szkoły, całkiem o nim zapomniała. Aż do teraz.

— Zawołaj mamę! — Niewiele brakowało, a wpadłby do wnętrza jak burza. — Jest położną, tak?

— A co? — spytała Noelle z rezerwą.

Nie mówiło się o tym głośno. Ludzie i tak wiedzieli, jasne, ale nie należało tego przyznawać wprost.

— Co znaczy: a co?

James nerwowo pchnął ją w ramię, nieomal pozbawił równowagi, lecz nie przestraszył. To on się bał. Do tego stopnia, że ją pchnął.

— Ręce przy sobie! — Matka Noelle pojawiła się w salonie, ściągając szlafrok na piersiach. — Co ty sobie wyobrażasz?! Noelle, zamknij drzwi!

Sama pchnęła drewniane skrzydło, jednak Noelle nie wypuściła gałki z dłoni.

— Mówi, że potrzebna położna.

Matka znieruchomiła, przyjrzała się chłopcu z uwagą.

— I ty w tej sprawie? — upewniła się z niedowierzaniem.

— Tak, proszę pani. — Teraz wyglądał na skruszonego. Z wyraźnym trudem trzymał nerwy na wodzy, by odpowiadać grzecznie, a nie głośno wzywać pomocy. — Moja siostra... rodzi, a nie mamy...

— Mieszkacie w tym domu nad strumieniem?

Matka zerknęła nad ramieniem chłopaka, jakby jego domu nie przesłaniał pociemniały las.

— Tak, proszę pani. Trzeba się śpieszyć.

— Samochód zepsuty... Wezwałeś pogotowie?

— Nie mamy telefonu.

— Siostra jest z matką?

— Nie! — Tupnął jak zniecierpliwione dziecko. — Proszę pani. Bardzo panią proszę.

— Ja się ubiorę — zwróciła się matka do Noelle. — A ty zadzwoń. Pójdiesz z nami. Pewnie się przydasz.

Nigdy wcześniej nie zabierała jej ze sobą, tamtej nocy jednak wszystko wyglądało inaczej. Po raz pierwszy ktoś z sąsiedztwa dobijał się do ich drzwi o drugiej nad ranem. Owszem, wcześniej zdarzały się telefony w środku nocy. Matka wychodziła z domu, a Noelle wiedziała, że rano sama zje śniadanie i przygotuje się do szkoły, a po powrocie zastanie mamę w domu, lecz o nocnych zdarzeniach nie dowie się niczego. Wcale jej to nie przeszkadzało. Wolała czytać, niż dociekać, co robi matka.

Matka Noelle była stara, wyraźnie starsza od matek innych uczniów, dlatego przyjaciele Noelle często brali ją za jej babcię. Miała pięćdziesiąt dwa lata, mysie włosy przetykane pasmami siwizny, zmarszczki wokół oczu i wiotką skórę na szyi, gdy tymczasem inne matki używały szminki, malowały paznokcie i czesały się w salonie piękności w Lumber— ton. Noelle krępował wygląd matki i jej nietypowe zachowanie. Tamtej nocy, wybierając numer pogotowia i objaśniając dyżurnemu, jak trafić do domu Jamesa, miała nieodparte wrażenie, że jej spojrzenie na matkę wkrótce się zmieni.

Nie wiedziała, że matka potrafi biegać. Na gruntowej drodze, za Jamesem jadącym rowerem, taszcząc niebieską płócienną torbę, cały czas ją wyprzedzała. Zapach rzeki ciążył w powietrzu, z rosnących wzdłuż drogi cyprysów zwieszały się długie pędy oplątwy brodaczkowej, którą wszyscy nazywali hiszpańskim mchem. Gdy skręcali w ścieżkę prowadzącą wzdłuż strumienia, pędy musnęły ramiona Noelle. Kiedy była mała, matka powiedziała jej, że to włosy Indianki. Ponoć kiedyś żona wodza plemienia Lumbee okazała mężowi nieposłuszeństwo, a on za karę obciął jej włosy. Rzucił je na drzewo, gdzie rozrastały się dotąd, aż pokryły konary sąsiednich drzew. Co to miało wspólnego z Hiszpanią, Noelle nie wiedziała, lecz chętnie sobie wyobrażała, że nieposłuszna żona wodza mogła być jedną z jej dalekich protoplastek.

Gdy minęli ostatni zakręt, księżyc zamigotał na płatkach białej farby obłazącej ze ścian drewnianej chałupy. Już wcześniej słyszeli krzyki, bardziej zwierzęce niż ludzkie, tnące noc jak ostrzem noża. Matka przyśpieszyła kroku, natomiast Noelle zwolniła. Nie miała pojęcia o narodzinach. Raz widziała rodzącą kotkę, lecz takich wrzasków nigdy nie słyszała.

— Gdzie wasi rodzice? — spytała matka.

James zeskoczył z roweru.

— Mama w Lumberton — rzucił przez ramię. Przekreślił gałkę w zniszczonych drzwiach. — Ciotka zachorowała.

O ojcu nie wspomniał, a matka Noelle nie pytała. Wpadli do domu. Składał się on z dwóch pomieszczeń. Pierwsze stanowiło coś na kształt kuchni połączonej z salonikiem — pod jedną ścianą stała kanapa, pod drugą kuchenka, zlew i niska lodówka. Matka Noelle ledwo rzuciła na nie okiem; prowadzona nieludzkim wyciem wpadła do sąsiedniego pokoju, gdzie na dwuosobowym łóżku leżała na plecach ciemnoskóra dziewczyna, smukła jak topola, przytłoczona ogromnym brzuszyskiem. Była niewiele starsza od Noelle. Miała na sobie tylko zielony T— shirt, zsunięty aż pod piersi, a spomiędzy ugiętych nóg wystawało coś czarnego kolosalnych rozmiarów.

— A niech mnie, już widać główkę! — powiedziała matka. — Napełnij wodą wszystkie garnki i rondle — poleciła Jamesowi — i nastaw, żeby się zagotowała.

— Tak, proszę pani.

James natychmiast zniknął, Noelle tymczasem stała zmieniona w słup soli, zahipnotyzowana widokiem tego, co się działo z ciałem dziewczyny. Przecież nie mogło być normalne. Wyglądało, jakby rodząca miała przy akompaniamencie rozdzierającego wrzasku zostać rozdarta na pół.

— No dobrze, moja droga... — zwróciła się matka do dziewczyny, rozpakowując torbę. — Nie przyj. Wiem, że to trudne, ale jeszcze nie przyj. Pomogę ci, wszystko będzie dobrze.

— Nie będzie.... dobrze! — zawyła nastolatka. — Nie chcę dziecka!

— No cóż, kochana moja. Z tym już nic nie da się zrobić. Tak czy inaczej, zaraz urodzisz. — Odwróciła się do córki.

— Poszukaj czystych ręczników i pościeli. Weź wszystko, co tylko znajdziesz. — Na szczupłe przedramię rodzącej założyła rękaw do mierzenia ciśnienia. — Zmocz jeden ręcznik w gorącej wodzie i mi tu przynieś.

Noelle kiwnęła głową. Z wąskiej szafki wydobyla starannie ułożone na półkach ręczniki, prześcieradła i powłoczki na poduszki. W sąsiednim pokoju James dygotał nad parującymi garnkami.

— Mam zmoczyć ręcznik w gorącej wodzie — odezwała się, podchodząc do kuchenki. — Która najcieplejsza?

— Chyba ta tutaj. — Chłopak wskazał jedno z naczyń.

Zmoczyła ręcznik, wyżeła nad zlewem i zaniósła do sypialni.

Tam matka częściowo rozłożyła jedno z prześcieradeł i wsunęła je pod pośladki rodzącej. Ciepły ręcznik przyłożyła do zdumiewająco rozciągniętej skóry otaczającej główkę dziecka.

— To tak ma być? — spytała Noelle, pochylając się nad matką i palcem wskazując krocze dziewczyny.

— Właśnie tak — odparła matka. Odsunęła jej dłoń.

— Wszystko tu jest w najlepszym porządku. — Odpowiedź miała rodzącej dodać otuchy. — Idź, pomóż chłopakowi.

Noelle pokręciła głową.

— Wolę zostać.

— To weź sobie krzesło. Usiądź przy niej i niech cię ściska za rękę.

Noelle przyciągnęła z saloniku krzesło z prostym oparciem i usiadła u wezłowania łóżka. Niezgrabnie rozwarła ciemną dłoń zaciśniętą na krawędzi materaca i wsunęła w nią palce. Dziewczyna ścisnęła mocno. Łzy płynęły jej po twarzy strumieniem, na czole błyszczały kropelki

potu. Skórę miała nieco jaśniejszą niż James, a twarz prześliczną, nawet gdy wykrzywił ją ból. Była przerażona.

Noelle otarła jej łzy drugą ręką.

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Bea — szepnęła dziewczyna. — Umieram, prawda? To dziecko mnie zabije.

— Nie. — Noelle potrząsnęła głową. — Moja mama...

Bea krzyknęła przenikliwie.

— Rozerwie mnie!

— Kochana moja, żadnego rozrywania nie będzie — zapewniła matka Noelle. — Wszystko idzie dokładnie tak, jak trzeba.

— Pali mnie tam! Jezusie, panie mój...

— No tak... Jezusie, panie mój... — powtórzyła matka Noelle, kobieta, w której żyłach płynęła krew żydowska, indiańska i holenderska. Zapewne po raz pierwszy w życiu użyła tych słów w takim zestawieniu. — Skoro go potrzebujesz, to znaczy, że twój pan Jezus jest teraz z tobą, kochana. — Uniosła głowę. — Noelle, chcesz zobaczyć, jak dziecko przychodzi na świat?

Noelle wstała, przeszła w nogi łóżka. Ciemny wzgórek urósł do niesłychanych rozmiarów. Wstrzymała oddech, niepewna, jakim sposobem matka wydostanie dziecko z brzucha szczupłej, drobnej dziewczyny. Nagle Bea wydała z siebie zwierzęcy skowyt, a spomiędzy jej nóg wyskoczyła ciemna główka zwieńczona czarnymi włosami.

Zdumiewające.

— Pięknie! — oceniła matka. — Świetnie sobie radzisz.

Wprawnym gestem ułożyła dłonie wokół maleńkiej główki, wcale jej nie dotykając, jakby ją podtrzymywała czarami. Główka obróciła się, a wówczas Noelle ujrzała maleńką twarzyczkę, pomarszczoną i skurczoną z wysiłku, jakby to maleństwo musiało wykonać zadanie przynajmniej tak samo wycieńczające, jak jego mama. Raptem obraz stracił ostrość, zamazały się jej przed oczami zaciśnięte oczka i usteczka naznaczone krwią. To łzy przesłoniły jej świat, choć czemu płacze, nie umiałyby powiedzieć.

Nagle dziecko wyślizgnęło się z ciała rodzącej prosto w ręce matki Noelle.

— Jaki śliczny chłopiec!

Akuszerka owinęła kwilącego noworodka ręcznikiem i położyła na brzuchu świeżo upieczonej matki. Zrobiła to ruchem gładkim i szybkim, zdradzającym, że powtarzała go już przedtem setki razy.

— Ja go nie chcę — jęknęła Bea, lecz równocześnie odchyliła róg ręcznika i dotknęła wilgotnych włosów synka.

— To się jeszcze zobaczy — oświadczyła matka. — Teraz trzeba skończyć rodzić.

Noelle przyglądała się, jak matka przecina pępowinę i odbiera łożysko. Z uwagą słuchała wyjaśnień i odpowiedzi na swoje pytania. Patrzyła na zupełnie inną kobietę niż ta, która co wieczór szykowała kolację, sprzątała dom, karmiła kury, hodowała pomidory i strzygła mizerny trawnik. Tutaj, w ciasnej sypialni, gdzie wdzierało się w uszy zwierzęce wycie, gdzie pot i krew, gdzie powietrze zbyt gęste, by nim oddychać, matka przeobraziła się w kogoś całkiem innego. W osobę tajemniczą i wspaniałą. Na wpół uczoną, na wpół czarownicę. Piękną każdą zmarszczką, każdym siwym włosem. Każdym spuchniętym stawem w dłoniach, które z taką łatwością i wprawą sprowadziły dziecko na świat. W tamtej chwili Noelle pojęła, że chce być podobna do matki. A raczej — taka sama jak ona.



Karetką przyjechała, gdy było za późno na udzielenie pomocy przy porodzie. Atmosfera w domku zgęstniała, padły ostre pytania. Pojawił się lśniący sprzęt medyczny. Ostre igły i worki z płynem, zawieszane na stojakach. Nosze na kołach.

Bea przestraszyła się nie na żarty.

— Nie bój się. — Matka Noelle ścisnęła jej rękę, gdy dwóch mężczyzn w kitlach przenosiło dziewczynę z łóżka na nosze. — Świetnie się spisałaś. Wszystko będzie dobrze.

— Pani przyjęła poród? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Jest akuszerką — oznajmił James.

Ratownik uniósł brwi.

— E tam, za dużo powiedziane — sprostowała szybko matka Noelle. — Mieszkam niedaleko, to i pomogłam, jak umiałam.

Parę lat wcześniej spędziła kilka dni w więzieniu. Poniosła karę za pełnienie funkcji położnej. Nie zamierzała tam wracać. Noelle została wtedy pod opieką Doreen, przyjaciółki ojca. Doreen była, według jego słów, pomocą domową, lecz Noelle, chociaż skończyła dopiero dziewięć lat, swój rozum miała. Nienawidziła tej kobiety, ponieważ ukradła jej tatę. A mamie ukradła męża.

— Pamiętaj, żebyś nigdy w życiu nie wyrządziła innej kobiecie takiej krzywdy, jaką Doreen zrobiła mnie — powiedziała jej matka później. — Za nic w świecie.

Noelle poprzysięgła sobie wtedy z ręką na sercu, że nigdy tego nie zrobi, i była przekonana, że dotrzyma słowa.

Wracały do domu prawie o świcie. Szły wolno, spokojnie, od jakiegoś czasu żadna się nie odzywała. Cykady umilkły, dwie ludzkie



istoty spowiała cisza mroku przed brzaskiem. Od czasu do czasu pomiędzy drzew dobiegało ptasie wołanie. Noelle uwielbiała ten dźwięk. Tego samego ptaka słyszała, gdy czasem wałęsała się po okolicy w środku nocy.

Skręciły w drogę prowadzącą do domu.

— Skąd wiedziałaś, co robić? — spytała Noelle.

— Od matki. A ona wszystkiego nauczyła się od swojej matki. Nie ma tu nic tajemniczego. Dzisiejsi lekarze chcą, — żeby ludzie sądzili inaczej. Że kobieta potrzebuje leków

i cesarskiego cięcia... Wtedy rozcina się brzuch, żeby wyjąć z niego dziecko. I jeszcze te wszystkie wymyślne sposoby. Czasami się przydają. Dobra położna musi wiedzieć, która kobieta może bezpiecznie urodzić w domu, a która nie. Ale to nie jest żadna wiedza tajemna.

— Ja też tak chcę.

— Co? Urodzić?

— Chcę być położną, tak jak ty.

Matka objęła córkę za ramiona, przytuliła.

— Wobec tego musisz to zrobić jak należy. Zgodnie z prawem. Żebyś nie pomagała ludziom w taki sposób jak ja, po kryjomu.

— A co mówi prawo?

— Najpierw trzeba zostać pielęgniarką. Ja nie zrobiłam tego kroku. Nie wydawał mi się konieczny. Uważałam go nawet za szkodliwy, bo w szkole wbijają człowiekowi do głowy, że gdy chodzi o sprowadzanie dziecka na świat, im więcej interwencji, tym lepiej. Tak czy inaczej, w Karolinie Północnej obowiązuje prawo i trzeba go przestrzegać. Nie życzę sobie, żeby moja córka siedziała w więzieniu.

Noelle wróciła myślami do dusznej sypialenki, gdzie matka okazała się tak pomocna.

— Ta Bea jest ode mnie starsza najwyżej ze dwa lata— oświadczyła. — Gdybym rodziła dziecko, tobym chciała je zatrzymać. Nie rozumiem, jak można nie chcieć własnego dziecka.

Matka nie odpowiedziała od razu.

— Czasami oddanie dziecka jest przejawem miłości — odezwała się w końcu. — Jeśli człowiek wie, że nie wystarczy mu pieniędzy, że nie będzie mógł go wychować, wtedy oddanie dziecka dobrej rodzinie jest czymś właściwym. Ta dziewczyna... — matka westchnęła głęboko będzie musiała sama podjąć decyzję. Dla czarnego dziecka niełatwo znaleźć rodzinę adopcyjną, więc mam nadzieję, że je zatrzyma. Matka jej pewnie pomoże. Ale tak czy inaczej, piętnaście lat to po prostu za *wcześnie na rodzenie*. Zrób mi przyjemność, proszę, i nie zachodź w ciążę tak wcześnie.

— Spokojna głowa. Nie mam ochoty nawet całować się z chłopakami, a co dopiero robić dzieci.

— To się zmieni.

Noelle usłyszała w głosie matki uśmiech.

Niebo poróżowiało. Już wyraźnie widziały drogę pod stopami, a na wprost wyłonił się zza lasu węgiel domu.

— Muszę ci coś powiedzieć — odezwała się matka niespodziewanie. Głos miała dziwny, obcy. — Powinnam ci była powiedzieć dawno temu, ale przez to całe rozstawanie się z ojcem., I tak już dość na ciebie spadło.

Noelle poczuła ucisk w piersi.

— O co chodzi?

— Usiądziemy sobie na podwórku, popatrzymy na wschód słońca. Zaparzę herbaty, porozmawiamy.

Dotarły do żwirowego podjazdu. Dziewczynka zwolniła. Nie miała pewności, czy chce się dowiedzieć, co matkę tak odmieniło. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdy wejdzie do domu, będzie całkiem inną osobą niż ta, która z niego wyszła.

Miała rację.

TLR

# Rozdział 5

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Wydawało się, że zaledwie kilka tygodni minęło od czasu, gdy w tym samym kościele zegnałam Sama na nabożeństwie żałobnym. Dziś musiałam przyjść znowu. We dwie z Emerson planowałyśmy to nabożeństwo, będąc całkiem skołatane. Em spytała, czy zaśpiewam, co niekiedy robiłam na ślubach albo przy wyjątkowych okazjach. Odmówiłam stanowczo, a w czasie mszy, słuchając pięknego sopranu jednej z koleżanek z chóru, byłam zadowolona, że nie podjęłam się wykonania *Pie Jesu* Faurego. Za nic nie zdołałabym wypchnąć głosu poza gulę dławiącą w gardle. Nie tutaj, gdzie nadal żywe były wspomnienia mszy żałobnej odprawionej po śmierci Sama. I nie teraz, gdy wciąż nie potrafiłam uwierzyć w odejście Noelle.

Jej matka siedziała po mojej lewej stronie. Widziałam ją po raz pierwszy od mniej więcej roku. W wieku osiemdziesięciu czterech lat wykazywała pierwsze objawy demencji. Zapomniała mojego imienia, choć pamiętała Emerson, a nawet Jenny. Z pewnością była świadoma, że straciła córkę. Przyciskała do ust pomarszczoną dłoń zwiniętą w pięść i bez przerwy potrząsała głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Rozumiałam ją doskonale.

Grace siedziała z prawej strony, dalej Jenny, Emerson i Ted. Nawijała na palec kosmyk długich włosów, jak zawsze, gdy była niespokojna. Chciała zostać w domu.

— Wiem, że jest ci trudno — powiedziałam tego ranka.

Siedziałam na brzegu materaca, ona skryła się w kokonie pościeli. Ulubiony koc w niebieskie i zielone kropki leżał na podłodze. Chętnie bym go złożyła porządnie i umieściła w nogach łóżka.

— Masz świeżo w pamięci pogrzeb taty — podjęłam — ale mimo wszystko trzeba iść, uczcić pamięć Noelle. Kochała cię z całego serca i była dla ciebie bardzo dobra. Pójdziemy na mszę przez wzgląd na jej matkę. Pamiętasz, jak ważni byli dla nas przyjaciele, gdy żegnałyśmy tatę?

Nie odpowiedziała, podłużny wzgórek okryty kołdrą ani drgnął. Przynajmniej słuchała. W każdym razie taką miałam nadzieję.

— Nie dla taty przyszli — ciągnęłam — tylko dla nas. Żebyśmy czuły ich wsparcie i miłość i żebyśmy mogły się dzielić wspomnieniami...

— Dobrze! — Zrzuciła przykrycie z głowy, zerwała się z łóżka, przepchnęła obok mnie. Włosy spadały jej na plecy zmierzwioną grzywą. — Gadasz i gadasz — rzuciła przez ramię.

Nie skomentowałam jej zachowania. Bałam się przeciągnąć strunę.

W czasie mszy zauważyłam, że Grace i Jenny splotły dłonie, siedząc obok siebie w kościelnej ławie. Ucieszyło mnie, że moja córka potrafi dodawać otuchy przyjaciółce. Jenny była jeszcze bledsza niż zazwyczaj. W dodatku straciła już tę odrobinę opalenizny, jaką zyskała przez lato. Skóra Grace tymczasem w dalszym ciągu miała karmelowy odcień. Jenny odziedziczyła po Emerson bardzo jasną karnację, a po Tedzie gęste ciemne włosy, które za— czesywała na bok, tak że niemal zakrywały jej lewe oko. Była śliczna i kochałam ją całym sercem, jednak równocześnie, według mojej subiektywnej oceny, przy Grace po prostu niknęła. Gdy widywałam je razem w szkole, mimowolnie zauważałam, jak reagowali na nie chłopcy. Podchodzili do nich z oczami wlepionymi w Grace... póki nie zaczęła się rozmowa. Wtedy jak ścią-

gani magnezem Ignęli do Jenny, a moja córka, osoba milkliwa, stawała się niewidzialna.

Mimo wszystko Cleve wybrał Grace, nie Jenny. Cleve był przystojny. Miał białą matkę, Suzanne, czarnoskórego ojca, nieziemskie błękitne oczy i uśmiech, na którego widok nawet mnie szybciej biło serce. Mnie! Grace uważała, że spotkała tego jedyne. Jenny w dalszym ciągu chodziła z chłopcem imieniem Devon, więc Grace czuła się tym bardziej samotna. Straciła ojca, straciła chłopaka. Została jej tylko zła matka.

Ian siedział za nami. Od niego dowiedziałyśmy się z Emerson o testamencie Noelle. Wiedział o nim od niedawna, bo znalazł dokument, przeglądając archiwa Sama. Oczywiście wtedy nic mi o nim nie powiedział i z pewnością nie przewidywał, że owa kwestia wypłynie tak szybko. Testament był stosunkowo nowy, spisany zaledwie dwa miesiące przed śmiercią Sama. Byłam szczerze zaskoczona, że Noelle w ogóle spisała ostatnią wolę. Nigdy nie należała do osób szczególnie zorganizowanych. A jeszcze bardziej mnie zdziwiło, że zwróciła się z tym akurat do Sama. Owszem, znała go równie długo jak mnie i chociaż zdarzały się między nimi nieporozumienia, zawsze byli bliskimi przyjaciółmi, treść testamentu jednak musiała w nim wzbudzić mieszane uczucia, więc na pewno czuł się nieswojo, gdy został zapoznany z jej decyzjami.

Na wykonawcę testamentu Noelle wyznaczyła Emerson. Gdy Ian mi to powiedział, poczułam się dotknięta. Mimowolnie. Byłyśmy sobie wszystkie trzy bardzo bliskie. Stanowiłyśmy jedność. Co prawda niekiedy miałam wrażenie, że jestem nieco z boku, ale przekonywałam siebie, iż to tylko moja wyobraźnia. Tymczasem wybór Emerson na wykonawczynię testamentu dowodził mojej racji. Oczywiście nikt nie pragnie tej roli, nikt nie tęskni za nią, nie mogłam się wszakże uwolnić od pytania, dlaczego Noelle nie chciała, byśmy podjęły się tego zadania

we dwie z Emerson. Czy Sam w ogóle zasugerował jej takie rozwiązanie?

Jeszcze bardziej zastanawiający okazał się podział majątku. Żyła skromnie, lecz przez lata zdołała odłożyć nieco ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Emerson miała dopilnować, by przede wszystkim zostały zaspokojone potrzeby matki Noelle. Jeśliby potem zostały jeszcze jakieś pieniądze, należało przeznaczyć je na fundusze powiernicze dla Jenny i Grace, w proporcjach: siedemdziesiąt pięć procent dla Jenny, a dwadzieścia pięć procent dla mojej córki. Co czuł Sam, gdy wyszło na jaw, że Noelle przedkłada córkę Emerson i Teda nad jego własną? Pieniądze nie miały znaczenia. Liczył się ucisk za mostkiem, moja świadomość, że przyjaźń między nami trzema była bardziej koślawą, niż mi się wydawało.

Noelle realizację swojego programu pomocy dzieciom przekazała testamentem Suzanne, pod warunkiem że ta będzie chciała się nim zajmować. Zgodziła się od razu. Siedziała teraz w następnej ławie, razem z Ianem. Lada dzień miała hucznie obchodzić pięćdziesiąte urodziny, czy powinniśmy zrezygnować z przyjęcia? Swego czasu pracowała z Noelle, zapewniając niemedyczne wsparcie przy porodach. Z tamtych lat datowała się ich zażyłość, która przetrwała dwa rozwody Suzanne i dwa jej starcia z nowotworem. Po ostatnim włosy odrosły jej szybko, były kręcone i całkiem siwe. Gdy witałyśmy się przed nabożeństwem, uderzyło mnie, jak zdrowo wygląda. Jej ogromne niebieskie oczy zawsze przywodziły mi na myśl zdumioną dziewczuszkę. Trudno było na nią patrzeć bez uśmiechu. Nawet w dniach, gdy chorowała i wyłysiała po chemioterapii. Oczy miała zniewalające.

Sądziłam, że spotkam na pogrzebie kobiety, którym Noelle pomagała rodzić, jednak zerknąwszy przez ramię, stwierdziłam, że w niewielkim kościółku zajęta była niecała połowa miejsc. Objęłam za ramiona matkę Noelle, nie chciałam, żeby i ona się obejrzała. Lepiej, by



nie widziała, że ludzie, którym jej córka pomagała, nie znaleźli w sobie chęci, by ją pożegnać.

Trudno mi było skupić się na słowach burmistrza. Mówił o próbie wręczenia Noelle nagrody gubernatora za pomoc dzieciom. Nie przyjęła jej. Cała ona. Żadne z nas nie było tym zaskoczone. Zdaniem Noelle niesienie pomocy innym nie było niczym szczególnym.

Matka Noelle zadrżała. Objęłam ją mocniej. Na pogrzebie Sama trzymałam za ramiona Grace. Byłyśmy tamtego dnia jak dwie kłody drzewa. Barki miała sztywne z napięcia, a ja ścisnęłam ją tak mocno, że aż mi ramię ścierpło. Do tego stopnia, że w końcu musiałam je zsunąć z jej barków drugą ręką. Siedziałyśmy wtedy blisko, jedna przy drugiej, pamiętałam dotyk jej ciała. W tej chwili dzieliło nas dobre trzydzieści centymetrów, jakieś pięć na każdy miesiąc po śmierci Sama. Za dużo, by do niej sięgnąć. Teraz nie dałabym rady jej objąć.

Zastanowiłam się, czy Grace, podobnie jak ja, roztrząsała w duchu różne „co by było, gdyby”. Co by było, gdyby Sam wyszedł z domu pięć sekund później? Nadal każdego ranka wszyscy troje wchodzilibyśmy sobie pod nogi w kuchni, odzywając się tylko z rzadka. Nalałyby kawy do ohydneho podróżnego kubka w fioletowe pasy, który dostał od córki na urodziny kilka lat temu. Grace przewracałaby wszystko do góry nogami w poszukiwaniu jakiegoś podręcznika, a ja przywracałabym świat do ładu po nich obojgu. Sam zapomniał o kubku, śpiesząc do drzwi. Zobaczyłam naczynie na blacie, ale uświadomiłam sobie, że on już jest na ulicy. Co by było, gdybym wtedy za nim pobiegła? Czyby mnie zobaczył? Wówczas nie zatrzymałby się na kawę w sieciowym lokaliku Port City Java. Nie przejeżdżałby przez skrzyżowanie Monkey Junction w tej fatalnej chwili. Gdybym go wtedy spróbowała złapać, czy teraz siedziałby koło mnie?

Co by było, gdyby.



Emerson pociągała nosem, ja ścisnęłam w dłoni chusteczkę moką od łez. Przyjaciółka podniosła na mnie wzrok, spróbowała się uśmiechnąć. Chciałam ją objąć, przytulić, lecz rozdzielały nas córki. Obie byłyśmy w fatalnym stanie. Nękały nas ogromne wątpliwości i pytania bez odpowiedzi. Czy mogliśmy zrobić coś, by zmienić bieg wydarzeń? Noelle odebrała sobie życie. To zupełnie co innego niż wypadek samochodowy. Samobójstwu pewnie można było zapobiec, gdyby któraś z nas dostrzegła sygnały. Tylko jakie? Ten akt nie miał żadnego sensu, Noelle zawsze kochała życie. Czyżbyśmy nie dostrzegły pustki w jej duszy? Przed wielu laty zerwała zaręczyny z Ianem, nigdy nie wyszła za mąż. Odebrała niejedną poród, ale sama nie miała dzieci. Wydawała się zadowolona ze swojego losu, choć może robiła dobrą minę do złej gry? Pamiętałam, jak mnie pocieszała po śmierci Sama w tamtą czerwcową noc. Myślałam wtedy tylko o sobie. Co mi umknęło? Czego nie spostrzegłam? Jakiej drobnej, lecz bolesnej rysy?

Znałam Noelle od pierwszego roku college'u, uzbierałam tysiące wspomnień. Najważniejsze dotyczyło nocy, gdy pomogła mi urodzić Grace. Sam niechętnie przystał na poród w domu, a ja, szczerze mówiąc, gdybym miała znaleźć się pod opieką kogokolwiek innego niż Noelle, nie byłabym przekonana do tej koncepcji. Ufałam przyjaciółce całkowicie, Sam natomiast martwił się, że podejmuję niepotrzebne ryzyko. I rzeczywiście, nie wszystko poszło gładko.

Noelle ani na moment nie straciła zimnej krwi. Są tacy ludzie, których sama obecność działa uspokajająco. Powoduje spadek ciśnienia. Zwolnienie oddechu. Pomaga się skoncentrować. Właśnie taka była Noelle. „Zatroszczę się o ciebie”, powiedziała mi tamtej nocy, a ja jej uwierzyłam. Ileż kobiet słyszało owe słowa z jej ust przez te wszystkie lata? Wiedziałam, że były szczerze. Strumień światła z lampy skierowany w moje krocze zapalił w oczach Noelle jaskrawy błękit, a jej nieokiełznane włosy zostały poskromione, odgarnięte z twarzy. Tylko kilka wilgotnych kosmyków przylgnęło do czoła. W sztucznym świetle połyskiwały czerwienią. Prowadzała mnie wokół pokoju zalanego bla-

skiem księżycyca, poiła brandy i niezwykłymi naparami, smakującymi ziemią. Układała mnie w osobliwych pozycjach, a ja, z wielkim brzuchem i na drżących nogach, czułam się jak akrobatka. Poleciała mi stać z jedną nogą na kuchennym stołku, specjalnie przyniesionym do sypialni, i na różne sposoby kołysać biodrami. Jęczałam, krzyczałam, pokładałam się na niej i na swoim zatroskanym mężu. Szczekałam zębami, chociaż w pokoju było bardzo ciepło. Nie panowałam nad własnym ciałem i nienawidziłam tego stanu, lecz nie miałam wyboru. Mogłam jedynie zdać się na Noelle. Gotowa byłam spełnić każde jej polecenie, wypić wszystko, co mi podsunęła. Ufałam jej bardziej niż sobie, a gdy w pewnej chwili wspomniała coś o wezwaniu karetki, pomyślałam tylko: „Skoro ona tak twierdzi, to tak trzeba”.

W końcu jednak nie wezwała pogotowia. Resztę nocy pamiętałam niewyraźnie, przesłoniła mi ją mgła bólu. Ocknęłam się nad ranem. Przy łóżku siedział Sam — rozmazany kontur na tle światła lampy. Jakis czas nie potrafiłam określić, gdzie jestem. Bolało mnie wszystko, byłam kompletnie wyczerpana i pusta.

— Zostałaś mamą — powiedział Sam. Pogładził mnie po policzku.  
— Jesteś wspaniałą, dzielną i najpiękniejszą mamą na świecie.

Nie widziałam jego twarzy, lecz w głosie słyszałam uśmiech.

— Jesteśmy w szpitalu? — spytałam szeptem.

Straciłam głos. Drapało mnie w gardle, w ustach miałam całkiem sucho.

— Nie, kochanie, w domu. Udało wam się. W pewnym momencie Noelle była skłonna wezwać karetkę, ale w końcu udało jej się odwrócić dziecko. — Przygładził mi włosy, przyłożył dłoń do mojego policzka. Pachniała mydłem.

— Pić mi się chce. — Oblizawałam suche wargi. — Jakbym miała w ustach piasek.

— Popiół — zaśmiał się Sam.

Podsunał mi szklanekę, wetknął słomkę między wargi. Pociągnęłam łyk i suchość zaczęła ustępować, drapanie zniknęło.

— Popiół? — powtórzyłam z niedowierzaniem.

Najwyraźniej źle zrozumiałam.

— Zaraz po porodzie zemdlałaś. Noelle obcięła mi kosmyk... — Dotknął włosów nad czołem. — Spaliła go i popiół włożyła ci pod język, żebyś odzyskała przytomność.

Trochę kręciło mi się w głowie.

— Podziałało?

— Najwyraźniej. Nacierpiałaś się, kochanie, ale warto było. Mamy prześliczne maleństwo. Już ją przytulałaś, pamiętasz?

Nagle sobie przypomniałam: płacz przywodzący na myśl miauczenie, miękkie, owinięty flanelą ciężar w ramionach. Pociągnięcie za brodawkę. Wspomnienia jak ze snu. Bardzo chciałam odświeżyć w pamięci każdy, nawet najmniejszy szczegół.

— Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.

Spojrzałam na kołyskę ustawioną pod oknem.

— Noelle zabrała małą do kuchni. Miała coś jeszcze z nią zrobić. Już jej powiedziałem, że odzyskujesz przytomność, ma ją zaraz przynieść. — Raptem pochylił się ku mnie, przytulił twarz do mojej twarzy. — Bałem się, że cię stracę — powiedział. — I ciebie, i małą. Strasznie się bałem. Myślałem, że popełniliśmy koszmarny błąd, decydując się na poród w domu. Na szczęście Noelle... żaden położnik nie poradziłby sobie lepiej. Nigdy nie zdołamy się jej odwdziaczyć. Jest fantastyczna.

Miał gorącą skórę, lepłą od potu. Położyłam dłoń na jego skroni.

— Jak jej damy na imię? — szepnęłam. Tacy byliśmy pewni chłopca, który miał zostać kolejnym Samuelem Vincentem, że nie wybraliśmy imienia dla dziewczynki. Braliśmy pod uwagę Grace, Sarę lub Hannah, ale nie podjęliśmy decyzji. — Może Noelle? — zaproponowałam.

Sam uniósł głowę. Przez moment wydawało mi się, że zobaczyłam na jego twarzy cień wątpliwości, lecz zaraz się uśmiechnął i pokiwał głową.

— Oto ona — oznajmiła Noelle, wchodząc do pokoju. Na rękach trzymała cenne zawiniątko. — Małństwo wraca do mamusi.

Schyliła głowę nad tłumoczkiem, a ja w tym momencie poczułam pragnienie, jakiego dotąd nie znałam. Gdybym mogła wyskoczyć z łóżka i chwycić swoje dziecko w objęcia, z pewnością bym to zrobiła. Tymczasem jedynie wyciągnęłam ramiona i pozwoliłam, by Noelle włożyła w nie mój skarb.

Sam przysunął się do mnie, twarz przy twarzy przyglądaliśmy się córce. Zsunęłam jej z czoła cienką żółtą czapeczkę, odsłoniłam jędrne brązowe włosy. Policzki miała pyzate i różowe, brewki jak rozsmazane blade półksiężycy. Zamrugła, otworzyła oczka i popatrzyła na nas niewidzącym wzrokiem. Miałam wrażenie, że czekała, by nas zobaczyć, równie niecierpliwie jak my, żeby ujrzeć ją.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Sam natomiast przeniósł wzrok na Noelle. Uśmiechnięta siedziała w nogach łóżka.

— Damy jej na imię Noelle — powiedział.

Spojrzałam akurat w porę, by zobaczyć, jak uśmiech schodzi z jej twarzy.

— Nie róbcie tego.

Czy to była prośba, czy przestroga?

— Tak chcemy ją nazwać — potwierdziłam.

Nawet bez szkieł kontaktowych i w półmroku brzasku widziałam gwałtowny rumieniec wypływający na policzki przyjaciółki.

— Bardzo was proszę, nie róbcie tego. Obiecujcie mi, że nie obarczycie dziecka moim imieniem.

— Dobrze — zgodziliśmy się oboje szybko, bo nie chcieliśmy sprawiać jej przykrości.

Nic nie rozumiałam. Czyżby nie znosiła swojego imienia? Zawsze mi się podobało, zarazem silne i liryczne. Ona tymczasem, z niewiadomych przyczyn, nie chciała, byśmy je nadali naszej córce. Dobrze, wobec tego znajdziemy inne imię. Piękne imię dla ślicznej dziewczuszki.

Teraz, siedząc w kościelnej ławie obok córki urodzonej tamtej nocy, wspominałam bliskość, jaka nas łączyła. Fizyczną. Uczuciową. Duchową. Przez pierwsze lata kwitła między nami bez najmniejszych przeszkód. Jakim sposobem przemieniła się w rosnący dystans? Czy wolno mi mieć nadzieję, że kiedyś powróci?

## *Rozdział 6*

*Emerson*

Boże jedyny, czułam się jak żywy trup. Chociaż stypę zorganizowałyśmy u mnie w domu, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Twarze i głosy zlewały mi się w nieczytelną plamę. Chyba wszyscy prócz mnie byli ubrani na czarno. Ja miałam na sobie ulubioną zieloną bluzkę oraz kwiecistą spódnicę w zieleniach i beżach, ostatnio trochę przyciasną w pasie. Rano po prostu wyjęłam te rzeczy z szafy, bez zastanowienia. Zresztą Noelle nie podobałaby się ta cała czerń dookoła.

Jak przez mgłę widziałam, co się dzieje: Jenny i Grace uciekły przed dorosłymi na górę, wynajęta przez Tarę obsługa cateringu sunęła przez pokoje, roznosząc tace z grzankami i krewetkami. Ted miał mnie cały czas na oku. Wiedział, że ledwie się trzymam. Dobrze przynajmniej, że matka Noelle razem z opiekunką wyjechała od razu po nabożeństwie. Chybatym dłużej nie zniosła widoku jej smutku. Tara gładko weszła w rolę osoby podtrzymującej liczne rozmowy o niczym, przez większość czasu jednak miałam ją pod ręką. Ted i Ian, każdy z talerzykiem w ręku, stali w kącie salonu, pewnie dyskutowali o jakichś rozgrywkach sportowych. Jeszcze nie przywykłam do ich widoku tylko we dwóch, bez Sama. A teraz zabrakło Noelle. Mało tego, rano zadzwoniono do mnie z domu opieki, gdzie przebywał mój dziadek, z informacją, że trzeba go przenieść do hospicjum. Traciłam wszystkich po kolei. Świat mi się walił.

Przyszło kilka ochotniczek działających w ramach programu pomocy dzieciom prowadzonego przez Noelle. W zasadzie je znałam, chociaż niezbyt dobrze. Próbowałam z każdym z obecnych zamienić kilka słów, kiwałam głową, uśmiechałam się, podawałam rękę. Wszy-

scy miło wspominali Noelle. Nikt nie zapytał: „Dlaczego się zabiła?”. W każdym razie mnie nikt o to nie zapytał. Pytali kawiarnię, a ja odpowiadałam jak zwykle: „Jest fantastycznie, zjrzyj przy okazji”. Tyle że cudze głosy, podobnie jak mój własny, docierały do mnie stłumione, niczym przez gęstą mgłę. Bez przerwy szukałam wzrokiem jedynej osoby, której brakowało: Noelle. Gdy przyłapałam się na tych poszukiwaniach, gwałtownie wróciłam do rzeczywistości. Najwyraźniej zaczynałam tracić zmysły.

Mniej więcej po godzinie — ciągnącej się jak co najmniej trzy — Tara uwolniła mnie od towarzystwa jakiejś kobiety zafascynowanej robotnictwem na drutach ubranek dla dzieci.

— Przerwa — szepnęła mi w ucho.

Pozwoliłam się zaprowadzić do ciepłarni. Dobudowaliśmy ją w zeszłym roku. Tara objęła mnie za ramiona

posadziła na sofie, po czym opadła na otomanę stojącą naprzeciwko. Głosy z salonu docierały do nas w postaci niewyraźnego pomruku. Stłumione przez drzwi, wydawały się cudownie odległe. Podniosłam wzrok na Tarę.

— Dziękuję — powiedziałam. — Mało brakowało, a bym się załamała.

— Rzeczywiście, nie jest łatwo.

— Ciągle się rozglądam za Noelle — powiedziałam. — Kompletnie wariactwo. — Skrzywiłam się niemiłosiernie.

— Mówię poważnie. Cały czas się spodziewam zobaczyć ją w progu.

— Ja też — przyznała Tara. — Momentami nawet mi się wydaje, że widzę Sama. Któregoś dnia byłam przekonana, że mignął mi w spo-



żywym. A kiedyś zobaczyłam go za kierownicą na Water Street... o mało za nim nie zawróciłam.

— Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie przyszli na mszę — powiedziałam. — Naprawdę sądziłam, że... że przyjdą wszystkie kobiety, którym pomagała rodzić... — Pokręciłam głową. — Przecież coś je z nią łączyło. Były sobie bliskie. Myślałam, że wszystkie się zjawia.

— Rzeczywiście. — Tara pogładziła mnie po dłoni bezwładnie spoczywającej na udzie. — Ja też się ich spodziewałam. Może nie widziały nekrologu?

Tara ułożyła treść, i zrobiła to naprawdę dobrze. Co prawda nie ustrzegła się szczypty egzaltacji, lecz taka już była.

— Powinny wiedzieć, niezależnie od nekrologu — oświadczyłam.

— Pewnie były zajęte przy dzieciach.

Uderzyłam pięścią w nogę.

— Nie rozumiem, dlaczego się zabiła! — Powtarzałam się niczym zarysowana płyta. — Co przegapiłyśmy? Czego nie zauważyłam? W czym ją zawiodłyśmy?

Tara pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia. — Potarła czoło. — Chyba nie chodziło o kłopoty finansowe? Przecież miała pieniądze.

— A poza tym w ogóle jej one nie obchodziły — dorzuciłam. — Obie wiemy o tym doskonale.

— Ciągle podejrzewam, że była chora. Nie miała ubezpieczenia i może w tej sytuacji samobójstwo wydało jej się jedynym wyjściem. Czy są już wyniki sekcji?



— Jeszcze nie. Ale nie wydaje mi się, żeby była chora. Nie przypuszczam. Na pewno sekcja wykaże dużą ilość środków nasennych i uspokajających w organizmie.

Tara osunęła się na oparcie.

— Nie umiała prosić o pomoc.

— I nie okazywała słabości — dodałam. — Zawsze musiała być najsilniejsza.

Ktoś uchylił drzwi cieplarni, przez szparę zajrzała jakaś kobieta.

— Czy któraś z pań ma na imię Emerson?

— Ja.

Chciałam wstać, jednak ciało nie zamierzało mnie słuchać, więc zostałam, przyrośnięta do sofy.

Kobieta wmaszerowała do wnętrza niczym sierżant służbista — energiczna, kanciasta w ruchach, ekspansywna. Wyciągnęła do mnie rękę. Przyznaję, nie drgnęłam. Czułam się przy niej jak balon w rękach dziecka ze szpilką.

— Nazywam się Gloria Massey — obwieściła.

Była po sześćdziesiątce, miała krótko przycięte siwe włosy, spodnie khaki i granatowy blezer.

Tara wstała, podała jej rękę i zaprosiła gestem na otomanę. Tamta usiadła, celując we mnie kościstymi kolanami.

Gloria Massey. Coś dzwoniło, ale nie wiedziałam, w którym kościele. Zerknęłam na Tarę, ściągnęłam brwi.

Zorientowałam się, że przyjaciółka także nie wie kto to taki. Obie miałyśmy w głowie sieczkę.

Przybyła najwyraźniej zorientowała się w sytuacji.

— Jestem lekarzem położnikiem w Centrum Położnictwa w Forest Glen — wyjaśniła. — Noelle pracowała u nas jako położna.

— A, tak, — Wskazałam Tarę. — To jest Tara Vincent. Byłyśmy najbliższymi przyjaciółkami Noelle.

— Tak, pamiętam. Studiowałyście razem. University of North Carolina, prawda?

— Była trochę wyżej od nas — uściśliła Tara.

— Przykro mi, że dotarłam tak późno — powiedziała Gloria. — Rano musiałam poczekać na dostawę i dlatego nie zdążyłam na mszę, ale bardzo mi zależało na spotkaniu z wami dwiema. Chciałam wam złożyć najserdeczniejsze kondolencje z powodu śmierci Noelle. Była wyjątkową osobą.

— Dziękujemy — wydukałam.

— Nie widziałam jej... pewnie już z dziesięć lat, jednak takiego człowieka się nie zapomina.

Dziesięć lat?

— Chyba z kimś panią pomyliłam — wyznałam zaskoczona. — Sądziłam, że Noelle zrezygnowała z pracy w Centrum Położnictwa nieco ponad rok temu.

Gloria Massey uniosła brwi.

— Ależ skąd. Szczerze powiedziawszy, zdziwił mnie nekrolog, bo wynikało z niego, że dwa lata temu Noelle jeszcze była u nas zatrudniona, a w rzeczywistości od jej odejścia minęło co najmniej dziesięć lat. Może nawet dwanaście, musiałabym chwilę pomyśleć. W każdym razie mniej więcej w tym czasie zaczęła rozkręcać swój projekt „Dzieci w potrzebie”.

Ściągnęłam brwi, szperając w pamięci.

— Byłam przekonana — odezwałam się w końcu — że cały czas dla was pracowała. — Spojrzałam na Tarę. — Czy jestem aż tak nieprzytomna? Nie była związana z Forest Glen tak długo, jak długo wykonywała swój zawód?

— Nie dalej niż dwa lata temu posłałam tam do niej kobietę szukającą położnej.

— Prawdą jest — zgodziła się Gloria — że od czasu do czasu ktoś jej u nas szukał, ale kierowaliśmy takie osoby do innych położnych.

— W takim razie gdzie Noelle pracowała? — spytałam ze zdziwieniem. — Nic nie rozumiem.

— Sądziłam... — Gloria przeniosła spojrzenie na Tarę. — Byłam całkowicie przekonana, że odchodząc od nas, zrezygnowała z wykonywania zawodu. Wiedziałabym, gdyby podjęła praktykę gdzie indziej.

Patrzyłyśmy na nią, nic nie rozumiejąc. Miałam wrażenie, że osuwam się w długi, ciemny tunel. Miałam serdecznie dosyć tajemnic związanych z Noelle. Głowa mnie bolała, nie mogłam myśleć. Najchętniej wrzasnęłabym na cały głos: „Noelle nie była tajemnicza! Dosyć tych pozornych sekretów!”.

— Może z jakichś względów — odezwała się Gloria — nie chciała wam zdradzać, że zmieniła miejsce pracy?

Zdecydowanymi ruchami, przywodzącymi na myśl robota, Gloria wyjęła z torebki przewieszanej przez ramię telefon komórkowy.

— Chwileczkę. — Szybko wybrała numer. — Laurie, to ja — rzuciła w słuchawkę. — Pamiętasz może, kiedy odeszła od nas Noelle? — Pokiwała głową, podniosła na mnie wzrok.

— Pierwszego grudnia będzie dwanaście lat — przekazała. — Laurie pracuje u nas w biurze. Mówi, że dokładnie pamięta datę, bo tego samego dnia jej mąż zażądał rozwodu. Do rozwodu nie doszło i

wszystko się jakoś ułożyło, prawda? — powiedziała w słuchawkę z uśmiechem.

Usiłowałam się oswoić z niezrozumiałą informacją.

— Dokąd się przeniosła? — spytała Tara.

— Czy wiesz — spytała Gloria koleżankę — dokąd przeszła? — Znowu pokiwała głową. — Hm. Tak myślałam. Dzięki. Zajrzę później. — Wrzuciła telefon do torebki. — Po odejściu od nas Noelle nie odnawiała certyfikatu. Dopuściła do jego wygaśnięcia.

— Co takiego? — zdumiałam się. — Niemożliwe!

— To kompletnie bez sensu. — Tara opadła obok mnie na sofę.

— Może Laurie pomyliła ją z jakąś inną waszą położną? — podsunęłam.

Gloria pokręciła głową.

— Nie przypuszczam. — Spojrzała mi prosto w oczy, miałam wrażenie, że słyszę jej krytyczne myśli. Jaka byłam przyjaciółką, skoro tak mało wiedziałam o Noelle?

— Pamiętam, jak się o tym mówiło w firmie. Wszyscy wiedzieli, że chce się skupić na programie pomocy dzieciom. Cierpiała na bóle pleców. To też dobrze pamiętam. Dostała propozycję zatrudnienia z jednego z konkurencyjnych ośrodków, lecz odpowiedziała, że wycofuje się z zawodu.

— A przecież cały czas pomagała przy porodach! — wyrwało mi się.

— Cały czas! — poparła mnie Tara. — Bez żadnej przerwy praktykowała jako położna.

— Naprawdę? — Gloria spojrzała na nas z ukosa. — Pod czyim nadzorem?

Spojrzałam na Tarę, ona pokręciła głową.

— Nie wiem — powiedziała.

— Czasami wspominała, że była u pacjentki. — Starannie dobierałam słowa, nagle nie do końca pewna, co właściwie mówię. W zasadzie pozbawiona wszelkiej pewności. Czy rzeczywiście mi to mówiła? Przycisnęłam dłonie do skroni. — Dwanaście lat? Bez sensu.

O ile mi było wiadomo, Noelle miała przez ostatnie dwanaście lat trzy pasje: pracę w roli położnej, program pomocy dzieciom oraz to, co nazywała pracą w terenie. Co dwa lata spędzała kilka miesięcy w jakichś zubożałych wiejskich zakątkach, pomagając przy porodach. Pochodziła z takiej okolicy i w ten sposób wyrażała swoje przywiązanie do korzeni. Czyżbyśmy przez dwanaście lat nie miały pojęcia, co właściwie się z nią dzieje?

— Jestem pewna, że wspominała o pacjentkach — potwierdziła Tara.

Wobec tego, jeśli zwariowałam, to przynajmniej nie samotnie.

— Bardzo przepraszam — zreflektowała się Gloria. — Zderwowałam was, a absolutnie nie po to przyszłam. — Pochyliła się, uściskała mnie szybko i bezdusznie, tak samo potraktowała Tarę. — Muszę uciekać — oznajmiła. — Jeszcze raz proszę: przyjmijcie moje kondolencje. Śmierć Noelle jest ogromną stratą.

Wyszła, a Tara i ja zostałyśmy kompletnie skołowane. Utkwiłam niewidzące spojrzenie w drzwiach cieplarni.

W końcu Tara otrząsnęła się z osłupienia. Pogładziła mnie po plecach.

— Istnieje pewne wytłumaczenie — powiedziała.

— Aha, wiem — przytaknęłam. — Wiem, znam je i choć bardzo nie chcę, będziemy musiały je zaakceptować.

— Nie rozumiem.

— Wyjaśnienie jest takie, że w ogóle nie znałyśmy Noelle. — Popatrzyłam na Tarę, nagle oprzytomniała. — Musimy się dowiedzieć, dlaczego umarła. Koniecznie musimy poznać ją teraz.

TLR

# *Rozdział 7*

*Noelle*

*Hrabstwo Robeson, Karolina Północna*

*1984*

Matka stała pośrodku salonu, przeskakując z miejsca na miejsce spojrzeniem pełnym obaw.

— Nie chcę cię zostawiać z tym całym bałaganem — powiedziała. — Trudno o gorszą chwilę.

— Przesadzasz, mamó — odparła Noelle i podprowadziła matkę w stronę drzwi. — Wszystko będzie dobrze.

Matka spojrzała przez otwarte drzwi wejściowe na dwa samochody zaparkowane na podjeździe. Jej stary ford stał tuż obok „nowego” auta Noelle — zardzewiałego i wyblakłego chevy, kupionego za sześćset dolarów. Zanosiło się na burzę, gorący wiatr szarpał wierzchołki drzew.

— Wszystko się tak szybko zmienia — powiedziała matka.

— Na lepsze. — Noelle pchnęła ją lekko ku drzwiom. — Poza tym i tak nigdy nie lubiłaś tego domu.

— Co prawda, to prawda! — zaśmiała się matka. Pogładziła córkę po policzku. — Przykro mi, że nie będziemy razem. Z tą zmianą trudno mi się pogodzić.

— Ja też będę za tobą tęskniła.

Mówiła prawdę. Z drugiej strony, wzywała ją przyszłość, świat stał przed nią otworem, i to wystarczało, by wynagrodzić rozstanie z matką oraz wyprowadzkę z domu, w którym wyrosła.

— Przyjadę do ciebie pojutrze — przypomniała matce. — Nie rozstajemy się na zawsze.

Samochód matki, przygotowany na krótką podróż do New Bern, został załadowany po sam dach, a i tak nie wszystko pomieścił, dlatego Noelle przyrzekła za kilka dni przywieźć resztę rzeczy. Następnie miała wrócić do domu po swoje bagaże i przenieść się do szkoły w Wilmington.

— Pamiętaj, u panny Wilson jest dla ciebie wolny pokój na wakacje.

— Pamiętam.

Noelle nie miała pewności, czy będzie chciała mieszkać u kogoś obcego, nawet z matką. Panna Wilson była osobą starszą, siostrą jednej z przyjaciółek matki. Złamała biodro, więc potrzebowała opieki. Wynajęła matkę Noelle. A skoro Noelle mieszkała w akademiku w ramach stypendium, nadszedł czas, by sprzedać dom. Zrobiły to nieomal od ręki, ponieważ szybko znalazła się para młodych ludzi z Raleigh, którzy szukali domu na wsi. Wszystko zmieniało się w zawrotnym tempie. Meble rozdały, ale i tak pozostało mnóstwo pracy.

— Kocham cię, córeńko.

Matka uścisnęła Noelle, po czym odsunęła się od niej i przygładziła niesforne włosy.

— Ja też cię kocham.

Noelle pociągnęła ją do wyjścia.

— Jedź ostrożnie.



— Ty też.

Z ramionami założonymi na piersi odprowadziła wzrokiem samochód matki, chrzęszczący oponami na zwirowanym podjeździe, aż wyjechał na drogę gruntową i zniknął za zakrętem. W oczach wezbrały jej łzy. Matka miała już pięćdziesiąt osiem lat. Była energiczna, zaradna, pełna życia. Mimo to pięćdziesiąty ósmy rok życia równał się w pojęciu Noelle zgrzybiałej starości, więc się o matkę martwiła. Ojciec zmarł dwa lata wcześniej, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Dowiedziała się o tym z bezdusznego listu Doreen. Przyszedł nieomal miesiąc po śmierci ojca, wraz z czekiem na czterysta dolarów, wystawionym na Noelle. „Nie zostawił testamentu — napisała Doreen — ale sądzę, że Noelle powinna otrzymać część jego majątku”. Ależ majątek! Śmiały się z matką z tego określenia przez długi czas. Był to śmiech zrodzony z bólu i zawodu. Tymczasem jednak dzięki czterystu dolarom udało się kupić samochód, który otrzymał imię Brumcio. Noelle miała nadzieję, że dogada się z nim lepiej niż z ojcem.

Poza spakowanymi rzeczami Noelle oraz pudłami, które miała zawieźć do pani Wilson, w domu został jedynie stary fotel. James musiał pożyczyć większy samochód, żeby go do siebie zabrać. Od tamtej nocy, gdy urodziło się dziecko Bei, James pomagał im przy domu, choćby kosząc trawnik. Początkowo robił to z wdzięczności, potem za kilka dolarów, bo matka Noelle nalegała, by mu płacić. Cała rodzina okazała się zaskakująca. Po pierwsze, wyszło na jaw, że James w rzeczywistości nie jest bratem Bei, lecz jej chłopakiem, a także ojcem dziecka, które wydała na świat tamtej nocy. Dziecko miało już pięć lat i dwóch młodszych braci. Obaj zostali sprowadzeni na świat przez matkę Noelle, której pomagała córka. Matka Noelle starała się przekonać Beę i Jamesa do stosowania środków kontroli nrodzin, wszelkie sugestie jednak przypominały rzucanie grochem o ścianę. Bea polubiła rolę matki i uwielbiała dzieci.

Noelle akurat przenosiła kartony do samochodu, gdy zjawił się James z półciężarówką.

— Dzień dobry — przywitał się grzecznie, wyskakując z szoferki.  
— Mama już pojechała?

— Przed godziną.

Noelle dźwignęła kolejne pudło i wcisnęła je do bagażnika.

— Co my bez niej zrobimy? — zasepił się James.

— Lepiej nie mieć już więcej dzieci.

Uśmiechnął się szeroko. Wyrósł na przystojnego mężczyznę i miał zniewalający uśmiech, zmuszający do takiej samej reakcji.

— Na to już za późno.

Noelle wsparła ręce na biodrach.

— Następne w drodze? Co wy zrobicie z tymi wszystkimi dziećmi?

James wzruszył ramionami.

— Będziemy je kochali.

„Ludzie mają prawo decydować o swoim życiu”, oświadczyła matka, gdy ostatnim razem Noelle doniosła jej o ciąży Bei.

— Pomogę ci załadować fotel — zaofiarowała się Noelle.

Nieomal pół godziny minęło, nim precyzyjnie fotel przez wąskie drzwi, przenieśli przez targane wiatrem podwórko i wreszcie umieścili w półciężarówce. Potem James pomógł Noelle zapakować resztę kartonów.

Właśnie szła po kolejne pudło, gdy kątem oka dostrzegła, że James upuścił jeden z pakunków na trawę. Odkoczył, ręce wyrzucił wysoko w powietrze.

— O rany! — Trącił paczkę czubkiem buta. — Gdzie to stało? Całe w pajęczynach.

Noelle wcześniej nie zwróciła na to uwagi, lecz James miał rację. Powierzchnię kartonu pokrywały pajęczyny, z rogów zwisały kokony.

— Zostaw to na razie — zdecydowała. — Pewnie nic żywego się tam nie ostało, ale nie chcę brać takich brudów do domu panny Wilson. Zaraz wszystko wyczyszczę, tylko znajdę ściereczkę.

— Masz taśmę? — Przykucnął obok pudła. — Sprawdzę, czy się tam w środku nic nie zaległo.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Znalezienie jakiegokolwiek szmatki w wysprzątanej kuchni okazało się niewykonalne. W końcu Noelle wyciągnęła ze swojej walizki ściereczkę do naczyń. Zwilżyła ją pod kranem i wróciła na podwórze.

James stał bez ruchu, patrzył na nią uważnie. W dłoniach trzymał brązową kopertę.

— Jesteś adoptowana?

Zmartwiała. Skąd wiedział? Sama dowiedziała się o tym stosunkowo niedawno, w noc, gdy Bea urodziła pierwsze dziecko, a matka wreszcie postanowiła wyjawić prawdę. Siadły wtedy we dwie na hamaku za domem. Matka zaczęła od przeprosin, że nie powiedziała prawdy wcześniej.

— Powinnaś wiedzieć o tym od dawna, ale bardzo chciałam uniknąć choćby najslabszego skojarzenia z odejściem twojego ojca.

Noelle siedziała kompletnie oszołomiona. Otworzyła się w niej ogromna pustka.

— Kto jest moją matką? — spytała w końcu. — Kim są moi prawdziwi rodzice?

— Swoich prawdziwych rodziców doskonale znasz — odparła matka zdecydowanie. — Twoją biologiczną matką była piętnastoletnia dziewczyna. Taka jak Bea. Jeśli chodzi o ojca... — Wzruszyła ramionami. — Tego, zdaje się, nikt nie wie.

— Nie jestem twoją córką — rzekła Noelle, zdumiona sensem tych słów.

— Jesteś moją córką, kochanie. Nigdy więcej tak nie mów.

— Nie mam indiańskich przodków?

Magia nagle się ulotniła. Długie pasma mchu zwisające nad hamakiem już nie przypominały włosów żony indiańskiego wodza.

— Trudno powiedzieć. Moim zdaniem, masz cechy różnych ras. — Matka ujęła jej rękę i położyła sobie na kolanach. — Z całą pewnością jesteś najważniejszym wątkiem mojego życia.

Tak wyglądała tamta rozmowa.

Noelle podniosła oczy na Jamesa.

— Tak, zostałam adoptowana — rzuciła lekkim tonem, jakby ten fakt nic dla niej nie znaczył. — Skąd ty o tym wiesz?

Podał jej kopertę.

— Dokumenty się wysunęły. Mnie tam nic do tego, ale dla ciebie pewnie są ważne.

Jego ciepłe brązowe oczy zdradzały, że dostrzegł coś, czego widzieć nie powinien. Czego i ona nie powinna zobaczyć. Podając kopertę, dotknął jej dłoni. Nie jak mężczyzna dotykający kobietę, lecz jak przyjaciel, który wie, że dokumenty ukryte w kopercie mogą nieodwracalnie zmienić jej życie.

# *Rozdział 8*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Dobry Boże, czułam się przedziwnie.

Siedziałam przy kawiarnianym stoliku w Pilot House, naprzeciwko Iana, i zachodziłam w głowę: randka to czy nie randka. Wczoraj, gdy wspomniał, że ma dwa bilety na film w Thalian Hall, rzecz wyglądała całkiem niewinnie. Potem zasugerował, byśmy przed seansem coś prze— , kąsili, a kiedy się idzie na kolację w knajpce na nabrzeżu i w perspektywie ma się seans filmowy w miejscu tak przyjemnym, jak odnowiony Thalian Hall, to już jednak jest randka. Lubiłam Iana. Znałam go od zawsze i w pewnym sensie darzyłam uwielbieniem, lecz mimo wszystko nie chciałam się z nim umawiać na randkę. W ogóle z nikim nie chciałam się umawiać na żadne randki. Myśl o tym, że ktoś inny niż Sam mógłby mnie pocałować... choćby wziąć za rękę, sprawiała mnie o dreszcze, i to wcale nie z pożądania. Była odpychająca. Sama w małżeńskim łóżu czułam się bardzo, bardzo samotna, tyle że nie tęskniłam za jakimkolwiek mężczyzną, lecz za mężem.

— Czy myśmy się umówili na randkę? — zapytałam Iana, gdy kelner po raz drugi napełnił mi kieliszek winem.

— Decyzja należy do ciebie — zaśmiał się Ian.

— Jak ty to widziałeś? Jak widzisz?

Miałam uśmiech na ustach. Z Ianem zawsze rozmawiało się swobodnie. I dobrze, bo znacznie bardziej niż kochanek potrzebny mi był przyjaciel.

— Chciałem zobaczyć twój uśmiech — odparł. — Taki jak teraz.

W chwili gdy to powiedział, uśmiech spełził mi z warg. Musiałam z Ianem omówić pewną sprawę. Zamierzałam poczekać z tym do jutra, żebyśmy dzisiaj mogli oboje wypocząć i oderwać się trochę od ostatnich zdarzeń. Nagle jednak zdałam sobie sprawę, że nie zdołam przemilczeć tematu.

Tamtego popołudnia po szkole pojechałam do domu Noelle, pomóc w sprzątaniu. Emerson czekała na ganku. Chwyciła mnie za rękę i posadziła na ławce. Twarz miała poczerwieniałą i błyszczącą od potu, najwyraźniej się napracowała. Widoczne napięcie nie było jednak spowodowane wysiłkiem fizycznym.

— Znam wyniki sekcji — oznajmiła. — Nie do uwierzenia. — Noelle była śmiertelnie chora? — spytałam.

Bardzo tego chciałam. Gdyby Noelle zapadła na nieuleczalną chorobę, pogodziłabym się z jej wyborem. Woląла sobie odebrać życie, niż uwikłać którąś z nas w długi proces jej umierania.

Tymczasem prawda okazała się inna. Teraz, siedząc przy stoliku, podniosłam wzrok na Iana.

— Noelle miała dziecko — powiedziałam.

Chwilę patrzył na mnie bez słowa, po czym się roześmiał.

— Co ty mówisz?

— Emerson otrzymała dzisiaj wyniki sekcji. Przyczyną śmierci było, tak jak się spodziewaliśmy, przedawkowanie leków, ale badanie wykazało również, że Noelle była kiedyś w ciąży i urodziła dziecko.

Ian spoważniał.

— Kiedy?

— Nie wiem. — Przygryzłam wargi. Trudno, musiałam spytać. — Czy możliwe, żeby to było twoje dziecko?

Wydawał się zaskoczony pytaniem. Z pewnością oboje wróciliśmy pamięcią do zerwania jego zaręczyn z Noelle. Czy istniało między tymi dwoma faktami jakieś powiązanie?

— Nie bardzo rozumiem... — odezwał się w końcu. — Przecież bym zauważył... wszyscy byśmy zauważyli, gdyby była w ciąży. Zwłaszcza w zaawansowanej, skoro urodziła.

— Wobec tego pewnie zdarzyło się to, gdy była nastolatką — uznałam. — Zanim się poznałyśmy. Doszłyśmy z Emerson do wniosku, że oddała dziecko do adopcji. Może przez cały czas nosiła w sobie smutek po tym rozstaniu, a nikt z nas niczego się nie domyślał.

— Kto wie, co się stało? — zastanowił się Ian. — Może masz rację. A może dziecko umarło? Pewnie nigdy się nie dowiemy. Swoją drogą... Sądziłem, że ją znam. Byliśmy razem... Dlaczego mi o niczym nie powiedziała?

— Dlaczego nie powiedziała żadnej z nas? — dodałam. — Swoim najlepszym przyjaciółkom... — Opuściłam wzrok na talerz, gdzie została resztką flądry. Straciłam apetyt. — Zresztą to akurat raczej nie miało nic wspólnego z powodem jej samobójstwa.

— Chyba że cały czas nosiła cierń w sercu.

Wyglądał żałośnie.

— Przepraszam, nie powinnam była teraz poruszać tego tematu. Powinnam była siedzieć cicho.

— Nie, nie, dobrze zrobiłaś.



Włożyłam do ust kawałek ryby. Smakowała jak papier. Byłam zmęczona. Spakowałyśmy z Emerson kuchenne naczynia Noelle, pokładaliśmy wszystko w kartony, które Ted miał zabrać do schroniska dla kobiet. Nie było tego wiele. Noelle wyraźnie o to zadbała. Nigdy nie należała do ludzi chętnie gromadzących przedmioty, jednak ze zdziwieniem stwierdziłam, że szafki kuchenne miała prawie puste. Załedwie kilka talerzy, parę szklanek, kubków i miseczek. Żadnych luksusów, żadnych ekstrawagancji. Podobnie wyglądały szafa i toaletka, w obu znajdowały się wyłącznie rzeczy niezbędne. Trudno mi było patrzeć na jej ulubione długie spódnice i luźne bluzki z miękkiej bawełny, wiedząc, że już nigdy ich nie włoży. Większość miejsca w domu zajmowały czarne worki na śmiecie, wypchane rzeczami dla dzieci. Ted z Emerson przenieśli je wszystkie do samochodu, by zawieźć do naszego domu, gdzie Grace i Jenny miały posegregować zawartość i przekazać Suzanne.

Gdy usłyszałam od Grace, że zamierza, zgodnie z życzeniem Noelle, włączyć się w program pomocy dzieciom, nie wierzyłam własnym uszom. Dostała starą maszynę do szycia należącą do Noelle, Emerson pokazała jej, jak obrębiać kocyki, które następnie trafiały do wyprawek przeznaczonych dla niemowląt chorych lub z ubogich rodzin. W chwili gdy się dowiedziałam o decyzji córki, odruchowo przyłożyłam rękę do jej czoła, jakbym sprawdzała, czy ma gorączkę.

— Dobrze się czujesz? — spytałam.

Fatalne posunięcie.

Gwałtownie usunęła się spod mojej ręki.

— Tak. Daruj sobie to przedstawienie.

Wątpiłam, by zamierzała dostarczać wyprawki do szpitali. Od wypadku Sama miała coś w rodzaju fobii. Powiedziała mi któregoś razu, że gdybym potrzebowała hospitalizacji, nie przyjdzie mnie odwiedzić. Nie odwiedziłaby w szpitalu nawet Cleve'a. Oznajmiła to jasno i wy-



rażnie. Winiłam za to siebie. Gdy po wypadku Sama dotarliśmy na pogotowie, gnana paniką wtargnęłam do pokoju, nie bacząc na nic, a tuż za mną biegła Grace. Jeszcze dzisiaj wzdrygam się na wspomnienie twarzy męża, poranionej i zakrwawionej. Grace wtedy zemdląła, padła na ziemię jak ścięta.

— I jak? — odezwał się Ian. Znalazłyście u Noelle coś... szczególnego?

— Nic. Chociaż Emerson szukała bardzo dokładnie. Jest przekonana, że znajdziemy coś, co nam wyjaśni, dlaczego Noelle odebrała sobie życie, co się stało z jej dzieckiem i dlaczego wprowadziła nas w błąd, jeśli chodzi o praktykę położniczą.

Słowa „Noelle” i „położna” przystawały do siebie jak „mleko” i „płatki”. W moim pojęciu określenie zawodu definiowało przyjaciółkę. Zresztą nie tylko w moim. Przecież w ciągu ostatnich dziesięciu lat z pewnością niejedną raz któreś z nas przedstawiało ją jako położną, a ona nigdy tego nie prostowała. Dziwne, bardzo dziwne.

Ian postukał palcami w nóżkę pustego kieliszka.

— Noelle... — Pokręcił głową. — Czasami nie sposób było odgadnąć, co się z nią dzieje.

Współczułam mu serdecznie. Kiedyś był w niej zakochany po uszy.

— Wyobrażam sobie, jak ciężko ci było po zerwaniu zaręczyn.

— Nie da się tego wyrazić. — Gestem odsunął na bok wszelkie komentarze. — Dawne czasy. Inne życie.

— Mimo wszystko nie przypominam sobie, żebyś był wtedy zły. A przecież chyba większość mężczyzn nie opanowałaby gniewu i zawodu.

— Silniejsza od złości była obawa o Noelle. — Poprawił się na krześle i uśmiechnął. — Zmieńmy temat na jakiś lżejszy. Nie mówmy już dzisiaj o Noelle, o Samie ani o niczym smutnym.

— Zgoda — przystałam na to z ochotą.

— Wobec tego powiedz mi... — Przekroił na pół soczystego przegrzebka. — Kiedy ostatnio oglądałaś jakiś film w kinie, a nie w domu?

Prześledziłam w myślach ostatnie miesiące, po czym zmarszczyłam nos.

— Nie byłam w kinie od śmierci Sama.

Ian się zaśmiał.

— Spróbuję jeszcze raz. — Utkwił spojrzenie w suficie, szukając tam bezpiecznego tematu. Nagle oczy mu rozblęły. — Będę miał psa — oznajmił.

— Żartujesz! — Naszego Twittera kochał od zawsze, to prawda, jakoś jednak nie umiałam go sobie wyobrazić jako właściciela. — Weźmiesz szczeniaka czy starszego? Czy może...

— Szczeniaka. Nie miałem psa od dzieciństwa. Będę przez jakiś czas więcej pracował w domu.

— Doskonała myśl — przyznałam. — A nie wziąłbyś dwóch? Byłoby im różniej pod twoją nieo...

— Tara?

Podniósłszy głowę, zobaczyłam jakąś starszą kobietę zmierzającą w stronę naszego stolika. Tak byłam pochłonięta szczeniakiem dla Iana, że rozpoznałam ją dopiero po chwili.

— Barbaro! — Wstałam i ją uścisnęłam. — Miło mi cię widzieć.

Ostatnim razem spotkałam Barbarę Read przed dwoma laty, na przyjęciu zorganizowanym z okazji jej przejścia na emeryturę.

Ian także wstał.

— Pewnie znasz Barbarę Read? Uczyła matematyki w gimnazjum.

— Siadajcie — poprosiła Barbara z uśmiechem.

Wyglądała fantastycznie. Miedziane, króciutko przycięte włosy podkreślały gładką cerę. Emerytura zdecydowanie jej służyła.

— Cieszę się — powiedziała — że widzę cię w dobrej formie. Byłam wstrząśnięta wiadomością o śmierci Sama. Wyobrażam sobie, że Grace także przeżyła ciężkie chwile. Współczuję wam obydwu.

— Dziękuję. — Ruchem głowy wskazałam Iana. — Sam i Ian wspólnie prowadzili kancelarię.

Czułam potrzebę wytłumaczenia jej, dlaczego w towarzystwie mężczyzny popijam w restauracji wino zaledwie pół roku po stracie męża. Na ustach Iana zaigrał krzywy uśmieszek. Najwyraźniej nie zgadzał się z moim poczuciem winy.

Tymczasem Barbara jakby mnie nie słyszała.

— A teraz dopiero co dowiedziałam się o Noelle Downie. Boże słodki, co za tragedia!

— Rzeczywiście — przyznałam.

— Wiem, że byliście sobie bliskie. Noelle miała wielkie serce. Nie dalej jak w zeszłym roku widziałam ją z Samem w South Beach Grill. Dwa razy. Pamiętam, prosiłam, żeby cię pozdrowili. A teraz oboje nie żyją.

Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam.

— Spotkałaś ich w Wrightsville Beach?

— Tak, tak. Dokładnie w South Beach Grill. Uwielbiam tę restaurację. Przeurocza, prawda? Często zaglądam tam na lunch. Poza sezonem, oczywiście. Latem nawet nie zbliżam się do plaży.

— Kiedy ich spotkałaś? — Nie chciałam wyjść na zaniepokojoną albo, co gorsza, zazdrosną, sytuacja jednak wydawała mi się bardzo dziwna. Noelle i Sam byli przyjaciółmi, lecz nie tego rodzaju, by umawiać się na lunch we dwoje.

— Niech no się zastanowię... — Barbara przeniosła spojrzenie na rzekę za oknem i w zamyśleniu kilka razy stuknęła palcem wskazującym w brodę. — To chyba była wiosna. Może kwiecień?

— Sam zmarł na początku marca. — Wzbierało we mnie zniecierpliwienie.

Zerknęłam na Iana. Jego czoło przecinała głęboka pionowa zmarszczka.

— Hm... Wobec tego może to było pod koniec zimy... albo nawet jesienią? Człowiek na emeryturze traci poczucie czasu, sami się przekonacie. Widziałam ich dwukrotnie, tyle wiem na pewno. Za jednym i drugim razem rozmawiałam z Samem. Nie znałam Noelle osobiście, ale przecież wszyscy wiedzą, kim jest. To znaczy, kim była. Pewnie Sam został prawnikiem w tym jej programie pomocy dzieciom.

— Prawdopodobnie — zgodził się Ian.

Spojrzał na mnie znacząco. Prosił, bym się uwolniła od Barbary jak najszybciej.

— Musimy się zbierać — powiedziałam. — Idziemy do kina.

— Na mnie też już czas. — Obejrzała się w kierunku, z którego przyszła. — Mąż pewnie sądzi, że zablądziłam w damskiej toalecie. — Lekko ścisnęła mnie za przedramię.

— Cieszę się, że cię zobaczyłam, kochanie. Miło było cię poznać, Ianie. Życzę wam miłego wieczoru.

Zostaliśmy z Ianem we dwoje. Patrzyliśmy na siebie bez słowa, póki nie nabraliśmy pewności, że Barbara nas już nie usłyszy.

— Czy program pomocy dzieciom wymaga zaangażowania prawnika? — spytałam.

Ian pokręcił głową.

— Z całą pewnością nie o to chodziło. Tak czy inaczej, chciałem, żeby odeszła, bo widziałem, że cię irytuje.

— Nie jestem zirytowana, tylko skołowana.

— Widzisz... — Ian oblizał wargi. Dłuższą chwilę bez słowa wpatrywał się w talerz. — Moim zdaniem, chodziło o testament — powiedział w końcu. Spojrzał na mnie.

— Został spisany w lutym, na pewno Sam i Noelle musieli się spotkać, więcej niż raz, żeby omówić sprawę. Trzeba było zadbać o prawomocność dokumentów związanych z opieką nad matką Noelle, najprawdopodobniej pomagał jej również w dysponowaniu majątkiem.

— Dlaczego w restauracji, a nie w biurze?

— Ponieważ byli przyjaciółmi. Mogli połączyć przyjemne z pożytecznym. Ja też tak robię. Sam bardzo często spotykał się z klientami poza biurem. — Położył rękę na mojej dłoni. — Przecież chyba nie sądzisz...?

Pokręciłam głową.

— Noelle i Sam? Nie ma mowy. Sam zawsze ją lubił, ale też uważał za lekko sfiksowaną. Po prostu... dziwnie jest usłyszeć nagle coś takiego. W końcu nie miałam pojęcia... — Nie dokończyłam zdania.

— Nie miałaś o tym pojęcia, gdyż Sam przestrzegał zasad etyki — wyjaśnił Ian. — Nie wspomniał ci o jej testamencie z tych samych powodów, dla których ja tego nie zrobiłem, gdy na niego natrafiłem w archiwach. Dopóki żyła, szczerze powiedziawszy, te dokumenty nie miały prawa cię interesować.

— Co prawda, to prawda.

Nie po raz pierwszy dowiadywałam się, że Sam dbał o kwestie prawne dotyczące osoby wspólnie nam znanej, a ja nic o tym nie wiedziałam. Bardzo szybko po ślubie nauczyłam się nie zadawać pytań.

Kelner przyniósł rachunek, Ian sięgnął po portfel.

— Niespecjalnie nam wyszło — zaśmiał się, kładąc na blacie kartę płatniczą — omijanie tematu Noelle i Sama.

— Niespecjalnie. — Odłożyłam serwetkę na stół. — Chodź, zatrzymamy się w oglądaniu filmu.

— Zgoda.

Dopiero gdy wysiedliśmy z jego samochodu przed kinem, uświadomiłam sobie, że w restauracji uregulował także moją część rachunku.

Wobec czego to *chyba* jednak była randka.

## *Rozdział 9*

*Emerson*

Wraz z wynalezieniem fotografii cyfrowej rasa ludzka utraciła coś istotnego.

Siedziałam w saloniku Noelle, na podłodze, oparta plecami o wersalkę, i przeglądałam stare albumy fotograficzne. Podobnie jak w moich, również tutaj niewiele było nowych fotografii. Te tkwiły w komputerze. Następne pokolenia — choćby moje wnuki, nie będą oglądały albumów ze starymi zdjęciami ani pytały: „Kto to jest ten facet? Dlaczego był dla babci ważny?”. Szczerze mnie to smuciło.

Garstka nowszych zdjęć, robionych w szkole, przedstawiała Jenny i Grace, niezbyt korzystnie, znalazłam też kilka fotek pstrykniętych przy okazji różnych zbiórek pieniężnych, na przykład z obchodów „bociankowego”, organizowanych przez Noelle co roku na terenie kościoła.

Nie bardzo wiedziałam, czego szukam. Zdjęcia Noelle z jakimś obcym? Jej dorosłego dziecka, które przed nami ukrywała? Kogoś, kto znał odpowiedzi na nasze pytania? Przewracając strony, zatrzymywałam się dłużej nad zdjęciami samej Noelle, każde budziło ciepłe uczucia, a jednocześnie sprawiało ból. Byłam na nią zła, że odeszła od nas w taki sposób, bez żadnego wyjaśnienia. Miałam pretensje o kłamstwa, ale nie chciałam się na nią gniewać. A jedynym sposobem uwolnienia się od gniewu było odszukanie sensu w jej postępowaniu.

— Uwielbiam to zdjęcie — odezwałam się do Teda, który zdejmował książki z półek po lewej stronie kominka i układał je w kartonach.

Gdy ja bawiłam się w detektywa, on harował jak wół. Sądził, że jestem po prostu pogrążona w żalu, i wyraźnie mi współczuł. Nie miał pojęcia o moich rozterkach. Jeszcze.

— Hm — potwierdził niezobowiązująco i włożył do pudła następne dwie książki.

Wspomniałam wcześniej, że szukam odpowiedzi na pytania dotyczące tajemnic w życiu Noelle, a on uważał to za błąd. Jego zdaniem, należało dać spokój przeszłości. W rezultacie prowadziłam dochodzenie samotnie. Nigdy nie łączyła mnie z Tedem tak bliska, a dokładnie rzecz biorąc, tak pełna żaru więź, jaka istniała między Tarą i Samem, potrafił jednak utrzymać dom, a do tego był dobrym mężem i troskliwym ojcem. Dla mnie te trzy kwestie miały istotne znaczenie, więc skoro spełniał wymagania, mogłam z nim być.

Na fotografii Noelle stała przed jakąś udekorowaną ścianą. Zdjęcie było prześwietlone, na twarz padło o wiele za dużo światła, przez co jasna cera wyglądała niczym alabaster, a brwi nieomal zniknęły. W uszach Noelle miała zwykłe srebrne koła, blask rozświetlił jej błyszczące niebieskie oczy. Zawsze była szczupła, nawet przed przejściem na spartańską dietę bezmięsną. Zazdrościłam jej tego, ale z drugiej strony za bardzo lubiłam jeść, żeby się wyrzec tej przyjemności. Nawet telewizor miałam zwykle ustawiony na jakiś kanał kulinarny. Zapewne do końca życia będę nosiła parę kilogramów nadwagi. Obie miałyśmy gęste, niesforne włosy. Na zdjęciu Noelle ściągnęła je z tyłu i tak właśnie wyglądała na co dzień. Swoboda, jak najbardziej, jednak pod kontrolą. Tak też bym ją opisała komuś obcemu. Swobodna, lecz opanowana. I słusznie. Rozgrywała swoje karty, jak chciała, aż do tragicznego końca.



Ted wyprostował się, podparł w krzyżu.

— Em, w życiu stąd nie wyjdziemy, jeśli będziesz medytowała nad każdym drobiazgiem.

— Wiem... — odpowiedziałam ze śmiechem. — Dość tego dobrego.

Zamknęłam album i pochyliłam się, by dołożyć go do kartonu z rzeczami osobistymi, które miałam zatrzymać. Zamierzałam posegregować je później. Na razie musieliśmy opróżnić dom. Postanowiliśmy go odnowić, a następnie wynająć. Trzeba było koniecznie wyremontować kuchnię, odświeżyć deski podłogowe i boazerię na ścianach. Mieliśmy zamiar opiekować się ogrodem, jak prosiła Noelle. Tara miała do tego większe predyspozycje niż ja, toteż wzięła na siebie odpowiedzialność za ten kawałek ziemi. Do wiosny i tak nie wymagał zbyt wiele pracy, a niebawem prawdopodobnie znajdziemy najemcę. Suzanne Johnson była zainteresowana. Od rozvodu mieszkała w wynajętym domu, a odkąd Cleve wyjechał do college'u w Chapel Hill, szukała czegoś mniejszego. Do tego uwielbiała Sunset Park. Pozostawało mi jedynie upewnić się, że lubi także pracę w ogródku. Mój gniew na Noelle ani odrobinę nie umniejszył miłości, jaką ją darzyłam. Skoro życzyła sobie, by po jej śmierci dbano o ogródek, zamierzałam dopilnować, żeby jej ostatnia wola została wypełniona.

Makata zamieszkała z nami, choć nie była zachwycona towarzystwem dwóch psów. Na pewno znajdzie sobie miejsce. A z innej beczki: jakie to dziwne, że Noelle w testamencie prosiła nas o opiekę nad ogródkiem, natomiast słowem nie wspomniała o kotce. Może sądziła, że Makatę zatrzymają sąsiedzi... Z drugiej strony, kochała ją, więc postanowiłam nie zostawiać zwierzaka u obcych.

Otworzyłam kolejny pusty karton i zaczęłam wkładać do niego książki z półek po lewej stronie kominka. Ted nadal pakował te po prawej. Rano we dwie z Tarą zajęłyśmy się kuchnią i sypialnią, ale sa-

lonik oraz druga sypialnia, ta pełniąca rolę biura, stanowiły potężne wyzwanie. W gabinecie szafa oraz szafki na akta wciąż pękały w szwach. Właśnie ze względu na kipiące z nich papiery oraz Bóg wie co jeszcze zostawiłam je na koniec. Korciły mnie te dokumenty, Ted natomiast najchętniej by je wyrzucił. Miałam inne plany. Zamierzałam przejrzeć papiery kartka po kartce, każdą receptę, każdy rachunek — wszystko — z nadzieją na znalezienie odpowiedzi. Chciałam też dokładnie sprawdzić zawartość komputera. Nie przypuszczałam, by Noelle uznała za konieczne blokowanie dostępu hasłem, więc miałam nadzieję, że choćby na przykład w poczcie elektronicznej znajdę to coś, co wyjaśni moje wątpliwości. A może i nie.

Zerknęłam na tytuł książki, którą akurat trzymałam w rękach. Rola położnej. Otworzyłam. Wydana w roku 1992. Stara. Westchnęłam rozczarowana. Ciągle szukałam jakiegoś dowodu, że Noelle rzuciła położnictwo najdalej dwa lata temu. Nie potrafiłam uwierzyć w inną wersję, choć przecież sama zadzwoniłam do komisji certyfikacyjnej, gdzie uzyskałam informację, iż nie odnawiała uprawnień od jedenastu lat. Jedenaście lat!

— Ciągle nie pojmuję — odezwałam się głośno — dlaczego nas okłamywała.

Ted był wyraźnie poirytowany. Miał serdecznie dosyć tematu.

— Okłamywała was czy nie opowiadała o sobie?

— Okłamywała. Podawała daty dyżurów albo wspominała, że coś dzieje się z pacjentką. — Nie umiałabym zacytować przykładów, lecz niezaprzeczalnie opowiadała mi o swoich podopiecznych. — Poza tym jeździła na wieś albo w inną dziczą, sama już nie wiem gdzie. Pracowała w terenie. Wyjeżdżała na całe miesiące, by w tym czasie odbierać porody. Tak mówiła.

— Praktykowała bez pozwolenia?

— Trudno mi to sobie wyobrazić.

Chociaż normy społeczne nie spędzały jej snu z oczu, nie miała skłonności ani upodobania do łamania prawa. Działała ostrożnie i profesjonalnie. Zawsze udawało jej się przekonać pacjentki wysokiego ryzyka, że nie warto w ich sytuacji brać pod uwagę rodzenia w domu. Wiedziałam o tym, bo byłam jedną z nich. Miałyśmy z Tarą termin porodu trzy tygodnie jedna po drugiej. Obie zamierzałyśmy rodzić w domu, lecz ja miałam za sobą dwa poronienia, a i w ciąży z Jenny nie obeszło się bez komplikacji. Noelle przekonała mnie, żebym nastawiła się na poród w szpitalu, poleciła mi swojego ulubionego lekarza położnika, obiecała asystować przy szpitalnym porodzie. Po czym wszystko poszło na opak. Gdy zaczęły się u mnie bóle porodowe, o trzy tygodnie za wcześnie i tej samej nocy co u Tary, Teda nie było w mieście. Poród zakończył się cesarskim cięciem. W czasie gdy Jenny została bezkonfliktowo i szczęśliwie powitana na świecie, Noelle pomagała Tarze, a ja byłam samotna jak nigdy.

— Nie sędzę, żeby wykonywała zawód, nie mając do niego uprawnień — powiedziałam.

Sięgnęłam po następną książkę.

— Kochanie, przestań się doszukiwać swojej winy. — Ted usiadł na zapadniętej wersalce, potarł krzyż. — Powiedzmy sobie szczerze: Noelle była wspaniała, ale też nie należała do najbardziej zrównoważonych osób na świecie. Na pewno przyznasz mi rację.

— Niezrównoważona? Co ty mówisz? Była inna, zgoda, wyjątkowa. Ale niezrównoważona? Nie. Z pewnością nie.

— Dlaczego więc miała tajemnice przed najbliższymi? Czy osoba zrównoważona zgromadziłaby... ile to było? Dwanaście? Dwanaście opakowań leków nasennych i przeciwbólowych na dzień samobójstwa? A w ogóle kto przy zdrowych zmysłach popełnia samobójstwo?

— Myślę, że część leków została jej od czasu kuracji po wypadku samochodowym, bo od tamtej pory miewała bóle kręgosłupa.

Któregoś razu, gdy wracała w środku nocy od świeżo upieczonej matki, na czerwonych światłach uderzył w nią inny wóz. Pamiętałam tamte miesiące, naznaczone bólem. Jakiś czas później zabrała się do organizowania programu pomocy dzieciom i wróciła do życia.

— Co to takiego? — Ted wstał z kanapy, przyjrzał się bliżej niezbyt grubym, oprawionym w skórę tomom stojącym na dolnej półce. Zdmuchnął z nich kurz i przekartkował pierwszy z brzegu. — Zapisane ręcznie. Pamiętnik? — Podał mi znaleźisko.

— Nie — rozpoznałam rzecz od razu. — To archiwa zawodowe. — Otworzyłam na pierwszym wpisie: 22 stycznia 1991. Rodząca — Patty Robinson. Dalej następował szczegółowy opis porodu, zajmujący cztery i pół strony. Uśmiechnęłam się, przesuając wzrokiem po zapiskach. — Była niesamowita — powiedziałam. — W środku fachowych uwag potrafiła wtrącić: „Zostawiłam Patty i jej ukochane słoneczko o 10.00. Przez okno wlewał się ptasi świergot, a powietrze zgęstniało od rozkosznego zapachu kawy”. — Przeniosłam spojrzenie na pozostałe rejestry. — Och, podaj mi ten z Grace, dobrze? Ten kończy się w 1992, więc Grace będzie pewnie w trzecim.

Ted podał mi trzeci tom, a ja przerzucałam kartki trą— cące stęchlizną, aż natrafiłam na właściwy fragment, we wrześniu. Przebiegłam wzrokiem notatki. Wiedziałam, że Tara rodziła długo i z wielkimi trudnościami, zwłaszcza jeśli porównać jej sytuację z moją, sprowadzającą się do cesarskiego cięcia. Znalazłam wspomnienie narodzin Grace.

— Dziewuszka przyszła na świat o pierwszej trzydzieści cztery — przeczytałam na głos. — Czterdzieści siedem i pół centymetra, trzy ty— siące dwieście gramów. Jest prześliczna! Będzie się nazywała Grace.

Ted pochylił się nade mną i pocałował mnie w czubek głowy, choć nie sądzę, by usłyszał chociaż słowo z tego, co przeczytałam.

— Może skończysz tu z półkami, a ja się zajmę szafą w biurze? — zaproponował. — Nie mogę już tego odkładać.

— Dobrze. — Trzymałam notes w ramionach, jakbym obejmowała Grace. — Zaraz przyjdę ci pomóc. Niczego nie wyrzucaj.

Dwie godziny później tkwiłam przy biurku w gabinecie Noelle, przeglądając na ekranie komputera gromadzone od miesięcy listy elektroniczne. Było tam trochę korespondencji z Tarą, ze mną, z Jenny i Grace, ale przede wszystkim z Suzanne oraz innymi ochotniczkami. Nic szczególnego, nic wyjątkowego. Dokładnie rzecz biorąc, kompletnie nic interesującego.

Ted wyciągnął z szafy spory karton.

— Można to wyrzucić? — zapytał.

Otworzył pudło. Zobaczyłam koperty, kartki pocztowe, ręcznie pisane listy, fotografie.

— A co to takiego?

Wyjęłam garść papierów, rozłożyłam na biurku. Otworzyłam jedną z kart.

*Kochana Noelle,*

*trudno wyrazić słowami, jak bardzo byłaś dla nas niezastąpiona przez ostatnie dziewięć miesięcy. Żałuję tylko, że nie mogłam urodzić w domu, między innymi dziećmi. To wspaniałe doświadczenie. Nigdy Ci się nie odwdzięczę za troskę i serdeczną opiekę. Choćby tamtej nocy, gdy zadzwoniłam do Ciebie o trzeciej nad ranem, a Ty przyjechałaś natchmiast, chociaż wiedziałaś, że to dopiero skurcze przepowiadające. Bardzo ci dziękuję! Gina jest zdrowa, pogodna i rośnie jak na drożdżach. Jesteśmy Ci ogromnie wdzięczni, mamy nadzieję, że nie znikniesz z naszego życia.*

*Ściskam Cię najserdeczniej.*

*Zoe*

— To podziękowania od pacjentek — powiedziałam. — Wyłowiłam z pudła fotografię niemowlęcia. — I zdjęcia dzieci, którym pomagała przyjść na świat.

Oraz tysiące bezcennych wskazówek, pomyślałam, choć ogarniały mnie coraz większe wątpliwości.

Do tej pory przejrzałam całe sterty podziękowań, przepisów i innych papierów, a nie znalazłam nic, co by należało zatrzymać.

— Wyrzucić? — spytał Ted z nadzieją.

Otworzyłam kolejną pocztówkę.

*Ciągle nie mogę uwierzyć, że takie śliczne ubraneczka panienka nam przyniosła. Oczu nie mogę od nich oderwać! Dziękuję z całego serca, panienko Noelle!*

Przeniosłam spojrzenie na Teda.

— Na razie nie — zdecydowałam. — Jeszcze nie umiem się z tym rozstać. Zabierzemy karton do domu. Chcę to przeczytać w wolnej chwili.

— Miewasz wolne chwile? — roześmiał się Ted. — Z jednej strony Holly z drugiej wizyty u dziadka przynajmniej dwa razy w tygodniu... nadal masz zamiar urządzić u nas przyjęcie dla Suzanne?

Mało się nie zadławiłam własnym oddechem. Przyjęcie dla Suzanne. Złapałam się za głowę.

— Na śmierć zapomniałam.

Zgodziłam się użyć domu na to przyjęcie, bo Noelle sprosiła pół świata i tylko u nas było dość miejsca.

— Odwołaj — poradził Ted.

Pokręciłam głową.

— Nie można. Zaproszenia zostały dawno wysłane, a poza tym...

— Suzanne z pewnością nie będzie miała żadnych obiekcji. W tych okolicznościach...

Suzanne nie zająknęła się o tym ani słowem. Prawdopodobnie trudno jej było poruszyć kwestię przyjęcia w takim czasie. Była samotną matką, dwukrotnie walczyła z rakiem i nie spodziewała się dociągnąć do pięćdziesiątki. Noelle chciałaby, żeby przyjęcie doszło do skutku.

— Nie, nie. Impreza odbędzie się zgodnie z planem. Jeszcze trzy tygodnie, Tara mi pomoże.

— Jesteś zdecydowana? — upewnił się Ted. — Bo mnie się wydaje, że za dużo na siebie bierzesz.

Zapewne miał rację. Nie brakowało mi zajęć, brakowało czasu. Chciałabym częściej widywać dziadka. Gdy myślałam o nim, od razu łzy napływały mi do oczu. Nie dalej jak wczoraj odwiedziłyśmy go w hospicjum w Jacksonville we dwie z Jenny. Taki był wyniszczony, taki kruchy w tym wielkim łóżku, ledwo go poznałam. Ucieszył się na nasz widok, miał mnóstwo energii. W moich wspomnieniach z dzieciństwa roi się od scen z dziadkiem. Zastępował mi ojca, który był wiecznie w rozjazdach. Uczył mnie jeździć na rowerze, łowić ryby, a nawet gotować. Odwiedzanie dziadka w hospicjum stanowiło bezwzględny priorytet.

Mimo wszystko nie zamierzałam się poddawać i rezygnować z przejrzenia zawartości intrygującego kartonu.



— Na razie niech sobie postoi — zdecydowałam. — Chcę poczytać, co te wszystkie kobiety do niej pisały.

— Wolałbym, żebyś się tego pozbyła. Nie mamy miejsca na tyle różnych gratów.

— Pudło jedzie z nami — oznajmiłam stanowczo. Zamknęłam karton. Może faktycznie znajdę coś, co mnie doprowadzi do dziecka Noelle, dzięki czemu niecała umrze.

TLR



# *Rozdział 10*

*Noelle*

*UNC, Wilmington, Karolina Północna*

*1988*

Razem z innymi rezydentami siedziała w świetlicy akademika Galloy. Właśnie dobiegał końca ostatni dzień szkolenia. Nazajutrz mieli się zjawić pierwszorocznicy. Wtedy zniknie leniwy spokój spowijający kampus w Wilmington, a zamiast niego pojawi się chaos. Noelle nie mogła się tego doczekać. Uwielbiała tę uczelnię.

Na stołach piętrzyły się kartony po pizzy i puszki po napojach gazowanych. Noelle nie jadła produktów zatykających tętnice.

Zrzuciła sandały i ułożyła się po turecku na jednej z sof. Długa spódnica otoczyła ją jak błękitna fala. Z torebki strunowej, którą zawsze ze sobą nosiła, wyjęła kawałek marchewki oraz migdały. Poczęstowała siedzącą obok Luanne. Koleżanka wybrała marchewkę. Właśnie tę dziewczynę Noelle polubiła najbardziej spośród wszystkich rezydentów, choć trzeba zaznaczyć, że niewiele to zmieniało. Noelle była lubiana na roku, znajomi ją szanowali, lecz różniła się od nich na tyle, iż nie przystawała do żadnego towarzystwa. Tak było zawsze, odkąd sięgała pamięcią, więc nie miała nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Zwykle odstawała od grupy, trzymała się nieco na uboczu. Inne dziewczęta traktowały ją z sympatią, nawet przychodziły do niej ze swoimi kłopotami, lecz pozostawał dystans, nigdy z nikim nie połączyła jej ta szczególna więź, która każe dziewczętom zachowywać się jak papużki nierozłączki.

A chłopcy... Cóż... sportowcy oraz członkowie bractw studenckich w ogóle nie mieli pojęcia, jak się odnosić do kogoś takiego jak Noelle. Na wszelki wypadek twierdzili, że jest dziwaczna, a w rzeczywistości czuli się przy niej nieswojo. Bo i kto widział, żeby młoda kobieta wałęsała się sama po kampusie grubo po północy? Owszem, była na swój sposób ładna, lecz trudno się było z nią zapoznać bliżej, więc chłopcy uznawali, że szkoda czasu i atłasu. Wydawać by się mogło, że tkwi pod welonem, którego nie sposób unieść ani rozerwać. Była z innej kategorii, nieosiągalna. Odgadywali to w głębi ducha.

Nie cierpiała jednak na brak wielbicieli. Mieszkali w kampusie także inni chłopcy, bardziej nią zaintrygowani niż skrepowani jej zachowaniem. Ci tak zwani intelektualiści albo uczniowie z zacięciem artystycznym, którzy nie mieli śmiałości zagadać do typowych uczniów college'u koedukacyjnego, w Noelle wyczuwali pokrewną duszę. I tak, chociaż oficjalnie przez pierwsze trzy lata nauki w Wilmington nie miała chłopaka, nawiązała znajomości, które z czasem okazały się głębsze niż przyjaźń, nawet jeśli żadna z nich nie ostała się na zawsze. Jej to nie przeszkadzało. Miała jeden jedyny cel: zostać położną. Reszta życia ułoży się później.

Właśnie zaczynała drugi rok studiów pielęgniarских, a już przerabiała materiał z położnictwa z następnego. Wiadomo było, że bez najmniejszych problemów dostanie się, dokąd tylko zechce, była najlepsza na roku. Nikt tego nigdy głośno nie powiedział, bo też nie było takiej potrzeby. Ciężko pracowała, profesorowie ją uwielbiali. W czasie praktyk klinicznych nie podobały jej się absurdalne reguły obowiązujące w szpitalach, jednak robiła wszystko tak, jak jej kazano. Gdy narastała w niej frustracja, dzwoniła do matki, nadal pracującej u panny Wilson. Ona zawsze potrafiła ją uspokoić.

— Rób, co ci każą, pamiętaj, chcesz zdobyć dyplom — mówiła. — Dzięki niemu zyskasz możliwość działania także według własnych reguł. Musisz się nauczyć, jak działa system, córeczko.

Siedząc w salce akademika razem z innymi rezydentami, Noelle usiłowała skupić uwagę na słowach młodego człowieka rozpartego na jednej z sof. Był studentem ostatniego roku psychologii, a przez kilka ostatnich dni także prowadzącym szkolenie przyszłych rezydentów.

— Czyli od jutra mamy urwanie głowy — oznajmił.

— W godzinę od przyjazdu pierwszaki zaczną się skarżyć na pokoje i współlokatorów. Trzeba się spodziewać najgorszego, wtedy możemy przeżyć miłe rozczarowanie. Gdybyście mieli z czymś kłopot, wiecie, gdzie mnie szukać, tak?

Odpowiedział mu twierdzący pomruk. Wszyscy byli zmęczeni przesiadywaniem w akademiku, Noelle nie stanowiła wyjątku. Zza okien kusił cudowny dzień, nie nazbyt gorący, choć dopiero kończył się sierpień. Bardzo chciała wyjść z budynku. Niestety, prowadzący miał jeszcze rozdać im przydziały, więc nie mogła się ruszyć, póki nie dostanie swojego.

Prosiła o zlecenie na akademik, w którym się właśnie znajdowali, Galloway. Tutaj mieszkała na pierwszym roku, korzystała z rad bardzo miłej rezydentki. Chciała być równie pomocna, serdeczna i obiektywna.

Prowadzący wyjął kartkę z pliku list nowych uczniów rozmieszczonych w akademikach.

— Noelle — odezwał się, podając jej arkusz papieru. — To dla ciebie. Masz Galloway. Drugie piętro.

— Świetnie.

Wstała, odebrała dokument, wróciła na sofę, obok Luanne.

Ta po chwili również otrzymała swój przydział.

— O, patrz, ja też mam Galloway — zauważyła, przyglądając się liście. — Fajnie.

— Które piętro?

— Trzecie.

Noelle przygryzła wargi. Zdumiewające, lecz jej serce tknęła nostalgia.

— Przez pierwszy rok mieszkałam na trzecim — powiedziała.

— I co, sentymenty się w tobie obudziły? — spytała Lu— anne z uśmiechem. — Jeśli chcesz, możemy się zamienić. Mnie tam wszystko jedno.

Noelle uświadomiła sobie, że faktycznie chciałyby się zamienić, chociaż nie potrafiła tego uzasadnić. Pierwszy rok w college'u był wspaniały. Przeprowadziła się do miasta, poznała samodzielność, jedno i drugie od razu pokochała.

Poszczególne kondygnacje akademika w zasadzie niczym się nie różniły więc dlaczego chciała mieć dyżur na trzecim piętrze? A jednak.

— Nie miałybyś nic przeciwko?

— Nic a nic. — Luanne podała jej listę swoich podopiecznych.

W tej samej chwili Noelle zauważyła na swojej pewne szczególne nazwisko, na samym dole kartki. Przyjrzała się uważniej, zmrużyła powieki. Ledwo wierzyła własnym oczom.

— Wiesz co, to jednak dziecinada — powiedziała drżącym głosem. — W administracji mają już wszystko zarejestrowane, nie róbmy bałaganu.

Luanne ściągnęła brwi zdziwiona.

— Nie przypuszczam, żeby to dla nich miało większe znaczenie.

— Dajmy spokój. Nie było sprawy — rzuciła Noelle.

Przycisnęła swój przydział do piersi jak największy skarb.

# *Rozdział 11*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Zastukałam w drzwi pokoju Grace i przez jakiś czas słuchałam dobiegających zza nich szmerów. Najwyraźniej zajęta była czymś, w co nie chciała mnie wtajemniczać.

— Proszę — odezwała się wreszcie.

Siedziała przy biurku, na kolanach miała jakiś podręcznik. Pewnie wcześniej tkwiła na Facebooku albo pisała e— maile, a mnie chciała przekonać, że ciężko pracuje. Było mi to obojętne. Naprawdę. Zależało mi jedynie na jej szczęściu. Podniosła na mnie wzrok znad ulubionego czarnego kubka. Na pewno z piekielnie mocną kawą. Ja nie mogłam w ogóle przełknąć tego, co oni z Samem uwielbiali.

— Chciałam spytać, czy nie potrzebujesz pomocy przy szyciu na maszynie?

— Mamo, nie mam teraz czasu na szycie. Uczę się.

— W razie czego jestem pod ręką.

Usiadłam na łóżku. Bardzo mi brakowało więzi z córką. Twitter położył wielki łeb na moim udzie, pogładziłam go po grzbiecie.

— Noelle byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że pomagasz w jej projekcie.

— Hm.

Podniosła z podłogi plecak, czas jakiś w nim szperała, wreszcie wydobyła notatnik. Patrzyła wszędzie, byle nie na mnie. Koszmarne było to napięcie między nami. Ohydne.

Uśmiechnęłam się do kubka.

— Nie rozumiem, jak możesz pić kawę o tej porze.

Otworzyła notes gwałtownym ruchem, westchnęła teatralnie.

— Mówisz to za każdym razem, kiedy widzisz mnie po południu z kubkiem kawy w ręku.

Naprawdę?

— Przypominasz mi swojego tatę. Byliście pod tym względem tacy podobni...

— A skoro już o tacie mowa... — Spojrzała mi prosto w oczy. — Jak ci poszło na randce z Ianem?

Ściągnęłam brwi, zaskoczona pytaniem. Ironia nie leżała w naturze mojej córki, wytrąciła mnie z równowagi.

— To nie była randka.

Grace przeniosła spojrzenie na okno. Policzki jej poczerwieniały, odniosłam wrażenie, że ociekająca pretensją uwaga wymknęła jej się mimo woli.

— Tata nie żyje, a ty się świetnie bawisz — powiedziała. — Nie wiem, jak możesz mu to robić.

— To nie była randka — powtórzyłam. — To nie było spotkanie z podtekstem, jaki sugerujesz. Minie jeszcze dużo czasu, zanim spojrzę na jakiegoś mężczyznę tak, jak patrzyłam na twojego tatę, o ile to w ogóle nastąpi. Mimo wszystko czasem muszę wyjść z przyjaciółmi. Na obiad albo do kina... tak jak ty wychodzisz z Jenny. Obie potrzebujemy towarzystwa. — Pochyliłam się do przodu, przekrzywiłam głowę.

Chciałam, żeby znowu na mnie spojrzała. — Rozumiesz tę konieczność?

— Jasne. Rozumiem.

Wcale nie wydawała się przekonana.

— Wiem, że tęsknisz za Cleve'em — powiedziałam, znów siadając prosto. — Że jesteś rozgoryczona.

Opuściła wzrok na notatnik. Odniosłam wrażenie, że dotknęłam odsłoniętego nerwu.

— Nie ma o czym mówić.

Nie miałam pojęcia, jak daleko się posunęli, jaki charakter miał ich związek. Czy uprawiali seks? Chodzili ze sobą osiem miesięcy, więc choć nie mogłam sobie tego wyobrazić... choć nie chciałam sobie tego wyobrażać, zapewne tak. Jedno wiedziałam z absolutną pewnością: Grace go kochała. Chociaż odszedł, jego zdjęcia zostały na biurku i na toaletce, na tablicy za komputerem. Kochała go nadal. Chciałabym znaleźć sposób, by ją uwolnić od cierpienia.

— Pamiętam, jak to było, kiedy rozstaliśmy się z twoim tatą — powiedziałam.

— Jak to? — zdziwiła się. — Nie rozumiem?

— Jeszcze nie byliśmy małżeństwem. On wyjechał do college'u, a ja chodziłam do gimnazjum.

— Różnica polega na tym, że tata z tobą nie zerwał przed wyjazdem do szkoły.

Wyglądała na zdumioną, że uchyliła rąbka tajemnicy i pozwoliła mi zerknąć w swoje uczucia. Musiałam kuć żelazo, póki gorące.

— To prawda, kochanie. Wiem, że jest ci bardzo ciężko.



— Nic nie wiesz — mruknęła.

— Sprawy między Samem a mną wyglądały inaczej, ale też musiałam sobie jakoś bez niego radzić. Staralam się być zajęta. Stale coś robić. Ciągle mieć coś do roboty. Działać. — Przynęłam się bliżej. — Tobie też by to pomogło. Powinnaś coś robić. Działać.

— Jestem bez przerwy zajęta! — burknęła. — Pomagam w schronisku dla zwierząt, chodzę do szkoły, teraz jeszcze mi doszedł ten głupi program pomocy dzieciom. Czego więcej chcesz?

— Nie mówię, że robisz za mało. Masz mnóstwo zajęć, kochanie. Tylko że to same obowiązki, żadnych przyjemności. Wyjdź trochę do ludzi. Uwielbiasz Jenny, ale powinnaś też przebywać w towarzystwie innych koleżanek. Kiedy musieliśmy się rozstać z Samem, zaprzyjaźniłam się z Emerson i Noelle. Miałam dużo nowych znajomych, uczyłam się i grałam na scenie.

— Wzór doskonałości, jak zwykle.

— Tego nie powiedziałam. Usiłuję ci podsunąć jakieś rozwiązania.

Obróciłam obrączkę na palcu. Ostatnio robiłam to dość często, zawsze gdy byłam spięta. Zawsze gdy czułam, że bardzo potrzebuję pomocy Sama.

— Szukasz zajęcia, żeby nie myśleć — powiedziała Grace. — Żeby zapomnieć, jak ci się życie spartoliło.

— Grace, kochanie moje. — Pokręciłam głową. — Nic podobnego. Zawsze dobrze mieć mnóstwo zajęć... — Położyłam dłonie płasko na udach. — Posłuchaj... Jakiś czas do tego nie wracałyśmy, ale moja prośba jest nadal aktualna. Bardzo bym chciała, żebyś się zastanowiła nad dołączeniem do kółka teatralnego. Nie musisz występować. Mogłabyś pisać sztuki, masz lekkie pióro. Wiem, że możesz się obawiać, jak by to wyglądało, skoro ja jestem...



— Pojęcia nie masz, o co chodzi! — Z trzaskiem rzuciła notatnik na biurko. — Zrozum wreszcie, nie jestem tobą! Radzę sobie w życiu inaczej niż ty!

— Rozumiem, że nie jesteś mną. — Przygarbiłam się. Znowu zaważyłam sprawę. — I tak powinno być, każdy jest inny. Po prostu chciałam ci podsunąć myśl...

— Muszę się uczyć. — Uniosła z kolan podręcznik do biologii, żeby mi dobitnie uświadomić, jaka jest zajęta i jak bardzo jej przeszkadzam.

— Jasne. — Dźwignęłam się z łóżka, stanęłam za jej krzesłem, zamknęłam ją w objęciach. Była sztywna jak kłoda. — Zawołam cię na kolację.

Wyszłam, starannie zamykając za sobą drzwi. W połowie korytarza przystanąłam, smutna i zagubiona. To nie Grace, ta lodowata dziewczyna traktująca mnie z pogardą i zniecierpliwieniem. Ta była na mnie wściekła. A ja nie bardzo wiedziałam dlaczego. Czy za szybko wróciłam do pracy po śmierci Sama? Wiem, że była tym wstrząśnięta, ja jednak musiałam się czymś zająć, jeśli miałam przetrwać. Ledwo przeżyłam dwa tygodnie bezczynności. Może miała mi za złe, że pozbyłam się rzeczy jej ojca? Albo, jej zdaniem, zdradzałam męża, widując się z Ianem?

Jedno wiedziałam na pewno. Słusznie czy niesłusznie, winiła mnie za śmierć Sama.

Zdarzały się chwile, gdy przyznawałam jej rację.

## *Rozdział 12*

*Emerson*

W piątkowe popołudnie znalazłam wreszcie czas, by zajrzeć do pudła z listami i kartkami pocztowymi Noelle. Jenny była jeszcze w szkole, Ted pokazywał dom klientowi, a ja właśnie zamknęłam kawiarenkę po nakarmieniu tłumu gości, którzy przyszli na lunch. Znajomi namawiali mnie, żebym zaczęła serwować również kolacje, ale nie miałam na to siły. Ledwo sobie radziłam z dwoma posiłkami dziennie.

Ku swemu zaskoczeniu zastałam w domu Jenny i Grace. Zaanektowały pokój nad garażem. Sortowały tam rzeczy z programu pomocy dzieciom.

— Skąd się tu wzięłyście o tej porze? — spytałam, przesuwając wzrokiem po starannie złożonych ubrankach i kocykach.

— Dzisiaj były skrócone lekcje — powiedziała Jenny.

Uścisnęła mnie na dzień dobry. Ode mnie się tego nauczyła. Bo przecież nie od Teda.

— Co u ciebie, Grace? — zapytałam, biorąc w rękę żółty sweterek zrobiony na drutach. — Ależ on śliczny!

— W porządku — odpowiedziała Grace. — Tylko szycie mi nie idzie. — Podała mi kocyk z odstającymi, splątanymi nićmi na brzegu.

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

— Miałam źle ustawione naprężenie nici — wyjaśniła. — Mama już poprawiła.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam szyjącą Grace. Może nawet jej się to podobało? Zawsze lubiła zajęcia, którym można się oddawać samemu: pisanie, czytanie, rysowanie.

— Słuchajcie, dziewczynki. Niedługo mamy przyjęcie dla Suzanne. Tarze i mnie przydałaby się pomoc. Na przykład w dekorowaniu. Znalazłybyście może trochę czasu...

— Suzanne wydaje przyjęcie? — spytała Grace, podnosząc wzrok znad kocyka, który właśnie składała.

— Będziemy świętować jej pięćdziesiąte urodziny. Urządzamy imprezę tutaj, w naszym domu i...

— Cleve przyjedzie?

Jej twarz rozpromieniła się nadzieją. Bolesny widok.

— Nie wiem, kochanie.

Gdy Cleve z nią zerwał, jej oczy straciły blask.

Grace rzuciła kocyk, wyszarpnęła z kieszeni telefon. W kilka chwil wstukała esemesa — bez wątpienia do Cleve'a. Jenny też na nią patrzyła, dostrzegłam w jej oczach troskę.

Przeniosła spojrzenie na mnie.

— Damy radę, mamó. Pomożemy.

— Świetnie. I jeszcze jedno. Dziś rano rozmawiałam z Suzanne. Powiedziała mi, że w nocy przybyły dwa wcześniaki. Prosiła, by któraś z was podrzuciła do szpitala wyprawki. A może obie?

— Nie ma sprawy — zapewniła Jenny.

Odkąd zrobiła prawo jazdy, chętnie korzystała z każdej okazji, by poprowadzić.

Grace podniosła wzrok znad telefonu.

— Podrzuć mi najpierw do domu?

— Nie chcesz zobaczyć noworodków? — spytała Jenny.

Grace tylko pokręciła głową, ale ja wiedziałam, że nie

o dzieci jej chodzi, ale o szpital. Wiedziałam od Tary: jej córka bladła nawet na widok znaku drogowego informującego o szpitalu.

— Trzeba podrzucić rzeczy dziś po południu — powiedziałam do córki. — Zostawiam to na twojej głowie.

— Dobra — zgodziła się.

Byłam w połowie schodów, gdy znowu usłyszałam Jenny.

— Co napisał?

Stałam. Nastawiłam uszu.

— „Muszę przyjechać, bo mnie wyrzuci z rodziny” — przeczytała Grace.

Usłyszałam w jej głosie uśmiech. Nadzieję.

Och, Grace, kochanie. On ma osiemnaście lat i wyjechał do college'u. Nic już z tego nie będzie.

Na parterze poszłam od razu do biura, gdzie czekało na mnie pudło Noelle. Zaczynało w mojej wyobraźni odgrywać rolę nowego mieszkańca naszego domu, istoty o zbyt potężnej władzy. W nim pokładałam ostatnią nadzieję, ponieważ w domu Noelle nic nie naprowadziło nas na żaden ślad. Razem z Tarą rozmawialiśmy z pracownikami każdego oddziału położniczego w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i wszyscy oni wiedzieli to, o czym my nie miałyśmy pojęcia: Noelle zrezygnowała z zawodu położnej przed wielu laty. Mało kto widział ją ostatnio, więc nawet nie zadałyśmy sobie trudu, by pytać o jej depresję. A

Suzanne i inni ochotnicy do nas przychodzili z takimi pytaniami. Wszelkie kłopoty Noelle zatrzymała dla siebie. Podejrzewałam, że zawartość kartonu również niczego nie wyjaśni, ale przynajmniej mogłam żywić nadzieję.

Dosyć wymówek. Teraz miałam czas. Pora się zabrać do czytania listów i kartek.

Urządziliśmy sobie z Tedem w domu wspólne biuro. Duży pokój o niskim suficie, dobudowany przez poprzednich właścicieli dla teściów. Najwyraźniej niezbyt ich lubili. Po jednej stronie znajdowało się biurko Teda i jego rzeczy, po drugiej moje, nieco mniejsze. Na ścianach bez okien mieliśmy półki na książki, a pod oknami stały dwa długie stoły, gdzie Ted rozkładał mapy. Siwy i Dym często drzemały pod stołami. Zanim otworzyłam Hot!, wykorzystywałam swoją część gabinetu na archiwa domowe, teraz miałam własną szafkę na akta zawierającą dokumenty związane z prowadzeniem kawiarni. Wszystko mi się układało, żyłam jak w bajce. A potem zmarł Sam, następnie Noelle odebrała sobie życie, dziadek stał na progu śmierci... Wiedziałam, że już nigdy nie odzyskam tego cudownego uczucia, że wszystko jest jak należy.

Siadłam w fotelu pod oknem, wzięłam w rękę plik kart pocztowych i listów. Szybko zdałam sobie sprawę, że takie swobodne podejście do sprawy donikąd mnie nie zaprowadzi. Miałam w ręku jeden list sprzed miesiąca, a drugi datowany przed ośmiu laty. Oprócz tego wydruk korespondencji e— mailowej między Noelle a jakąś inną położną, dwa zdjęcia noworodków, jedną fotografię nastoletniego chłopca i do kompletu kartkę urodzinową od Jenny, którą sama pomagałam córce wybrać kilka lat wcześniej. Całkiem jakby Noelle wymieszała zawartość kartonu przy użyciu wielkiego miksera. Szkoda, że Tara nie miała czasu mi pomóc, bo ona w ciągu pół godziny ułożyłaby te papierzyska alfabetycznie i według dat.

Wstałam, opróżniłam jeden z blatów i zaczęłam sortować listy, kartki, fotografie oraz mniej liczne wycinki z gazet. Ted nadal uważał,

że powinnam wszystko wyrzucić, ja jednak postanowiłam odkryć przyczynę, dla której Noelle zachowała te rzeczy. Najwyraźniej były dla niej ważne. Chciałam wiedzieć, co czuła, wrzucając je do pudła, dlaczego je zatrzymała. Zdaniem Teda, śmierć Noelle i choroba dziadka zmieniły mnie w osobę sentymentalną i płaczącą. Podobno miałam obsesję na punkcie tekturowego pudła. Może i tak, ale przecież ono stanowiło ostatnią nitkę łączącą mnie z jedną z dwóch najlepszych przyjaciółek. Zawierało rzeczy, na których zależało jej do tego stopnia, że postanowiła je zatrzymać.

Gdybym spróbowała ułożyć jego zawartość chronologicznie, może bym odkryła, jakim torem podążały jej myśli przez lata. Może nawet zdołałabym napisać minibiografię. I gdybym tak jeszcze odszukała jej dziecko, teraz pewnie już dorosłe, chybaby doceniło taki rodzaj uczczenia pamięci po rodzonej matce.

— Nie mam czasu na pisanie — powiedziałam sama do siebie, szykując stosik kart.

Siwy czujnie uniósł łeb. Zawsze istniała szansa, że mówiłam o jeździe.

Dostrzegłam kartę, którą wysłałam Noelle na jej ostatnie urodziny. Rzeczywiście ostatnie. Przeciągnęłam po niej palcem. Serce ciążyło mi w piersi. Wyjęłam z pudła następny plik papierów. Tym razem znalazł się w nim wycinek z gazety sprzed roku, o zwalnianiu położnych przez niektóre okoliczne placówki. Pokręciłam głową. Sądziłyśmy, że taki właśnie był powód jej odejścia z zawodu. Tak nam to przedstawiła. Teoretycznie zrezygnowała, by wykorzystać sprzyjające okoliczności. Tymczasem w rzeczywistości porzuciła zawód dużo wcześniej.

— Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? — spytałam głośno.

Mój plan uporządkowania zawartości kartonu w porządku chronologicznym spalił na panewce, gdyż wiele kart i listów nie miało żadnej daty. Wobec tego postanowiłam rozdzielić całość według rodzajów:

osobno kartki pocztowe, listy, wydruki korespondencji elektronicznej i w czwartym miejscu artykuły z gazet. Na samym dniu, częściowo pod klapą pudła, znalazłam kartkę walentyn— kowąż, którą Grace sama zrobiła dla Noelle. Miała wtedy nie więcej niż cztery latka. W wyobraźni zobaczyłam, jak Noelle stoi nad koszem na śmieci, po czym zmienia zdanie i wkłada kartkę do pudła.

Usłyszałam dziewczęta odjeżdżające spod domu. Skorzystałam z okazji, by zrobić sobie małą przerwę. Poszłam do kuchni, zaparzyłam herbatę, wyjęłam z papieru jeden z rożków, które przyniosłam z kawiarni. Odłamane koniuszki zawsze dostawały psy. Z talerzykiem i kubkiem w rękach wróciłam do biura.

Od progu rzuciła mi się w oczy kartka pocztowa w biało— niebieską kratkę leżąca na stercie papierów. Odstawiłam kubek i talerz na biurko, wzięłam do ręki kartę. Gdy ją otworzyłam, aż usiadłam z wrażenia. Ta karta była ode mnie. Bardzo stara. Dokładnie rzecz biorąc, miała siedemnaście lat.

*Noelle,*

*dziękuję Ci za troskę. Mam wrażenie, że rozumiesz mój ból, bo zawsze wiesz, co zrobić i powiedzieć, by pomóc. Nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła.*

*Kocham Cię.*

*Em*

Napisałam te słowa kilka tygodni po drugim poronieniu. Po tym, jak straciłam drugie dziecko. Mieszkaliśmy wtedy z Tedem niedaleko kampusu, Noelle przeprowadziła się do nas na dwa tygodnie, wszystkim się zajęła. Gotowała, sprzątała, a przede wszystkim słuchała moich żalów. Ted wtedy już nie umiał znaleźć słów pocieszenia, sam też mu-



siał dać sobie radę ze smutkiem. Noelle wiedziała, jak bardzo chciałam mieć dziecko. Jak bardzo nie mogłam odżałować tych, które straciłam. Nieco ponad rok później trzymałam w ramionach malutką Jenny. I chociaż nie mogła mi ona wynagrodzić straty tamtej dwójki, której nie dane mi było poznać, chociaż tamta strata była niepowetowana, Jenny przywróciła mi chęć do życia.

Dłuższą chwilę trzymałam kartę w dłoni. Chyba najwyższy czas ją wyrzucić? Po co w ogóle przechowywać rzeczy po Noelle? Mimo wszystko odłożyłam kartę na stos. Nie musiałam się śpieszyć z podejmowaniem decyzji.

Popijając herbatę, przeczytałam kilka listów. Zawierały słowa wyrażające radość i wdzięczność. Tak człowiek pisze, gdy kipi ze szczęścia. Czytałam je z przyjemnością, stopniowo odsuwały w mojej pamięci własną smutną kartę sprzed lat. Położyłam sobie listy na kolanach. Większość tylko przerzucałam, w niektórych czytałam po kilka zdań, kolejno odkładałam je na podłokietnik.

W pewnej chwili wzięłam do ręki kartkę, na której znajdowały się dosłownie dwie linijki tekstu. Nie od razu zorientowałam się, że patrzę na papeterię Noelle. Miałam przed oczami znajomy, blady obrazek przedstawiający brzoskwinie w koszyku. Dawno go nie widziałam. Czy w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze pisuje listy odręcznie? Pamiętałam jednak, że dawniej od czasu do czasu dostawałam wiadomości od Noelle na takim papierze.

*Szanowna Pani Anno,*

*zaczynałam ten list wiele razy. Próbuję po raz kolejny i nadal nie wiem, jak przekazać...*

I tyle. Dosłownie dwa zdania. Co to za Anna? Przerzuciłam inne listy oraz pocztówki, szukając czegokolwiek od Anny. Znalazłam jedną kartę podpisaną „Ana”. Widniało na niej jedynie:



*Noelle, cała nasza rodzina cię uwielbia! Ana*

Imię pisane inaczej niż w liście Noelle. Bez nazwiska. Bez daty. Do karty przyklejono taśmą zdjęcie chłopczyka. Odkleiłam. Na odwrotnej stronie widniał podpis: Paul Delaney.

*...nie wiem, jak przekazać...*

List był stary. Brzoskwiniowa papeteria z czasem straciła sztywność. Jakie znaczenie mógł mieć dzisiaj?

Odłożyłam wyblakłą kartkę i wróciłam do przeglądania pozostałych. Pogryzałam rogalik, popijałam earl greya. Na samym dnie stertki znalazłam drugi list napisany przez Noelle. Ten, dla odmiany, pismem maszynowym. Był zmięty. Pamiętam, że wygładzałam go przy pierwszej selekcji. Przeczytałam list z zapartym tchem i zerwałam się na równe nogi, strącając na podłogę kubek z herbatą.

# *Rozdział 13*

*Noelle*

*UNC, Wilmington, Karolina Północna*

*1988*

Drugiego dnia po przyjeździe nowych uczniów Noelle obesza wszystkie pokoje, zostawiając sobie na koniec ten z numerem 305, podobnie jak zostawiała na koniec borówki z sałatki owocowej, ponieważ je uwielbiała. Różnica polegała na tym, że przy jedzeniu borówek serce nie waliło jej z niepokoju jak oszalałe.

Zanim jeszcze podeszła do otwartych drzwi, na korytarzu dobiegł ją głośny śmiech. Dziewczęta najwyraźniej zdążyły się zaprzyjaźnić. Tara Locke i Emerson McGarrity. Noelle zapukała w futrynę, zajrzała do środka. Obie dziewczyny siedziały na jednym łóżku, tym bliżej okna, przeglądając płyty. Podniosły na nią wzrok. Od razu zgadła, która z nich miała na imię Tara — ciemna blondynka o brązowych oczach — a która Emerson. Ta druga miała włosy długie, ciemne i kręcone. Noelle doskonale wiedziała, jak trudno przez taką gęstwą przeciągnąć grzebień.

— Cześć — odezwała się z uśmiechem. — Nazywam się Noelle Downie, jestem waszą rezydentką. Obchodzę pokoje, żeby się ze wszystkimi zapoznać.

Blondynka zerwała się z miejsca. Była na bosaka. Wyciągnęła rękę.

— Ja się nazywam Tara.

Noelle potrząsnęła jej dłonią. Emerson, ze stertą płyt na kolanach, nie zamierzała wstać, wobec czego Noelle podeszła do niej i podała jej rękę.

— Emerson?

— Zgadza się.

Dziewczyna miała ładny uśmiech, ciepły i zycziwy. Noelle niechętnie oswobodziła jej dłoń.

— Usiądziesz? — spytała Tara.

Noelle chętnie skorzystała z krzesła przy biurku, zdziwiona, że ma miękkie kolana i trudno jej ustać na własnych nogach.

— Słyszałam was z korytarza, wyglądacie na zaprzyjaźnione od wieków. Znałyście się wcześniej?

Roześmiały się ponownie, spojrzały po sobie.

— Nie, ale faktycznie tak to wygląda — przyznała Tara.

Najwyraźniej to ona była bardziej bezpośrednia. Świadczył o tym błysk w oczach, pewnie brząmiący głos.

— Dobrałyśmy się jak w korcu maku — potwierdziła Emerson. — Raz rozmawialiśmy przez telefon, jeszcze latem, ustalałyśmy, co zabieramy i w ogóle, ale tak naprawdę się nie znałyśmy.

— A wczoraj — podjęła Tara — gdy się spotkałyśmy, od razu miałyśmy wrażenie, że znamy się od urodzenia. Przegadałyśmy całą noc.

— Super — oceniła Noelle. — Nie zawsze się tak dobrze układa.

I nie zawsze znajomość trwa dłużej, pomyślała.

Miała ogromną nadzieję, że tym dwóm się ułoży. Życzyła im wszystkiego, co najlepsze, zwłaszcza Emerson. Przerazały ją własne

odczucia, tak mocne, takie dotkliwe. Musiała uważać na słowa i gesty, bo w tym pokoju mogła bardzo łatwo przekroczyć dopuszczalne granice. Musiała koniecznie traktować Emerson jak każdą inną studentkę.

Objęła spojrzeniem toaletki. Na obu stały fotografie w ramkach. Ostrożnie wstała, wzięła w rękę jedno ze zdjęć, przedstawiające młodego człowieka z włosami sięgającymi ramion. Wydawał się znajomy. Miał regularne rysy i błękitne oczy, które z ciemnymi włosami tworzyły wyjątkową kombinację.

— Kto to? — spytała, przenosząc wzrok z jednej dziewczyny na drugą.

— Mój chłopak, Sam — odezwała się Tara. — Kończy college, będzie studiował prawo. — Najwyraźniej była z niego dumna. — Jest tutaj, tylko nie mieszka w kampusie.

— Aha... mam wrażenie, że go gdzieś widziałam. Cieszysz się, że będziecie blisko, prawda?

— Mowa! — zaśmiała się Tara.

Pytanie stanowczo nie należało do najmądrzejszych, bo też Noelle nie myślała tak jasno, jak zwykle.

— Latem obciął włosy, więc teraz wygląda całkiem inaczej — dorzuciła Tara.

Noelle wzięła zdjęcie z drugiej toaletki. O to jedno jej chodziło. Borówka w sałatce owocowej. Fotografia rodzinna. Emerson w towarzystwie kobiety i mężczyzny. Kobieta miała krótkie, ciemnorude, kędzierzawe włosy i szeroki uśmiech. Wyglądała młodo. Mogła mieć może trzydzieści pięć lat.

— Rodzice? — spytała Noelle.

— Tak — potwierdziła Emerson. — Chłopaka jeszcze nie mam. — Zaśmiała się. — Powinnam sobie jakiegoś zorganizować.

— Gdzie mieszkają? — Noelle nie potrafiła oderwać oczu od kobiety.

— W Kalifornii.

— W Kalifornii? — Czyżby się pomyliła? — Wobec tego skąd Wilmington? Wcześniej mieszkaliście w okolicy?

Ledwo te słowa padły z jej ust, uświadomiła sobie, że to dziwaczne pytanie, cofnąć go jednak już nie mogła.

— Niedaleko. Wyprowadziliśmy się, gdy byłam w drugiej klasie gimnazjum, bo tatę przenieśli do Greensboro. Tam skończyłam szkołę. Potem przenieśli go do Los Angeles, a ja wolałam zostać w Karolinie Północnej. Uwielbiam Wilmington.

— A ja jestem z Wake Forest — oznajmiła Tara.

Noelle niechętnie odstawiła fotografię na miejsce.

— Skąd masz takie imię, Emerson? — spytała.

— To nazwisko panięńskie mamy.

Tak, tak!

— Opowiedzcie mi o swoich rodzinach — poprosiła, wracając na krzesło.

Nie zadawała takich pytań pozostałym podopiecznym. W innych pokojach rozmawiała o planie zajęć, zainteresowaniach czy wyborze specjalizacji. Tu jednak nie potrafiła trzymać się zwykłych tematów.

Pierwsza opowiedziała o rodzinie Tara, śmielsza z natury. Jej ojciec był księgowym, matka gospodynią domową, nie mieli więcej dzieci.

— Ja też jestem jedynaczką — wtrąciła Emerson.

Nieprawda, pomyślała Noelle.

Tara mogła mówić bez końca. Zamierzała studiować teatr, co w najmniejszym stopniu nie zdziwiło Noelle. W innych okolicznościach uznałaby tę pełną energii ekstrawertyczkę za osobę szalenie intrygującą, w obecnej sytuacji jednak nie mogła się doczekać, kiedy zacznie o sobie mówić Emerson.

— Ty też jesteś jedynaczką — podsunęła jej, gdy wreszcie mogła znów skupić na niej uwagę.

— Tak. Mama jest pielęgniarką, a tata pracuje w dziale handlowym w dużej firmie meblowej.

Pielęgniarka!

— Jestem na pielęgniarstwie — wyrwało się Noelle.

Natychmiast skarciła siebie w duchu. Nie o niej miały rozmawiać. Tyle że w rzeczywistości cała ta rozmowa właśnie jej dotyczyła. Zerknęła ponownie na fotografię rodziców Emerson. Wzrok przyciągał serdeczny uśmiech kobiety.

— Rodzice przyjadą w odwiedziny? Czy ty będziesz jeździła do Kalifornii?

— Staruszkowie dostali kręcka na punkcie Zachodniego Wybrzeża — odparła Emerson — i najchętniej by się stamtąd nie ruszyli do końca życia, ale dziadkowie mieszkają w Jacksonville, więc rodzice będą musieli czasem zajrzeć do Karoliny Północnej.

Serce Noelle zabiło mocniej.

Dziadkowie.

Przed oczami miała brązową kopertę, która czekała na nią w pokoju. Tylko ją jedną spośród wszystkich rzeczy matki zatrzymała.

— To rodzice mamy czy taty?

Czy zachowywała się jak osoba niespełna rozumu? Innych pierwszaków nie wypytywała o dziadków. Dlaczego niby tutaj miałyby to robić?

— Mamy. Rodzice taty nie żyją.

— A ja mam wszystkich dziadków — obwieściła Tara. — Ale mieszkają w Asheville, tam gdzie dorastali moi rodzice, więc rzadko ich widuję.

— Wielka szkoda — powiedziała Noelle. — Powinnaś starać się zaglądać do nich jak najczęściej. — Z nadzieją, że nie przekracza granic grzeczności, zwróciła się znów do Emerson: — Masz jakieś inne nietypowe imiona w rodzinie? — spytała. — Jak się nazywa twój ojciec?

— Mój ojciec to stary dobry Frank.

Tara ściągnęła brwi. Noelle dostrzegła to kątem oka. Dziewczyna z pewnością nie zorientowała się w jej intencjach, bo i kto by się ich domyślił, ale chyba zaczynała sądzić, że rezydentka ma nie całkiem po kolei w głowie. Tak czy inaczej, już otrzymała odpowiedź, której potrzebowała. Dowiedziała się wszystkiego, czego chciała, i nie mogła zostać w pokoju 305 ani sekundy dłużej, bo czuła, że w przeciwnym razie wybuchnie.

Zerknęła na zegarek.

— O kurczę! Ale się zasiedziałam! Muszę uciekać. Jutro mamy wieczorek zapoznawczy, będą słodkości i różne gry, warto przyjść. — Wstała, przytrzymując się oparcia krzesła. Nadal nie czuła się w pełni sił. — Gdybyście do tej pory miały jakieś pytania albo kłopoty, wiecie gdzie mieszkam, tak?

— Wiemy — potwierdziła Tara.

— Dzięki, że zajrzałaś — dorzuciła Emerson.

Noelle dotarła jakoś do drzwi, lecz na korytarzu musiała się oprzeć o ścianę. Z pokoju numer 305 dobiegł ją chichot, potem słowa Tary:

— Chyba się w tobie zakochała!

Była bliska prawdy.

Wróciwszy do swojego pokoju, Noelle zadzwoniła do domu panny Wilson. Na szczęście odebrała matka.

— Mamusiu, muszę z tobą porozmawiać o ważnej sprawie. Znajdziesz kilka chwil?

— Coś ci się stało? — spytała matka bez tchu, jakby biegła do telefonu.

— Nic, nic. Jestem cała i zdrowa. — Noelle usiadła na łóżku, wcale nie w szczytowej formie. — Możesz rozmawiać teraz?

— Zaczekaj.

Noelle usłyszała po drugiej stronie linii szcęk naczyń.

— Już jestem — odezwała się matka ponownie. — Co się stało?

Noelle wyobrażała sobie tę rozmowę setki razy, lecz nie — sądziła, że marzenia kiedykolwiek znajdą odbicie w rzeczywistości. Nie przypuszczała, że pozna Emerson. Nawet nie wiedziała o jej istnieniu. Spotkanie z nią odmieniło wszystko.

Wzięła głęboki oddech.

— Pamiętasz, jak pomagałam ci przy wyprowadzce? Poznałam wtedy zawartość jednej z kopert. Nie zaglądałam specjalnie, po prostu wtedy było wietrznie i tak się złożyło... zresztą, nieważne. Zobaczyłam te dokumenty i tyle. Dotyczyły mnie.



— Ciebie?

— Moich urodzin, adopcji... Zabrałam tę kopertę.

Matka dłuższy czas milczała. Pewnie usiłowała sobie przypomnieć, co znajdowało się w kopercie.

— Były tam informacje pracownika socjalnego dotyczące mojej biologicznej matki i... i w ogóle wszystko.

Matka w dalszym ciągu milczała.

— Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz? — odezwała się w końcu.

Noelle wróciła myślami do rozmowy, którą przeprowadziły po powrocie od Bei, gdy pomogły jej urodzić pierwsze dziecko. Właśnie wtedy usłyszała od matki, że jest adoptowana.

— Powiedziałaś mi, że do adopcji oddała mnie piętnastoletnia dziewczyna, o której nic nie wiesz.

— Nie było powodu zdradzać ci jej tożsamości. To nie miało żadnego znaczenia.

Noelle zamknęła oczy.

— Mamo — odezwała się cicho. — Do akademika wprowadzili się nowi studenci. Jest wśród nich dziewczyna, która nazywa się Emerson McGarrity.

Z drugiej strony dobiegło ją westchnienie.

— Twoja matka biologiczna nosiła nazwisko Emerson, ale nie widzę, dlaczego miałabyś...

— McGarrity. Mamo, jej ojciec to Frank McGarrity. Coś ci to mówi?

— A powinno?

— Wyczytałam to w notatkach pracownika socjalnego. — Może po tylu latach matka rzeczywiście o wszystkim po prostu zapomniała? — Susan Emerson zaszła w ciążę na imprezie. Nawet nie знаła nazwiska ojca swojego dziecka. Miała chłopaka. Ten chłopak nazywał się Frank McGarrity. O niczym się nie dowiedział. Rodzice też woleli utrzymać sprawę w tajemnicy, więc posłali córkę do...

— Do ciotki. — Matka westchnęła ponownie. — Tak, wiem, pamiętam. Tylko zapomniałam nazwiska chłopaka. Nie był ważny. Nie rozumiem tylko... — Nagle zamilkła. — Mój Boże! Twoim zdaniem, Emerson McGarrity jest córką Susan Emerson?

— I moją przyrodnią siostrą. Wystarczy na nią spojrzeć.

— Nic jej nie mów — przestrzegła ją matka. — Dokumenty adopcyjne są tajne. Jej matka nie chciała, by ktokolwiek o czymkolwiek wiedział.

— Ale dokumenty pracownika socjalnego chyba nie były tajne, skoro je miałaś?

Na moment zapadła cisza.

— Byłam położną przy twoich narodzinach — powiedziała w końcu matka Noelle. — Znałam tę ciotkę, u której wtedy mieszkała Susan. Rodzina postanowiła wszystko utrzymać w tajemnicy. Ty zostałam na kilka miesięcy umieszczona w rodzinie zastępczej. Na czas, gdy my

z ojcem załatwialiśmy formalności adopcyjne. Miałam \_ dostęp do notatek pracownika socjalnego, do całej... do wszystkiego. Powinnam była zadbać, żebyś nigdy się nie natknęła na te dokumenty. Nie wolno ci wykorzystać tych informacji. Rozumiesz?

— Ona jest moją siostrą.

— Im dalej będziesz się od niej trzymała, tym lepiej.

— Chcę być przy niej blisko.

— Nie skrzywdź jej, kochanie. I nie zrób krzywdy jej rodzinie. A przede wszystkim sobie. Nic dobrego nie przyjdzie z odgrzebywania przeszłości.

Noelle pomyślała o dziewczynie z pokoju 305 i wyobraziła sobie jej matkę. Kim była ona, Noelle, dla tej kobiety? Skutkiem błędu. Zdarzeniem wykreślonym z życia. Niechcianym wspomnieniem. Zobaczyła rozpromienioną miłością twarz Emerson, gdy dziewczyna mówiła o rodzinie. O matce, o dziadkach.

— Masz rację — przyznała.

W oczach zapiekły ją łzy. Wiedziała już na pewno, że będzie kochać przyrodnią siostrę, zachowując dystans.

# *Rozdział 14*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna 2010*

Tego dnia miałam krótką przerwę między ostatnim wykładem a próbą teatralną z juniorami. Jeszcze siedząc przy biurku, włożyłam do torebki kalendarzyk i jednocześnie dostrzegłam na wyświetlaczu telefonu migającą ikonkę wiadomości głosowej. Dosłownie za pół minuty musiałam ruszać do sali, więc pośpiesznie wcisnęłam dwa klawisze, by odsłuchać nagranie.

— Zadzwoń do mnie jak najszybciej! — usłyszałam zdenerwowany głos Emerson. Po chwili dodała: — Nikt nie umarł. Zadzwoń.

Ze ściągniętymi brwiami wsunęłam telefon z powrotem do torebki. Niesłychane, że czujemy potrzebę, by zastrzec w wiadomości głosowej: „Nikt nie umarł”.

Najpierw poszłam do sali. Postanowiłam zlecić opiekę nad grupą jednemu z uczniów, zyskać w ten sposób kilka minut i oddzwonić do Emerson, upewnić się, czy wszystko w porządku.

W sali zjawiłam się ostatnia.

— Dzień dobry pani! — odezwali się ci, którzy mnie najszybciej zauważyli.

— Cześć! — zawołałam w odpowiedzi.

Siedzieli w pierwszym rzędzie, kilkoro przysiadło na krawędzi sceny. Wszyscy się do mnie uśmiechali. Szeroko. Lubili mnie. Chciałabym móc powiedzieć to samo o własnej córce.

W naszym gimnazjum mieliśmy wspaniałą salę teatralną, z purpurowymi fotelami wdzięcznym półkolem schodzącymi ku scenie. Za panującą tam akustykę można było dać się pokroić. Zawołałam od wejścia jednego z chłopców, Tylera.

— Muszę zadzwonić — powiedziałam, gdy do mnie podszedł. — Zajmie mi to dosłownie dwie minuty. Zaopiekuj się grupą przez ten czas, proszę.

Tyler był miłym chłopcem, nowym w naszej szkole, uzdolnionym artystycznie. Miał dołączyć do uczestników naszego projektu.

— Ja? — upewnił się zdziwiony.

— Tak, ty. — Odwróciłam się do pozostałych uczniów. — Kochani! — zawołałam. — Muszę zadzwonić. Zaraz wrócę. W tym czasie tyler opowie wam o swoich pomysłach. Podzielcie się uwagami, ja będę lada minuta.

Kiedy opuszczałam salę, panowała cisza jak makiem zasiał, ale wiedziałam, że gdy tylko zamknę za sobą drzwi, zerwie się tam prawdziwy huragan. Tak czy inaczej, miałam świadomość, że kilka minut beze mnie jakoś przeżyją. Zamierzałam się pośpieszyć.

Poszłam korytarzem w stronę pokoju nauczycielskiego. Miałam nadzieję, że nie zaszkodziłam Tylerowi. Mogłam wybrać kogoś innego, pozostałych znałam lepiej, wśród młodych aktorów było kilka prawdziwych gwiazd. Zawsze jednak starałam się powierzać szczególne zadania różnym osobom. Nie chciałam, by do kogoś przyłgnęła opinia mojego ulubieńca. Nigdy więcej.

Nienawidziłam tego określenia od zawsze. W gimnazjum byłam nazywana pupilką, bo pan Starkey, prowadzący kółko teatralne, nie krył swojej sympatii. Widział we mnie talent i pasję, sądził, iż znalazł uczennicę, która pomoże mu wynieść nasze kółko na wyżyny szkolnego teatru. Jego wiara we mnie stanowiła pożywkę dla mojej arogancji,

wystarczającą, bym planowała dalszą naukę w wymarzonej szkole, w Yale. Sny o świetlanej przyszłości brały się z przekonania o niepowszednim talencie aktorskim, wobec czego nie przykładalam szczególnej wagi do nauki innych przedmiotów. Spoglądając wstecz, czułam złość na nauczyciela, który traktował mnie jak bożyszcze. Nie dość, że spowodował powstanie muru między mną a innymi uczniami, którym oczywiście nie podobało się faworyzowanie, to jeszcze podsycił we mnie niczym nieuzasadnione wysokie mniemanie o zdolnościach aktorskich. Owszem, grałam najlepiej spośród członków kółka teatralnego niewielkiego gimnazjum, lecz to wcale nie oznaczało, że byłam dobrą aktorką. Byłam jedynie rakiem na bezrybiu.

Gdy sama zaczęłam pracować jako nauczycielka, poprzysięgam sobie nigdy nikogo nie faworyzować. Zdawałam sobie sprawę, że będę miała ulubieńców, będę wołała pracować z uczniami, którzy ułatwiają człowiekowi życie, ponieważ przykładają się do pracy, a osiągając sukcesy, także mnie pozwalają na odczuwanie satysfakcji. Mimo wszystko przyrzekłam sobie solennie nigdy żadnego ucznia nie wyróżniać i, jak dotąd, chyba się trzymałam tego założenia. Z drugiej strony jednak, najwyraźniej nie udało mi się ukryć podziwu, jaki ogarniał mnie za każdym razem, gdy wychodziła na scenę Mattie Cafferty, bo ludzie go zauważyli. Uświadomiłam to sobie dopiero po wypadku, gdy znajomi wspominali o ironii losu, który sprawił, że śmierć Sama spowodowała moja ulubiona uczennica. Co gorsza, Grace wiedziała o tym doskonale. „A ty myślałaś, że ona jest idealna!”. Takie słowa usłyszałam od córki, gdy okazało się, że to właśnie Mattie siedziała za kierownicą tego drugiego samochodu. Dziewczyna prowadziła i pisała esemesa do chłopaka. Poprosiłabym ją o opiekę nad grupą studentów bez chwili wahania. Wiedziałam, że mogę na nią liczyć.

Od wspomnień dostałam rumieńców. W progu pokoju nauczycielskiego wpadłam na jednego z kolegów. Spojrzał na mnie lekko zaniepokojony.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

— Dzięki, wszystko w porządku — odparłam z uśmiechem. — Po prostu się śpieszę — dorzuciłam. — Jak zwykle.

Grace miała rację. Rzeczywiście uważałam Mattie za chodzący ideał.

Gdy zjawiała się policja, akurat miałam zajęcia z grupą improwizacyjną. W pierwszym odruchu przeraziłam się, że to Grace stało się coś złego. Serce podeszło mi do gardła.

— My w sprawie pani męża — powiedział jeden z policjantów.

Poszliśmy razem do biura dyrektora, zaledwie kilkoro drzwi od mojej klasy.

— Zdarzył się poważny wypadek.

— Żyje? — spytałam.

Tylko to się liczyło. Byle żył.

— Wejźmy do środka — zaproponował policjant, otwierając przede mną drzwi sekretariatu.

Dwie pracownice podniosły na mnie oczy bez wyrazu. Zrozumiałam, że wiedzą coś, czego mi jeszcze nie powiedziano.

Jedna z nich podeszła i ujęła mnie pod ramię.

— Przyprować Grace? — spytała.

Kiwnęłam głową i pozwoliłam się poprowadzić mundurowemu do zacisznego gabinetu. Zostaliśmy we dwoje.

— Żyje? — spytałam ponownie.

Dygotałam.

Policjant podsunął mi krzesło. Musiał mnie nieomal siłą na nim posadzić, bo kompletnie zeszywniałam.

— Lekarze nie dają mu szans — powiedział. — Bardzo mi przykro. Jak tylko córka przyjdzie...

Zerwałam się na równe nogi.

— Nie! — krzyknęłam. — Tylko nie to! — Sekretarki na pewno utkwiły wzrok w drzwiach gabinetu. Wszystko jedno. — Muszę go zobaczyć.

— Pojedziemy, jak tylko zjawi się pani córka.

Drzwi się otworzyły, stanęła w nich Grace. W oczach miała strach.

— Mamo, co się dzieje?

Zamknęłam ją w objęciach.

— Kochanie... Tatuś...,

Staralam się mówić spokojnie, ale głos mi się załamywał. Przytulałam ją zbyt mocno, obie nie mogłyśmy oddychać. Wiedziałam, że ją przerażam. Sama siebie przerażałam.

Na tylnym siedzeniu wozu policyjnego ściszałam Grace za rękę. Policjant podał nam szczegóły. Sam przejeżdżał skrzyżowanie Monkey Junction, gdy priusa staranowała z boku dziewczyna pisząca za kierownicą esemesa. Nie powiedział nam, że to była Mattie. Nie wiedział, jakie znaczenie miała dla nas jej tożsamość.

Jakiś miesiąc temu, szukając w internetowych szkolnych gazetkach recenzji sztuki wystawianej w zeszłym roku, natknęłam się na fotografię zamieszczoną w wydaniu zimowym. Widniałyśmy na niej we dwie, Mattie Cafferty i ja. Podpis głosił: „Pani Vincent udziela instrukcji Mattie Cafferty grającej w sztuce »Południowy Pacyfik»”. Grace na pewno widziała to zdjęcie. Pracowała w szkolnej gazetce. Może nawet



sama podpisała fotografię. Stałam tuż obok Mattie, dłoń położyłam na ramieniu dziewczyny. Jej ciemne włosy zakryły mi przedramię. Pamiętam swoje odczucia w czasie pracy nad sztuką. Wydawało mi się, że odkryłam drugą Meryl Streep. A co by czuła Grace, gdyby się teraz natknęła na tę fotografię? Chętnie bym wykasowała wszystkie podobizny Mattie z plików szkolnych. A przynajmniej tę jedną, na której uchwycono szczególny moment uwidaczniający mój wyjątkowy stosunek do dziewczyny. Nawet dla mnie doskonale widoczny.

Natychmiast po wypadku rodzice zabrali Mattie ze szkoły. Przeprowadzili się na Florydę. Miesiąc później dostałam od byłej uczennicy rozdzierający serce list, przepełniony żalem i smutkiem. *Nie mogę prosić o wybaczenie. Chcę tylko dać Pani znać, że myślę o Pani, o Grace i o Pani mężu dzień w dzień.*

Wybaczyłam jej. Zachowała się głupio i nieodpowiedzialnie, to prawda, jednak na jej miejscu równie dobrze mogła się znaleźć Grace. Albo ja, będąc w jej wieku.

Grace natomiast dziewczynie nie wybaczyła. Co więcej, miałam nieodparte wrażenie, że i mnie nigdy nie wybaczy, iż kiedyś Mattie była dla mnie ważna. Bo z obcą dziewczyną połączyło mnie coś, co powinno istnieć między matką a córką.

Znalazłam jakiś spokojny kąt i wybrałam numer Emerson.

— Nareszcie! — odezwała się przyjaciółka.

— Co się stało?

— Musimy omówić pewną sprawę — oznajmiła. — Zjedźmy razem kolację.

— Dowiedziałaś się czegoś o Noelle? O jej dziecku?

— Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Po prostu... Boże jedyny, Taro...

— O co chodzi?!

— U Henry'ego o szóstej, pasuje? Ja naprawdę... Cała sprawa musi zostać między nami.

Była wyraźnie poruszona, zaczęłam się o nią obawiać.

— Coś ci się stało? Jesteś chora?

Miałabym stracić następną ukochaną osobę?

— Nie, nic mi nie jest. Widzimy się o szóstej, dobrze?

— Dobrze.

Rozłączyłam się, bardzo zmartwiona.

Nie jest chora i nikt nie umarł, powtórzyłam w duchu, zatrząskując telefon.

Wobec tego damy radę.

# *Rozdział 15*

*Emerson*

W restauracyjce U Henry'ego czułam się jak w domu. Wnętrze było zawsze powleczone bursztynową poświatą. Chyba od drewna, światła i kawowej skóry na fotelach. Zwykle uspokajała mnie atmosfera panująca w lokalu, jednak tego wieczoru trzeba było znacznie więcej, by przywrócić mi spokój.

Zobaczyłam Tarę pod oknem, w boksie, który już dawno zaanektowałyśmy na wyłączność.

— Powinna tu być plakietka, że to miejsce dla dziewcząt z Galloway — uznała Tara któregoś razu, jeszcze w czasach, gdy faktycznie bywałyśmy tutaj przynajmniej raz w tygodniu. Zanim życie się zmieniło.

Wstała na mój widok, uściskała mnie bez uśmiechu. Przeżywała powagę chwili.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienie. Najpierw miała podać drinki, a ponieważ znałyśmy menu na pamięć, zamówiłyśmy od razu jedzenie. Tara wybrała stek z pieczonymi ziemniakami, ja zdecydowałam się na sałatkę szefa kuchni. Od czasu gdy natrafiłam na ten szczególny list Noelle, miałam ściśnięte gardło, więc choć zamówiłam sałatkę, szczerze wątpiłam, by udało mi się ją zjeść. Kieliszek białego wina był mi natomiast potrzebny.

— Nie wezmiesz nic więcej? — upewniła się Tara.

— Nie mam apetytu — wyjaśniłam. — Dobrze przynajmniej, że ty wracasz do normalności — dodałam z wymuszonym uśmiechem.

Tara należała do kobiet, które mogły jeść do woli, nie obawiając się przybrania na wadze. Po śmierci Sama zaczęła wyglądać jak szkielet. Schudła do tego stopnia, że obie z Noelle zaczęłyśmy się o nią martwić.

— U mnie już nie istnieje nic takiego jak normalność — odrzekła.

A ja pomyślałam wtedy, że za sprawą bomby, którą trzymałam w zanadrzu, lada moment normalność skończy się dla nas obu. Łzy napłynęły mi do oczu, Tara zauważyła je mimo przytłumionego światła.

— Emerson. — Ścisnęła moją dłoń. — Kochanie, o co chodzi? O dziadka?

— Nie. — Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Raz koźie śmierć. — Znalazłam coś u Noelle.

Kelnerka postawiła przede mną kieliszek białego wina, przed Tarą czerwone. Pociągnęłam solidny łyk. Przyjaciółka czekała na moje słowa. Zakręciło mi się w głowie.

— Miała karton pełen korespondencji... głównie kartki pocztowe z podziękowaniami od pacjentek... najróżniejsze. — Zabębniłam palcami o blat. Ręka mi drżała.

— Przeczytałam wszystkie. Musiałam. Chciałam poczuć jej bliskość... rozumiesz?

— Rozumiem.

Oczywiście. Któregoś razu powiedziała mi, że tuż po śmierci Sama zdarzało jej się czytać potwornie nudne notatki, najeżone terminami prawniczymi, wyłącznie po to, by się poczuć bliżej zmarłego męża.

— Właśnie. Znalazłam te dwa listy. — Sięgnęłam do torebki, dłonie miałam wilgotne od potu. Wyjęłam złożone na pół kartki, rozłożyłam arkusz brzoskwiniowej papeterii pokryty zwartym pismem. — Są od Noelle, a nie do niej. W pierwszym, dosłownie jedna linijka. —

Wygładziłam papier i przysunęłam się do Tary. — *Szanowna Pani Anno* — przeczytałam. — *Zaczynałam ten list wiele razy Próbuję po raz kolejny i nadal nie wiem, jak przekazać...*

— Kto to jest Anna? — spytała Tara. Pochyliłyśmy się nad stołem, prawie stykałyśmy się głowami.

— Nie wiem. — Pociągnęłam kolejny łyk wina. — Ale wiem, co Noelle chciała jej przekazać, chociaż nadal nie mogę w to uwierzyć. — Wsunęłam ledwo rozpoczęty list pod białą kartkę. — Tu jest drugi — powiedziałam. — Jak widać, napisała go na komputerze i wydrukowała, ale nie dokończyła, więc nie mam pojęcia...

— Czytaj — przerwała mi Tara.

— Ma datę 8 lipca 2003 — dodałam jeszcze.

Po czym przeczytałam list, cicho, niemal szeptem.

— *Szanowna Pani Anno,*

*przeczytałam w gazecie artykuł, w którym o Pani wspomniano, i doszłam do wniosku, że muszę się do Pani odezwać. Trudno mi pisać to, co muszę przekazać, a przy tym zdaję sobie sprawę, że Pani jeszcze trudniej będzie dać sobie z tym radę. Ogromnie mi przykro. Jestem połączoną. A raczej: byłam.*

*Przed laty zażywałam środki przeciwbólowe zalecone mi ze względu na uraz kręgosłupa. Musiały one osłabić mój zmysł równowagi oraz pozbawić mnie trzeźwości osądu. Pewnego razu upuściłam noworodka, zmarł na miejscu. To był tragiczny wypadek. Przeraziłam się, nie myślałam wtedy trzeźwo. Podłożyłam w jego miejsce podobne niemowlę.*

*Zabrałam w szpitalu Pani dziecko. Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu Pani cierpień. Chcę Panią zapewnić, że Pani córka ma wspaniałych rodziców, jest kochana i...*

Podniosłam wzrok na Tare, która wpatrywała się we mnie oczami wielkimi jak spodki.

— I to tyle — powiedziałam. — Więcej nie napisała.

TLR

*Część druga*

*Anna*

TLR

# *Rozdział 16*

*Anna*

*Alexandria, Wirginia*

Rano całowałam córkę na do widzenia i mógł to być nasz ostatni pocałunek. Dlatego za każdym razem, gdy wychodziłam do pracy, zawsze gdy ona odchodziła z przyjaciółmi, przytulałam Haley jak po raz ostatni. Nigdy się nie buntowała, ale wiedziałam, że ten dzień nadejdzie. Miała już dwanaście lat, szybko zbliżały się trzynaste urodziny, więc nadciągała też chwila, gdy usłyszę: „Oj, mamó!”. ~ I dobrze. Chciałam, by dożyła czasu buntu i wykrzyczała: „Nienawidzę cię!” w normalnym, odwiecznym tańcu wojennym matek i córek, trwającym od początku świata. Dlatego gdy wyszła z domu z Bryanem, nie pożegnawszy się ze mną, włożyła na głowę kask i wyprowadziła rower z garażu, nie zawołałam jej, by mnie uściskała. Nie powiedziałam: „Jedź ostrożnie”. Tylko przygryzłam wargę i puściłam córkę w świat.

Chociaż od powrotu Bryana do naszego życia minęły już prawie dwa miesiące, nie byłam całkiem spokojna, pozwalając mu zabrać Haley na rower. Wybrali się na przejażdżkę brzegiem Potomacu. Miałam powody do zadowolenia. Po pierwsze, Haley czuła się na tyle dobrze, by mszyć na wycieczkę. Mijał właśnie ósmy tydzień kuracji. Tydzień odpoczynku, z dala od szpitala i chemioterapii. Mogła się czuć i zachowywać jak normalne dziecko. Już samo to stanowiło powód do radości. Poza spuchniętą od steroidów twarzą i okazjonalnymi wybuchami złości, którym w skrytości ducha przyklaskiwałam, bo uwielbiałam w niej tę zdrową zadziorność, w tym tygodniu zachowywała się całkiem jak dawniej. Po drugie, Bryan odgrywał rolę kochającego tatuśka. Jeszcze do tego nie przywykłam. Dwa miesiące zabawy w ojca nie



wyrównywały dziesięciu lat nieobecności, więc gdzieś na dnie mojego serca nadal tkwiła złość. Tak, tak, przyznaję, od dnia, gdy nas zostawił, miesiąc w miesiąc otrzymywałam czek wystawiony przez bank w słonecznej Kalifornii. Przysyłał też prezenty na urodziny Haley. Podarunki dowodzące, że nie ma żadnego pojęcia o jej zainteresowaniach. Lalki Barbie i sztuczną biżuterię. Dobrze sobie.

Weź się w garść, skarciłam się, patrząc, jak jadą w stronę trasy rowerowej Mount Vernon.

Teraz Bryan mieszkał w pobliżu. Starał się być dobrym ojcem, a Haley to doceniała. Jego doceniała.

Poszłam na górę, do swojego biura z dala od biura. Miałam stąd widok na rzekę. Choć wprowadziłyśmy się przed siedmiu laty, w dalszym ciągu oczy zachodziły mi łzami na widok rzeki i odległego brzegu oceanu, zaznaczonego linią drzew na krańcu stanu Maryland. Trochę zalegałam z pracą, więc w końcu zabrałam się do odpowiadania na e— — maile, które nadeszły w ciągu ostatnich kilku godzin.

Właśnie tą drogą zawiadomiłam Bryana o nawrocie choroby u Haley. Listem elektronicznym. Napisałam do niego trzy dni po tym, gdy sama się dowiedziałam, i gdy zdołałam już powstrzymać łzy na czas dość długi, by wyraźniej zobaczyć ekran. A sądziłam, że kłopoty mamy za sobą! Bo i dziesięć lat remisji powinno właśnie o tym świadczyć, psiamać! Haley była moim oczkiem w głowie, żywa, bystra i tak zabawna, że wolałam spędzać czas z nią niż z przyjaciółkami. Nikt by się nie domyślił, że jako małe dziecko zapadła na groźną chorobę, a i jej samej zostały z tamtego koszmaru, trwającego długich osiemnaście miesięcy, tylko niewyraźne wspomnienia. W pewnym momencie jednak zaczęły się zbyt łatwo pojawiać nowe siniaki, gorączka i nietypowe choroby. Oszałamiałam ze strachu. Zwlekałam z wizytą u lekarza, domyślając się diagnozy. W końcu jednak poszliśmy do specjalisty i usłyszaliśmy od niego, że mamy do czynienia z nawrotem białaczki. Nie

mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona. Zdruzgotana — tak. Zaskoczona — nie.

Zaskoczyła mnie natomiast odpowiedź Bryana, przysłana także drogą elektroniczną. Między innymi dlatego, że właśnie z powodu ataku białaczki spakował walizki. To znaczy, oczywiście, nie wyłącznie, ale choroba okazała się kroplą przepełniającą dzban. Wyprowadził się z Wirginii aż do Kalifornii, możliwie najdalej od chorego dziecka i przerażonej żony, wobec czego spodziewałam się, że wiadomość o nawrocie białaczki spowoduje zniknięcie Bryana z naszego życia raz na zawsze. Tymczasem on zadzwonił. Powiedział, że właśnie został wywalony z roboty. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie pracował. Jego zajęcie miało chyba coś wspólnego z software'em dla jakiejś spółki w Dolinie Krzemowej. Tak czy inaczej, oznajmił, że wraca do Wirginii. Chciał pomóc.

Po tej rozmowie przez ładnych kilka dni nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Haley zaczęła przyjmować ogromne dawki steroidów i trudno byłoby stwierdzić, która z nas zachowuje się bardziej nieodpowiedzialnie. Ja byłam zła, że Bryan zadeklarował pomoc dopiero teraz. Przydałaby się w ciągu minionych dziesięciu lat. W tym czasie stworzyłyśmy we dwie z Haley całkiem zgrany zespół. Ukułyśmy nawet buńczuczne hasło, przywoływane, gdyśmy naprawiały rury albo grabiły liście: „Po co komu faceci?”. Dlatego miałam wątpliwości, czy uda mu się dopasować do sytuacji. Może raptem dojdzie do wniosku, że powinien zabierać głos w sprawach dotyczących opieki nad córką? Niedoczekanie! A jak Bryana przyjmie Haley? Nie pamiętała go wcale, wydawało się, że nie przywiązuje wagi do jego kartek i prezentów. Mieszkając w Alexandrii, blisko Starego Miasta, miała przyjaciół z najróżniejszych rodzin: rozbitych, gejowskich, czarnoskórych, latynoskich, muzułmańskich, co tam kto sobie życzy. Dlatego nie sądziłam, żeby jej brakowało ojca.

Chyba sama siebie przekonałam do tej myśli, tymczasem Haley mnie zaskoczyła. Gdy ją spytałam, czyby chciała, żeby się do nas wprowadził, odpowiedziała: „No pewnie, kurde! Najwyższy czas!”. Zaśmiałam się tylko. Miała niewyparzony język, zwłaszcza jak na dwunastolatkę. Doskonale wiedziałam, skąd jej się to wzięło, więc co mogłam powiedzieć?

Bryan zjawił się dwa tygodnie po naszej rozmowie telefonicznej. Zdumiało mnie, jak łatwo Haley go zaakceptowała. W pewnym sensie odczuwałam dumę, bo to oznaczało, że doskonale wywiązałam się z zadania i nie zwróciłam córki przeciw ojcu, co było naprawdę niemałym osiągnięciem. Mówiłam jej, na przykład, że po nim odziedziczyła zdolności do radzenia sobie z komputerem. Faktycznie, po mnie z pewnością nie. Praktycznie bez pomocy tworzyła strony internetowe dla rodzeństwa zaginionych dzieci. Usprawiedliwiałam nieobecność Bryana w naszym życiu. „Kochał cię tak bardzo, że nie mógł patrzeć na twoje cierpienie”, mówiłam, gdy pytała mnie o przyczyny rozwodu. „A poza tym dostał pracę w Kalifornii, trudno, żeby jeździł przez cały kraj”. Na pewno się zorientowała, że to zwykle bzdury, ale najwyraźniej było jej wszystko jedno. Chciała mieć ojca w domu, i tyle.

Nie pamiętała go wcale. Był dla niej obcym, który zjawił się w szpitalu podczas trzeciego tygodnia chemioterapii. Podsuwał jej miskę, gdy miała mdłości. Ze ściągniętymi brwiami, z dłońmi splecionymi pod brodą siedział przy łóżku, gdy niespokojnie drzemała po pobraniu szpiku kostnego. Przyniósł dropsy cytrynowe, kiedy skarżyła się na przykry smak w ustach. Kupował chustki we wszystkich kolorach tęczy, żeby mogła zakryć zniechęconą łysinę. Natomiast nie rozpoznał Freda, powycieranego pluszowego misia, nieodłącznego kompana Haley, którego sam jej podarował na pierwsze urodziny.

Od początku dobrze się czuła w jego towarzystwie. Znacznie lepiej niż ja, bez wątplenia. Nie przypominała go w najmniejszym stopniu. Była podobna do mnie, od chwili narodzin. Miała moje jasnobrązowe

włosy i zielone oczy, podczas gdy Bryan włosy miał smoliście czarne, w każdym razie swego czasu, bo teraz była to raczej sól z pieprzem, jak u George'a Clooneya. Niezmienione pozostały piwne oczy, okolone długimi rzęsami, oraz nos, jakiego nie powstydziliby się żaden mieszkaniec Cesarstwa Rzymskiego, choć przodkowie Bryana wywodzili się z Niemiec i Wielkiej Brytanii. Na tym nosie tkwiły okulary w prostokątnych oprawkach. Ostatni raz widziałam ojca Haley, gdy miał trzydzieści pięć lat. Był wtedy bardzo przystojnym mężczyzną. Po dziesięciu latach miał nieco mniej imponującą muskulaturę, a wokół oczu zaczęły mu się pokazywać zmarszczki, podobnie jak u mnie. Musiałam przyznać przed samą sobą, że niezależnie od moich chęci, złości, gniewu podoba mi się tak samo jak dawniej.

Wynajął mieszkanie niedaleko Starego Miasta i zaczął szukać pracy. Na razie jej nie znalazł i chyba wszyscy troje byliśmy z tego zadowoleni. Bo po prawdzie okazał się bardzo pomocny. Wyjątkowo. Gdy u Haley nastąpił nawrót choroby, ja akurat ubiegałam się o stanowisko dyrektora w Biurze do spraw Dzieci Zaginionych. Bardzo mi na tym zależało. Pracowałam w tej instytucji od lat, doskonale wiedziałam, jakich zmian wymaga jej struktura organizacyjna. Chciałam być u steru. Gdy jednak Haley zachorowała, uznałam, iż będę musiała zrezygnować z ubiegania się o stanowisko dyrektora. Tymczasem dzięki pomocy Bryana mogłam przyjąć posadę. Haley większość czasu spędzała w szpitalu dziecięcym w Waszyngtonie, tylko na weekendy wracała do domu. Zwykle mogłam zabrać pracę do szpitala, jednak w razie jakichś spotkań czy narad Bryan zastępował mnie przy łóżku córki. W tym tygodniu dwa razy zawiózł ją do lekarza na rutynowe badania krwi. Najbardziej pomocny okazywał się w sytuacjach takich jak teraz, gdy wychodził z nią, żeby się trochę rozerwała, jak dzisiaj. Traktował ją jak normalne, zdrowe dziecko. Jak córkę. Mimo wszystko nie potrafiłam mu zaufać bezgranicznie. Stale byłam przygotowana na dzień, gdy mu się znudzi rola ojca. Gdy znowu spakuje walizki i ucieknie na Zachod-

nie Wybrzeże. Gdyby rzeczywiście skrzywdził Haley w ten sposób, zabiłabym go gołymi rękami. Zamordowałabym bez litości.

Haley oczywiście wybaczyła mu ucieczkę. Albo po prostu nigdy nie była na niego wściekła. Pojawił się w samą porę. Jeszcze nie miała wkurzających narowów nastolatki, chociaż za sprawą steroidów niekiedy sprawiała takie wrażenie. Wtedy ofiarą jej irytacji padałam ja, dla Bryana była słodka jak miód, bo bała się go znowu stracić.

Mniej więcej godzinę pracowałam on—line, gdy usłyszałam, że oboje wchodzi do kuchni z garażu. Zeszłam na dół, zastałam ich roześmianych. Haley wiązała na głowie niebieską chustkę. Straciła włosy w ciągu jednego dnia i całuteńki dzień przepłakała. O ile mi wiadomo, na tym się skończyło.

— Jak było? — spytałam.

— Jeździ jak zawodowiec! — oznajmił Bryan, z dumą dotykając ramienia córki, jakby miał jakikolwiek wpływ na to, kim się stała.

Szczerze mówiąc, nie potrafiłabym powiedzieć, jaka w tym była moja rola, bo Haley urodziła się bystra, pełna wiary w siebie i niezależna. Poczucie niezależności stanowiło pewien problem, gdyż chciałam ją mieć przy sobie. Straciłam jedno dziecko, nie zamierzałam stracić drugiego.

— Tata dawno nie jeździł na rowerze — oznajmiła Haley. — Ale przewrócił się tylko trzy razy.

— Dwa — poprawił ją Bryan z szerokim uśmiechem.

Haley uwielbiała słowo „tata”. Wtrącała je bez przerwy, jakby nadrabiała wszystkie minione lata, gdy nie było powodu go używać.

— Zostaniesz na kolację? — spytałam.

Bryan pokręcił głową.

— Dam wam trochę wolnego, dziewczyny. — Zamknął Haley w uścisku. — Jutro też idziemy pojeździć?

— Jasne!

— Masz jakieś lekcje? — spytałam.

— Trochę.

Uczyła się również w czasie kuracji. Ja na jej miejscu chyba nie znalazłabym motywacji. Ale ona nie chciała odstawać od przyjaciół.

— Ty odrobisz lekcje, ja skończę pracę, potem zjemy.

— Dobra — rzuciła w drodze na schody. Obejrzała się przez ramię. — Cześć, tato.

— Do jutra.

Pomachał jej na pożegnanie. Jakiś czas słuchaliśmy hałaśliwych kroków Haley na schodach.

— Dzięki za pomoc — powiedziałam.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę.

— Chętnie spędza z tobą czas. Chce cię poznać.

— Nawet w połowie nie tak chętnie, jak ja ją.

Poczułam nagłą złość, więc odwróciłam się i wyjęłam

z szafki nad zmywarką dwa talerze. Przeprowadzaliśmy długie rozmowy na temat kuracji Haley. Długie rozmowy na temat samej Haley. Pokazywałam mu filmy z kółka baletowego i rozgrywek w T—ball oraz wideo, na których widać, jak fenomenalnie Haley pływa żabką, bijąc na głowę całą konkurencyjną drużynę pływacką. Nie rozmawialiśmy natomiast o tym, jak nas opuścił. O jego tchórzostwie.

O podłości. „Nie zniosę utraty drugiego dziecka”, oświadczył, nim zostawił nas przy pierwszym ataku choroby Haley. Ja też umierałam ze



strachu przed taką możliwością, ale nie dawało mi to prawa do ucieczki.

Żadne z nas nie wspomniało Lily ani jednym słowem. Gdy mi powiedziałam, że zostałam dyrektorem Biura do spraw Dzieci Zaginionych, szukałam w jego twarzy jakiegokolwiek znaku, że zrozumiał, lecz on zachowywał się, jakbym została szefem jakiejś spółki wydawniczej albo przedszkola, jakby moja funkcja nie miała nic wspólnego z naszym losem.

Do takiej rozmowy musiało kiedyś dojść, gdyż w przeciwnym razie na pewno bym wybuchła. Wkurzało mnie zachowanie Bryana, bo najwyraźniej miał zamiar wcisnąć się w nasze życie jak gdyby nigdy nic, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Na razie jednak nie miałam odwagi zrobić niczego, co by mogło osłabić jego coraz silniejszą więź z Haley.

Odstawiłam talerze na blat, podeszłam do drzwi garażu.

— Czyli widzimy się jutro? — spytałam, otwierając je na oścież.

— Tak. — Podeszedł bliżej, stanął ze mną twarzą w twarz. — Będzie taka samą jak ty — powiedział. — Już mi ciebie przypomina.

— A konkretnie?

— Jak by to... — Wzruszył ramionami. — Jest niesamowita — dokończył z uśmiechem, nieco smutnym. Z oczu wyzierał mu żal. — Do jutra.

Gdy wyszedł, patrzyłam za nim przez otwarte drzwi garażu, odprowadziłam go wzrokiem aż do zaparkowanego na ulicy samochodu.

Tylko się nie zakochaj, przestrzegłam sama siebie.

Wyłącznie teoretycznie, na wszelki wypadek. Taka możliwość nie istniała. Za dużo wody upłynęło.

Godzinę później, gdy łośoś dochodził w piekarniku, odezwał się telefon. Podniosłam słuchawkę aparatu przy lodówce. Zawsze odbierałam telefon od razu, nigdy nie sprawdzałam, kto dzwoni. Takiego nabrałam nawyku po latach czekania na jakikolwiek sygnał. Na odpowiedź. Zawsze odbierałam telefon z nadzieją w głosie.

— Słucham? — Przykręciłam gaz pod ryżem.

— Mówi Jeff Jackson.

O, psiamać!

Onkolog Haley. Skoro dzwoni o szóstej po południu, to nie jest dobry znak.

Steżałam.

— Co się stało? — spytałam.

Świetnie się czuje, niech ma ten jeden tydzień spokoju, cisnęło mi się na usta.

— Właśnie otrzymałem wyniki badań laboratoryjnych — powiedział lekarz. — Morfologia wygląda źle.

— Szlag... — Przeciągnęłam ręką po włosach. — Widzisz... Haley jest w rewelacyjnej formie. Niedawno wróciła z wyprawy rowerowej i...

— Potrzebuje transfuzji.

Zamknęłam oczy.

— Teraz?

— Niestety.

— Cholera jasna!



— Zadzwoń na oddział i poproszę, żeby przygotowali dla niej pokój — powiedział. Po czym dodał ciszej. — Bardzo mi przykro.

Minęło kilka minut, zanim wzięłam się w garść i poszłam na górę. Stałam cicho w otwartych drzwiach pokoju Haley. Nie miała pojęcia o mojej obecności, swobodnie gadała przez Skype'a z jedną z kuzynek. Nie rozróżniałam tych bliźniaczek: Madison i Mandy. Któraś z nich, widoczna na monitorze, śmiała się głośno i szybko mówiła. Trzymała na rękach kanciasto przystrzyżonego teriera, machała jego łapką w stronę kamery. Siostra Bryana, Marilyn Collier, mieszkała godzinę drogi od nas, we Fre—dericksburgu. Mimo nieobecności Bryana była w naszym życiu ważna. Haley uwielbiała jej córki, one też ją kochały. Piekące łzy napłynęły mi do oczu, gdy słuchałam trajkoczącej Madison, a może Mandy. Nie chciałam niszczyć tej chwili, za nic w świecie.

Zapukałam lekko w otwarte drzwi.

— Aj! — Haley szybkim ruchem wyłączyła monitor. Obróciła się razem z krzesłem, podniosła na mnie niewinne zielone oczy. — Skończyłam matkę, więc chwilę pogadałam z Mandy.

Nawet jeśli kłamała, było mi to całkowicie obojętne. Niech sobie gada. Niech robi, co jej się żywnie podoba.

— Nie ma sprawy — oświadczyłam, po czym westchnęłam. — Kochanie, właśnie dzwonił doktor Jackson. Masz złe wyniki morfologii.

— Psiamać.

— Nie mów tak.

— A tobie wolno? Bez przerwy tak mówisz.

— Fakt. Nie powinnam.

— Mamo, nie chcę wracać do szpitala.

Jej oczy błagały o pozwolenie na zostanie w domu. Serce mi się krajało.

— Musisz iść, córeńko. Nic nie poradzimy. Dźwignęła się na nogi.

— To jest kompletnie do chrzanu.

— Zgadzam się z tobą całkowicie.

— Czyli nie dostanę chemii w przyszłym tygodniu? Nie potrafiłam rozszyfrować, czy miała nadzieję, że następna chemioterapia zostanie odsunięta w czasie, czy też martwiło ją wydłużenie kuracji.

— Zależy, jak wtedy będzie wyglądała twoja krew. Bierz, co trzeba, i jedziemy.

Przytrzymała mnie wzrokiem, ściągnęła brwi, jedną dłonią ścisnęła poręcz krzesła.

— Mamo... — odezwała się w końcu. — Nie mów tacie, dobrze?

Inna matka może by nie zrozumiała intencji wyrażonej tymi kilkoma słowami, ja pojęłam w lot. Haley się bała. Bryan dał dyla z podwiniętym ogonem z powodu jej choroby. Teraz, po kilku dniach szczęścia, nie chciała znowu być przy nim chora.

— Córciu, tym razem nie wyjedzie — zapewniłam zdecydowanie i wyszłam z pokoju.

Pozostawała mi głupia nadzieja, że jej nie okłamałam.

# *Rozdział 17*

*Emerson*

*Wilmington, Karolina Północna*

— Dobry Boże! — zatchnęła się Tara. Chwyliła list i przeczytała go w milczeniu. Czulałam bicie serca w uszach. Dotknęłam kartki w jej dłoniach.

— Nie wiem, co z tym zrobić — powiedziałam. Podniosła na mnie wzrok.

— W życiu bym jej nie posądziła o coś takiego. Pokręciłam głową.

— Ja też nie. Nadal nie bardzo mogę w to uwierzyć. Przy naszym stoliku pojawiła się kelnerka.

— Proszę bardzo!

Tym razem przyniosła moją sałatkę i stek dla Tary.

— Nie miałam pewności, czy sos do sałatki podać osobno, czy połączyć ją po wierzchu — wyznała, stawiając przede mną talerz.

— Dobrze jest, jak jest — oceniłam, widząc naczynko z sosem.

I tak marne miałam szanse na przełknięcie sałatki, niezależnie od sosu, więc było to bez znaczenia. Chciałam jedynie, żeby kelnerka jak najszybciej odeszła.

— Czy podać teraz coś jeszcze? — spytała.

— Nie — odparła Tara. — Dziękujemy.

Kelnerka wreszcie się wycofała.

Tara odsunęła talerz na bok. Też straciła apetyt.

— Może dlatego porzuciła zawód położnej — zastanowiła się głośno.

Oczywiście! Nie do wiary, że sama na to nie wpadłam.

— Mam wrażenie, jakbym jej wcale nie znała — powiedziałam. — Zgoda, ostatnio często powtarzam te słowa, jednak naprawdę właśnie tak czuję. Nie wiem, czy jej współczuć, czy raczej nienawidzić. Tyle lat trzymać w sekrecie takie wydarzenia...

— A może... może to wcale nie jest prawda? — zastanowiła się Tara. — Rozumiesz, może pisała powieść albo coś takiego i te wynurzenia to tylko eksperyment literacki?

— Byłoby cudownie — zgodziłam się z przyjaciółką. — A wierzysz w taką wersję?

Lekko pokręciła głową.

— Noelle zabiła dziecko — powiedziała wolno, cicho, jakby sprawdzała wagę słów. — Jakaś nieszczęsna kobieta nawet nie wie, że jej dziecko zmarło.

— I że wychowuje cudze.

— Które zostało porwane. — Tara uniosła list. — Jak sądzisz, czy Noelle napisała do tej Anny inny e— mail albo list? Czy Anna poznała prawdę?

— Zastanawiałam się nad tym — przyznałam. — Chybabyśmy o tym wiedziały? Sprawa wyszłaby na jaw, prawda? Nie obeszłoby się bez procesu, jak sądzę. — Sięgnęłam po wino, ale zorientowałam się, że ściany wokół mnie zaczynają falować, więc opuściłam rękę na kolana.

— Znalazłaś jakieś dokumenty procesowe? — spytała Tara.

— Nie, żadnych.

— Noelle mogła wysłać list anonimowo, żeby Anna się nie zorientowała, kto do niej napisał.

Pokiwałam głową.

— Można uznać, że planowała ten list jako anonimową informację — przyznałam. — Mówi tylko, że córka Anny „ma wspaniałych rodziców” i „jest kochana”, jakby nie zamierzała zdradzać tożsamości tych ludzi. Wobec czego swojej tożsamości chyba także nie zamierzała ujawniać.

— A co ma znaczyć wzmianka o artykule w gazecie? — spytała Tara.

— Nie mam pojęcia.

— Co o tym sądzi Ted?

— Nic mu nie powiedziałam.

I może nigdy nie powiem. Wahałam się, czy w ogóle komukolwiek cokolwiek zdradzać, czy raczej spróbować o wszystkim zapomnieć, nie potrafiłabym jednak żyć z tak wielką tajemnicą. W każdym razie nie potrafiłabym żyć z nią sama.

— Taro — odezwałam się cicho — co z tym zrobimy? Zapomnimy o sprawie?

— Raczej nam się to nie uda.

— Straszne, straszne<sup>^</sup>... I pomyśleć, że Ted w ogóle nie chciał zabierać do domu tego pudła... Teraz żałuję, że go nie posłuchałam. Gdybym je zwyczajnie wyrzuciła, niczego bym się nie dowiedziała.

— Ale stało się inaczej i wiesz. Wiemy.

— Koszmar. Nie możemy zawiadomić policji, bo przecież media dostałyby szału. A pamięć po Noelle... Ona zrobiła tyle dobrego... Nikt nie będzie o tym pamiętał, ludzie obrzucają ją błotem...

— Mam propozycję. — Tara odchyliła się na oparcie. — Na razie nie dysponujemy właściwie żadnymi dowodami, że cokolwiek się wydarzyło. Równie dobrze mogła faktycznie pisać opowiadanie. Moim zdaniem, powinniśmy przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o Annie. Jeżeli ona rzeczywiście istnieje i naprawdę miało miejsce to, co jest opisane w liście, wtedy się zastanowimy nad następnym krokiem.

Spłynęła na mnie ulga, a jednocześnie poczucie winy, że wplątałam przyjaciółkę w kłopotliwą sprawę.

— Niepotrzebnie ci o tym powiedziałam. Jeszcze tylko tego ci teraz trzeba. Z drugiej strony, sama nie dawałam sobie z tym rady...

— Na szczęście nie jesteś sama.

— Czyli... — Odwróciłam list w swoją stronę. Litery zamazywały mi się przed oczami. — Najpierw sprawdzimy, czy Anna w ogóle istnieje. Tylko jak? Noelle napisała, że przeczytała o niej w gazecie., wobec tego może... sama nie wiem, przejrzymy stare gazety?

— Warto też poszukać informacji o tym zmarłym noworodku — Tara zadrżała. — Pewnie będzie to ostatnie dziecko odbierane przez Noelle.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

— Mam jej archiwa — powiedziałam.

Czyżbym była tak blisko odkrycia, które dziecko upuściła moja przyjaciółka położna?

Do naszego stolika podeszła kelnerka. Zerknęła na nietknięte dania.

— Nie smakowało paniom? A może podać coś innego?

— zapytała.

— Niczego nam nie trzeba — odparłam.

Tara zaledwie poruszyła dłonią. Był to gest oszczędny, lecz wymowny. „Proszę nas nie niepokoić”. Nie potrzebowała słów.

Kelnerka natychmiast się wycofała.

— Sprawdzę ostatni wpis w rejestrach — podsunęłam.

— Jeśli to dziewczynka... — Umilkłam, zamknęłam zdanie bezradnym wzruszeniem ramion.

— Jeśli to dziewczynka — podjęła Tara — zastanowimy się, co robić dalej.

# *Rozdział 18*

*Noelle*

*UNC Wilmington*

*1988*

Noelle nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Nauka i praktyki szły doskonale, praca rezydentki sprawiała jej ogromną przyjemność. Podopieczne bez wahania zwracały się do niej z wszelkimi troskami, a i nierzadko można ją było zastać z grupą dziewcząt na podłodze na końcu korytarza, zatopioną w rozmowie o chłopakach, o profesorach albo o wzajemnych układach między studentkami. Takie pogaduszki miały charakter minigrup wsparcia, były to przyjemne spotkania, swobodne i serdeczne. Noelle dbała, żeby każdy czuł się mile widziany, by „grupka z końca korytarza” nie zmieniła się w klikę.

Zdaniem innych rezydentów poświęcała nowym zbyt wiele czasu i uwagi. „Wystarczy, że do ciebie trafią w razie potrzeby”, przekonywali. Ona jednak czuła się odpowiedzialna za swoje podopieczne. Chciała im stworzyć bezpieczną przystań. Którejś nocy, gdy jedna z dziewcząt omal nie zmarła na skutek zatrucia alkoholem, długo płakała, mając do siebie pretensje, że nie zorientowała się w sytuacji zawczasu. Z drugiej strony, inną studentkę wyciągnęła z bulimii właśnie dlatego, że zareagowała na czas, a kolejnej służyła radą i pomocą, gdy dziewczyna zaszła w niechcianą ciążę, choć serce jej krwawiło, gdyż niedoszła matka zdecydowała się na aborcję.

Krótko mówiąc, kochała swoje podopieczne. A fakt, że jedną z nich kochała bardziej niż inne, nauczyła się ukrywać.



Panowała nad emocjami, robiła, co w jej mocy, by Emerson McGarrity traktować tak samo jak inne dziewczęta. Jeżeli nawet ktoś zauważył, że zwraca na tę dziewczynę nieco większą uwagę, że rozpromienia się na jej widok, że częściej niż inne wypytuje ją o życie w kampusie, o zajęcia i rodzinę, nic na ten temat nie mówił, a na pewno nie jej samej. Nie czuła już potrzeby dzielenia się z Emerson wiedzą na temat ich pokrewieństwa. Wystarczyło, że była blisko i była jej bliska. Emerson nie miała pojęcia o poprzedniej ciąży matki. A Noelle po namyśle zdecydowała się nie wydobywać prawdy na światło dzienne. Nie chciała ranić Emerson ani jej rodziny. Postanowiła natomiast trwać u boku siostry, być zawsze obecna w jej życiu. Nie zamierzała jej stracić.

Tarę również polubiła. Przyjaciółka siostry, otwarta i ekspansywna, równoważyła spokojne, ciche usposobienie Emerson. Okazała się też znacznie bardziej złożoną naturą, niż można było sądzić na pierwszy rzut oka. Jej matka przez większość życia córki przebywała w szpitalach psychiatrycznych. Dziewczyna nie opowiadała o tym każdemu. Noelle, obdarzona zaufaniem, przyjęła jej zwierzenia ze wzruszeniem. Uznała, że miłość Tary do teatru jest rodzajem ucieczki od dzieciństwa i wczesnych lat dorostania, które nie należały do łatwych.

Idylliczny obraz maćła jedna rysa: Sam Vincent.

Noelle intrygowała niejednego chłopca z kampusu, lecz sama do tej pory była zainteresowana, poważnie zainteresowana, zaledwie dwa razy. Sam okazał się numerem trzecim.

Poznała go w drugim tygodniu zajęć. Zajrzała do pokoju Tary i Emerson, by im zaproponować batoniki zbożowe, a zastała tam jego, samego, bo obie lokatorki piekły ciasteczka w studenckiej kuchni. Leżał wyciągnięty na schludnie zaścielonym łóżku Tary, pisząc coś w notesie. Podniósłszy na nią wzrok, uśmiechnął się, i więcej nie było trzeba. Ten uśmiech ją znokautował. Kolana się pod nią ugięły, a serce wa-

liło niby młotem, jak wtedy, gdy po raz pierwszy weszła do tego pokoju i zobaczyła Emerson.

— Ty jesteś Sam — odezwała się — zerkając na fotografię długowłosego chłopaka ustawioną na toalecie Tary.

Na żywo Sam wyglądał inaczej. Na zdjęciu widniał chłopiec. Tutaj, z krótszymi włosami, na łóżku Tary leżał mężczyzna. Był smukły. W niczym nie przypominał zwalistego siłacza. A jej nigdy nie pociągali wzorcowi macho. Rzęsy gęste i czarne jak węgiel okalały niebieskie oczy. Usta miał pełne, trochę wydęte, i tylko przez lekko cofniętą brodę nie był klasycznie piękny.

— Racja. Czekam na Tarę. Ty też mieszkasz w akademiku?

— Jestem tu rezydentką. Nazywam się Noelle.

— Aha. — Usiadł, oparł się plecami o ścianę. Odłożył notes, założył ręce na piersi. — Tara mi o tobie mówiła. Podobno jesteś fajna.

Noelle uśmiechnęła się i usiadła przy biurku Emerson.

— Miło mi to słyszeć. Ja też ją lubię. — Głową wskazała notatnik. — Nad czym pracujesz?

— To dziennik. — Uśmiechnął się szeroko, z leciuteńkim zakłopotaniem. Położył notes na udzie. Ramiona miał opalone, obsypane ciemnymi włoskami. — Tak tylko próbuję. Sama rozumiesz. Zapisuję najczarniejsze myśli, najgłębsze rozważania.

Spodobała jej się ta odpowiedź. Chłopak piszący dziennik. Gdyby nie uznała go za wyjątkowego już wcześniej, z pewnością doszłaby do tego wniosku teraz. Jakiś czas rozmawiali o college'u, o planach Sama związanych ze studiowaniem prawa. Powiedział, że Tarę zna od dziecka, co nie było dla niej żadną nowiną. W zasadzie w ogóle nie powiedział jej nic, czego by już nie wiedziała, ponieważ Tara mówiła o nim bez ustanku. Teraz między nimi dwojgiem słowa rodziły się swobod-

nie, lecz mogliby się bez nich obejść. Albo rozmawiać o pogodzie czy o tym, co było wczoraj na kolację. Nie miały najmniejszego znaczenia. Nie one pozwalały im się rozumieć. Połączyła ich więź znacznie głębsza. Noelle wiedziała o tym doskonale, a co więcej, miała pewność, że on odczuwa to samo. Poznała to po tym, jak na nią patrzył. Jak się do niej uśmiechał, bez względu na to, co mówiła.

Podsunęła mu jeden z batoników i pożerała wzrokiem długie, smukłe palce zsuwające opakowanie. Ugryzł kawałek, zlizął okruszki z warg, nadal nie spuszczać z niej wzroku. Oczami wyobraźni zobaczyła ich oboje razem w łóżku, nagich. Wsuwał się w nią. Miała go między udami. Nawet nie próbowała wymazać tego obrazu. Gdyby nie Tara, spytałaby go bez wstępów: „Chcesz się kochać?”

Taka już była. Po co tracić słowa. A on, gdyby nie należał do Tary, powiedziałby: „Tak”.

Był jednak związany z Tarą, a Noelle w głębi serca miała niezachwianą pewność, że tak już zostanie na zawsze.

# *Rozdział 19*

*Anna*

*Waszyngton*

*2010*

Najbardziej nie znosiłam, gdy Haley dostawała narkozę. Przez godzinę, dwie albo i trzy wyglądała na martwą. Nieodmiennie się pocieszałam, że gdy jest nieprzytomna, nie czuje bólu. Mimo wszystko jej bezruch, brak kontaktu, bladość twarzy zawsze mnie przerażały.

Dwa dni wcześniej miała transfuzję, dzięki czemu morfologia pięknie się poprawiła. Tym razem chirurg przeniósł Haley port z jednej strony obolałej klatki piersiowej na drugą i jednocześnie pobrał szpik kostny. Niekończąca się tortura. Na pozór Haley ze stoickim spokojem przyjęła słowa lekarza, gdy ten tłumaczył jej plany na dzień dzisiejszy, ja jednak miałam, wrażenie, że gdyby nie obecność Bryana, wydrapałaby mu oczy. Przy Bryanie zachowywała się grzecznie. A ja wolałam ją zadziorną. Z przyjemnością słuchałam, jak przeklinała lekarzy. Powstrzymywanie gniewu i frustracji nie wychodziło jej na zdrowie.

A chciała, żeby tatuś uważał ją za kochaną dziewczynkę, jaką zresztą była normalnie, jeśli tylko nie faszowano jej steroidami i nie walczyła o życie.

Chyba nie do końca pojęła następstwa pobrania szpiku. Lekarze starali się ocenić, czy można mówić o chorobie resztkowej. Jeżeli znajdą na nią dowody, będzie to znaczyło, że chemioterapia nie zadziałała i niezbędny będzie przeszczep szpiku kostnego. Przerażała mnie myśl, że wiązało się to z kolejną wyczerpującą organizm chemioterapią i nasświetlaniami całego ciała w celu wyłączenia układu odpornościowego,

a to wszystko stanowiło jedynie przygotowania do samego przeszczepu. Oczywiście trzeba by znaleźć dawcę. Dlatego też, gdybym się modliła, zanosiłabym teraz modły, by choroby resztkowej nie wykryto. Żeby jej nie było. Gdy Haley była mała, udało się pokonać białaczkę samą chemioterapią, choć trwała ona prawie dwa lata. Miałam nadzieję, że tym razem też się uda.

Upewniłam się, że pielęgniarki znają numer mojej komórki, i zeszałam do kawiarni. Musiałam się napić kawy, a także skontaktować z biurem. Bryan pojechał na rozmowę w sprawie pracy do Bethesda. Gdy mu powiedziałam o zabiegu, proponował, że odwoła spotkanie, lecz zachęciłam go, by się na nie wybrał. Niewiele brakowało, bym powiedziała, że przywykłam do dbania o córkę samotnie, ugryzłam się jednak w język. Nie czas na podsycanie w nim poczucia winy.

W drodze powrotnej do skrzydła wschodniego zboczyłam na Oddział Intensywnej Terapii Noworodków. Nie pierwszy raz od nawrotu choroby u Haley nogi zaniósł mnie na korytarze OITN, chociaż teraz dzieci znajdowały się w osobnych salkach, bezpieczne, i nie mogłam ich widzieć, jak przed laty. Właściwie nawet mnie to cieszyło. Chciałam, żeby ich nie było widać.

Sprawy zawodowe prowadziły mnie niekiedy po szpitalach i zawsze w końcu szłam zobaczyć wcześniaki. Poruszał mnie widok maleństw podłączonych do tych wszystkich tub i rurek. Maleńkie klatki piersiowe, unoszące się z wysiłkiem, walczące o każdy oddech. Bezbronne istotki. Dramatycznie zależne od cudzej opieki.

Dlaczego zadawałam sobie ból? Po co na nie patrzyłam? W jakim celu zapamiętywałam drobne rysy twarzy, szukając dziewczynki przypominającej Lily? Czasami nie umiałam wyjść. Musiałam pilnować dzieci. Pielęgniarki nie mogły przecież zajmować się każdym z nich bez przerwy. Nawet tutaj, w przebudowanym OITN szpitala dziecięcego, doszukiwałam się złych intencji w twarzy każdej napotkanej osoby. Wtedy zyskiwałam pewność, że czas odejść. Starłam się o posadę dy-

rektora Biura do spraw Dzieci Zaginionych częściowo ze względu na własne cierpienie, ale również po to, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Utrzymać stan, który pozwalał mi się zdystansować do własnego cierpienia i w odpowiedni sposób zadbać o funkcjonowanie biura. Właśnie dlatego musiałam odejść, gdy zaczynałam sobie wyobrażać, że ktoś, może jedna z pielęgniarek, a może osoba zupełnie obca, wchodzi na oddział, odłącza jedną z tych kruchych, bezradnych istotek od wszystkich rurek oraz czujników i znika z nią za drzwiami.

Ta jedna przyczyna wystarczyła, bym wołała urodzić Haley w domu, choć nigdy nie byłam zwolenniczką porodów domowych. Nie należałam do kobiet, które nie ufały systemowi opieki zdrowotnej albo bały się niepotrzebnego cesarskiego cięcia, wykonanego z jednej tylko przyczyny, a mianowicie dlatego, że położnik śpieszył się na golf. Chciałam urodzić Haley w towarzystwie osób ukochanych, z pomocą położnej, której referencje prześwietliłam na prawo i lewo, oraz jej pomocnicy, którą znam od zawsze.

Zadzwoiła komórka. Idąc w stronę onkologii, sprawdziłam, kto dzwoni. Lekarz Haley. Zatrzymałam się, wdu— siłam przycisk bluetotha.

— Co się dzieje? — spytałam.

— Budzi się — powiedział. — Jest w świetnej formie.

— Zaraz przyjdę.

; Idąc, zadzwoniłam do Bryana.

— Budzi się — oznajmiłam.

W tle usłyszałam kobiecy śmiech. To ma być rozmowa w sprawie pracy? Ukłuło mnie niedowierzanie. Po czym natychmiast napomniałam sama siebie, że nie dla mnie Bryan wrócił na stare śmieci, tylko dla córki. Musiałam o tym pamiętać.

— Jak się czuje?

— Podobno świetnie.

— Będę za dwie godziny. Mogę być za dwie godziny?

— Możesz. — Sama usłyszałam chłód w swoim głosie.

— Przywieźć ci coś?

— Nie trzeba. — Im bliżej byłam sali pooperacyjnej, tym szybciej szłam. — Tylko ona jest mi potrzebna.

Wsunęłam rękę w dłoń córki. Na spuchniętej twarzy chwilowo gościł spokój. Siedziałam przy łóżku i patrzyłam na trzepotanie powiek. Na wygięcie bezwładnych ust. Szukałam jakiegokolwiek znaku, że do mnie wraca. Anestezja okazała się konieczna już trzeci raz w ciągu ostatnich kilku miesięcy i za każdym razem bałam się, że Haley nie wróci do normalnego stanu, że znieczulenie ją zmieni. Na szczęście gdy otworzyła oczy, w zmęczonym uśmiechu natychmiast rozpoznałam swoją dzielną córkę.

— Tadam! — zanuciła słabo.

Dotknęłam jej policzka.

— Poszło świetnie — powiedziałam. — Doskonale.

Pielęgniarka w błękitnym fartuchu pochyliła się, by z odległości zaledwie kilku centymetrów obejrzeć zaróżowioną skórę wokół nowego portu na klatce piersiowej Haley.

— Jak duży ból odczuwasz w skali od jednego...

— Trzy — odpowiedziała Haley, zanim siostra skończyła zdanie.

— Twoje „trzy” oznacza „sześć” u przeciętnego człowieka — skostatowała pielęgniarka.



Znała moją córkę. Wszyscy w tym szpitalu ją znali. Nazywali ją „stałym gościem”. Bo wracała na oddział.

— Mniejsza o większość — rzuciła Haley. Przeniosła spojrzenie na mnie. — Gdzie tata?

— W drodze.

— Fajno — oceniła.

Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. Po chwili znowu zapadła w sen. ;

Godzinę później siedziałam przy niej w pokoju o ścianach pomalowanych na kolor limonki. W sali pooperacyjnej na przemian budziła się i zasypiała, teraz natomiast zasnęła głębokim snem, a ja jej nie przeszkadzałam. Siedziałam na wersalce, rozkładanej w podwójne łóżko, i pracowałam na laptopie. Same sprawy administracyjne, nudne, lecz niezbędne. Co kilka minut przerywałam na chwilę i przyglądałam się twarzy Haley, pobladłym, zbyt okrągłym policzkom, znikającej wysypce na szyi, pozostałości po którymś leku. Wetknęłam jej w ramiona Freda, jego wielkie brązowe oczy z plastiku gapiły się w przestrzeń. W pewnym momencie zjawił się pielęgniarz. Był to Afroamerykanin, chudy jak szczapa, z okularami na nosie. Rozpoznałam go natychmiast.

— Tom!

— Witam szanowną panią. Pani mnie pamięta?

— Oczywiście! — Wstałam, uścisnęłam go serdecznie. Przed dziesięciu laty również zajmował się Haley, obie go uwielbiałyśmy. Nie zmienił się ani na jotę. — Nie wierzę własnym oczom! Ty ciągle tutaj!

— A gdzie miałbym być? — zaśmiał się. — Chociaż faktycznie, jakiś czas mnie nie było, kilka miesięcy, musiałem zająć się sprawami rodzinnymi... — Przewrócił oczami. — Wracam ci ja dzisiaj z samego



rana i kogo widzę na tablicy? Pannę Haley Nadzieję Knightly. — Pokręcił głową ze smutkiem. — Bardzo mi przykro, że musi znowu przechodzić przez to wszystko.

— Mnie też.

Pamiętałam, jak któregoś razu się zagalopował i opowiedział o dzieciach po latach od ustąpienia choroby wracających na onkologię. Niesłychane, co człowiekowi zostaje w pamięci. Najgorsze koszmary. Wtedy Ted szybko się opamiętał. To też mi zostało we wspomnieniach. Wykonał szybki zwrot, tłumacząc mi, że większość dzieciaków po prostu wraca do zdrowia i, jego zdaniem, Haley należy właśnie do tej grupy.

Sprawdził, czy parametry życiowe mojej córki pozostają w normie, poprawił jeden z woreczków zwisających ze stojaka na kroplówki. Potem jego wzrok padł na fotografię Haley z kuzynkami, ustawioną na szafce przy łóżku, i oczy mu się zaświeciły.

— Proszę, proszę! — zakrzyknął radośnie. Wziął zdjęcie w rękę. — Ależ te dziewczyny wyrosły.

— Pan je pamięta? — upewniłam się zaskoczona.

— Jakże miałbym je zapomnieć? Wpadały tu jak burza, gadały jedna przez drugą, a podobne do siebie kubek w kubek, człowiek by przysiągł, że to pięcioraczki.

— Czworaczki — skorygowałam. — Cztery siostry. Dwie bliźniaczki, a między pozostałymi są zaledwie dwa lata różnicy.

— Muszę się pani przyznać, że nie znosiłem ich wizyt — wyznał ze śmiechem. — Od razu się przy tych maluchach robił koniec świata.

— A Haley to uwielbiała.

Tom wskazał dziewczynę w centrum kadru.

— A to nasza panienka Haley.

Zdjęcie zrobiono minionego lata na jednej z przybrzeżnych wysp. W tle widniała zbudowana z czerwonej cegły latarnia morska Corolla, a dziewczęta ubrane w kostiumy kąpielowe upozowały się na wampy. Madison i Mandy stały po lewej, Megan i Melanie po prawej. Wszystkie miały włosy ściągnięte w końskie ogony, u każdej ciemne włosy spływały przez ramię. Haley wyróżniała się jaśniejszym kolorem włosów i oczu. Pamiętam, dostała wtedy takiego ataku śmiechu, że miałam kłopot ze zrobieniem zdjęcia.

Wyglądała na całkiem zdrową. Próżno by szukać śladów choroby, która przecież już wtedy zapuszczała korzenie w jej ciele. Haley zabierała to zdjęcie ze sobą przy każdej wizycie w szpitalu. Ja byłam temu przeciwna. Po co miała dzień w dzień porównywać siebie sprzed niedawnego czasu z aktualnym wyglądem?

— Podobno tym razem jest z wami tata — odezwał się Tom.

Odstawił zdjęcie na miejsce, zapisał coś w karcie Haley.

Przebiegły mi przez głowę najróżniejsze odpowiedzi, postanowiłam jednak wyjątkowo okazać miłosierdzie.

— Tak. Mieszkał w Kalifornii, ale przyjechał, od razu, jak mu powiedziałam o nawrocie choroby.

— Poprzednim razem byłyście tylko we dwie. — Skończył uzupełnianie karty, popatrzył na mnie przez szerokość łóżka. — Nie wiem, żebym pamiętał każdego pacjenta, ale panią i córkę pamiętam bardzo dobrze, bo ona, chociaż była jeszcze małym dzieckiem, zachowywała się jak dorosła. Troszczyła się o panią przynajmniej tak samo, jak pani o nią.

Jego słowa mogłyby się wydawać dziwne, lecz były prawdziwe. Haley zawsze potrafiła wyczuć, że we mnie coś pękło, nawet gdy uda-

wało mi się tę skazę ukryć przed całą resztą świata. Wiedziała swoje. Gdy trochę podrosła i powiedziałam jej o Lily, zrozumiała, w czym rzecz. Miałam wrażenie, że ona również boleje nad tą stratą.

— Pani wtedy pracowała jako reprezentantka firmy farmaceutycznej.

— Uhm. — Zamknęłam laptop. — Zmieniłam zawód, gdy Haley zachorowała.

I tak nie miałam szans na zrobienie kariery, bo po urodzeniu córki odmówiłam podróżowania, a był to przecież najistotniejszy element tego zawodu. Te wyprawy do Wil— mington. Wtedy uwielbiałam to miasto. Teraz go nienawidziłam.

— Bryan wyszedł z wojska — uściśliłam — i zaczął pracować dla IBM.

— Wcale go nie pamiętam.

— Wyjechał zaraz po tym, jak Haley zachorowała. Nie dał sobie rady z jej stanem.

Pomijając inne sprawy, dodałam w myślach.

— Jak długo byliście małżeństwem? — spytał Tom.

Dostrzegłam na jego palcu obrączkę. Dawniej chyba nie miał.

— Sześć lat.

Dzieliłam te lata na trzy okresy. Dwa cudowne lata, gdy byliśmy tylko we dwoje. Mieszkaliśmy w Fort Belvoir, uwielbiałam swoją pracę. Byliśmy młodzi, pełni energii, żyliśmy z pasją, której teraz już właściwie nie pamiętałam.

Potem wszystko się popsuło. Bryan został przeniesiony do Somalii, gdzie o mało nie został zabity. Ja urodziłam Lily, dostałam zawału serca, ledwo przeżyłam. Koszmar, z której strony by na to patrzeć.

Utkwiliśmy , w związku pełnym napięć, w małżeństwie, w którym nagle zabrakło miłości. Szczęśliwie on znowu wyjechał za ocean. Tak w każdym razie uważałam. W czasie jednej z jego urlopowych wizyt zaszłam w nieplanowaną ciążę wbrew zaleceniom lekarzy, co stanowiło dowód, że pigułki antykoncepcyjne nie mają stuprocentowej skuteczności. Moja ciąża dowodziła również, że można się kochać, chociaż człowiek czuje się martwy w środku. Wbrew obawom lekarzy miałam idealne ciśnienie, czułam się doskonale i zyskiwałam coraz śmielszą nadzieję. Przez rok po narodzinach Haley w naszej rodzinie panowała ostrożna radość. Bryan porzucił wojsko i podjął pracę w IBM, więc był bliżej domu. Pamiętam, wtedy miałam wrażenie, że nas pilnuje, nadrabiając ten pierwszy raz. Nasze szczęście było kruche, dopiero zaczęliśmy w nie wierzyć, gdy u Haley zaczęło się gorączkowanie. Bryan zniknął tak szybko, że nawet się nie zorientowałam, na co się zanosi. Jednego dnia był z nami, następnego już ślad po nim nie został. Jak mógł nas zostawić, odciąć się od własnego dziecka? Jego zachowanie było dla mnie w tym samym stopniu niezrozumiałe, co niewybaczalne.

— Dobrze, że jest przy małej — zauważył Tom — skoro ona go potrzebuje.

Kiwnęłam głową.

— Racja — przyznałam, tłumiąc w sobie gniew.

Będę musiała znaleźć sposób na pogrzebanie przeszłości.

Dwadzieścia minut później, gdy znów siedziałam przy laptopie, do pokoju wszedł Bryan. Ledwo na mnie spojrzał, od razu podszedł do łóżka Haley.

— Jak się czuje?

Ze wzrokiem utkwionym w twarzy córki lekko dotknął jej ramienia.

— Pytała o ciebie od razu po odzyskaniu przytomności — powiedziałam.

— Naprawdę?

W okularach odbił się blask słońca wpadającego przez duże okno niedaleko łóżka.

Nie mogłam opanować wzruszenia wywołanego przez czułość w jego głosie, zawartą w jednym jedynym słowie.

— Naprawdę. Jak poszło spotkanie?

Wzruszył ramionami.

— Chyba dobrze. Zobaczymy.

Przypomniał mi się śmiech w tle rozmowy telefonicznej. Nie rozumiałam, dlaczego mi to tak przeszkadza. Owszem, ja siedzę z nieprzytomną córką, a on sobie żartuje z jakąś inną kobietą, i co z tego? Właściwie sama nie wiedziałam, czego od niego chcę.

— Kiedy będzie wiadomo, czy to nie choroba resztkowa?

— zapytał.

— Pewnie jutro, może pojutrze. Nie wcześniej.

— Chcesz odpocząć? Mogę z nią posiedzieć.

Popatrzyłam na śpiącą córkę. Gdyby nie spała, mogłabym skorzystać z jego propozycji, ale w tej sytuacji, gdy była słaba i wycieńczona, nie mogłam jej zostawić. Nie mogłam spuścić z oka swojego bezbron- nego dziecka. Nie mogłam tego zrobić ponownie.

Jeff Jackson zadzwonił następnego wieczoru. Dostał wyniki badania szpiku kostnego Haley.

— Niestety, chemioterapia nie dała oczekiwanych wyników — powiedział. — Bardzo mi przykro.

Oż, psiamać.

Siedziałam akurat w oddziałowej kawiarence, z Haley zo— stał Bryan. Gdy wychodziłam, grali w słówka. Nie spodziewałam się informacji tak szybko i nie taką chciałam otrzymać.

— Czyli będziemy się przygotowywali do przeszczepu? — zapytałam.

— Dostosujemy chemioterapię tak, by uzyskać odpowiedni stan organizmu. Jednocześnie szukamy dawcy. Wyniki badania szpiku są gorsze, niż oczekiwałam, musimy szybko znaleźć odpowiednią osobę. Umówię panią na jutro z Dougiem Davisem, szefem zespołu transplantacyjnego. Zapozna panią ze wszystkimi szczegółami.

— Czy sprawdzi zgodność moją albo Bryana? — spytałam. — Możemy od razu zostać poddani testom?

— Wolałbym, żeby pani z nim o tym rozmawiała.

— Czy mam rozumieć... — Utkwiłam wzrok w ekranie laptopa, nie wiedząc, na co patrzę. — To są właściwie dobre czy złe wieści?

— Ani takie, ani takie — odparł lekarz. — Jest, jak jest.

Nienawidziłam tego wyrażenia. Ciekawe, co by było, gdybym taką informację przekazała rodzinie zaginionego dziecka. Jest, jak jest.

— Proszę o bardziej konkretną odpowiedź.

Milczał dłuższą chwilę.

— Wolałbym, żeby wyniki były lepsze — powiedział w końcu.

Wiedziałam, że więcej z niego nie wyciągnę.

— Rozumiem. — Dałam mu spokój.

Zostałam z problemem sama. Raptem przypomniał mi się Bryan dotrzymujący towarzystwa Haley. Przecież ona go lubi. Ile ciepła było w jej głosie, gdy o nim mówiła. Jak bardzo przywiązała się do samego słowa „tata”. Przed oczami miałam Bryana z poprzedniego dnia, gdy pojawił się w szpitalnym pokoju, niedługo po operacji. Od razu podszedł do łóżka. Dotknął ramienia córki. Zakiełkowała we mnie nieśmiała nadzieja, że może tym razem jednak nie będę całkiem sama.

TLR

## *Rozdział 20*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

Wydawało mi się, że krzyczę. Obudziłam się gwałtownie, zerwałam z łóżka i dopiero wtedy dotarło do mnie, że to nie mój głos, tylko Grace. Pognałam korytarzem do jej pokoju, gotowa bronić córki przed każdym napastnikiem. Wyłupić draniowi ślepie gołymi rękami.

Tymczasem ona była sama. Zalana światłem księżycy, siedziała na łóżku pochylona, dłońmi zakrywała uszy. Szybko przycichła, zanim do niej podeszłam, głos miała zduszony, ledwo słyszalny.

— Ratunku — mamrotała. — Ratunku.

— Kochanie! — Zamknęłam Grace w ramionach, jak gdybym ją otulała kokonem. — Już dobrze, córeńko, już dobrze. — Przygarnęłam ją do siebie i kołysałam miarowo. — To tylko zły sen. Tylko sen.

Znałam to od dawna. Przytulałam ją tak, gdy była maleńka. Teraz, choć zrobiłabym wszystko, by jej oszczędzić cierpienia, napawałam się jej dotykiem, uradowana, że mnie nie odpycha.

— Co ci się śniło, kochanie? Chcesz mi opowiedzieć?

Samowi zawsze opowiadała sny. Zalewała go potokiem słów, a on słuchał z uwagą, jakby każdy cenny szczegół chciał zachować na zawsze.



Pokręciła głową wetkniętą pod moją brodę. Ścisnęła mi ramię i puściła, znowu ścisnęła i znów puściła. Tak samo zaciskała i otwierała piąstkę na mojej piersi, gdy ją karmiłam.

— Tata ci się śnił? — spytałam i zbyt późno ugryzłam się w język. Nie powinnam była naciskać.

— Noelle umarła przeze mnie — powiedziała tak cicho, tak niewyraźnie, że sądziłam, iż się przesłyszałam.

— Przez ciebie? Kochanie, skądże! Jakim sposobem?

Znowu pokręciła głową.

— Powiedz mi — poprosiłam. — Dlaczego tak sądzisz?

Odsunęła się ode mnie, odrobinę. Nadal byłyśmy przytulone, tylko nie tak mocno. A gdy pogładziłam ją po plecach, nie uciekła.

— Tego dnia, gdy się zabiła, przysłała mi list — usłyszałam. — Wiesz, namawiała mnie do pracy dobroczynnej.

— Hm.

— I Cleve też wtedy się do mnie odezwał. Odpisałam mu, strasznie na nią nagadałam. O tym, jaka jest irytująca, i w ogóle. Same przykre słowa. Że ma świra na punkcie tej roboty, itede. A potem, zaraz jak kliknęłam „wyślij”, dotarło do mnie, że wysłałam to do niej, a nie do Cleve'a.

— Ojej. — Szczęściem było dość ciemno, by nie widziała mojego uśmiechu. Doskonale rozumiałam jej uczucia. Kto ich nie zna? Z drugiej strony, równie dobrze potrafiłam sobie wyobrazić, co czuła Noelle, otrzymawszy taki list od dziewczynki, którą bezdyskusyjnie uwielbiała. — Każdemu się zdarza...

— A ona się zabiła — wpadła mi Grace w słowo. — Parę godzin... a może parę minut po tym, jak dostała mój e— — mail. Przeczytała te

wszystkie okropne rzeczy, które o niej napisałam, i popełniła samobójstwo.

— Córeńko, to nie tak. Nie możesz się obwiniać za jej śmierć. Nawet nie wiesz, czy w ogóle przeczytała ten list. A nawet gdyby, to uwierz mi, jeden e— mail nie wystarczy, by skłonić człowieka do takiego kroku. Nie wiem, dlaczego odebrała sobie życie, powód jednak z pewnością był znacznie poważniejszy i istniał od dawna.

Sama miałam kłopoty ze snem od czasu, gdy Emerson pokazała mi list pisany przez Noelle, czyli trzecią dobę. Nie mogłam się na niczym skupić. Bez przerwy stał mi przed oczami obraz noworodka wypadającego mojej przyjaciółce z rąk. Gdzie to się zdarzyło? Kiedy? Co ona przeżyła...! Bez skutku starałam się wymazać tę scenę z wyobraźni. Żalowałam, że nie mogę o wszystkim opowiedzieć Grace, zdjąć z niej brzemienia winy. Niestety, ta — mroczna tajemnica musiała na razie pozostać wyłącznie między mną a Emerson. Może nawet na zawsze.

W miarę jak Grace przytomniała i oddalała się od sennego koszmaru, rósł między nami znieawidzony mur i nabrzmiewała kamienna cisza. Jak zwykle, nie potrafiłam ich znieść.\*

— Dowiedziałam się o Noelle pewnych rzeczy — zaczęłam bez namysłu — które mogłyby tłumaczyć jej depresję. — Musiałam zabić tę ciszę. — A co za tym idzie, samobójstwo. Możesz mi wierzyć, kochanie, że nie mają one nic wspólnego z tobą. Twój list nie miał żadnego wpływu na jej decyzję.

— A konkretnie? — Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, jej oczy zabłyśły w świetle księżyca.

— Na razie nie mam prawa o tym mówić. Staramy się z Emerson dotrzeć do sedna, wybadać powody jej przygnębienia. Doszliśmy do wniosku, że przed laty miało miejsce pewne zdarzenie...

— Była molestowana?

— Nie, nic podobnego. — Niepotrzebnie zaprzeczyłam. Przecież istniało niemałe prawdopodobieństwo, że nigdy nie będę mogła przedstawić Grace tego, co wiedziałam o Noelle. — Nawet nie znam szczegółów, mówię ci o tym po to, żebyś nie brała winy na siebie. Wystarczy, jeśli powiem, że śmierć Noelle nie ma z tobą absolutnie nic wspólnego. Rozumiesz?

Leciutko kiwnęła głową, odsunęła się ode mnie i położyła.

— Dasz radę zasnąć?

— Jasne.

Podciągnęła kołdrę pod brodę, odwróciła się do ściany. Bez przytulonej Grace ogarnął mnie chłód. Nie chciałam wychodzić. Dotknęłam jej ramienia, pogładziłam.

— Dzisiaj nie pracujesz? — spytałam.

— Nie. Jutro.

— Wobec tego dzisiaj mogę cię zabrać ze szkoły do domu. o — Jenny mnie podrzuci. V

Przez moment szukałam odpowiednich słów.

— Ciągłe jesteś niespokojna, córeńko — powiedziałam wreszcie. — Tak bardzo przypominasz tatę... Bijesz się z myślami, a to nikomu nie wychodzi na zdrowie. Może byśmy dzisiaj...

— Mamo! — Przekręciła się na plecy i choć nie widziałam jej twarzy wyraźnie, miałam pewność, że mierzy mnie ostrym spojrzeniem. — Spać mi się chce!

— Oczywiście. — Uśmiechnęłam się do siebie ponuro. Dała mi palec, z ja chciałam całą rękę. Pochyliłam się nad nią, pocałowałam ją w policzek. — Kocham cię, córeńko. Śpij spokojnie.

Rano musiałam się solidnie wziąć w garść, by nie sprawdzać, jak się czuje Grace po zarwanej nocy. Taka to właśnie jest zaleta, a równocześnie przekleństwo uczenia w szkole własnego dziecka. Ma się do niego zbyt łatwy dostęp. Grace z pewnością nie byłaby zachwycona dowodami mojego zainteresowania, więc w rezultacie przez cały dzień robiłam, co mogłam, żeby nasze drogi się nie zeszły.

Gdy po zajęciach wróciłam do domu, lampka na kuchennym aparacie telefonicznym mrugała, informując o nowej wiadomości. Wcisnęłam kod, przyłożyłam słuchawkę do ucha.

— Cześć, Taro — usłyszałam Iana. Zaśmiał się cicho. — Muszę ci się przyznać, że podskakuję za każdym razem, gdy słyszę głos Sama z sekretarki. Z drugiej strony, miło jest go usłyszeć. Dzwonię bez szczególnego powodu. Upewniam się tylko, że u ciebie i Grace wszystko w porządku.

Odłożyłam słuchawkę.

Aha.

Szczerze mówiąc, kompletnie zapomniałam, że to akurat Sam nagrał powitanie na sekretarce. Em wspomniała o tym niedługo po jego śmierci, ale wtedy spokojnie można mi było powiedzieć, że dom jest fioletowy w różowe ciapki. Też by mi to nie zostało w głowie. A potem pewnie już nie było chętnych, żeby mi o tym przypominać. Dopiero teraz zrobił to Ian, całkiem sympatycznie.

Wyjęłam z torebki komórkę, wybrałam nasz domowy numer. Aparat na blacie zadzwonił czterokrotnie, nim włączył się automat. Ja w tym czasie stałam i czekałam, przygryzając wargę. Wreszcie usłyszałam nagranie.

— Witaj! — usłyszałam Sama jak z sąsiedniego pokoju. — Dzwonisz do Tary, Grace i Sama. Zostaw wiadomość, prosimy. Cześć!

Jakiś czas, zamieniona w kamień, gapiłam się na komórkę, potem się rozplakałam i przytuliłam ją do serca. Osunęłam się na stołek przy wyspie kuchennej i rozszlochałam tak strasznie, że łzy utworzyły kałużę na marmurowej powierzchni. Sądziłam, że mam już za sobą ten rozdział żałoby: łzy, ssanie w dołku, rozdzierający ból serca. Najwyraźniej się jednak myliłam.

Potrzebowałam nieomal pół godziny, by się uspokoić. Wreszcie podniosłam wzrok na telefon, tym razem z determinacją. Należało zmienić nagranie. Koniecznie. Niestety, nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

Zastanowiłam się też, co by powiedziała Grace. Przypomniała mi się jej reakcja, gdy stanąwszy w drzwiach naszej sypialni, zobaczyła ubrania Sama spakowane w czarne worki na śmieci i czekające na wózkę do Goodwill Industries. Minęły wtedy dwa tygodnie od jego śmierci, a ja czułam ogromną potrzebę usunięcia ze swojego otoczenia ubrań, których miał już nigdy nie włożyć. Słyszałam, że niektóre wdowy zostawiają ubrania mężów na długie lata, ale ja cierpiałam katusze za każdym razem, gdy mój wzrok padał na garnitury, koszule, swetry i bojówki, a widziałam je każdego ranka.

— Chcesz o nim zapomnieć! — krzyknęła Grace na widok worków.

Próbowałam ją zatrzymać, chciałam, żebyśmy płakały razem, ale odepchnęła mnie i uciekła do swojego pokoju. Wtedy pomyślałam: „Jutro porozmawiamy”. Niestety, minęło już ze dwieście kolejnych „jutro”, a ona nie zbliżyła się do mnie ani o krok. Żałowałam, że pozbyłam się rzeczy Sama tak szybko. Bo i czy to normalne? Sądziłam, że jeśli nie będą mi się codziennie rzucały w oczy, łatwiej dam sobie radę. Nie wiedziałam, jak trudno patrzeć na pozostałą po nich pustkę.

Podniosłam słuchawkę, wdusiłam na chybił trafił kilka przycisków, próbując się zorientować, jak zmienić nagranie. Grace pewnie i tak niczego nie zauważy. Nigdy nie dzwoniła na telefon stacjonarny.

Właśnie słuchałam instrukcji, gdy Grace weszła do kuchni. Drgnęłam zaskoczona. Nie wiedziałam, kiedy wróciła ze szkoły, pozostawało mi mieć nadzieję, że nie słyszała moich szlochów. Od początku starałam się być silna, właśnie ze względu na nią.

Szybko wyłączyłam telefon, nie chciałam przy niej zmieniać nagrania.

— Co robisz?

Stała po drugiej stronie kuchennej wyspy, mierząc aparat telefoniczny podejrzliwym wzrokiem.

— Chciałam zmienić nagranie powitalne — przyznałam — ale nie pamiętam, jak to się robi.

— Chciałaś wykasować głos taty.

Staralam się ocenić, czy w jej słowach brzmiało oskarżenie. Bezskutecznie.

— Tak. Już na to czas.

Zamiast na mnie, patrzyła na słuchawkę w mojej dłoni.

— Chyba tak — powiedziała, sięgając po nią. — Pomogę ci.

— Dziękuję.

Z wprawą stuknęła w kilka przycisków.

— Cześć, tu Grace.

Podsunęła mi słuchawkę, a ja patrzyłam na aparat bez słowa, nie bardzo wiedząc, co właściwie mam zrobić. Córka spojrzała na mnie jak na osobę ograniczoną umysłowo i wcisnęła jeszcze jeden przycisk.

— Ja powiem: „Cześć, tu Grace” — odezwała się powoli — a ty dodasz „i Tara”, a potem ja dokończę. Pasuje?

— Tak, oczywiście.

Przysunęłam się bliżej, dotykałyśmy się głowami, czułam jej szampon. Bardzo tęskniłam za tym zapachem. Gardło mi się ścisnęło.

— Cześć, tu Grace...

— ... i Tara.

— Zostaw wiadomość — dokończyła i odłożyła słuchawkę. — Załatwione.

— Dziękuję — powiedziałam z uśmiechem.

— Nie ma sprawy.

Wzięła jabłko z misy stojącej na blacie i ruszyła w stronę korytarza. Miałam ochotę ją złapać. Zatrzymać w kuchni. Chciałam spytać, czy udało jej się jeszcze zdrzemnąć minionej nocy. Prosić, by mi opowiedziała, co robiła przez cały dzień. Którego nauczyciela darzy w tym semestrze największą sympatią? Czy rozmawiała ostatnio z Cleve'em?

Nakazałam sobie milczenie, bo to, co się między nami wydarzyło przed chwilą, choć z pozoru mało istotne, było tak szalenie ważne, że aż nieprawdopodobne. Nie chciałam tego zniszczyć.

# *Rozdział 21*

*Anna*

*Waszyngton*

Siedzieliśmy z Bryanem przy biurku Douga Davisa, specjalisty transplantologa, i przyglądaliśmy się, jak kartkuje dokumenty z opasłej teczki Haley. Wyjął z pliku jeden arkusz, położył go na blacie i stuknął w niego palcem.

— Tu jest wynik analizy szpiku kostnego Haley — objaśnił. — Niestety, znalezienie dawcy z tym typem komórek będzie dość trudne, ale nie mówię, że niemożliwe, więc nie ma powodów do pesymizmu.

Patrzył na mnie. Czy wyglądałam na osobę pogrążoną w pesymizmie? Bałam się jak jasna cholera. Czy to na to samo wychodziło?

Dziwnie się czułam w tym szpitalu bez Haley. Pojechała z Marilyn i jej córkami na długi weekend, a ja nie mogłam się doczekać wieczoru i opowieści o wyprawie. Z jednej strony, cieszyłam się, że mogła sobie pozwolić na trzy dni wakacji, z drugiej, trzy dni bez niej okazały się dla mnie ciężkim doświadczeniem. Tęskniłam za nią, a równocześnie byłam wściekła, że następnego dnia będę musiała ją przyprowadzić z powrotem do szpitala, na kolejny zabieg chemioterapii.

Zadzwoiła do mnie rano, wystarczyło kilka słów, bym wiedziała, że świetnie się bawi. Dziewczęta szalały na sztucznym lodowisku w hali sportowej, dopingowały Megan w czasie meczu piłki nożnej, spały w namiocie za domem, wybrały się do kina i parę godzin włóczyły po galerii handlowej. To ostatnie akurat nie wzbudzało mojego entuzjazmu, zależało mi jednak, żeby Haley wchłonęła możliwie najwięcej zwyczajnego życia, dopóki jeszcze mogła. Skoro chciała się włóczyć



po galerii, a z kuzynkami była bezpieczna, no to niech się włóczy, co mi tam.

— Czy można zrobić nam testy dzisiaj? — zapytał Bryan. — Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego państwo zwlekają. Dlaczego do tej pory nikt od nas nie pobrał próbek.

Doktor Davis odpowiedział uśmiechem. Był taki młody! Tak się jakoś porobiło... Któregoś dnia nagle okazało się, że wszyscy lekarze, z którymi mam do czynienia, są ode mnie młodszy.

— Oczywiście, sprawdzimy — powiedział transplantolog — czy któreś z państwa może być dawcą szpiku dla córki. Rodzice jednak najczęściej nie spełniają kryteriów. Nie mogą być dawcami szpiku. Najlepsze jest, rzecz jasna, rodzeństwo. Czy Haley ma rodzeństwo?

Otworzyłam usta, lecz Bryan mnie uprzedził.

— Mieliśmy starsze dziecko... — odchrząknął, poprawił okulary. — Dziewczynkę. Zniknęła wkrótce po narodzinach. Nie wiemy nawet, czy żyje.

Oniemiałam. To były moje słowa. Do mnie należały. Zawsze ja je wypowiadałam. To mnie one grzęzły w gardle za każdym razem, gdy je głośno wymawiałam. On nie wspomniał o Lily ani razu, odkąd przed dwoma miesiącami zjawił się u Haley w szpitalu. Z drugiej strony, czyżbym się spodziewała, że zapomniał o naszym zaginionym dziecku? W jego głosie brzmiał niekłamany smutek. I udręka. Z takim cierpieniem byłam sama przez długie lata.

— Prawdziwa tragedia. — Doktor Davis zdjął okulary. — I dla pierwszej córki państwa, i dla Haley — dodał. — W wypadku rodzeństwa szansa na dopasowanie szpiku wynosi jeden do czterech. Jeśli brać pod uwagę ogół populacji, jest to jeden do dwudziestu pięciu tysięcy.

Raptem wezbrał w mnie gniew na Bryana i na cały świat. Zaskakujące uczucie. Stłumiłam je w sobie, nie bez trudu. Gdybyśmy nadal mieli Lily, szanse na uratowanie Haley wynosiłyby jeden do czterech. Co tu dużo mówić.

— Haley ma kuzynki — powiedziałam, zastanawiając się równocześnie, gdzie plasują się te dziewczuszki w skomplikowanej kalkulacji szans. — Cztery. Są córkami siostry męża.

— Sprawdzimy je, oczywiście — zapewnił lekarz. — Równocześnie jednak zwrócimy się do światowych baz potencjalnych dawców. Osoby, które ocenimy wstępnie jako dawców zgodnych, zostaną poproszone o oddanie próbki krwi... W zasadzie zawsze udaje się odzyskać dawcę, spokrewnionego czy niespokrewnionego, pozostaje tylko kwestia czasu.

Przypomniały mi się wszystkie opowieści o ludziach zmarłych w oczekiwaniu na przeszczep. Sama pamiętałam chłopczyka leczonego w czasie, gdy Haley przebywała w szpitalu dziecięcym za pierwszym razem. Nie udało się znaleźć dla niego dawcy na czas.

Zaczęłam się trząść, jakbym zamarzała.

— Na razie będziemy stosowali u Haley chemioterapię. Mam i dobrą wiadomość: państwa córce prawdopodobnie wyrosną włosy — rzekł doktor Davis z uśmiechem. — Przynajmniej na jakiś czas.

— Dlaczego tylko na jakiś czas? — zapytał Bryan.

Uświadomiłam sobie, że nie widział Haley z włosami od czasu, gdy miała roczek. Wtedy były puszyste, prawie blond. Jako dwunastolatka ściągała je zwykle w niestaranny koński ogon. Długie pasma wymykały się spod gumki i zsuwały na twarz. Nie przywiązywała wagi do wyglądu. Chciałam, by dożyła wieku, gdy zacznie o siebie dbać. Można by powiedzieć, że ja jeszcze do tego nie dorosłam... ciągle niewiele uwagi poświęcałam zabiegom upiększającym, nawet malowałam

się jedynie przed spotkaniami służbowymi. Obojętne, czy Haley okaże się podobna do mnie, czy też nie. Pragnęłam jedynie, by miała szansę uświadomić sobie, jaką chce być kobietą.

— Po znalezieniu dawcy rozpoczniemy przygotowania do transplantacji. Obejmą one dwa tygodnie intensywnej chemioterapii oraz naświetlania. Wówczas Haley ponownie straci włosy. Po transplantacji będzie jeszcze przynajmniej miesiąc przebywała w szpitalu, następnie trzeba brać pod uwagę nie mniej niż cztery miesiące rehabilitacji.

Opowiedział nam także o konieczności odizolowania Haley od otoczenia i skrupulatnego przestrzegania wyśrubowanych wymogów utrzymywania higieny.

— O rany... — westchnął Bryan, równie przybity jak ja.

Lekarz nie powiedział mi nic nowego, odrobiłam lekcje. Widziałam na oddziale dzieci i ich rodziny przechodzące przez tę udrękę. Tyle że dopiero teraz dotarło to do mnie w praktyce. Teraz ten znany z teorii koszmar miał stać się udziałem Haley i naszym.

W samochodzie, w drodze powrotnej do Alexandrii, właściwie się do siebie nie odzywaliśmy. Zatrzymaliśmy się na Starym Mieście na kawę, z kubkami w dłoniach usiedliśmy na jakiejś ławce nad brzegiem Potomacu. Dzień był przepiękny. Po lewej stronie zacumowała biała łódź wycieczkowa. Błyszczała w słońcu. Rzeka lśniła taflą srebra. Chciałam dla Haley wszystkiego, czego sama doświadczałam. Żeby widziała tę łódź. Niechby nią popłynęła. Posiedziała na ławce, błędząc wzrokiem po srebrzystej wodzie. Spróbowała latte. Gdy tylko sobie uświadamiałam, że na coś patrzę, coś wążam czy czegoś dotykam, natychmiast rodziło się we mnie pragnienie, by ona mogła zrobić to samo.

Jakiś czas siedzieliśmy z Bryanem w milczeniu, podziwiając widoki i oswajając się ze wszystkim, co usłyszeliśmy od doktora Davisa.

— Boję się — powiedziałam w końcu. — Nawet jeśli znajdą dawkę, przeszczep będzie skomplikowany i niebezpieczny.

Nie od razu się odezwał. Popijał kawę, zapatrzony w wodę. Już miałam go ponaglić, gdy w końcu otworzył usta.

— Musisz wiedzieć, że zostanę przy was. Nie wyjadę po raz drugi.

Rozumiałam jego intencje, wiedziałam, że chce mi dodać odwagi, lecz zamiast tego mnie wkurzył.

— I słusznie — warknęłam. — Bo zdobyłeś sympatię Haley.

— Nie wyjadę.

Przeniosłam spojrzenie na rzekę, musiałam się solidnie wziąć w garść, żeby powiedzieć, co miałam do powiedzenia.

— Zaskoczyłeś mnie, mówiąc o Lily.

— Dlaczego? Chyba nie sądziłaś, że o niej zapomniałem.

— Szczerze mówiąc, właśnie takie miałam wrażenie.

— Naprawdę?

Odwróciłam się do niego.

— Uciekłeś — powiedziałam mu prosto w oczy. — Zacząłeś nowe życie. Nigdy o niej nie wspominałeś. To znaczy, owszem, rozmawiałeś o jej zniknięciu z policją i z urzędnikami wtedy, gdy to się stało, ale ze mną nigdy, przez tyle lat.

— Nie dałem rady.

— Jasne.

Zdjął okulary, potarł nos.

— Mam sobie to i owo do zarzucenia.

Całkiem słusznie, cholera jasna.

— Słucham uważnie.

Czekałam na sprawozdanie, rachunek sumienia, listę występków. Chciałam mieć pewność, że niczego nie pominie.

Przyjrzał mi się z namysłem, jakby niezdecydowany, czy zrobić następny krok.

— Przede wszystkim żałuję, że nie byłem ojcem dla Haley — powiedział. — I nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Stchórzyłem. Nie zasługiwałem na to określenie od samego początku. Nie pozwoliłem sobie się do niej zbliżyć. Bałem się bliskości, bo nie wiedziałem, czy i druga córka nie przepadnie jak pierwsza. Wiem, to bez sensu, ale tak właśnie czułem.

Rzeczywiście, niewiele wspólnego miał z Haley przez pierwszy rok jej życia. Sądziłam, że to normalne. Między dziećmi i matkami istnieje tak silna więź, że ojcowie, moim zdaniem, są siłą rzeczy nieco odsunięci na bok. Pojęcia nie miałam, że to strach nie pozwalał Bryanowi związać się z Haley.

— Gdy zachorowała... — Pokręcił głową. — To był gwóźdź do trumny. Wziąłem nogi za pas. Jak ostatni tchórz, wiem.

— Teraz też możesz ją stracić — zauważyłam. — I co ty na to?

— Chyba przechodzę specyficzny kryzys wieku średniego — powiedział z lekkim uśmiechem. — Mężczyźni różnie reagują, gdy się orientują, że życie mija zbyt szybko. Usiłują wypełnić pustkę ekstrabryką albo superlaską. Gdy się zorientowałem, że życie przecieka mi przez palce i zostawia pustkę, uświadomiłem sobie, że nie potrzebuję ani samochodu, ani kobiety. Brakowało mi tylko jednego. Kontakt z córką. — Wsunął okulary z powrotem na nos. — Właśnie próbowałem

obmyślić jakiś sposób na powrót w jej życie z wdziękiem i gracją, gdy zadzwoniłaś z wiadomością o chorobie. Wtedy zrozumiałem, że z wdziękiem i gracją to nie będzie, ale postanowiłem wrócić. Bo muszę z nią być. Z tobą także. Chociaż niedobrze mi się robiło ze strachu. — Spojrzał na mnie. — W tej kwestii niewiele się zmieniło. Ale gdyby umarła, a ja nawet bym nie spróbował jej poznać, nigdy bym sobie nie wybaczył. Już i tak mam do siebie mnóstwo pretensji. W armii dostałem medal za odwagę, ale gdy chodziło o własną rodzinę, okazałem się tchórzem. Powinienem oddać odznaczenie.

Trochę zmięklam. Wierzyłam mu.

— Dobrze, że mi to mówisz — oświadczyłam. — Cokolwiek późno, ale lepiej późno niż wcale.

— To nie wszystko. Mam tutaj przyjaciela. Razem z żoną sprzedają samochody w całym stanie Maryland. Gdy powiedziałem ci, że jadę na rozmowę o pracy, w rzeczywistości byłem u nich.

Zadzwoniłam do niego wtedy. Ten kobiecy śmiech w tle. Ściągnęłam brwi.

Ciekawe, co dalej.

— Ich dziecko zmarło na białaczkę. Już dawno. Zanim tu przyjechałem, opowiedziałem im o Haley, a oni obiecali, że jeśli będzie jednak potrzebowała transplantacji, wesprą finansowo poszukiwania dawcy. Właśnie o tym z nimi rozmawiałem. Na wszelki wypadek, gdyby przeszczep okazał się konieczny. A skoro tak jest... No więc tak.

— Nieźle. — Czułam się winna, że w niego wątpiłam. — Całkiem nieźle.

— O ile dobrze zrozumiałem, szansa na znalezienie dawcy niespokrewnionego jest niewielka. Z drugiej strony jednak, im więcej osób zostanie zaangażowanych, tym większa będzie ta możliwość. Znajomi powiedzieli mi, że jeśli we dwie z Haley zechcecie upublicznić sprawę,

historię jej choroby, ściągniecie uwagę większej liczby osób. Oczywiście, nie musicie tego robić.

Warto się było nad tym zastanowić. Rzeczywiście, nasze przejścia — wszystkich trojga — splotły się w historię chwytającą za serce. Zniknięcie Lily, białaczka małej Haley, teraz ciąg dalszy... Mimo wszystko nie miałam pewności, czy powinnam ją upubliczniać, odsłaniać córkę.

— Porozmawiam z nią — oznajmiłam. — Możemy oboje z nią porozmawiać. A w ogóle to dzięki, że o tym pomyślałeś. Dzięki za to, co zrobiłeś.

Grupa turystów ustawiła się w kolejkę do łodzi. Nadal mnie zdumiewało, co Bryan potrafił wyciągnąć z rękawa. I że w ogóle myślał z wyprzedzeniem.

— Widzisz... — odezwał się cicho. — Jeśli chodzi o Lily... Sporo czasu minęło, zanim sam zrozumiałem... Wciąż trudno mi o niej mówić. Miałaś mi za złe, że wtedy nie pojechałem do Wilmington, wiem. Żałuję, uwierz mi, naprawdę żałuję. Zrozum jednak, nie mogłem zostawić ciebie. Sądziłem, że Lily jest bezpieczna, a ciebie mogłem stracić w każdej chwili. Stałaś na progu śmierci.

— Wiem, wiem. Wtedy to się wydawało sensowne.

Mimo wszystko ciągle miałam żal, że nie postarałam się bardziej. Mógł zadzwonić do szpitala w Wilmington wcześniej. Naciskać, domagać się więcej informacji. Czegoś. Czegokolwiek. Z drugiej strony, nie mógł przewidzieć, że Lily zniknie. Bo niby jak?

— Miałem wrażenie, że straciliśmy ją z mojej winy — powiedział.

— Przeze mnie się tak czułeś.

Chciałam, by przeproszał mnie za swoje występki, lecz raptem dostrzegłam własną winę. Zrzucałam wszystko na niego, bo nie mogłam



obarczyć odpowiedzialnością nikogo innego. Był w Somalii, gdy otrzymał telefoniczną informację, że leżę w śpiączce w Duke University Ho— szpital. Oczywiście martwił się przede wszystkim o mnie. Ale gdy wyszłam ze śpiączki i dowiedzieliśmy się, że Lily zniknęła ze szpitala w Wilmington, byłam na niego wściekła, że się nią nie zaopiekował. Postawiłam między nami gruby mur.

— Przydałaby się nam wtedy poradnia małżeńska — zauważyłam.

— Co ty powiesz? — zakpił z uśmiechem. — Moim zdaniem, doradca powinien być z nami zamieszkać. — Pociągnął łyk kawy. — Czy w ogóle... Czy kiedykolwiek miałaś jakieś wiadomości o Lily?

Pokręciłam głową.

— Jak wiesz, śledczy uznali, że nie żyje. Być może na skutek jakiegoś błędu lekarskiego, który ktoś starał się ukryć. Ja nigdy się nie pogodziłam z tą teorią. — Nie chciałam jej zaakceptować. — Potem było mnóstwo ślepych uliczek. Pamiętam, Haley miała ze trzy latka, gdy zadzwonili do mnie z policji z nowymi informacjami. Skontaktowała się z nimi pewna kobieta z Karoliny Południowej... Twierdziła, że córeczka jej kuzynki to w rzeczywistości Lily. Podobno owa kuzynka któregoś razu zniecka pojawiła się z dzieckiem. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zniknęła Lily. Ta kobieta uznała to za dziwne i podejrzane. Policjanci spytali ją, dlaczego tak długo czekała z powiadomieniem władz, a ona na to, że bała się przysporzyć kuzynce kłopotów. Teraz jednak uważa, że kuzynka molestuje dziecko, stąd telefon. Okazało się, że ta kuzynka faktycznie porwała cudze dziecko, tyle że nie moje. Nie nasze.

Ciągle jeszcze doskonale pamiętałam smutek, jaki mnie ogarnął, gdy śledczy zadzwonił, by mi przedstawić wyniki testu DNA.

— Naprawdę zakiełkowała we mnie nadzieja — podjęłam. — Gdy choroba się cofnęła... Haley miała wtedy prawie cztery latka i mogłam wreszcie pomyśleć o czymś innym niż o leczeniu, pojechałyśmy na ty-



dzień do Wilmington. Chodziłyśmy po ulicach, rozglądałam się za siedmiolat—ką, która mogłaby być moją starszą córką. Kręciłam się przy szkołach... Trochę to było zwariowane, zwłaszcza że szpital przyjmuje pacjentów z dość dużego obszaru. Lily mogła być wszędzie. Pozostawała mi jedynie nadzieja, że ktoś, kto tak bardzo pragnął dziecka, by je ukraść ze szpitala, wybrał ją, ponieważ była najpiękniejsza. A co za tym idzie, jest kochana i otoczona opieką.

— Ja jej nawet nie widziałem. — Na twarzy Bryana malował się smutek.

— To prawda. Ja ją miałam przynajmniej przez kilka godzin.

— Czy Haley o niej wie?

— Oczywiście. — Najwyraźniej nie przywykł do otwartości. Do trudnej prawdy. Potrzebował dwóch miesięcy, by zebrać w sobie dość odwagi, żeby wspomnieć o Lily. — Powiedziałam jej już dawno. Miała może pięć lat, może sześć. Haley jest naprawdę niezwykłą dziewczynką.

— To prawda — przyznał z uśmiechem. — Jest fantastyczna.

— Może dlatego, że tyle przeszła jako małe dziecko, sama nie wiem, ale na pewno jest inna niż większość dzieci w jej wieku. Wyobraź sobie, nawet pomaga mi szukać Lily.

— Jak to? — zdziwił się, wyraźnie zaskoczony.

— Zna specyfikę działania Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Rozeznała się we wszystkich wątkach naszej sprawy, szukając czegoś, co by się wiązało z Lily. Czasami bywa ze mną w biurze. Dwa razy byłyśmy w Wilmington, szukałyśmy Lily. Obie mamy jednakowo wielką dziurę w sercu. Nawet utworzyła stronę internetową zatytułowaną „Rodzeństwo zaginionych”.

— Żartujesz. Sama utworzyła stronę internetową?

— Owszem, jak najbardziej. Jeśli chodzi o komputer, wrodziła się w ojca.

Bryan odchylił głowę do tyłu, zapatrzył się w niebo.

— Kocham ją — powiedział. — Przez tyle lat posyłałem jej pieniądze, prezenty gwiazdkowe i inne takie, ale jej nie kochałem. Gdy o niej myślałem, miałem jedynie poczucie winy, że taki zły ze mnie ojciec. Teraz naprawdę ją kocham i... mogę szczerze powiedzieć, że nigdy dotąd nie znałem takiego uczucia. Gdy zobaczyłem ją w szpitalu, łysą i wymiotującą... — Spojrzał na mnie. Na jego ustach błąkał się uśmiech, czuły, a jednocześnie zażenowany.

— Najchętniej bym się z nią zamienił. Oddałbym jej swoje zdrowie. Został zamiast niej w szpitalu.

— A, tak. Doskonale cię rozumiem.

— Jestem na siebie wściekły.

Dosyć już miałam jego wynurzeń. W miarę upływu lat chęć ich słuchania wyraźnie malała.

— Zostawmy przeszłość w spokoju — zaproponowałam.

— Teraz jesteś tutaj. Starasz się zasłużyć na medal za odwagę.

## *Rozdział 22*

*Emerson*

*Wilmington, Karolina Północna*

Kuchnia w Hott była znacznie czystsza niż moja domowa. Wszystko przez to, że u mnie w domu nigdy nie bywał inspektor sanitarny, natomiast w kafejce mógł się pojawić w każdej chwili. Mieliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć punktów oceny pozytywnej, a ja dążyłam do stu i dlatego skłoniłam Jenny do pucowania maszyny do lodów oraz wyczyszczenia każdego milimetra blatu z osobna, zanim pozwolę jej wyjść na wieczór.

— Od razu stąd jadę do biblioteki — powiedziałam, sprawdzając zawartość lodówki, by zyskać pewność, że jest dosyć mleczka i śmietanki do kawy na następny dzień. — Została zupa dyniowa i chili. Wezmiesz do domu? Od— grzałabyś na kolację dla siebie i taty?

Jenny podniosła na mnie wzrok znad blatu.

— A ty nie wracasz na kolację?

Zachowywała się, jakbym miała lecieć na Księżyc, ale trudno było ją za to winić. Pomijając ewentualne wieczorne spotkania z Tarą, kolację zawsze jadałam w domu. Dziś jednak miałam inne plany. Niestety, nie mogłam ich wyjawiać, więc musiałam skłamać.

— Chcę poszperać w starych przepisach, dodać coś oryginalnego do menu — oznajmiłam. — Nie mogę ich ściągnąć przez Google, ale w bibliotece znajdę.

Udało się. Mniej więcej przy „ściągnięciu” Jenny straciła zainteresowanie sprawą. Z Tedem poszło równie łatwo. Przestał mnie słuchać na etapie „starych przepisów”. Miałam przeczucie graniczące z pewnością, że nie jest to ostatnie kłamstwo, jakim będę musiała nafaszerować swoją rodzinę w najbliższym czasie. Dopóki nie rozwikłam sprawy.

— To co — podjęłam, zdejmując fartuch i wieszając go na haku przy drzwiach. — Mogę na ciebie liczyć? Zajmiesz się kolacją?

— Możesz. — Spryskała blat sprayem i wróciła do energicznego tarcia. — Tylko musimy porozmawiać na temat pracy. Chciałabym pracować krócej.

— Kto by nie chciał! — odpowiedziałam ze śmiechem.

Nie spojrzała w moją stronę. Czy była na mnie zła? Rzeczywiście, Sandra, szefowa kawiarni, oraz druga kelnerka i kucharz w zasadzie dawali sobie radę, jednak z drugiej strony, Jenny potrzebowała pieniędzy, a jej pomoc okazała się nieoceniona.

— Mówię poważnie. — Przesunęła toster, by za nim sprzątnąć. Jakoś nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy to ostatnio ja sprzątałam za naszym domowym tosterem. — Teraz, odkąd Noelle... no wiesz, mam więcej zajęcia przy rzeczach dla dzieci.

— I chcesz spędzać więcej czasu z Devonem.

Uśmiechnęła się do kontuaru, poczerwieniała, prychnęła z lekka.

— Mam mało wolnego — powiedziała.

Obezwładnił ją ten chłopak. Tak się zajęłam własnymi sprawami, że całkiem zapomniałam o jej życiu.

— Jeśli będziesz mniej pracowała, mniej zarobisz — przypomniałam córce, odkładając na miejsce miski, które schły w suszarce.

— Wiem.

— Ustal z Sandrą nowy plan dyżurów, zobaczymy, jak się sprawdzi — zdecydowałam.

Dobre dziecko z tej mojej córki. Sympatyczne, miłe, przyjazne. Może nie najbardziej ambitna osoba na świecie, ale ważniejsze, by człowiek był lubiany, niż odnosił spektakularne sukcesy. Wiedziałam, że nietrudno znaleźć ekspertów skłonnych polemizować z tym zdaniem, lecz w ogóle mnie to nie obchodziło. Ja chciałam być lubiana. Proszę bardzo, można się z tym nie zgadzać. Miałam wrażenie, że Jenny darzą sympatią dzieci i dorośli, wszyscy, którzy ją znają. I cieszyłam się, że mam w domu właśnie taką dziewczynę, a nie osobę skłoną dążyć do celu po trupach.

Kilku chłopców, z którymi dotąd chodziła, także robiło miłe wrażenie. Z żadnym nie łączyło jej nic poważnego, przynajmniej o ile mi było wiadomo. I to też mi w niczym nie przeszkadzało. Może z Devonem ułoży się inaczej? Cieszyły mnie ich wyjścia we czworo, z Grace i Cleve'em. Często im się to zdarzało latem. W grupie bezpieczniej... chociaż może sama się oszukiwałam.

— Jak się trzyma Grace? — spytałam, zamykając drzwiczki szafki.

— Chodzi ci o Cleve'a?

— Pewnie jej ciężko, zwłaszcza gdy ty nadal jesteś z Devonem.

— Jest... — Jenny wzruszyła ramionami — .. .kompletnie zdołowana. A Cleve to debil.

— Przyznaję, nie bardzo go rozumiem. — Wyjęłam z lodówki chili, żeby o nim nie zapomnieć. — Pewnie chce wykorzystać pobyt w college'u, nie mieć zobowiązań, woli, żeby go nic nie ciągnęło do domu.

— Nie o to chodzi. To by się jeszcze dało ogarnąć. Tylko że on bez przerwy do niej pisze esemesy i e— maile, więc ona ciągle ma nadzieję, że on wróci.

— Aha.

Niedobrze.

— To znaczy, ona pisze pierwsza — ciągnęła Jenny — esemesy albo listy, ale on zawsze odpowiada, więc jej się wydaje, że jemu na niej zależy.

— Pewnie rzeczywiście nadal mu na niej zależy.

— Ale nie tak, jak jej na nim. — Odstawiła butelkę

ze środkiem czyszczącym do szafki pod zlewem i wrzuciła papierowe ręczniki do śmieci. — On jest wredny — podsumowała.

— Podwójna przykrość. — Wsunęłam chili do plastikowej torebki. — Najpierw ojciec, potem Cleve... — Biedna dziewczyna. Była z Samem bardzo blisko. Zazdrościłam im tego. Między Tedem i Jenny próżno by szukać takiej więzi. — Współczuję jej.

— Ja też. — Umyła ręce nad zlewem, po czym oparła się o ladę i osuszyła dłonie papierowym ręcznikiem. — Nie wyobrażam sobie, żeby tata umarł — powiedziała. — Już i tak Noelle się zabiła i dziadek jest w hospicjum.

— Masz rację, kochanie.

Akurat tego ranka zadzwoniła do mnie jedna z pielęgniarek z wiadomością, że tata chce mnie następnym razem zobaczyć samą, bez Jenny i Teda. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, lecz oczywiście zamierzałam usłuchać. Zrobiłabym dla niego wszystko.

Podeszłam do Jenny, odgarnęłam na bok włosy opadające jej na lewe oko i pocałowałam ją w skroń.

— Kocham cię — powiedziałam.

— Ja ciebie też. — Potrząsnęła głową, by zasłonić oko kurtyną włosów. Wzięła w rękę torebkę naszykowaną na blacie. — Zamykamy?

— Uhm. — W drodze do drzwi objęłam ją za ramiona. Będzie mi jej brakowało, gdy zacznie rzadziej zaglądać do kafejki. — Z Devonem to na poważnie? — spytałam.

— Nie na poważnie — odparła.

Poczułam, jak wyrasta między nami niewidzialna ściana, i natychmiast uświadomiłam sobie, że właśnie minęła chwila bliskości między matką i córką. Dziś już nie wróci. Nie szkodzi. Będę miała w pamięci tych kilka cudownych minut z Jenny, szukając tropu niejakiej Anny, kobiety, która przez Noelle nie miała możliwości poznać własnego dziecka.

Usiadłam przy bibliotecznym komputerze i w studenckim serwisie stanowym wstukałam hasło otrzymane przy rejestracji. W domu szukałam w Internecie różnych słów kluczowych: „Anna”, „dziecko”, „Wilmington” czy „szpital” i uzyskałam mnóstwo bezużytecznych linków. Miałam nadzieję, że w serwisie studenckim znajdę coś przydatnego.

..

Jeśli wierzyć zapiskom w rejestrach Noelle, ostatnim dzieckiem, któremu pomogła przyjść na świat, był chłopiec, więc nasze domysły, że porzuciła zajęcie położnej w następstwie „wypadku”, okazały się nietrafione. Lub może o tym porodzie nic nie napisała. Zamierzałam odszukać artykuł, o którym Noelle wspomniała w liście zaczęty 8 lipca 2003 roku. Może był to plan z góry skazany na porażkę, ale i tak musiałam spróbować.

Potrzebowałam trochę czasu i pomocy ze strony bibliotekarzy, lecz w końcu odszukałam stronę czasopisma „Wilmington Star”. Z listu Noelle nie wynikało, kiedy przeczytała notkę ze wzmianką o Annie. W serwisie studenckim znajdowały się wydania interesującego mnie cza-



sopisma od kwietnia 2003, więc pozostawało mi mieć nadzieję, iż artykuł zamieszczono w którymś z późniejszych numerów. Może nawet ukazał się on właśnie ósmego lipca, skoro skłonił ją do pisania listu.

Optymistycznie uznałam, iż warto zacząć poszukiwania od czerwca i lipca 2003. Interesowały mnie w „Wilmington Star” artykuły ze słowem Anna. Ile też może ich być? Pięćdziesiąt siedem, jak się okazało. Utonęłam w Annach. Zaczęło się przesiewanie.

Odrzuciłam nekrologi, wyniki rozgrywek sportowych, szeryfa kanciarza oraz kilka ogłoszeń o narodzinach. Zawęziłam poszukiwania do kobiet, które w czasie gdy Noelle pracowała jako położna, były w wieku rozrodczym. Została mi zwyciężczyni konkursu na najpiękniejsze podwórko miesiąca, następnie dwudziestosiedmioletnia atletka biorąca udział w Olimpiadzie Specjalnej, oraz kobieta, która ukradła piwo w supermarkecie sieci IGA. Sprawdziłam po nazwisku właścicielkę najpiękniejszego ogródka, bo Anna Fischelle wydawała mi się jedyną prawdopodobną kandydatką. Mieszkała w śródmieściu, chociaż nie w ścisłym centrum. Bez trudu wyobraziłam sobie, jak daje z siebie wszystko, by dzięki pięknemu podwórzu zapełnić pustkę po zaginionym dziecku.

Znalazłam ją on—line bardzo szybko. Była tylko jedna Anna Fischelle. Rzeczywiście mieszkała w Wilmington, tyle że według informacji podanych na stronie internetowej ze spisem telefonów miała prawie siedemdziesiąt lat.

Podjęłam jeszcze jedną próbę. Przejrzałam czasopismo pod kątem słów „szpital”, „dziecko” i „zagini\*”, niestety, żaden z wyników nie wyglądał obiecująco.

Usiadłam prosto i przyjrzałam się komputerowi w zamyśleniu.

Koniec zabawy. Czas podejść do sprawy na poważnie. Noelle była uzależniona od prasy. Swego czasu nawet prenumerowała „New York Timesa”. Codziennie rano dostarczano jej dziennik pod drzwi. Było to



jednak dawno temu, zanim zaczęła czytać on—line. W sieci czytała też „Washington Post”, o czym wiedziałam na pewno, bo często wyrzekała na rosnący konserwatyzm gazety. Wyrzekała, lecz mimo to czytała. Z radością korzystała z każdej okazji, by się pouskarzać na pismaków.

Najpierw sprawdziłam w „Washington Post”. Narzuciłam szukanie Anny pomiędzy pierwszym czerwca a ósmym lipca 2003 i natychmiast otrzymałam dziesięć stron, czyli dwieście dwa wyniki. Utkwiłam spojrzenie w suficie biblioteki. Beznadziejna sprawa. Szukanie w „New York Timesie” wydawało się jeszcze bardziej pozbawione sensu. Dziecko zniknęło ze szpitala w Wilmington. Wobec tego artykuł musiał się pojawić w miejscowym czasopiśmie.

Właśnie miałam wrócić do „Wilmington Star”, gdy mój wzrok padł na nagłówek w połowie pierwszej strony wyników. „Policja broni swoich metod w sprawie zaginionej trzylatki”. Jakiś czas wpatrywałam się w tytuł, zwłaszcza w słowo „zaginionej”. Nie, to nie mógł być właściwy artykuł. Noelle zabrała noworodka. Sama nie wiedząc po co, może dlatego, że zaczynałam tonąć w morzu komputerowych propozycji, a równocześnie nie bardzo wiedziałam, co robić, otworzyłam artykuł i zaczęłam go przeglądać pod kątem słowa Anna.

3 czerwca 2003 roku dziewczynka z Marylandu zniknęła z kempingu w Dolinie Shenandoah, gdzie przebywała z rodziną na wakacjach. Najwyraźniej pojawiły się kontrowersje dotyczące pracy policji nad tym przypadkiem. Na końcu artykułu dostrzegłam Annę. Dosłownie w ostatnim zdaniu.

*Anna Knightly, rzecznik prasowy Biura do spraw Dzieci Zaginionych, oceniła działania policji pozytywnie. „Zamieszczenie informacji w biuletynie rozpowszechnianym w ramach systemu AMBER Alert jedynie z opisem wyglądu dziecka byłoby decyzją niewłaściwą” — uznała.*

To nie mogła być nasza Anna, jednak mimo wszystko sprawdziłam ją w wyszukiwarce Google. Zbitka „Anna Knightly” okazała się popularniejsza, niż podejrzewałam. Anny Knightly hodowały psy, prowadziły błogi na temat haftu krzyżykowego oraz uczyły w szkołach. Dodałam do warunków wyszukiwania swoje stare, dobrze znane „zaginieni”, a wtedy wyskoczył mi artykuł, którego nawet nie próbowałabym szukać. Ukazał się w „Washington Post”, 14 września 2010 roku, czyli w dniu samobójstwa Noelle. Nagłówek głosił: „Nominacja na dyrektora Biura do spraw Dzieci Zaginionych”. Notka okazała się krótka i treściwa.

*Nominację na stanowisko dyrektora Biura do spraw Dzieci Zaginionych otrzymała Anna Knightly, związana z tą placówką od roku 2001. Podjęła pracę w tej instytucji po zaginięciu córki, która zniknęła z jednego ze szpitali w Karolinie Północnej. Od tamtego czasu pani Knightly czynnie uczestniczy w poszukiwaniach zaginionych dzieci.*

Wyprostowałam się na krześle. Lodowaty pot wystąpił mi na całym ciele. Aż do tej chwili nie traktowałam poważnie listu Noelle. Wiedziałam, że nie ukradłaby paczki gumy do żucia, a co dopiero noworodka. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by była zakłamana. A jednak. Właśnie zyskałam dowód.

Tylko co miałam z nim zrobić?

## *Rozdział 23*

*Noelle*

*Wrightsville Beach, Karolina Północna*

*1989*

— Cześć dziewczynom z Galloway — rzucił Sam, stając w tylnych drzwiach domku plażowego. — Oto mój wkład w kolację.

Noelle, z Tarą i Emerson po bokach, przeszła przez trącący stęchlizną salonik i zajrzała do wiadra w rękach Sama. Na dnie leżały, jedna na drugiej, cztery smętne rybki o srebrnych łuskach.

— Ooo, super! — ucieszyła się Tara.

— Co to właściwie jest? — spytała Emerson.

— Ryby! — Sam uśmiechnął się z nieskrywaną dumą. Em pacnęła go w ramię.

— Ale jakie?

— Co za różnica! — zaśmiał się Sam. Wypoczywali w domku na plaży od dwóch dni, więc skórę miał już pociemniałą, a oczy w kolorze nieba, na którego tle rysowała się jego głowa.

Noelle spostrzegła, że jedna z ryb jeszcze walczy o życie. Wzruszyła ramionami, przeniosła spojrzenie na twarz przyjaciela.

— Jesteś bez serca — orzekła.

Sam zajrzał do kubelka.

— Chyba nie bardzo cierpiały — powiedział.

Wyglądał przy tym niezbyt pewnie i to ją ujęło. Sam był wrażliwy.

Pochylił się, cmoknął Tarę w policzek.

— Skoro się już pochwaliłem, to teraz je oczyszcze i zaraz przyniosę.

Domek na plaży w Wrightsville Beach był mały, zatęchły i fantastyczny. Tara z Samem zajęli największą sypialnię, Emerson najmilszą z mniejszych. Proponowała Noelle losowanie za pomocą słomek, ale ta machnęła ręką. Zrobiłaby dla Emerson wszystko. Powiedziała, że nie jest ważne, w którym pokoju zamieszka, i taka była prawda. Cieszyła się, że mieszka na plaży z przyjaciółkami, które w ciągu minionych dziesięciu miesięcy obdarzyła szczerym uczuciem. Nie liczyła na ścisłą więź, jaka połączyła dwie współlokatorki, Tarę i Emerson, choćby z tego powodu, iż urodziła się o cztery lata wcześniej. Do tego przez rok pełniła funkcję ich rezydentki. Mimo wszystko stały się jej najbliższymi przyjaciółkami. Jakiś czas obawiała się, że mogą ją uznać za intruza, stopniowo jednak przekonywała się o ich szczerzej sympatii. Zaakceptowały ją, wraz ze wszystkimi dziwactwami, bez zastrzeżeń.

W pewnym sensie zbliżyła się również do Sama.

Okazało się, że został asystentem na kursie „medycyna i prawo”, na który uczęszczała w pierwszym semestrze. Odkryła, że warto było w nim podziwiać nie tylko urodę.

Profesor prowadzący zajęcia skupiał się głównie na sposobach obrony personelu medycznego przed pozwami, Sam natomiast wydawał się bardziej zainteresowany sytuacją pacjenta, i Noelle go za to uwielbiała. Stał się nieodłącznym elementem jej życia zarówno na uczelni, jak i poza nią. Zaczęli się regularnie widywać w studenckiej stołówce na spotkaniach uczelnianego samorządu. Opowiadała mu wtedy o pacjentach, z którymi pracowała w ramach praktyk, a on zaw-

sze słuchał z uwagą, szczerze zainteresowany i przejęty ich losem. Swego czasu uważała prawników za ludzi mających na względzie głównie własne korzyści, zonglujących prawdą w zależności od potrzeb klienta, tymczasem Sam był zupełnie inny. Pozostawało mieć nadzieję, że studia prawnicze go nie zmienią. Naukę miał rozpocząć jesienią. Co najmniej raz na tydzień przypominała mu, jak ważne są wartości, które i ona stawiała na pierwszym miejscu przez cały czas nauki.

Niekiedy rozmowy schodziły ze spraw uczelnianych na osobiste, wówczas mówiła mu o rzeczach, o których nie wspominała nikomu innemu. O odejściu ojca albo o tym, że matka pomagała przy porodach. O tych niewielu chłopcach, z którymi sypiała, i o tych, których odrzuciła.

— Ciągnie cię do dziwaków — orzekł.

— O kim mówisz?

— O facetach, z którymi spałaś. — Ruchem głowy wskazał jednego z nich, siedzącego przy stoliku nieopodal. Chłopak tkwił ze wzrokiem wbitym w książkę, na ramię spływał mu warkocz sięgający pasa. — Raczej nie mieszczą się w normach.

Miał rację. To samo dotyczyło jego i gdyby nie był już zajęty, miałyby nadzieję, że między nimi będzie coś więcej. Pociągała go z całą pewnością, jednak związek z Tarą był tak silny, jakby zostali sobie przeznaczeni w dniu narodzin.

Od jesieni wszystko miało się zmienić i dlatego to ostatnie wspólne lato z przyjaciółmi było tak cenne. Jesienią Sam miał wyjechać na studia prawnicze do Wake Forest, a ona — studiować w Greenville. Z jednej strony, nie mogła się doczekać osiągnięcia wymarzonego celu, z drugiej, czuła głęboki smutek na myśl, że oddali się od Emerson, Tary i Sama.

Zwłaszcza od Emerson, oczywiście.

Matka Noelle, choć wiedziała o jej przyjaźni z przyrodnią siostrą, sądziła, że córka pogodziła się z sytuacją i odzyskała spokój. Częściowo miała rację. Noelle pogodziła się z sytuacją. Nie chciała nikomu wyrządzić krzywdy. Ale czy odzyskała spokój? Nie. Odzyskanie spokoju nie było możliwe.

Przez cały rok szkolny czekała, by rodzice Emerson przyjechali do córki w odwiedziny, chciała poznać swoją biologiczną matkę. Nie doczekała się. Raz zajrzeli do internatu dziadkowie, przyjechali bez zapowiedzi z Jackson—ville. Noelle tego dnia wróciła do kampusu kilka minut po ich wyjeździe. O ironio, przyjęła tę wiadomość z ulgą. Bo w razie niespodziewanego spotkania mogłaby się zdradzić z czymś, czego by później żałowała. Chciała ich poznać, lecz musiała być na tę wizytę przygotowana.

Czwartej nocy w domu w Wrightsville Beach zbudziła się zniecka. Leżała cicho w ciemności, starając się dociec, co jej przerwało sen. Jakies głosy? Dzwonek telefonu. Panował bezruch absolutny.

Nagle drzwi jej sypialni gwałtownie się otworzyły.

— Wstawaj, szybko! — Sam podbiegł do łóżka, potrząsnął ją za ramię.

Usiadła i odgarnęła włosy z twarzy.

— Co się stało?

— Matka Emerson umarła.

— Co?

— Jej ojciec zadzwonił przed chwilą. Jechali na rowerach, potrącił ją samochód. Emerson jest...

— Nie! — Zerwała się z łóżka, drżącymi rękami wciągnęła szorty.  
— Gdzie jest Emerson?

Niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

— Wybiegła na plażę. — Sam ruszył do saloniku. — Dostała histerii. Tara pobiegła za nią, ja też już...

— Szybko.

Wypadli na ganek, Sam pchnął siatkowe drzwi, ruszyli plażą. Do Noelle jeszcze nie dotarła prawda.

Mama nie żyje?

Nie. Nie! Nie!!!

Powietrze było jak smoła, czarne i gęste, a ocean tak spokojny, że usłyszeli Emerson na długo wcześniej, zanim ją zobaczyli. Noelle serce krwawiło. Znaleźli ją siedzącą na piasku, skuloną, złamaną. Tara kołysała ją w ramionach jak dziecko.

— To nieprawda, nieprawda — szlochała Emerson. — Tak nie można...

Noelle i Sam usiedli przy dziewczętach, objęli je obie.

Tara szeptała słowa pocieszenia, tymczasem Noelle nie mogła wydobyć z siebie słowa. Głos uwiązał jej w gardle, wdzięczna była losowi za ciemności skrywające łzy po matce, której nie dane jej było poznać.

Żadne z nich już nie zmrużyło oka. Noc wypełniły rozmowy telefoniczne, ustalenia, rezerwowanie biletów lotniczych. Tara postanowiła lecieć z Emerson do Kalifornii. W tym rozgardiaszu Noelle umknęła informacja, że dziadkowie Emerson zawiozą dziewczęta na lotnisko, więc gdy rano, otworzywszy drzwi, stanęła twarzą w twarz z mężczyzną o oczach niebieskich, jak u niej, oniemiała. Rozpoznała go natychmiast. Stała jak słup soli, z ręką na klamce.

— Jestem dziadkiem Emerson — odezwał się przybyły. — Dziewczęta gotowe?



Na skroniach miał zmarszczki świadczące o tym, że śmiał się chętnie i często. Teraz jednak był poważny.

Noelle zupełnie zaschło w ustach. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, choćby: „Proszę przyjąć wyrazy współczucia”, lecz nie potrafiła złożyć słów w sensowną całość. Usłyszała za sobą kroki, to Sam szedł do drzwi.

— Powiedz Emerson, że dziadek przyjechał — rzuciła, kierując się do łazienki. — Muszę na chwilę...

Chciała uściskać Emerson i Tarę na pożegnanie. Zamiast tego utknęła w ciasnej łazience. Przycupnęła na sedesie i czekała, aż wyjdą. Słyszała przez drzwi stłumione głosy, jej siostry i dziadka. Potem dobiegł ją odgłos zatrząskiwanych drzwiczek samochodu.

Nie drgnęła. Siedziała zamknięta tak długo, że w końcu Sam zapukał do drzwi.

— Noelle? W porządku?

Spryskała twarz wodą i wyszła na korytarz.

— W porządku.

Nie chciała na niego patrzeć. Wiedziała, co widnieje wypisane na jej twarzy, i bała się przed nim zdradzić.

— Tara i Emerson chciały się pożegnać.

— Zakręciło mi się w głowie. Źle się poczułam.

Sam zerknął na zegarek.

— Nie do wiary, że dopiero druga — powiedział. — Mam wrażenie, że od tego telefonu w środku nocy minęło kilka dni.

— Fakt. — Czują na sobie jego wzrok. — Poczytam trochę — oznajmiła.



— Na pewno dobrze się czujesz?

— Czy którekolwiek z nas dobrze się teraz czuje?

— Racja.

Nadal jednak patrzył na nią z mieszaniną troski i ciekawości. Musiała uciec wzrokiem.

Postanowiła zadzwonić do matki, powiedzieć jej, co się stało, ale nie mogła się zebrać. Na pewno by się rozplakała, więc mama martwiłaby się o nią, chociaż nie potrafiłaby jej współczuć. A w każdym razie nie w taki sposób, jak Noelle potrzebowała. Matka nie kryła, że nie cieszy jej zbliżenie córki do biologicznej rodziny.

Kilkakrotnie brała telefon do ręki i zaczynała wybierać numer do pani Wilson, lecz za każdym razem przerywała połączenie. W końcu wyszła na plażę, gdzie na leżaku siedział Sam, z książką opartą na udach coraz ciemniejszych od słońca. Uklękła obok niego na piasku, jakby się miała modlić. Przysiadła na piętach. Oplotła rękami jego ramię, pod dłońmi czuła ciepło nagrzaną słońcem skóry.

— Moglibyśmy porozmawiać? — poprosiła.

Odłożył książkę. Choć Noelle nie widziała oczu Sama ukrytych za ciemnymi okularami, dostrzegła troskę na jego twarzy.

— Jasne, zawsze.

Podniosła mu okulary na czoło.

— Muszę widzieć twoje oczy.

Zmrużył powieki, przyjrzał jej się uważnie.

— Nie chodzi o jakiś drobiazg?

Pokręciła głową.

— No to chodźmy na ganek.

Podał jej książkę, wstał, złożył leżak. Wziął go w rękę, drugą objął Noelle za ramiona i tak wrócili do domku.

Miała ściśnięte gardło. Czy zdobędzie się na odwagę? Czy znajdzie słowa? Czy zdoła mu powiedzieć? Czy powinna?

Sam wskazał bujane fotele na ganku, usiedli.

— Mów.

Otworzyła usta, lecz z suchego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Ukryła twarz w dłoniach.

Sam przestawił swój fotel na wprost jej fotela, ujął ją za skronie i pocałował w czoło.

Tego jej było trzeba. Pociechy od przyjaciela. Zwłaszcza od tego, który ją kochał.

Uniosła głowę, otarła łzy.

Sam odsunął się nieco, lecz czubkami palców dotykał jej kolan, pomagając opanować emocje. Czekał.

— Chciałabym ci coś powiedzieć... — Pokręciła głową. — Czy możesz mi obiecać — zaczęła jeszcze raz — czy możesz mi przyrzec, że jeśli ci coś powiem, zachowasz to dla siebie? Nie zdradzisz nikomu? Nawet Tarze? Nigdy w życiu?

Nie od razu odpowiedział. Na czole pojawiła mu się głęboka zmarszczka zatroskania.

— Przyrzekam — odezwał się w końcu. — Nikomu nie powiem.

Noelle oblizwała wargi.

— Emerson jest moją przyrodnią siostrą.

Ściągnął brwi.

— Emerson jest... — Przekrzywił głowę zdziwiony, przekonany, że czegoś nie zrozumiał. — Jak to?

— Jej matka była też moją matką.

— Przecież twoja matka...

— Ona mnie adoptowała.

Powoli dotarło do niego znaczenie usłyszanych słów. Odchylił się na oparcie fotela.

— Rany boskie.

— Nikt o tym nie wie. Tylko moja mama... ta, która mnie wychowała. I teraz ty.

Opowiedziała mu o wszystkim. O przypadkowo znalezionych dokumentach. O tym, co poczuła, gdy zobaczyła nazwisko Emerson na liście studentek zakwaterowanych w Galloway. I o tym, jak matka każała jej przysiąc, że nigdy przed nikim nie zdradzi się słowem.

— Czy twoja adopcja została przeprowadzona zgodnie z prawem?

— Tak. Chociaż... może... podejrzewam, że rodzice mogli liczyć na szczególne względy, ponieważ mama pomagała przy moich narodzinach. Właściwie nie mam pewności, jak to było. W tej chwili to nie jest ważne.

— Czyli rozumiem, że ty... O rany! — Oczy mu się rozszerzyły.  
— Ty też dziś rano straciłaś matkę. I musisz się z tym ukrywać.

Dolna warga jej drżała.

— Powiedziałam tobie.

— A co z twoim biologicznym ojcem? Czy wiesz, kto nim jest?

Spuściła wzrok, pokręciła głową.

— Jakiś chłopak poznany na imprezie. Nawet nie wiem, jak miał na imię. — Uderzyła pięścią w udo. — Widziałam swojego rodzzonego dziadka i nawet się do niego nie odezwałam!

— Strasznie mi przykro.

— Moja prawdziwa rodzina nie wie o moim istnieniu! Co miałam powiedzieć? Musiałam milczeć!

— A może... — Dłuższą chwilę patrzył przez siatki ochronne na ocean. — Zdarza się, że kobieta, która oddała dziecko do adopcji, po latach zgadza się na udostępnienie dokumentów. Jeżeli obie strony wyrażają chęć...

— Ona tego nie zrobiła — odparła Noelle. — Sprawdziłam. Jestem jedynie koszmarnym wspomnieniem życiowego błędu. I nie ma sprawy. Mam wspaniałą matkę, poszcęściło mi się. Chciałam tylko... — Głos jej się załamał. — Myślałam, że któregoś dnia — podjęła z trudem — poznam swoją rodzoną matkę. Sądziłam, że mam czas.

Sam wstał, wyciągnął do niej rękę.

— Chodź.

A gdy i ona wstała, zamknął ją w ramionach i tulił, aż Wyplakała wszystkie łzy.

Niejedyn mężczyzna przestraszyłby się moich słów, myślała Noelle.

Wielu by się przeraziło bliskości, inni ugięliby się pod ciężarem tak ogromnej tajemnicy.

Tymczasem Sam trwał jak opoka. Mogła na nim polegać. Mogła mu się zwierzyć ze wszystkiego. Odślonić największe pragnienia. Najmroczniejsze sekrety. Mogła z nim rozmawiać. Zawsze.

Następne trzy dni spędzili w domku na plaży. Czekali na Tarę, która miała tam wrócić trzeciego dnia wieczorem. Emerson została z krewnymi w Kalifornii jeszcze na tydzień. Noelle na zawsze zachowała w sercu te cenne godziny z Samem, gdy ich przyjaźń dojrzewała i nabierała ostatecznego kształtu. Istniała tylko jedna trudność: Sam był niepowtarzalny, a nie do niej należał. Zawsze sądziła, że potrafi łatwo wyrzec się życia z mężczyzną. Tutaj miała do czynienia z wyjątkiem.

Razem gotowali, jednego wieczoru wybrali się na kolację, wzajemnie smarowali sobie plecy kremem do opalania. Same słowa działały na Noelle jak afrodyzjak, lecz odpychała od siebie namiętność. Miała w pamięci przestrogę matki: „Pamiętaj, żebyś nigdy w życiu nie wyrządziła innej kobiecie takiej krzywdy, jaką Doreen zrobiła mnie”.

„Pamiętam”, myślała, kładąc się do pustego łóżka, tęskniąc za Samem. „Nie skrzywdzę”.

Trzeciego dnia rano znów zaczęła się uśmiechać.

Może dlatego, że poprzedniego wieczoru coś się przełamało.

— Chcę ci coś powiedzieć — odezwał się Sam.

Wbrew prawu rozpalili na plaży niewielkie ognisko, podpiekali słodkie pianki, nadziane na bambusowe szpikulce znalezione w domu.

— Aha?

Noelle skubnęła lepką białą masę.

— Kocham cię — powiedział Sam ze wzrokiem skupionym na drugim bambusie. — Ale będę z Tarą. Wiesz o tym. — Dopiero wtedy na nią spojrział.

Zakręciło jej się w głowie. Od ognia, od gorącej nocy i od jego wyznania.

— Ja też cię kocham.

Pokiwał głową bez zdziwienia.

— Wiesz, jak jest ze mną i z Tarą. Znasz naszą historię od zarania. Rozumiesz, że od zawsze wiedzieliśmy, że będziemy razem.

— Tarę też kocham — powiedziała. — Skoro nie mogę cię mieć dla siebie, chcę, żeby to ona była z tobą.

— Czekaj nas wspólne życie... — Wydawał się zagubiony w myślach. — Normalne, zwykłe.

Poczuła lekkie ukłucie.

— A ja to co? — rzuciła z przekornym uśmiechem. — Wariatka?

Sam zaśmiał się głośno.

— Ty jesteś inna. Na swój fantastyczny sposób. Nigdy nie będziesz chciała mieć wielkiego domu z białym drewnianym płotem, dwójki dzieci i psa.

Zastanowiła się wtedy, czy on aby na pewno właśnie tego pragnie. Przeczowała, że Sam nie bardzo jest mężczyzną tęskniącym za białym drewnianym płotem. Za nic w świecie jednak nie chciała zranić ani jego, ani Tary, a rozważania o odejściu Sama do zwykłego, normalnego życia nieuchronnie by do tego prowadziły.

— Bądź moim przyjacielem, dobrze? — poprosiła. — Na zawsze.

Pochylił w jej stronę bambusowy kijek z idealnie opieczoną złotą pianką.

— Dla ciebie wszystko — powiedział.

Paznokciami zsunęła smakołyk z bambusa i włożyła do ust. Była z siebie dumna, bo nie poprosiła Sama o więcej i nie skrzywdziła Tary. Odsunęła od siebie myśl, że „zawsze” to bardzo, bardzo długo.

# *Rozdział 24*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Od razu gdy skręciłam na podjazd, uderzyło mnie, że dom Noelle wygląda smutno. Malarze zeskrobali prawie całą farbę z frontu, oblicówka była poplamiona i brzydka. Słońce właśnie wstało, zapaliło w oknach różowe blaski. Zaczęła się sobota, szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy ktoś miał tu dzisiaj pracować. Oby nie. Przyjechałam zając się ogrodem i potrzebowałam czasu na zastanowienie.

Emerson znalazła Annę. Stała ona na czele organizacji zajmującej się poszukiwaniem zaginionych dzieci, przez co zyskała w moich oczach całkiem konkretny wymiar, postać kobiety, która przeżyła niewyobrażalny koszmar i wyszła z niego silna i zdeterminowana. Gdy Emerson zadzwoniła do mnie z informacją o odkryciu, dostałam mdłości. Z każdym nowym okrucieństwem dowodu historia nabierała coraz bardziej realnych kształtów, a konieczność naszego działania stawała się po prostu nieunikniona.

Emerson miała do mnie zajrzeć po południu, musiałyśmy zdecydować, co dalej. Moja przyjaciółka nie mogła sobie darować, że w ogóle otworzyła należące do Noelle pudło z listami.

Wysiadłam z vana i omiotłam spojrzeniem podwórze od frontu. Wyglądało okropnie. Zapuszczone, zarośnięte chwastami. Noelle nie lubiła zajmować się podwórzem, dbała wyłącznie o ogródek. Od jej śmierci, chociaż byłam odpowiedzialna za jego stan, znalazłam czas

jedynie na to, by go podlewać i wyrwać parę chwastów. Łatwo było sobie wyobrazić reakcję ludzi mijających zaniedbany dom z okropnym podwórkiem. Na pewno szeptali do siebie: „Tu musiało się stać coś strasznego!”. A jednocześnie nie domyślali się nawet połowy prawdy.

Emerson zostawiła narzędzia ogrodnicze Noelle w dużym wiadrze na stopniach przed tylnymi drzwiami, ale miałam ze sobą własne. Usiadłam na schodku, wsunęłam osłonki na kolana, włożyłam rękawiczki. Podwórko za domem było małe, porośnięte smętną trawą, z jednym skarłowaciałym, rozwichrzonym drzewkiem. Ktoś ostatnio skosił trawnik, zostały na nim ślady po kosiarce. Rośliny z obu sąsiednich podwórek wlewały się przez płot. Smutny widok. Poza ogródkiem, oczywiście. Wschodzące słońce mościło się właśnie w tamtym rogu podwórza, rozjarzając go jak klejnot.

Dom Noelle, tuż za moimi plecami, tchnął chłodem niby nawiedzony przez duchy. Zadrżałam, wstałam i poszłam do ogródka.

Gdy człowiek ma przyjaciela, serdecznego, a nawet ukochanego, to czy przestaje go kochać, gdy się okaże, że zrobił on coś złego?

Rozważania czysto teoretyczne. Mimo wszystkiego, czego się na temat Noelle dowiedziałam ostatnio, nie potrafiłabym zmienić swojego do niej stosunku. Zawsze była dla nas ważna. Dla mnie zawsze była ważna. Nie dawał mi spokoju zostawiony przez nią list, w którym zawarła jedną jedyną prośbę — by się zająć jej ogródkiem. Byłam skłonna zrobić to dla Noelle, którą znałam i kochałam. Noelle, która oszukiwała nas i kłamała, miała poważne kłopoty. Winiłam siebie, że nie dostrzegłam ich w porę i nie zajęłam się nią należycie.

Ogródek zaprojektowano na planie trójkąta o bokach długości mniej więcej dwa i pół metra. Chociaż nastał już październik, kąć podwórka mienił się kolorami. Z donic o najróżniejszych kształtach i rozmiarach kipiały chryzantemy. Noelle musiała je zasadzić tuż przed śmiercią. Wzięłam się do pracy. Przycięłam jeżówki, kwiaty fioletowe i



żółte z czarnym okiem, a potem białe z żółtymi sercami. Powyrywałam chwasty wokół niecierpków. Przyniosłam z samochodu flance bratków, zasadziłam je wokół basenu dla ptaków. Przez cały czas miałam wrażenie, jakby mi ktoś dotrzymywał towarzystwa. Stojąca na paluszkach dziewczynka z brązu wyglądała tak prawdziwie, że w końcu zaczęłam do niej mówić.

— Zioła pięknie wybuchają, zobacz tylko — odezwałam się, uwalniając od chwastów natkę pietruszki. — Szałwia jest przepiękna. Ta trójkolorowa bije wszelkie rekordy. Rozmaryn też niczego sobie. A bazylia? Fantastyczna.

Nazbierałam trochę ziół dla Emerson.

Właśnie obcinałam suche główki chryzantem, gdy przypomniała mi się pewna rozmowa z Samem, niedługo przed jego śmiercią.

Leżeliśmy wtedy w łóżku.

— Jak tam ogródek Noelle? — zapytał.

— A konkretnie?

Jego pytanie kompletnie mnie zaskoczyło.

— Opowiadała mi o nim.

Rzadko bywał w jej domu, nieczęsto miewał powód. Prawdopodobnie nigdy nie widział jej ogródka.

— Piękny jak zawsze — odpowiedziałam. — Maleńki, ale śliczny. Noelle kocha ten skrawek ziemi, a na dodatek ma rękę do roślin, chociaż patrząc na podwórze od frontu, w życiu byś się tego nie domyślił.

— Podobno ma jakieś wyjątkowe poidełko dla ptaków?

Opowiedziałam mu o reporterach, którzy chcieli o tej rzeźbie pisać, o tym, że Noelle nie wyraziła zgody. Tamtego wieczoru nie wydało mi się dziwne zainteresowanie Sama ogródkiem. Podejrzewałam, że

Noelle w czasie przyjęcia przydybała go gdzieś w kącie i zasypała wyrzuceniami na temat ukochanego fragmentu podwórka. Teraz jednak zastanowiłam się, czy przypadkiem nie rozmawiali o tym w czasie lunchu w Wrightsville Beach. Coś w tych spotkaniach mnie niepokoiło. Nie żebym podejrzewała męża i przyjaciółkę o romans, tego nie potrafiłam sobie w żaden sposób wyobrazić, ale dziwiło mnie, że żadne nie wspomniało mi o nich ani słowem. Pewnie rację miał Ian, twierdząc, iż te spotkania były związane z testamentem Noelle. Sam nie miał prawa o niczym powiedzieć, Noelle nie zamierzała tego zrobić. Tak czy inaczej, jedno wiedziałam na pewno: nigdy nie poznam prawdy. I to chyba przeszkadzało mi najbardziej.

Kilka godzin później parzyłam kawę u siebie w kuchni, czekając na Emerson. Poprzedniego wieczoru przygotowałam sałatkę owocową. Dziś rano usiłowałam namówić na nią Grace, zanim ją odwiozłam do schroniska dla zwierząt, lecz ona wolała tosty ze sklepu i nie było dyskusji.

Emerson miała przynieść aliche z cukinii z serem gruyere. Jak ona mogła w tych warunkach gotować, w ogóle nie pojmowałam. Z drugiej strony, odkąd pamiętam, robienie wypieków i jedzenie pomagało jej walczyć ze stresem. Ja radziłam sobie z nim za pomocą porządków, dlatego zanim przystąpiłam do szykowania dla nas drinków zwanych mimoza, najpierw umyłam okna w kuchni. Teraz otworzyłam szafkę nad ekspresem do kawy, by wyjąć z niej swoje ulubione niebiesko—białe kubki w kwiaty. Za nimi, upchnięty pod tylną ścianką, lecz wystający niczym chory kciuk, sterczał brzydki, stary kubek podróżny w fioletowe pasy, którego Sam używał codziennie. Serce zamierało mi w piersiach za każdym razem, gdy mój wzrok padał na ten kubek, i do prawdy nie wiedziałam, dlaczego się go nie pozbyłam, gdy oddawałam organizacji dobroczynnej ubrania i drobiazgi z biurka Sama. Wyjęłam dwa kwieciste kubki, postawiłam je na blacie. Potem ostrożnie wyciągnęłam ten w pasy. Zniosłam go do przedpokoju i wrzuciłam do pudełka, które miałam wywieźć do Goodwill Industries w przyszłym tygo-

dniu. Karton był już pełen, gotów do oddania. Nie wiem dlaczego, lecz rozstanie z kubkiem wydawało mi się bardziej ostateczne niż usunięcie głosu Sama z automatycznej sekretarki. Z niekłamanym smutkiem szczelnie zamknęłam klapy pudła. Wróciwszy do kuchni, natychmiast ujrzałam Sama idącego do drzwi z owym szczególnym kubkiem w ręku. Wychodził tak codziennie, poza tym ostatnim rankiem.

Gdyby w tej chwili nie odezwał się dzwonek do drzwi, pewnie bym ten kubek wyciągnęła z kartonu.

Nałożyłyśmy sobie z Emerson po solidnej porcji quiche'a, nalałyśmy po kubku kawy i usadowiłyśmy się na sofie w salonie. Emerson rozłożyła na stoliku rejestry Noelle, obok nich kopię artykułu o Annie Knightly. Już go przeczytałam, nawet kilka razy, ale znowu wzięłam do ręki. Załedwie kilka linijek, lecz przyprawiały mnie o dreszcze.

— Cóż, chyba nie można mieć wątpliwości — powiedziałam. — To nasza poszukiwana. Nasza Anna.

Trudno powiedzieć, dlaczego zaczęłyśmy ją nazywać „naszą Anną”. Trochę jakbyśmy brały na siebie odpowiedzialność za jej losy.

— Teraz musimy się dowiedzieć, kto ma jej dziecko — oświadczyła Emerson.

— Na tym etapie powinniśmy chyba zawiadomić władze — podsunęłam.

Emerson westchnęła ciężko.

— Racja. Tylko że... Właściwie o czym? Nie udało mi się znaleźć żadnych informacji na temat daty zniknięcia jej dziecka. Z artykułu wynikałoby, że zdarzyło się to mniej więcej w roku 2000, ale przecież, z drugiej strony, Noelle napisała w liście „przed laty”, co by sugerowało, że od opisywanego zdarzenia minęło sporo czasu.

— List napisała w 2003 — przypomniałam.

— To prawda. Mimo wszystko „przed laty” odnosi się, moim zdaniem, do jakiegoś dłuższego okresu.

— Co z ostatnim wpisem w rejestrach? — zapytałam.

Emerson podała mi tom leżący na samym wierzchu.

— Teoria o ostatnim dziecku nie wypaliła, bo to był chłopiec. Z drugiej strony, nie da się przeoczyć, że zapiski z ostatniego pół roku nie są takie... tak staranne i kompletne, jak wcześniejsze.

Przyjrzałam się ostatniemu wpisowi.

— Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy. — Pokręciłam głową. — Ciągłe do mnie nie dociera, że tak dawno rzuciła praktykę, a my nic o tym nie wiedziałyśmy.

— Zobacz, wyraźnie widać, że od jakiegoś czasu pracowała mniej. Pod koniec odbierała porody nawet co kilka tygodni. Chyba że prowadziła jeszcze inny rejestr. Ale chociaż obejrzałam każdy papier z jej domu, nic takiego nie znalazłam.

— Może zniszczyła jakieś zapiski przed śmiercią — podsunęłam, przerzucając strony. — Nie chciała, żebyśmy poznały prawdę. — Dotarłam do miejsca zamazanego czarnym flamastrem. — Może tu jest to, czego szukamy? — zastanowiłam się na głos. — Bo niby po co to ukrywała?

— Ja też się nad tym zastanawiałam — przyznała Emerson. — Mało tego. — Wyjęła mi notatnik z ręki i rozłożyła go płasko na blacie. — Zobacz.

Przyjrzawszy się bliżej, dostrzegłam strzępy papieru po wyrwanej kartce.

— No tak. A zaraz dalej ten tekst zamazany na czarno.

— Właśnie.

— Pewnie to jest to. — Przeciągnęłam palcem po nierównej krawędzi. — Próbowalaś odczytać zamazane słowa?

— Nie da rady.

— Który to rok?

— Dzieci zapisane wcześniej i później są z dziewięćdziesiątego siódmego.

— Mogła wyrwać i tę kartkę.

— Po drugiej stronie jest opisany kolejny poród.

— Może ten chłopiec jednak nie był ostatnim dzieckiem odbieranym przez Noelle — zastanowiłam się. — Kto wie, czy nie wyrwała następnej kartki.

— Nie wyrwała. Wszystkie pozostałe strony są na miejscu.

— Mogę wyciąć tę kartkę z zamazanym wpisem? Przyjrzymy się pod światło, kto wie, co wypatrzymy.

— Dobrze. Przynieś nóż.

Poszłam do kuchni, wzięłam mały, poręczny nożyk. Emerson ostrożnie przeciągnęła ostrzem po kartce, tuż przy grzbiecie, oddzielając ją od notatnika z wprawą, jakby taką operację przeprowadzała codziennie.

— Masz.

Podawała mi papier, podeszłam z nim do okna, przycisnęłam go do szyby. Litery zamazane czarnym flamastrem były ledwo widoczne, na domiar złego zlewały się z wyrazami napisanymi po drugiej stronie.

— Chyba... R— a— b— a— l— a... Nie, pierwsze dwa a to e. Re— bela? Rebeka!

Emerson stała za mną, czułam jej oddech na karku.

— A widać nazwisko? — spytała.

Oczy mi się zaszklily łzami od wyteżenia wzroku.

— Pierwsza litera to chyba B?

Odsunęłam się, przyjaciółka zajęła moje miejsce.

— Baker? — zastanowiła się. — Rebeka Baker.

— Świetnie! Teraz musimy zdecydować, co z tym zrobić.

— Adresu nie widać wcale — stwierdziła Emerson, nadal wpatrzona w kartkę.

— Znajdziemy ją w sieci. — Znów byłam przy notatniku. — Nadal uważam, że Noelle przestała odbierać porody po tym wypadku — powiedziałam. — A ty jak sądzisz? Widzisz, chodzi mi o to, że po Rebecce odebrała jeszcze kilkoro dzieci. Sprawdziłaś ostatnią dziewczynkę?

— Tak — powiedziała Emerson. — Bezpośrednio przed tym ostatnim chłopcem jest dziewczynka. Zapis wygląda całkiem przyzwyczajenie, no, może jest trochę... niedbały.

Przeczytałam notatkę o przedostatniej pacjentce Noelle.

— Denise Abernathy. To matka dziewczynki. Moim zdaniem, ją też powinniśmy sprawdzić.

Emerson wróciła na sofę, nadal trzymała w ręku stronę zamazaną na czarno. W zamyśleniu kilkakrotnie stuknęła palcami w wargi.

— A konkretnie jak to sobie wyobrażasz? — spytała w końcu. — Mamy się spotkać z tymi kobietami i sprawdzić, czy ich córki są do nich podobne?

Przygryzłam wargę. Co powinniśmy zrobić?

— Cóż. Musimy wymyślić jakiś powód, żeby z nimi porozmawiać. Trochę to wszystko dziwaczne, ale nie mam innego pomysłu.

Kiwnęła głową.

— Spróbuję znaleźć tę Denise, a ty byś się zajęła Rebeką, dobrze?

Najwyraźniej straciła rozpęd, natomiast ja, wbrew mrocznej naturze naszych zamierzeń, czułam dreszcz emocji, jak zawsze, gdy stawiałam przed nowym wyzwaniem.

I akurat wtedy przypomniały mi się słowa Grace:

„Szukasz zajęcia, żeby nie myśleć. Żeby zapomnieć, jak ci się życie spartoliło”.

Co w tym niewłaściwego?

## *Rozdział 25*

*Anna*

*Alexandria, Wirginia*

Sprzątaliśmy z Bryanem po późnym śniadaniu, a Haley odrabiała lekcje przy kuchennym stole. Na głowie miała ulubioną chustkę, tę w niebieskie i żółte kropki. Na cały weekend została zwolniona do domu. Jeździła z ojcem na rowerze, pomagała mi odrabiać zaległości w pracy, oglądała z koleżankami filmy w naszej piwnicy. Dzisiaj miały przyjechać kuzynki Collier. Jak co roku, na czas jesiennego festynu. Haley nie mogła się ich doczekać. Ulice Starego Miasta zmieniają się nie do poznania. Odgródzone linami, zostaną przeobrażone w wielki targ, zbiorowisko kiosków z najróżniejszymi wyrobami rzemieślniczymi. Mieszkałyśmy dosłownie parę przecznic od centrum wydarzeń, więc dziewczęta zamierzały wybrać się tam na piechotę. Marilyn, Bryan i ja woleliśmy zostać w domu. Do tej pory zostawałyśmy tylko we dwie, szwagierka i ja, ciekawa byłam, jak się do nas dopasuje Bryan. Marilyn również była rozwódką, lubiłyśmy się, rozumiałyśmy doskonale, rozmawiałyśmy głównie o dzieciach. Jakiś czas temu dochodziło do tego jeszcze litowanie się nad Bryanem i roztrząsanie, jaki z niego dureń, że zostawił Haley i mnie, ale po paru latach ten temat zniknął z naszych rozmów, tak samo jak z życia. Marilyn była równie wstrząśnięta jak ja, gdy jej brat nieoczekiwanie pojawił się na nowo. Nadal miała do niego żal, lecz dla mnie wspólna przeszłość oznaczała już wyłącznie przeszłość. Tydzień wcześniej napisałam jej w e— mailu: „Życie jest za krótkie, żeby je marnować na gniew. Bryan wrócił, Haley go uwielbia. To najważniejsze”.



Pierwszy tydzień poszukiwania dawcy upłynął bez dobrych wiadomości, ale doktor Davis zapewnił nas, że taka sytuacja nie należy do rzadkości i nie ma powodów do paniki. Ja byłam przerażona tylko raz w życiu, wtedy gdy sobie uświadomiłam, że Lily rozplynęła się w powietrzu, całkiem jakbym jej wcale nie urodziła. Nie panikowałam, gdy okazało się, że Haley ma białaczkę, ani nawet wówczas, gdy zdiagnozowano u niej tę chorobę po raz drugi. Trochę jakbym gdzieś po drodze wyczerpała możliwość osiągnięcia takiego poziomu strachu, jaki czułam po zniknięciu starszej córki. Teraz też się bałam, oczywiście, ale dzień w dzień musiałam się skupiać na sprawach bieżących, a ponieważ Haley czuła się lepiej, było mi lżej na sercu.

Wyniki badania krwi wyglądały nieźle. Sama Haley — całkiem dobrze. Czasami wręcz zastanawiałam się, czy aby diagnoza nie jest mylna. Wiedziałam, że było to szalone założenie, jednak ona wyglądała i zachowywała się jak zupełnie zdrowe dziecko, więc niełatwo było sobie wciąż uświadamiać, że jest bardzo chora.

— Zobaczcie, kardynały — odezwał się Bryan.

Stał przy zlewie, wyglądał przez okno. Obie z Haley spojrzaliśmy przez szklane drzwi. Rzeczywiście, na karmniku siedziała parka kardynałów.

— Fajne — uznała Haley. Wstała od stołu, wolno podeszła bliżej drzwi. — Kardynały nigdy nie przylatują do karmnika — zauważyła. — Skusiły się na to nowe ziarno.

— Możliwe — przytaknęłam.

Nie patrzyłam jednak na ptaszki, lecz na Bryana, który wychylił się do okna. Od czasu powrotu męża marnotrawnego nie zwracałam szczególnej uwagi na jego wygląd. Zauważyłam jedynie kilka zmarszczek i siwiejące włosy. Teraz w jego oczach lśniło słońce. Po raz

pierwszy od narodzin Lily, od czasu gdy mój świat się zawalił, poczułam fizyczny pociąg do mężczyzny. Do niego. Od tak dawna nie doświadczałam niczego, co by chociaż w minimalnym stopniu kwalifikowało się jako pożądanie, że ledwo rozpoznałam to uczucie.

Od czasu wyjazdu Bryana żyłam wyłącznie dziećmi. Opiekowałam się Haley i szukałam zaginionych dzieci, radząc sobie w ten sposób ze stratą własnego. Nie miałam nic wspólnego z płcią przeciwną. Przyjaźniłam się z kobietami, były wśród nich mężatki, panny i rozwódki. Wszystkie bez przerwy rozmawiały o mężczyznach. Zdumiewał je mój całkowity brak zainteresowania tematem. A ja pragnęłam tylko, by Haley zdrowo rosła i żeby Biuro do spraw Dzieci Zaginionych działało jak najskuteczniej, czyniąc cuda dla rodzin pogrążonych w rozpacz.

Z drugiej strony jednak, nie umarłam całkiem jako kobieta. Nadal ten i ów przystojny celebryta potrafił sprawić, że miękły mi kolana. Ot, po prostu nie miałam ochoty na chodzenie na randki, spotkanie się z facetami, którzy często miewali bardzo złożoną osobowość, a nierzadko w ogóle nie byli warci zainteresowania.

Tymczasem nagle wrócił Bryan. Przez kilka ostatnich tygodni patrzyłam na niego coraz łaskawszym okiem i w końcu doszłam do wniosku, że podoba mi się jako człowiek. Nie był już przystojnym młodzikiem, w którym zakochałam się, mając dwadzieścia jeden lat. I nie był tym facetem, który zostawił mnie na lodzie z chorą córką. Stał się kimś innym. Był starszy, mądrzejszy, odważniejszy. Skruszony. Zależało mu na Haley, a ona przy nim czuła się coraz bezpieczniej. Ostatnio zastanawiałam się, czy mogłoby nas połączyć coś więcej. Nie przeszłość. Coś zupełnie innego. Coś lepszego.

Naprawdę nie zamierzał wyjeżdżać. Kilka dni wcześniej był na rozmowie w sprawie pracy w Waszyngtonie, następnie poproszono go o spotkanie w siedzibie spółki, w San Francisco. Zgodził się na ich propozycję pod jednym warunkiem: będzie pracował w Waszyngtonie. Nie wyjedzie.

— Która godzina? — spytała Haley, znowu siadając przy stole.

— Prawie jedenasta — odpowiedziałam. — Powinny być lada chwila.

— Nie mogę się doczekać.

Zamknęła podręcznik do historii i wstała. Wyjątkowo ją nosiło tego ranka. W poniedziałek musiała wrócić do szpitala na następną chemioterapię, na pewno nie mogło jej to nie gnębić.

— Przykro myśleć o jutrzejszym powrocie do szpitala — powiedziałam, nalewając wody do ekspresu.

Haley skrzywiła się szkaradnie.

— Dlatego o tym nie myślę. Po co wечно to wyciągasz?

— Wybacz.

Bryan uśmiechnął się do mnie współczująco. Haley akurat miała zwyczaj irytacji spowodowanej przyjmowaniem steroidów, więc nie winiłam jej za powarkiwanie. I tak radziła sobie z życiem znacznie lepiej niż ja. Akurat dzisiaj nie wpompowano jej w żyły żadnej trucizny, tym bardziej więc należało jej pozwolić rozkoszować się każdą chwilą wolności.

Dokładnie w chwili gdy włączyłam ekspres, usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwiczek od samochodu.

— Są! — krzyknęła Haley i pobiegła do salonu.

Poszłam za nią. Szarpnęła drzwi wejściowe i zamarła bez ruchu.

— O, psiamać! — wrzasnęła tak, że usłyszała ją połowa Alexandrii. — Mamo! Zobacz!

Podeszłam do niej i zobaczyłam. Marilyn jeszcze wysiadała z samochodu, natomiast w stronę domu biegły cztery całkiem łyse dziewczynki.

— O Boże! — Zaśmiałam się głośno, w równym stopniu oszołomiona i poruszona.

Haley skoczyła do przodu, sekundę później na podjeździe widać było głównie cztery łyse głowy i jedną w chustce w groszki. Dziewczęta ścisnęły się na powitanie.

— Bryan! — krzyknęłam w stronę kuchni. — Przynieś aparat.

Po chwili stanął w drzwiach.

— Ale widok — powiedział z uśmiechem.

Zrobił zdjęcie, po czym na chwilę objął mnie jedną ręką za ramiona i nie było w tym nic niewłaściwego. Uścisnął mnie lekko, zanim puścił.

Marilyn ominęła grupkę dziewcząt i z uśmiechem weszła na schody.

— To był ich pomysł.

Objęła mnie serdecznie, potem, z pewną rezerwą, na moment przycisnęła do siebie brata.

— Najśłodszy pomysł pod słońcem — powiedziałam, wskazując dziewczynki.

Jedna z bliźniaczek, oczywiście nie wiedziałam która, rozdała pięć turkusowych czapek baseballowych.

W minionym tygodniu sprawdzono, czy szpik dziewczynek nadałby się dla Haley. Zrobiono to w sposób łatwy i nieinwazyjny — przez pobranie próbek śliny z wewnętrznej strony policzka za pomocą patyczka z bawełnianą końcówką. Takiemu samemu badaniu poddali

się wszyscy moi bliźsi i dalsi znajomi, niestety, nikt nie mógł zostać dawcą. Żadna z tych kandydatur nie dawała najmniejszej nadziei.

Haley ściągnęła bandanę, pięć dziewcząt włożyło czapki, chichocząc i wskazując na siebie nawzajem. Wreszcie podeszły do drzwi.

— Kochane, zbiłyście mnie z nóg — oznajmiłam.

— Jesteście fantastyczne — dodał Bryan.

Rozróżnienie, która jest która, nastęczało mi niemałych trudności nawet wówczas, gdy miały włosy. Teraz okazało się to niemożliwe. Potrafiłam wyodrębnić jedynie dwunastoletnią Melanie, ponieważ była szczuplejsza, smuklejsza i miała mniejsze piersi niż siostry, u wszystkich natomiast widziałam takie same wielkie piwne oczy, drobne bródki i piegi na nosach.

— Musiałyśmy nadłożyć z dziesięć przecznic, wszystko pozagradzane — zameldowała jedna z dziewcząt.

— Mamo, daj trochę kasy — poprosiła Melanie. — Muszę kupić mnóstwo rzeczy.

Marilyn obdzieliła córki równo, każdej dała dwadzieścia dolarów. Sięgnęłam po torebkę wiszącą na poręczy, lecz Bryan mnie ubiegł i wcisnął banknot w dłoń Haley.

— Dzięki, tato! — rozpromieniła się nasza córka.

W następnej chwili dziewczynki zniknęły, równie szybko, jak się pojawiły, tworząc na chodniku żywy wir, w którego centrum znajdowała się Haley.

— Boże drogi, ona świetnie wygląda! — zauważyła Marilyn, gdy za Bryanem szłyśmy do kuchni. — Gdyby nie zaokrąglona twarz i włosy... to znaczy brak włosów, nie domyśliłabym się, że jest chora.

— To prawda. Jest twarda.

— A ty jak się trzymasz? — Przystanąła, odwróciła mnie do siebie, przytrzymała za ramiona i uważnie mi się przyjrzała. Pochyliła się ku mnie. — Bryan ci pomaga czy przeszkadza?

Jest fantastyczny, pomyślałam.

— Pomaga, i to bardzo — przyznałam. — W przyszłym tygodniu rozpoczynamy kampanię, Bryan sam się zajął wszystkimi przygotowaniami.

— Bardzo się cieszę, że masz z niego wyрекę.

— O czym rozmawiacie? — spytał Bryan, gdy w końcu weszliśmy do kuchni.

— O tobie. — Marilyn objęła go w pasie. — Opowiedz mi o poszukiwaniu dawcy. Jak mogę pomóc?

— Może najpierw napijesz się kawy? — zapytałam.

Kiwnęła głową i przysiadła na jednym ze stołków barowych przy wyspie.

— To jest tak... — Bryan wyciągnął spod blatu drugi stółek i usiadł przed siostrą. — Zamierzamy nagłośnić sprawę w prasie. W przyszłym tygodniu „The Washington Post” przyśle kogoś do szpitala, zrobią wywiad z Haley i z Anną. potem, bliżej terminu akcji zbierania próbek, jedna ze stacji telewizyjnych wyemituje program promujący naszą kampanię.

— Aż tak? — Marilyn wydawała się lekko przestraszona. — Haley się na to zgadza? — spytała, przenosząc na mnie wzrok.

— Tak. Rozumie, w jakim celu to robimy. Nie wiadomo, czy dzięki tej akcji znajdziemy dla niej dawcę, ale jeśli kilkaset osób, a może i więcej, kto wie, zarejestruje się w banku dawców, przynajmniej pomożemy komuś innemu.

Rzeczywiście, miałam obawy przed publicznym nagłaśnianiem sprawy. O własnych problemach gotowa byłam obwieszczać wszem wobec, zniknięcie Lily wzbudziło we mnie potrzebę szukania zaginionych dzieci, ale nie czułam się dobrze, trąbiąc o chorobie Haley na cztery strony świata. Mimo wszystko jednak przyznawałam rację Bryanowi, który uważał, że nadanie naszej akcji charakteru osobistego będzie najlepszym sposobem na zachęcenie potencjalnych dawców do oddawania próbek.

Popijaliśmy kawę i rozmawialiśmy na różne tematy. W pewnej chwili Marilyn wyjrzała przez okno.

— Taki piękny dziś dzień — zauważyła. — Może my też byśmy się wybrali na festyn? Zabawnie będzie.

Tak zrobiliśmy. Spacerowaliśmy po King Street między sprzedawcami i turystami, a ściągnęli tu chyba wszyscy mieszkańcy północnej Wirginii. Od czasu do czasu migały nam w tłumie turkusowe czapki baseballowe, a wtedy skręcaliśmy w przeciwną stronę, żeby dziewczynki mogły nacieszyć się niezależnością. Za każdym razem, gdy je spostrzegłam, serce mi drżało. Wiedziałam, że dla Haley to ostatni dzień dobrego samopoczucia. Jeden z ostatnich, gdy mogła się zachowywać jak każde inne dziecko. Dzisiaj była jedną z pięciu rozchichotanych łysych dziewczynek w turkusowych czapeczkach baseballowych.

Brodząc w nurcie ludzkiej rzeki, starałam się, jak córka, żyć chwilą. Nie myśleć o jutrzejszym powrocie do szpitala. Oddychałam zapachem hot dogów, popcornu i rzeki. Napawałam się przyjaźnią ze szwagierką i niespodziewaną sympatią wiążącą mnie na nowo z byłym mężem. W tamtej chwili świat wydawał się dobrze urządzony i pełen nadziei.



# Rozdział 26

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

Teraz, gdy siedziałam w vanie przed domem Rebeki Baker, ogarnęły mnie wątpliwości co do planu, który obmyśliłyśmy z Emerson. Wymieniłyśmy chyba ze sto listów elektronicznych, rozważając, co należy powiedzieć tym dwóm kobietom, z którymi postanowiłyśmy się spotkać.

Ja uważałam, że powinnyśmy dotrzeć jak najbliżej prawdy, nie ujawniając, co wiemy. Oczywiście, powiedzieć, że byłyśmy najbliższymi przyjaciółkami Noelle i jesteśmy zdruzgotane jej samobójstwem. Wiemy, że miała jakieś osobiste kłopoty w czasie, gdy one rodziły dzieci, a ponieważ taka więź jest oparta na intymności i bliskich relacjach, spodziewamy się, że pomogą nam prześledzić, co się z nią działo. Po prostu chciałybyśmy lepiej zrozumieć Noelle. Wszystko to z pewnością była prawda. Miałyśmy nadzieję, że uda nam się zobaczyć fotografie córek tych kobiet, a na nich, niczym za sprawą czarów, dostrzeżemy zupełny brak podobieństwa, który zdradzi nam prawdę.

U Denise Abernathy nic podobnego się nie stało.

Emerson wyznała, że musiała zebrać w sobie całą odwagę, by podejść do drzwi domu Abemathych. Gdy wyjawiała Denise, z czym przychodzi, ta zaprosiła ją do środka i opowiadała o Noelle bez końca, aż do przesytu.

*Moim zdaniem, nie o nią chodzi — napisała mi Emerson po tej wizycie. — Ma czwórkę dzieciaków, wszystkie zielonookie blondasy, wypisz wymaluj matka. Wychwalała Noelle pod niebiosa, twierdziła, że*



*dzięki niej poród był wspaniałym doświadczeniem. Noelle pomagała jej rodzić także starszą córkę, więc gdy Denise dowiedziała się, że jej ulubiona położna zrezygnowała z praktyki, była niepokieszona i najmłodszą dwójkę musiała urodzić z pomocą innej akuszerki. Tak więc to musi być ta twoja Rebeka.*

Moja Rebeka.

Chętnie bym skorzystała z porady prawnej Sama. Czy nasze poczynania były zgodne z prawem? Z pewnością zasługiwały na miano nieetycznych. A jednak czy miałyśmy inne wyjście? Nawet gdyby Sam żył, nie potrafiłabym z nim o tym rozmawiać. Oczywiście, nie mogłam też zapytać Iana. Zostałyśmy z Emerson zdane na siebie.

I tak siedziałam przed domem Rebeki Baker, przypominając sobie, że kiedyś byłam aktorką. Potrafiłam grać.

Cały dzień zwlekałam, jak mogłam. Ze szkoły wyszłam przed kilkoma godzinami. Do przyjęcia Suzanne zostały tylko trzy dni, wobec tego na wszelki wypadek spotkałam się z dostawcą cateringu, by ustalić kilka ostatnich szczegółów, a następnie zajrzałam do sklepu oferującego artykuły niezbędne przy urządzaniu imprez i zamówiłam kilka tuzinów balonów wypełnionych helem. Na tym skończyły mi się wymówki, więc w końcu pojechałam na spotkanie z Rebeką Baker.

Wysiadłam z vana i ruszyłam długim podjazdem, mając nadzieję nie zastać w domu nikogo.

Odszukanie Rebeki Baker nie było łatwe. W przeciwieństwie do Denise Abernathy, która w dalszym ciągu mieszkała pod adresem zanotowanym przez Noelle. Przede wszystkim adres pani Baker został zamazany czarnym flamastrem. W końcu to Emerson znalazła odpowiednie wskazówki na profesjonalnej stronie internetowej LinkedIn.

Rebeka Baker pracowała jako księgowa. O jej dzieciach czy mężu w profilu nie było ani słowa, jednak wiek i miejsce zamieszkania pasowały do osoby, której szukałyśmy.

Stałam na ganku, wcisnęłam dzwonek i usłyszałam z wnętrza przeciągłe echo gongu. Ktoś był w domu. Dobiegło mnie poszczekiwanie psa. Potem odgłos kroków. I chwilę później drzwi otworzyła dziewczynka parę lat młodsza od Grace.

— Cześć — powiedziała.

Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie istoty skłonnej do psikusów, była mocno zbudowana i miała ciemne włosy. Uniosła brwi w niemym pytaniu: „A ty kto?”.

— Cześć — odpowiedziałam. — Nazywam się Tara Vin— cent. Szukam Rebeki Baker.

— Sekundę. — Obróciła się na pięcie i ruszyła koryta— rzem w stronę kuchni. Dochodził stamtąd szcęk naczyń. — Mamo! — zawołała dziewczynka. — Ktoś do ciebie.

W zasięgu mojego wzroku pojawiła się kobieta ubrana w dresy. Uniosła brwi w taki sam sposób jak córka, ale poza tym nie były do siebie wcale podobne. Matka miała włosy jasnobłond, a oczy mocno niebieskie. Wcale nie podobna.

— Przepraszam, że przeszkadzam — zaczęłam. — Może pani być zdziwiona, ale mam do pani istotną sprawę. Nazywam się Tara Vincent, byłam bliską przyjaciółką Noelle Downie.

Ściągnęła brwi, jakby nie nadażała za moimi słowami. Trudno było ją winić.

— Słyszałam, że Noelle popełniła samobójstwo — powiedziała.

— Tak, rzeczywiście. Chciałabym... Gdyby pani zechciała mi poświęcić kilka minut... Mogę przyjechać kiedy indziej...

— Co chce pani wiedzieć?

— Znajdzie pani teraz wolną chwilę? — upewniłam się.

Rebeka Baker obejrzała się przez ramię.

— Oderwała mnie pani od sprzątanía kuchni, wobec czego nie mam nic przeciwko drobnej przerwie. — Wskazała bujane fotele stojące na ganku. — Zapraszam.

— Dziękuję.

Usiadłyśmy. Fotele były zakurzone i zaniedbane. A ja miałam na sobie biały kardigan. Ledwo zapanowałam nad odruchem przetarcia mebla. Gospodyni usiadła bez ceregieli.

— W zasadzie nie byłam zaskoczona wiadomością, że Noelle popełniła samobójstwo — oznajmiła. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo pani współczuję jako przyjaciółce zmarłej, jednak nie zdziwiła mnie informacja o jej śmierci.

Jak to?!

My, najbliższe przyjaciółki Noelle, byłyśmy kompletnie zaskoczone jej krokiem, a ta obca kobieta nie widziała w nim nic dziwnego?

— Naprawdę? — zdumiałam się. — Dlaczego?

— Gdy ją widziałam ostatnim razem, była w fatalnym stanie.

— Kiedy?

— O, dawno temu. Wybrałam Noelle na swoją położną przy dwóch pierwszych porodach, przy synu i przy tej córce, która pani otworzyła. Nazywa się Petra. I tak się złożyło, że przy córce już mi nie pomogła. Ale to długa historia. O czym pani chciała porozmawiać?

Myśli kłębiły mi się w głowie. Noelle nie odbierała Petry? Jakie to miało znaczenie, jak się wpasowywało w naszą niekompletną układankę?

— Byliśmy wstrząśnięci samobójstwem Noelle — przyznałam. — Odnoszę wrażenie, że pani znała ją lepiej niż my wszyscy. Staramy się dowiedzieć, dlaczego odebrała sobie życie. Zarzuciła wykonywanie zawodu ponad dziesięć lat temu. Nie wiemy, co ją do tego skłoniło, co doprowadziło ją do ostateczności. — Czego nie zauważyliśmy? — Dlatego postanowiliśmy porozmawiać z kilkoma ostatnimi jej pacjentkami. Próbujemy zrozumieć, skąd się u niej wzięła tak ogromna depresja.

Moje tłumaczenie brzmiało sztucznie, pani Baker jednak potakiwała, jakby jej zdaniem było całkiem sensowne.

— Cóż... Najpierw muszę zaznaczyć, że Noelle okazała się niezapamiętana przy porodzie mojego syna. Była wspaniała. Nie mogłam się jej doczekać przy narodzinach Petry. Niestety, wtedy pojawiła się tutaj właściwie zupełnie inna osoba, co tu kryć, w bardzo złym stanie. Ja też wtedy nie byłam u szczytu formy... — Uśmiechnęła się do wspomnień. — Bóle w krzyżu dawały mi popalić już od kilku dni, więc pewnie bym nie zauważyła, gdyby nagle wyrosła jej druga głowa, na szczęście mąż był przytomny.

— Co to znaczy, że była w złym stanie?

— Nieprzytomna.

— Nieprzytomna? — powtórzyłam

Nic nie rozumiałam.

— Zakrecona, jakby coś brała. Przy narodzinach mojego syna była opanowana i spokojna, wiedziałam, że jestem w dobrych rękach.

Kiwnęłam głową.

— Tymczasem Noelle, która przyjechała odebrać Petrę, była zupełnie inną osobą — ciągnęła pani Baker. — Potykała się o własne nogi. Miała szklane oczy. Gdybym nie była wtedy tak zajęta sobą, na pewno by mnie przeraził jej stan. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co robić. Dochodziła trzecia nad ranem, więc uznałam, że Noelle jest po prostu zaspana. Dałam jej godzinę czy dwie na dojście do siebie, ale nic się nie zmieniło. W końcu mąż powiedział jej, że nie będzie odbierała porodu. Miał rację, wiedziałam o tym, ale się przeraziłam. Sądziłam, że będę musiała jechać do szpitala i rodzić przy jakimś obcym lekarzu. Słyszałam rozmowę męża z nią, bo stali w korytarzu, tuż za drzwiami. Mąż powiedział Noelle bez ogródek, że wygląda, jakby coś wzięła, więc nie pozwoli jej się mną zajmować i ma zamiar zawieźć mnie do szpitala.

— Co na to Noelle?

— Mówiła bardzo cicho, jej nie słyszałam, ale mąż powiedział mi później, że wcale się nie sprzeczała. Raczej się z nim zgodziła. Przeprosiła, wyjaśniła, że cierpi na bóle pleców i prawdopodobnie wzięła za dużo leków. Była naprawdę poruszona i do tego stopnia skruszona, że w końcu mąż zaczął ją pocieszać. Zadzwoiła do innej położnej, Jane Rogers, powiedziała jej, że jest chora, i poprosiła o zastępstwo. Jane przyjechała od razu i wspaniale wywiązała się ze swojego zadania.

— Noelle rzeczywiście czasami brała środki przeciwbólowe — potwierdziłam. — Przykro mi, że akurat taki był skutek.

— Mąż uznał ją za uzależnioną.

— Chyba tak nie było — powiedziałam.

Chociaż skąd niby miałam wiedzieć? Tak czy inaczej, nasza teoria na temat zamazanego wpisu legła w gruzach. Wpis został zamazany, ponieważ Noelle w rezultacie nie odebrała tego porodu. Z drugiej strony, Petra rzeczywiście w niczym nie przypominała matki, smukłej blondynki. Czyżby nieszczęście zdarzyło się Jane, a Noelle pomogła

zatuszować sprawę? Chciałam wypytać panią Baker, co pamięta z samego porodu. Czy zabrano od niej dziecko? Może Noelle wróciła? Niestety, w świetle racji, które jej przedstawiłam, tych pytań nie mogłam zadać.

— Przynajmniej miała tyle przytomności umysłu, by sprowadzić zastępstwo — powiedziałam.

— Rzeczywiście. Wtedy byłam na nią zła. Zdaniem męża, powinniśmy byli złożyć na nią skargę, jednak z drugiej strony, zrobiła, co mogła, zapewniła zastępstwo, urodziła nam się śliczna, zdrowa dziewczynka... Postanowiliśmy nie nagłaśniać sprawy i skupić się na dziecku.

— Ślicznie państwu wyrosła — powiedziałam. — Ja też mam nastoletnią córkę.

— Wobec tego — uśmiechnęła się Rebeka Baker — wie pani, co to próba sił. - Jej słowa dodały mi otuchy. Najwyraźniej nie ja jedna borykałam się z wychowaniem nastolatki. Ale na przykład Emerson należała do innej kategorii: Jenny nie nastęrczała jej właściwie żadnych kłopotów.

— Oj, wiem — przyznałam. Wstałam. — Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

— Pomogłam pani?

— Tak sędzę. Wszyscy przegapiliśmy u niej ten stan, o którym pani wspomniała. Szczerze żałuję.

— Rozumiem panią. W zeszłym roku popełniła samobójstwo jedna z koleżanek Petry. Córka do tej pory nie może się pozbyć poczucia winy. Nikt nie zauważył nic alarmującego. Nie sposób pomóc komuś, kto nie chce pomocy.

W drodze do domu nie myślałam o Noelle, tylko o koleżance Pe-try. Nastolatki odbierały sobie życie. Rozmyślałam nad ponurymi na-  
strojami Grace. Przypomniały mi się jej koszmary nocne. Tak wiele  
czasu poświęcałam na odgadnięcie, co się działo z Noelle, gdy tymcza-  
sem moja córka stanowiła dla mnie większą i bardziej istotną tajemni-  
cę. Przestraszyłam się nagle. Czyżbym przeoczyła coś istotnego? Coś  
związanego z Grace, coś, co miałam przed oczami? Jak się tego dowie-  
dzieć?

Nie odsuwaj mnie od siebie, kochanie, prosiłam ją w myślach.

Nie odpychaj mnie, córeńko.

THIR

## *Rozdział 27*

*Emerson*

*Jacksonville, Karolina Północna*

Tego dnia dziadek wyglądał lepiej. A może zdążyłam przywyknąć do jego ściągniętych rysów i wynędzniałej twarzy?

— Cześć, kochanie! — Uśmiechnął się na mój widok.

Wyciągnął do mnie wątle ramiona. Pochyliłam się nad łóżkiem i uściskałam go serdecznie.

— Dobrze wyglądasz — zauważyłam, przysuwając krzesło.

— Pozwoliłem się ogolić. — Przesunął drżącą dłonią po brodzie.  
— Na twoją cześć.

— Przywiozłam ciasto z dyni. Zostawiłam u pielęgniarce, dostaniesz po obiedzie.

— Pieczesz wyśmienite ciasto z dyni.

— Bo ty mnie tego nauczyłeś.

— A tam, bzdury opowiadasz. Jeszcze nie miałaś dziesięciu latek, jak już mnie prześcignęłaś w wypiekach.

Skupił na mnie wzrok, oboje spowaźnieliśmy. Chciał, bym przyjechała sama, bez Teda i bez Jenny, więc wiedziałam, że powinnam się spodziewać pożegnania. Łzy zakręciły mi się w oczach.



— Nie płacz. Jeszcze nic nie powiedziałem.

— Chciałeś, żebym przyjechała sama.

Sięgnęłam nad barierką łóżka, ujęłam go za rękę.

— Tak to jest. — Pokiwał głową. — Muszę z tobą poważnie porozmawiać. Przykro mi, ale pewnie będziesz wstrząśnięta, kochanie.

Zacisnęłam wargi. Nie rozumiałam, do czego ma prowadzić ta rozmowa. Dziadek przyglądał mi się z troską.

— Już w porządku — zapewniłam. — Możesz mówić.

— Masz serdeczną przyjaciółkę. Noelle Downie.

Spotkali się kilka razy, jednak nie pojmowałam, dlaczego miałby o niej mówić akurat teraz. Nawet nie zawiadomiłam go o jej śmierci, nie widziałam powodu. A dzisiaj szczególny ton w jego głosie podpowiedział mi, by na razie tego nie robić.

— Owszem.

— Noelle jest twoją przyrodnią siostrą.

Ściągnęłam brwi. W ostatnich kilku tygodniach zdarzało mu się mówić od rzeczy. „W łazience są motyle” albo „Ciągłe mi dają spaghetti na śniadanie”... Opiekunowie poinformowali mnie, że to skutek uboczny przyjmowanych leków. Czy sytuacja się powtórzyła?

— Nie rozumiem — przyznałam.

— Co tu rozumieć, jest, jak mówię. Noelle to twoja przyrodnia siostra, moja wnuczka. Miałaś nigdy się o tym nie dowiedzieć.

— Ale... Nadał nic nie rozumiem.

— Pewnie, pewnie. — Odwrócił twarz do okna, zapatrzył się na wypielegnowany ogród. — Muszę ci powiedzieć prawdę o Noelle, bo inaczej nie umrę spokojnie.

Z kącików błękitnych oczu spływały mu łzy. Sięgnęłam po chusteczkę, otarłam dziadkowi policzki. W głowie miałam kompletny chaos.

— Twoja mama w wieku piętnastu lat urodziła dziecko.

Oślupiałam.

Nie bardzo umiałam sobie wyobrazić mamę jako nastolatkę. Nastolatkę w ciąży. Zmagającą się z trudną decyzją.

— Czyli... to była Noelle?

Dziadek oblizwał spierzchnięte usta.

— Susan spotykała się wtedy z Frankiem, ale w ciążę zaszła z innym chłopcem. Dowiedzieliśmy się o tym dość późno. Frank o niczym nie wiedział... Nikt nic nie wiedział, tak zdecydowała Susan. Wysłaliśmy ją do twojej ciotecznej babki, Lety, do hrabstwa Robeson. Frankowi powiedziała... hm... cóż, przyznaję, nie pamiętam, co powiedziała Frankowi. Zdaje się, że Leta jest chora i trzeba jej pomóc. Leta znalazła położną, która opiekowała się twoją matką, a potem, jak by to rzec... pozbyła się problemu.

Położna? Noelle? Wszystko mi się pomieszało.

Potarłam czoło.

— Nie rozumiem, jak...

— Położna chciała adoptować dziecko, więc razem z mężem zostali adopcyjnymi rodzicami córki twojej matki.

— Ale... Skąd wiesz, że ta córka to Noelle?

Coś mnie ścisnęło w piersiach. Straciłam nie tylko serdeczną przyjaciółkę. Poniosłam znacznie większą stratę.

— Mniej więcej w tym czasie, gdy twoi rodzice przeprowadzili się do Kalifornii, matka zaczęła rozważać myśl o odszukaniu córki. Jakoś jednak nie mogła się na to zdecydować. Bała się powiedzieć prawdę twojemu ojcu, nawet po tylu latach. W końcu przecież go okłamała. No i tak. Znała nazwisko położnej, wiedziała, gdzie mieszka, więc pewnie bez trudu dowiedziała się, jakie imię nadała dziewczynce. Zajął się tym niedługo przed śmiercią. Nie wiedzieliśmy natomiast, że jesteś zaprzyjaźniona z jej pierwszą córką. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero po wypadku. Gdy pierwszy raz wspomniałaś przy nas o Noelle, byliśmy z babcią wstrząśnięci. Nauka w tym samym college'u może nie była takim znowu dziwnym zbiegiem okoliczności, ale że akurat wy się zaprzyjaźniłyście... — Pokręcił głową z niedowierzaniem, przeniósł na mnie zmęczone spojrzenie. — Jak ci się wydaje, czy ona się dowiedziała, że jesteście spokrewnione?

Pomyślałam o ostatniej woli Noelle. O ustanowieniu wykonawcy testamentu. O zaskakującym podziale pieniędzy zostawionych w spadku. Siedemdziesiąt pięć procent dla Jenny. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie, w pokoju w akademiku. Jeszcze po latach żartowałyśmy z Tarą na temat dziwnego zachowania Noelle tamtego dnia. Jej pytań o moich rodziców, o nazwisko, o dziadków.

— Dowiedziała się — wykrztusiłam z trudem. — Nie wiem, jak i skąd, ale się dowiedziała.

— Postanowiliśmy z babcią dochować tajemnicy, ponieważ twój ojciec w końcu jednak nie poznał prawdy. Nie chcieliśmy niszczyć jego wspomnień o Susan. Teraz natomiast, skoro twój ojciec już nie żyje, a i ja niedługo zejdę z tego świata, najwyższy czas to zmienić. — Spojrzał na mnie z nadzieją w oczach. — Mam do ciebie ogromną prośbę. Ale nie chcę robić niczego wbrew twojej woli. Pewnie będziesz musiała się zastanowić.

— Zrobię dla ciebie wszystko.

— Chciałbym, żeby poznała całą prawdę. Chciałbym się z nią zobaczyć i porozmawiać. Spędzić z nią trochę czasu. Z moją wnuczką. — Wargi mu drżały, nie mogłam znieść jego wzruszenia. — Zrobisz to dla mnie?

— Och, dziadku!

Ujęłam jego rękę w obie dłonie i opowiedziałam mu swoją część historii Noelle. Zakończenie.

TLR

# *Rozdział 28*

## *Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

Siedziałyśmy z Emerson objęte, na schodkach przed tylnym wejściem do domu Noelle. Patrzyłyśmy na ogródek. Czekaliśmy na Suzanne, która miała obejrzeć dom i zdecydować, czy go wynajmie. Jej obecny najem wygaszał dopiero wiosną, lecz to akurat nie przeszkadzało Emerson i Tedowi, bo potrzebowali czasu na przeprowadzenie remontu.

Suzanne niekiedy tutaj bywała, toteż wiedziała, jak wygląda dom i jaki w nim zwykle panował bałagan. Nic zatem dziwnego, że gdy Emerson zaproponowała jej wynajęcie, zrobiła zaskoczoną minę i obiecała się zastanowić.

Oglądając dom, będzie musiała zignorować zniszczone podłogi, brudne ściany i pustą kuchnię, gdzie miał się pojawić nowy komplet mebli. Oby tylko dostrzegła potencjał i zalety tego budynekczku, bo nam zależało, by zamieszkał tu ktoś, kto kochał Noelle.

Zamierzałyśmy także podpytać Suzanne o praktykę położniczą Noelle, choć wątpiłyśmy, by wiedziała więcej niż my, skoro wiadomość, iż nasza przyjaciółka nie pracuje w zawodzie, wyraźnie ją zaskoczyła. Mimo wszystko warto było zadać kilka pytań.

Przede wszystkim jednak chciałyśmy dać upust smutkowi, wspominać Noelle, siostrę Emerson. Siedziałyśmy na schodkach już dobre pół godziny, przywołując w pamięci wspólne dni w akademiku Galloway, gdy Noelle się z nami zaprzyjaźniała. Zadzierałyśmy wtedy nosa, bo miałyśmy za koleżankę dziewczynę starszą od nas, właściwie

kobietę, bo nas wybrała spośród wszystkich uczennic. Dlaczego nigdy nie zdradziła Emerson, co wiedziała? Ogromna szkoda. Gdyby tak mogły otwarcie występować jako siostry... Prawda wiele wyjaśniała. Choćby moje nieustające wrażenie, że trochę odstawałam od Noelle i Emerson. Że Noelle kochała Emerson odrobinę bardziej niż mnie. Wiele bym dała, by się tymi refleksjami podzielić z Samem. Aleby się zdziwił!

Postanowiłyśmy chwilowo nie wtajemniczać Grace ani Jenny. Na razie i tak działo się zbyt wiele, a poza tym Emerson potrzebowała czasu, by się oswoić z rzeczywistością. Oczywiście, powiedziała o wszystkim Tedowi, a ja, za jej przyzwoleniem, wtajemniczyłam Iana. Nie dalej jak poprzedniego wieczoru przyszedł na kolację, trochę korzystając z tego, że Grace wybrała się z Jenny do kina. Szósty zmysł podpowiadał mi, by na razie nie afiszować się ze spotkaniami z Ianem. Nadal nie łączyło nas nic poza szczerą przyjaźnią, Grace jednak patrzyła na nas z taką dezaprobatą, że samo wyprowadzanie jego imienia przy córce stanowiło dla mnie dyskomfort.

Zdumiały go wiadomości na temat Noelle i Emerson. Długo stał na środku kuchni, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— *Czyli byłem zaręczony z kobietą, o której właściwie nic nie wiedziałem.* — Przeciągnął dłonią po przerzedzonych blond włosach. — Pytanie, czy w ogóle ktokolwiek ją znał. Musiała być bardzo samotna.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, iż Ian w dalszym ciągu ją kocha. Może nie całym sercem, może już tylko we wspomnieniach, lecz oczy nadal lśniły mu niekłamany ucuciem, a w głosie pobrzmiwał smutek.

— Halo! — zawołała Suzanne z wnętrza domu.

Specjalnie dla niej zostawiłyśmy otwarte drzwi frontowe.

— Tu jesteśmy! — zawołała Emerson.

Podniosła się ze schodków, głową wskazała ogródek.

— Możemy zacząć od atutów.

Suzanne pchnęła siatkowe drzwi i wyszła na ganek. Miała niebieskie oczy, wiecznie zaokrąglone, jakby ze zdumienia.

— Cześć. — Uścisnęła nas po kolei, po czym skarciła wzrokiem. — Kochane moje, muszę wam trochę pomóc przy organizacji przyjęcia.

— Wszystko pod kontrolą — poinformowałam.

W zasadzie zgodnie z prawdą.

— Chcemy, żebyś się dobrze bawiła — dorzuciła Emerson.

Oczy miała nieco zaczerwienione, ale Suzanne chyba tego nie zauważyła.

— Pusty dom wygląda zupełnie inaczej — oznajmiła nasza kandydatka na najemcę. — Mogę wtrącić swoje dwa grosze w kwestii wyboru kolorów?

— Jasne — zapewniła Emerson. — Masz też głos w sprawie impregnatów do drewna, lakierów do podłóg i kafelków.

— Ach, ten ogródek! — zawołała Suzanne.

Zeszła z ganku, my za nią.

— Pamiętam go wiosną — rzuciła przez ramię. — Niesamowity. Nieprawdopodobny.

— Oczko w głowie Noelle — przytaknęła Emerson.

— Apoiდეłko...! — Suzanne wskazała stojącą na palcach dziewczynkę. — Coś cudownego. I te zioła! — Pochyliła się, zagarnęła w dłoń kilka łądyżek. — Zawsze mi dawała bazylię. Teraz ja ją będę rozdawała.

Za jej plecami Emerson uniosła w górę oba kciuki.

— Miałyśmy nadzieję, że lubisz czasem pogrzebać w ziemi — powiedziała.

— Lubię. A teraz nie mam miejsca na ogródek. — Wreszcie ode-  
rwała wzrok od kwiatów i ziół. — Na pewno możesz poczekać z wy-  
najmem do marca? To jeszcze kawałek czasu.

— Nie ma sprawy — zapewniła ją Emerson.

— Cleve sprowadzi się do ciebie na lato? — spytałam.

Dom świetnie się nadawał dla jednej niewymagającej  
osoby, ale dla dwóch, w tym nastolatka — chyba niekoniecznie.

— Robi projekt „Ojczyzna ludzkości”, więc woli pojechać do ojca,  
do Pensylwanii. Na pewno ma też mnóstwo innych planów. Pewnie mu  
przygotuję jakieś łóżko w drugiej sypialni, wobec czego biurko ustawię  
w salonie. Swoją drogą, mam nadzieję, że Cleve już nigdy w życiu nie  
będzie ze mną mieszkał. T Przeniosła wzrok na mnie. — Jak sobie ra-  
dzi Grace? — W jej głosie brzmiało współczucie.

— Nie najgorzej.

Chciałam chronić córkę. Za nic w świecie bym nie zdradziła, jak  
bardzo tęskni za byłym chłopakiem.

— Śliczna z niej dziewczyna — powiedziała Suzanne. — I przemi-  
ła.

— Dziękuję — odparłam z uśmiechem.

Grace rzeczywiście była śliczna i faktycznie miła, w każdym razie  
poza domem.

— Suzanne — odezwała się Emerson. — Czy znasz Jane Rogers?  
Pracowała jako położna z...



— Znam, znam, oczywiście. Była zatrudniona w Centrum Położnictwa. Dawno już przeszła na emeryturę i wyjechała do Australii.

— Do Australii! — powtórzyła Emerson.

— Chciałyście ją zawiadomić o śmierci Noelle?

Zerknęłam na przyjaciółkę, niepewna, ile powiedzieć.

— Rozmawialiśmy z jedną z dawnych pacjentek Noelle i od niej się dowiedziałyśmy, że ta przy jej drugim porodzie nie czuła się dobrze i w zastępstwie przysłała właśnie tę Jane. Ciekawe jesteśmy, kto to taki.

— Jasne. To i owo mogę wam powiedzieć. Pomagały jedna drugiej. W tamtym czasie akurat nie miałam wiele wspólnego z położnictwem, bo po narodzinach Cleve'a postanowiłam skupić się na macierzyństwie. — Pochyliła się, zerwała listek szaławii i powąchała. — Jedna rzecz mnie zastanawia. Skoro Noelle od wielu lat nie praktykowała jako położna, dlaczego rok w rok jechała w teren? Czasami znikwała na ładnych parę miesięcy. — Przeniosła na mnie wzrok.

A my obie z Emerson myślałyśmy chyba o tym samym: Czy te pacjentki „z terenu” Noelle zapisywała w rejestrze?

— Wiem tyle, co ty — powiedziałam wolno. — Jest mnóstwo pytań, na które chyba nie znajdziemy odpowiedzi.

— A może wiesz, dokąd ona właściwie jeździła? — spytała Emerson.

— Zawsze sądziłam, że wracała w swoje rodzinne strony. Wspominała coś o ubogiej okolicy. I o Indianach.

— Z plemienia Lumbee — uściśliłam. — Dorastała w hrabstwie Robeson.

Czy rzeczywiście tam jeździła? Czy nam to powiedziała, czy same tak założyłyśmy? Zawsze była osiągalna pod numerem komórkowym albo przez e— mail, ale chyba nigdy nie miałyśmy adresu pocztowego.

— Słuchajcie — Suzanne znów uniosła szalwzię do twarzy — pochodzę sobie po domu i popatrzę, jak tu będą pasowały moje meble, dobrze?

— Jasne — zgodziła się Emerson natychmiast. — Gdybyś miała jakieś pytania, zawołaj.

Odprowadziłyśmy ją wzrokiem, po czym spojrzaliśmy po sobie.

— Ale z nas idiotki — powiedziałam. — Czy te miesiące wyjazdów są ujęte w rejestrach?

— Raczej nie. Pewnie by mi wpadły w oko adresy spoza naszej okolicy. Wypadek musiał się zdarzyć w czasie któregoś z wyjazdów.

— Masz rację.

Nagle jednak przypomniał mi się artykuł o Annie Knightly i pokręciłam głową.

— Chociaż niekoniecznie — skorygowałam. — Dziecko Anny Knightly zniknęło ze szpitala w Wilmington. Do hrabstwa Robeson jest ile... godzina drogi?

Emerson złapała się za głowę. Najwyraźniej miała ochotę wyć.

— Rozwiążę tę zagadkę, choćbym miała zdechnąć! — oświadczyła.

Z mojej komórki dobiegły elektroniczne dźwięki *Ali That Jazz*. Melodyjka rozniosła się po całym podwórku. Wygrzebałam telefon z torebki przewieszanej przez ramię i spojrzałam na wyświetlacz, Ian.

— Cześć, co tam?

— Gdzie jesteś? — spytał szorstko.

Ściągnęłam brwi, zaskoczona.

— Jestem z Emerson u Noelle, pokazujemy Suzanne...

— Możecie obie przyjechać do mnie do biura?

— Teraz? — Spojrzałam na Emerson. — Mamy jeszcze trochę pracy w związku z jutrzejszym przyjęciem...

— Sprawa jest ważna i pilna — oznajmił Ian. — Wiem, kiedy Noelle urodziła dziecko.

TLR

# *Rozdział 29*

*Noelle*

*Wrightsville Beach, Karolina Północna*

*Wrzesień 1992*

Trudno o coś głupszego i podlejszego.

Powtarzała to sobie przez cały czas, idąc przez cichy, pogrążony w półmroku korytarz hotelu Blockade Runner. Wybiła godzina druga po północy. Gdy Noelle zatrzymała samochód na wielkim parkingu przed budynkiem stojącym nad brzegiem oceanu, Wrightsville Beach trwało pogrążone we śnie. Potrzebowała ciszy, spokoju i odosobnienia. Chciała, żeby wszyscy spali. Tylko jedna jedyna osoba nie powinna spać. Tylko jedna.

Weszła do pustego holu. Powitała ją wielka tablica z napisem LSAS! Nie miała pojęcia, co oznaczał. L mogło się odnosić do „legislacyjny” albo do „lądowy”... Wszystko jedno. Nic jej nie obchodziła jakaś konferencja. Skrzyła w lewo.

Ostatnio wiele się w jej życiu działo, i była za to wdzięczna losowi. Nareszcie robiła to, o czym marzyła od dwunastego roku życia — pracowała jako położna. Mieszkała dziesięć minut od Emerson i jej niedawno poślubionego Teda, w wynajętym domku na terenach Sunset Park, gdzie Ted mieszkał przed ślubem. Bardzo jej się tam podobało, miała właśnie takie sąsiedztwo, jakie uwielbiała: zróżnicowane, całkowicie bezpretensjonalne, coraz bardziej zżyte. Emerson już zaszła w ciążę i była z tego powodu wniebowzięta, a skoro ona szalała ze szczęścia, to Noelle również.

Wydawało się ironią losu, że Ted i Emerson, po niespełna rocznej znajomości, zdążyli już wstąpić w związek małżeński, podczas gdy Tara i Sam wciąż tego nie zrobili. Miało się to jednak zmienić lada moment. Do ślubu zostały tylko dwa tygodnie. Tara najchętniej wyszłaby za mąż w dniu ukończenia college'u, jeśli nie wcześniej, lecz Sam nie zamierzał się śpieszyć. Postanowił dopilnować, by jeszcze przed ślubem wszystko zostało odpowiednio poukładane. Chciał zdać egzaminy i podjąć praktykę, zanim się ożeni i założy rodzinę. Teraz już wszystko było jak należy. Tara pierwszy rok uczyła, a Sam śpiewająco zaliczył egzaminy i przyłączył się do uznanego adwokata, Iana Cutlera. Nie mógł dłużej grać na zwłokę. Właśnie tak Noelle postrzegła jego niechęć do zalegalizowania związku. Na pewno miał wątpliwości, i to ona, Noelle, była ich powodem, chociaż nigdy tego nie powiedział. Jak mógł się żenić, skoro darzył uczuciem inną kobietę? Nie mogła mu na to pozwolić. A w każdym razie nie zamierzała się poddać bez walki. Choć czuła się spełniona, brakowało jej jednego: Sama. Data jego ślubu straszyla w kalendarzu jak termin pogrzebu.

Z łatwością odszukała właściwy pokój. Na parterze, od strony oceanu. Sam i Tara mogli zostawiać przesuwane szklane drzwi otwarte i słuchać szumu fal. Numer pokoju dostała od Tary, powiedziała jej, że musi z Samem pogadać o pewnym przypadku związanym z pracą. Skłamała z obrzydzeniem. W pewnym sensie kłamstwo wydawało się gorsze niż to, do czego prowadziło. Tara, ufna po granice naiwności, wzięła wyjaśnienie za dobrą monetę. I nic dziwnego, bo Noelle nie ściągnęła pretekstu z sufitu. Zdarzyło jej się wcześniej poprosić Sama o poradę prawną w sprawie jednej z pacjentek. Skupiał się na kwestiach związanych ze służbą zdrowia, co jej się bardzo podobało. Chciała sądzić, że miała wpływ na jego wybór, ponieważ zawsze zwierzała mu się z wątpliwości co do uregulowań prawnych dotyczących zdrowia matki i dziecka. Gdy spotykali się w pięcioro, często oni dwoje rozmawiali o wspólnych sprawach zawodowych, podczas gdy pozostali zajęci byli planami weselnymi albo oceną sytuacji na rynku nierucho-

mości. Czowała bliskość Sama wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. On jeden wiedział, że jest spokrewniona z Emerson, tylko jemu mogła wyznać, ile radości i bólu przynosi jej przyjaźń z siostrą.

Zastukała do drzwi i czekała w ciszy. Nic. Zastukała ponownie, głośniejsze.

Sam otworzył drzwi, wyraźnie zaspany. Włosy miał potargane, suwak od dzinsów rozpięty, tors nagi. Oczy mu się zaokrągliły na jej widok, długie rzęsy rzucały na policzki gęsty cień.

— Co się stało? — zapytał wystraszony. — Czy Tara...?

— Nic się nie stało. Chciałam się z tobą zobaczyć.

Chwilę stał w progu niezdecydowany, usiłował pojąć sens jej słów, powód wizyty o drugiej nad ranem, dwa tygodnie przed jego ślubem.

W końcu ujął ją za rękę i wprowadził do pokoju. Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu. Czowała na sobie światło nocnej lampki. Zastanowiła się, co też on widzi na jej twarzy.

Oparł ręce na biodrach i przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

— Ech, Noelle — westchnął w końcu. Jego ton zdradzał zmęczenie. Trochę jakby się poddawał. — Co ty tu robisz?

— Chcę cię uchronić od popełnienia życiowego błędu — powiedziała. — Fatalnego dla ciebie i dla Tary. I dla mnie.

Z trudem przełknęła ślinę. Po raz pierwszy od chwili, gdy postanowiła tu przyjść, poczuła zdenerwowanie. Sam przeniósł spojrzenie na drzwi balkonowe. — Nie chcę prowadzić tej rozmowy tutaj. — Lekkim ruchem głowy wskazał łóżko, zupełnie jakby miało ich podsłuchiwać. Zgasił lampę, odciągnął zasłony. Za szybą rysowały się białe zmarszczki piany na grzywaczach pędzących do brzegu. Sam zapiął spodnie, przesunął drzwi.

— Chodź — powiedział. — Przejdziemy się.

Zrzuciła ze stóp sandały, zaczepiła je na palcu i wyszła na patio. Przeszli przez kutą balustradę, trawnikiem dotarli na plażę, gdzie noc otuliła ich balsamiczną ciemnością, ciężką od zapachu soli. Fale wzbierały i opadały, pęczniejący księżyc dzielił ocean pasmem srebrnego blasku. Sam wziął Noelle za rękę. O tak.

Bardzo tego potrzebowała. Musiała mieć pewność, że nie jest na nią zły za nocne najście.

— Dziś nie pomagasz rodzić?

— Nie. Wczoraj odebrałam syna swojej pomocnicy. Poród przebiegł spokojnie, w sypialence małżeńskiej Suzanne, przy ciepłym blasku świec. Zeke, mąż rodzącej, nie opuścił jej nawet na moment. Dziecko obdarzone wielkimi imionami Cleveland Ezekiel Johnson ześlizgnęło się w dłonie Noelle z łatwością niesłychaną jak na pierworodnego.

— Wszystko poszło gładko.

Emerson coraz częściej mówiła o porodzie w domu. W zasadzie nie zalecano, by położna odbierała poród w rodzinie, lecz Noelle czekała na narodziny swojej siostrzenicy z nieskrywaną radością. Nikt poza Samem o niczym nie wiedział.

— We właściwym czasie pomożesz też Tarze i mnie — powiedział, jakby chciał się upewnić.

Noelle skupiła się na dotyku jego dłoni.

— Sam — odezwała się po chwili milczenia. — Jeszcze możesz zmienić zdanie. To się zdarza. Ludzie uświadamiają sobie, że są o krok od popełnienia błędu, który ma wpływ na całą resztę życia. Możesz...

— Ciii... — Mocno ścisnął jej dłoń. — Proszę... nie mieszaj mi w głowie. Zastanawiam się nad tym bez przerwy od chwili naszego

pierwszego spotkania. I ty o tym doskonale wiesz. Wiesz, że walczyłem sam ze sobą i w końcu podjąłem decyzję. Uszanuj ją, proszę.

— Kochasz mnie.

Nie zaprzeczył.

— Nie tylko miłość się liczy.

— Wręcz przeciwnie.

— Tarę też kocham. A pasujemy do siebie lepiej niż my oboje. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Chcę zamieszkać w domu na przedmieściu. Chcę...

— ... mieć biały drewniany płot. Psa. I dzieci. Rozumiem, tylko że...

— Jesteś wspaniała — przerwał jej. — Jesteś jedną z dwóch najwspanialszych kobiet, jakie istnieją na świecie. W pewnym sensie nawet przewyższasz Tarę. Tyle że ona, w przeciwieństwie do ciebie, chce żyć tak samo jak ja. Przyznaj szczerze, nie tęsknisz za przyjęciami dla prawników. Nie chcesz zdobywać pozycji towarzyskiej w Wilmington. A ja będę musiał to robić, moja żona zaś będzie do tego zobowiązana, dla dobra mojej kariery.

Nie odpowiedziała. Wszystko to była prawda. Nie interesowało jej takie życie. Rzecz w tym, że jej zdaniem Sam, choć najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy, również nie tego pragnął.

Odwrócił się, zastąpił jej drogę. Widziała w jego oczach księżyc, dwa maleńkie srebrne sierpy odbite w źrenicach.

— Ty jesteś moim niedoścignionym marzeniem — powiedział. — A Tara rzeczywistością. Przy tobie... Zawsze mam nieodparte wrażenie, że jeśli cię dotknę, moja ręka przejdzie przez ciebie na wylot. Jakbyś była złudzeniem.



Uniosła jego rękę, wsunęła sobie pod bluzkę, położyła dłoń na swojej nagiej piersi.

— Jestem zjawą? — spytała.

Oswobodziła jego dłoń, a mimo to jej nie opuścił. Potarł brodawkę kciukiem. Nie mógł się zdecydować. Noelle wiedziała jednak, że plany dotyczące ślubu tak czy inaczej pozostaną bez zmian. Zastanawiał się jedynie nad tą jedną nocą. Nad chwilą obecną.

Pochylił się, przycisnął wargi do jej ust. Noelle czuła przez ubranie wzbierającą erekcję, przez spodnie i spódnicę.

Nie po to do niego przyszła. Nie po tę jedną chwilę, tylko po wspólną resztę życia. A jednak piersi jej nabrzmiały, stwardniały brodawki, a tętno czuła w podbrzuszu. Odsunęła od siebie oczekiwania dotyczące całej reszty życia. Chciała wziąć przynajmniej to, co Sam gotów był jej dać teraz i co będzie musiało wystarczyć na zawsze, na czas jego życia z białym płótem, kosztownym fryzjerem i grafitowymi garniturami oraz jej życia z meblami nie od kompletu i wezwaniami w środku nocy, z krwią, z narodzinami. Jeżeli los dawał go jej tylko na tę jedną noc, należało uczynić wszystko, by warto było wspominać owe chwile.

Leżeli na piasku, zapatrzeni w czarę nieba pełną gwiazd. Ona zwinęła pod głowę spódnicę, on dzinsy. Na skórze Noelle osiadły słone krople. Przekręciła się na bok, przeciągnęła dłonią po piersi Sama.

— W porządku? — spytała.

Nie odpowiedział, lecz wsunął palce w jej włosy.

— Powinienem się czuć dużo gorzej — odparł w końcu.

— Czujesz się winny, że nie czujesz się winny? — spytała z uśmiechem.

— Chyba jeszcze nie wszystko do mnie dotarło. Nigdy nie zdradziłem Tary. A jesteśmy ze sobą siedem lat. Nigdy.

— Proszę cię, nie mów o zdradzie.

— Rozumiesz chyba... że nic się nie zmieni?

— Dla mnie trochę jednak tak — odparła. — Zyskałam cenne wspomnienie.

Sam nawinął na palec kosmyk jej włosów.

— Możesz mieć każdego mężczyznę, którego tylko zechcesz. Na przykład Iana.

Zignorowała jego słowa. Doskonale wiedziała, że współpracownik Sama czuł do niej miętę przez rumianek, ale jego uczucie pozostawało całkowicie nieodwzajemnione. Ian był sympatyczny, przystojny, bystry i bezpośredni. Nawet rozważała, czyby się z nim nie przespać, ale taki krok mógłby okazać się sporym błędem, Ian należał do ludzi, którzy chcą czegoś więcej, a ona, jeśli miałyby zostać z mężczyzną na dłużej, to tylko z klonem Sama. Ian nim nie był.

— Najważniejsze, żebyś się tym nie martwił — powiedziała. — Naszym dzisiejszym spotkaniem. Nigdy więcej cię o coś takiego nie poproszę. Jeżeli wiesz na pewno, że żeniąc się z Tarą, robisz dokładnie to, czego rzeczywiście chcesz, masz moje stuprocentowe wsparcie, bo kocham was oboje. — Całkiem niespodziewanie głos jej się załamał. — Umówię się z Ianem parę razy, dam mu szansę.

Sam pogładził ją po ramieniu.

— Dobrze. Uszczęśliwisz człowieka.

Usiadła z westchnieniem i sięgnęła po ubranie.

— Czas na mnie — powiedziała, wciągając bluzkę przez głowę.

Wstała, otrzepała uda z piasku. Sam zaczął się ubierać.

Dobrze, że to zrobiłam.

Chociaż zdradziła przyjaciółkę, chociaż będzie ją to prześladowało, jednak musiała to zrobić, by pozwolić Samowi odejść. W przeciwnym razie nie mogłaby się od niego uwolnić przez lata. Przez dekady. A to byłoby, na dłuższą metę, znacznie gorsze dla przyjaźni z Tarą. W ten sposób natomiast zamknęła sprawę raz na zawsze. Tak sobie tłumaczyła, wkładając spódnice. Definitywnie zamknęła rozdział niespełnionej tęsknoty.

Wskazała parking za hotelem.

— Zostawiłam auto na samym końcu.

W drodze do samochodu Sam objął ją za ramiona. Milczał niepokojąco, lecz gdy dotarli na miejsce, uściskał ją i trzymał w objęciach długi czas, a ona przycisnęła dłonie do jego nagich pleców.

— Nie mów, że ci przykro — szepnęła. — Bardzo cię proszę.

Odsunął się od niej powoli, przesuwając dłonią po jej rękę, od barku aż po koniuszki palców. Dopiero wtedy otworzył drzwi.

— Trzymaj się — powiedział.

— Ty też.

Usiadła za kierownicą i nie oglądając się za siebie, odjechała.

Łzy przyszły zdumiewająco szybko. Szloch wstrząsał jej ciałem, ledwo widziała drogę. Otulała ją smoliście czarna noc. Gdy minęła most na stały ląd i stanęła na czerwonym świetle, nie dostrzegła innych samochodów. Ukryła twarz w dłoniach. Najchętniej by uciekła z własnego ciała.

Ruszyła dalej.

Nagle rozległ się przeraźliwy pisk hamulców. Otworzyła oczy i od razu zmrużyła powieki, bo oślepiły ją reflektory innego wozu. Krzyk-

nęła, odbiła w lewo, wdusiła pedał gazu. Tamten mimo wszystko ją zahaczył, o zderzak z prawej strony, wóz wpadł w poślizg, a ona, bez pasów, uderzyła w kierownicę. Z całej siły nadepnęła na hamulec. Auto stanęło dęba, a Noelle miała wrażenie, że zrywają się jej wszystkie mięśnie.

Z drugiego samochodu wyskoczył mężczyzna. Ruszył w jej stronę biegiem, krzycząc coś i gwałtownie wymachując rękami. Zablokowała drzwiczki od środka. Furiat? Szaleniec? — —

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

— Światła, kretynie! — wrzeszczał ile sił w płucach. — Włącz światła!

Światła?

Boże!

Nieemożliwe.

Drżącymi rękami ustawiła odpowiednie pokrętło. Zobaczyła jeszcze, że mężczyzna wyciąga z kieszeni telefon.

Policja.

Urywane myśli kłębiły jej się w głowie. Jedna z nich uformowała się najszybciej. Nie sposób komukolwiek wyjaśnić, co robiła w Wrightsville Beach w środku nocy.

Wdusiła gaz, z piskiem opon zjechała ze skrzyżowania i pognęła na złamanie karku jak najdalej od tamtego kierowcy i od jego krzyków. Pozostawało mieć nadzieję, że w ciemności nie zdołał odczytać numerów rejestracyjnych. Kilka przecznic dalej wjechała na jakiś mroczny parking, wyłączyła silnik i długi czas czekała, aż serce się uspokoi. W końcu jego rytm wrócił do normy, niestety, równocześnie mięśnie karku ściągnęły się i zeszywniały. Uświadomiła sobie, że nie tylko zdrada będzie ją prześladowała jako wspomnienie tej nocy.

# *Rozdział 30*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Nie byłam u Sama w biurze od jego śmierci. Kilka tygodni po wypadku Ian przywiózł mi do domu dwa kartony z jego osobistymi rzeczami. Bardzo tego żałowałam. Zapasowe okulary przeciwsłoneczne, kilka nagród zawodowych, oprawione w ramki fotografie Grace i moje — różne drobiazgi, których wolałabym nie widzieć.

Usiadłyśmy z Emerson na sofie pod oknami. Czekaliśmy na Iana. Na biurku Sama w dalszym ciągu stały monitor i klawiatura, jednak nie było tam nic więcej. Nietknięte trwały natomiast sięgające sufitu regały wypełnione różnymi prawniczymi tomami oraz trzy lśniące antyczne szafki na dokumenty. Ian z wolna przedzierał się przez ich zawartość, usiłując się zorientować, które ze starych spraw prowadzonych przez Sama ewentualnie wymagałyby jego uwagi.

— Napijcie się czegoś zimnego? — zapytał, wchodząc do biura.  
— Wody? Gazowanej?

W dłoniach trzymał dużą żółtą teczkę na dokumenty. Ani grubą, ani cienką. Krawędzie miała nieco poprzecierane.

— Nie trzeba — odezwałam się za nas obie.

Bo obie chciałyśmy przede wszystkim usłyszeć, co miał do powiedzenia.

Ian usiadł w jednym ze skórzanych foteli ustawionych przed biurkiem Sama.

— Cóż... — Spojrzał na mnie, jak mi się zdawało, przepraszająco. — Noelle nie przestaje nas zaskakiwać.

— Ian — odezwała się Emerson ze zniecierpliwieniem. — Czego się dowiedziałeś?

Uniósł żółtą teczkę.

— To jedna ze starych spraw Sama. Opatrzona nazwiskiem Sharon Byerton. Fałszywym.

— Skąd wiesz, że jest fałszywe? — spytałam.

— Sam je wymyśliłem — wyjaśnił Ian. — Jeśli zdarza mi się pracować z klientem, którego tożsamość chcę zachować w tajemnicy, uchronić przed każdym, kto mógłby nieproszony poznać zawartość moich archiwów, wówczas ukrywam go pod fałszywymi danymi. Tymczasem po otwarciu tej teczki... — Pokręcił głową. Miał wypisane na twarzy niedowierzanie, jakby ciągle nie mógł się oswoić ze znaleziskiem. Otworzył teczkę. W środku znajdował się plik grubych kremowych kartek, takich, jakich Sam używał przy spisywaniu dokumentów prawnych. — Pamiętacie tak zwaną pracę w terenie Noelle?

Zgodnie przytaknęłyśmy.

— Nie praktykowała położnictwa — oznajmił. — Jeśli już, to na sobie.

— Ze co? — zdumiała się Emerson. — Nie rozumiem.

— To są umowy — powiedział, wyjmując dokumenty z teczki — świadczące o tym, że Noelle była zastępczą matką.

— Co takiego? — wykrztusiłam.

— Została matką zastępczą pięciokrotnie. Wyjeżdżała do Asheville, Raleigh czy Charlotte, tam przebywała przez ostatnie miesiące ciąży, rodziła i oddawała dziecko rodzicom biologicznym.

Nie mogłam wydusić słowa, Emerson też najwyraźniej odebrało głos. Tego było dla nas za dużo. O wiele za dużo.

— Jak to możliwe? — Emerson spojrzała na mnie pytająco. — Jak to w ogóle możliwe? Dlaczego miałyby się decydować na coś takiego...?

— Dobry Boże... — powiedziałam wolno. — Nie ma wątpliwości?

Ian podał każdej z nas jedną umowę. Przerzuciłam strony. W rubrykach przeznaczonych na wpisanie danych genetycznych rodziców widniały obce nazwiska. Tam gdzie należało wpisać imię i nazwisko matki zastępczej, zobaczyłam dane Noelle. Podniosłam wzrok na Iana. — Co to za ludzie?

— Dysponuję wyłącznie informacjami z dokumentów. Umowy są sporządzone prawidłowo, lecz nie stanowią typowych kontraktów tego typu... o ile się orientuję. Zwykle matka zastępcza jest kobietą zamężną i ma dzieci, jej mąż także podpisuje uzgodnienia. W tym wypadku sprawa wygląda inaczej. Każda z tych umów została spisana jeszcze przed zapłodnieniem in vitro, co akurat należy chwalić. Poza tym Noelle zadbała o własne bezpieczeństwo. Czy też może raczej należy tę zasługę przypisać Samowi, jak się domyślam. W każdym wypadku rodzice pokrywali wszelkie wydatki, a także płacili jej piętnaście tysięcy dolarów, co za taką usługę jest sumą dość skromną, lecz jak rozumiem, dla Noelle wystarczającą. Nie miała zbyt wielu wydatków.

— Nie obciążaliśmy jej czynszem — wychrypiała Emerson.

— Widnieją w tych dokumentach zwykle zastrzeżenia, że matka zastępcza nie będzie ingerowała w wychowanie dziecka ani nie wystąpi o przyznanie praw rodzicielskich. A dalej...

— Kiedy to się zaczęło?

— Pierwsza umowa została spisana w kwietniu 1998. — Ian odchrząknął, spuścił wzrok na teczkę rozłożoną na kolanach. — Zwykle w tego rodzaju dokumentach — podjął ciężkim głosem — znajduje się też ocena stanu psychicznego matki zastępczej, tu jednak nie znalazłem takiej klauzuli, więc... — Nie dokończył zdania.

Spuścił głowę, potarł brodę, oczy mu się zaszklily, co było widoczne mimo okularów. Zrobiło mi się go żal. Podeszłam do niego i go objęłam.

— Na pewno nie była zdrowa psychicznie — powiedziałam. — Coś z nią było bardzo nie w porządku, tylko że nikt z nas tego nie zauważył.

— Chciałabym porozmawiać z tymi rodzicami — odezwała się Emerson. — Przynajmniej z ostatnią parą. Czy mogę to zrobić?

Ian uniósł głowę, podziękował mi krótkim uściśnięciem ramienia. Odzyskał równowagę.

— Skontaktuję się z nimi, sprawdzę, czy to możliwe — oznajmił.

Nadał stałam przy nim, dłoń opierałam na jego ramieniu. Mnie też się oczy zamglily, choć nie z powodu Noelle, lecz przez niego. Uświadomiłam sobie, że jest mi bliższy, niż sądziłam.

— Nie zauważyłyśmy u niej ciąży! — wydusiła Emerson. — Pięć razy!

— Zawsze się luźno ubierała — powiedziałam.

— Może właśnie w tej sprawie spotykała się z Samem w restauracji w Wrightsville Beach — domyśliła się Emerson.

— Możliwe — przytaknął Ian odruchowo. — Chociaż... ostatni kontrakt jest z roku 2007, a umarła, mając lat czterdzieści cztery, więc



raczej nie świadczyła już usług tego rodzaju. Do rzadkości należy wynajmowanie matki zastępczej w tym wieku.

— Ale wynajmowano ją, mimo że nie miała męża ani dzieci — przypomniałam. Wróciłam na sofę. — I Sam jej pomagał? Nie pojmuję.

Zdumiewał mnie udział Sama w całej sprawie, a zwłaszcza fakt, że on jeden wiedział o poczynaniach Noelle, podczas gdy reszta z nas pozostawała w nieświadomości.

— Czy to było etyczne postępowanie? Czy nie powinien był próbować ją powstrzymać?

— Zapewne próbował — ocenił Ian. — Według mnie doszedł do wniosku, że zdoła jej pomóc, dbając o właściwą formę kontraktów. Z tego, co widzę, od strony prawnej wszystkie są związane na ostatni guzik. — Podniósł teczkę z kolan. — Martwi mnie fakt, że Noelle miała problemy psychiczne, o których żadne z nas nie wiedziało, jeśli jednak postanowiła zostać *zastępczą* matką i nie chciała poddawać się terapii, muszę wierzyć, iż Sam bronił jej interesów najlepiej, jak umiał, czyli dbając o właściwą formę umów. — Otworzył teczkę. — Nie ma tu żadnych notatek o spotkaniach, to akurat jednak nic niezwykłego — dodał. — Sam często wyrzucam takie wzmianki, zwłaszcza gdy dotyczą kwestii wyjątkowo drażliwych. Jedyna rzecz poza kontraktami znajduje się tutaj. — Pokazał nam trzecią stronę okładki.

Dostrzegłam ślad ołówka, lecz nie mogłam odczytać, co napisano.

— Co tam jest? — zapytałam.

— Tylko jedno słowo, ze znakiem zapytania. „Pokuta?”.

# *Rozdział 31*

*Noelle.*

*Wilmington, Karolina Północna*

*1993*

Siedziała w salce dla odwiedzających oddziału położniczego. Czekwała na Tarę. Była zdruzgotana, starała się jednak jakoś trzymać, bo wokół miała niespokojne rodziny z dziećmi, nie chciała przy nich płakać.

Zostawiła Emerson i Teda w sali pooperacyjnej. Emerson szczęściem jeszcze nie do końca oprzytomniała po wyłyżeczkowaniu macicy. Jej pierwsza ciąża skończyła się przed upływem dwunastego tygodnia. Tym razem dotrwała do osiemnastego i wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Noelle nie zamierzała kolejny raz podejmować się roli położnej Emerson. Bardzo ciężko przeżyła poronienie u jednej z pacjentek. W wypadku nieszczęścia Emerson nie zniosłaby ogromu smutku.

Tara wpadła do poczekalni jak burza, pełna energii, a jednocześnie zatroskana.

— Przejechałam na czerwonym świetle — oświadczyła, uściskawszy przyjaciółkę. — Gdzie ona jest?

— W pooperacyjnej. Z Tedem.

Tara zapadła się w sąsiedni fotel. Ciemnoblonde włosy miała ściągnięte w potargany koński ogon, a na twarzy ani śladu makijażu, co stanowiło niepodważalny dowód, że wybiegła z domu w pośpiechu.

— Znowu przechodzi przez tę gehennę — westchnęła. — Już za pierwszym razem było fatalnie. Teraz będzie dużo gorzej. Boję się o nią.

Miała rację. Po pierwszym poronieniu Emerson ogarnęła ciężka depresja, trwająca długie tygodnie. Nie mogła się skupić na żadnym zajęciu, więc nawet nie wychodziła do biura Teda, gdzie zaczęła pracować jeszcze przed ślubem. Nie potrafiła zrobić zakupów ani posprzątać domu. Bywały dni, gdy nie mogła nawet wstać z łóżka.

— Wszystko przez hormony — powiedziała Noelle. — Depresja poporodowa. Tym razem chyba nie obejdzie się bez leków. Spytałam Teda, czy mogłabym się na jakiś czas do nich wprowadzić, zgodził się od razu.

— Fantastyczna myśl! — Tara chwyciła przyjaciółkę za rękę. — Przy tobie na pewno szybciej dojdzie do siebie. Będę wam podrzucała jedzenie.

— Zgoda — przystała na to Noelle. — Zaopiekujemy się nią wspólnie.

Poprawiła się w fotelu. Kręgosłup dawał jej się silnie we znaki od wypadku. Czasami nie mogła znaleźć pozycji, w której by nie bolał.

Tara obserwowała wejście na oddział.

— Jak myślisz, można już do niej iść?

Noelle kiwnęła głową i wstała.

— Chodźmy. Poproszę, żeby cię wpuścili.

Długim korytarzem dotarły do salki pooperacyjnej.

— Przerazają mnie te jej poronienia — wyznała Tara. — Przecież dba o siebie i robi wszystko jak trzeba, a mimo to... Ja bym nie dała rady.

— Co ty gadasz. — Noelle położyła jej dłoń na ramieniu. — Twarda z ciebie sztuka. Ale miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała przez to przechodzić.

Wiedziała, że Tara i Sam starali się o dziecko, życzyła im rychłego sukcesu.

Od ich ślubu minęło prawie osiem miesięcy. Był to jeden z najtrudniejszych dni w życiu Noelle. Od rana czuła się niezdrowa, zważyła, czy w ogóle da radę przetrwać uroczystość, a tym bardziej czy podziała roli druhny. Jej fatalne samopoczucie nie miało jednak fizycznego podłoża. Była chora z obrzydzenia do samej siebie. Dlaczego ludzie kompletnie tracą głowę, gdy idzie o seks? Dlaczego tak trudno powiedzieć „nie”? Przecież tamtej nocy w Wrightsville Beach, gdy się zorientowała, że Sam nie zostawi Tary, powinna była powiedzieć „Rozumiem” i wyjść. W ten sposób uniknęłaby bezlitosnego bólu pleców oraz nieubłaganego poczucia winy.

Ponad wszystko nie chciała niszczyć najwspanialszej przyjaźni. A teraz Sam trzymał się na dystans. Schodził jej z drogi, dbał, by nie zostawali nigdy sami we dwoje, wyraźnie jej unikał. Nawet Tara coś zauważyła. „Pokłóciliście się z Samem?”. Była szczerze zmartwiona, nie chciała żadnych niesnasek między dwiema drogimi jej osobami. Tyle w niej było naiwności. Tyle ufności, gdy chodziło o Sama. Tamto jej pytanie Noelle zbyła śmiechem: „No coś ty!”, po czym uściskała Tarę z całych sił, powtarzając w myślach: „Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam”.

Dziś, w szpitalu, pomogła Tarze dostać się do salki pooperacyjnej, lecz sama tam nie weszła. Pielęgniarkom nie spodobałby się tłumek przy łóżku Emerson. Wolnym krokiem dotarła do damskiej toalety, tam połknęła kilka pigułek z zapasów, które zawsze miała w kieszeni. Oparła się o chłodną ścianę, przymknęła oczy i niecierpliwie czekała, aż nadejdzie ukojenie.

Powiedziała wszystkim, że gdy wracała nocą od porodu w Wilmington, wpadł na nią na skrzyżowaniu pijany kierowca, który nie zatrzymał się na czerwonym świetle, Ian, od ślubu Tary z Samem oficjalnie jej chłopak, namawiał ją do wniesienia oskarżenia, wyjaśniła mu jednak, że w tamtej chwili stłuczka wydawała jej się na tyle nieistotna, iż nie zadała sobie trudu, by zdobyć nazwisko kierowcy. Poprosiła Iana, by nie rozgrzebywał sprawy i pozwolił jej zwyczajnie zapomnieć o nieprzyjemnym zdarzeniu.

Do łazienki weszła jakaś kobieta, więc Noelle odsunęła się od ściany, umyła ręce i wróciła na korytarz. Wolnym krokiem dotarła do poczekalni, minęła ją i wyszła na parking. Musiała wrócić do domu, spakować parę drobiazgów, żeby móc się wprowadzić do siostry.

W samochodzie poczuła, że leki zaczynają działać.

Dzięki Bogu.

Ostatnio brała ich więcej, sama sobie ustalała dawki i mieszanki. Zachowywała ostrożność, starając się stłumić ból w plecach do znośnego poziomu, a jednocześnie jakoś przytomnie funkcjonować. Za nic w świecie nie chciała ograniczać praktyki zawodowej albo, co gorsza, narazić na niebezpieczeństwo którąś z pacjentek. Znała uzależnionych od medykamentów lekarzy i pielęgniarzy, poprzysięgła sobie nigdy nie pójść w ich ślady. Od czasu wypadku miała dla nich więcej współczucia. Próbowwała akupunktury, masażu reiki, odpoczynku i gorąca i lodu, ale nic nie pomagało tak skutecznie jak solidna dawka leków. Starła się brać ich jak najmniej, na całkowitą ulgę pozwalała sobie jedynie wówczas, gdy miała pewność, że nie zostanie wezwana do porodu albo do podopiecznej. Normalnie stale czuła ból. I uważała, że sobie na to zasłużyła.

Zajęła pokój gościnny. Przywiozła trochę ubrań, zapas leków dla Emerson, poduszkę elektryczną, swoje środki przeciwbólowe oraz reje-

stry narodzin. Po raz pierwszy od wyjazdu z domu rodzinnego, czyli od ośmiu lat, czuła się częścią rodziny. Gotowała, sprzątała, robiła zakupy i pielęgnowała siostrę, z wolna przywracając ją do życia. Słuchała żalów Emerson za straconym dzieckiem, słuchała o zaprzepaszczonej planach i nadziejach. O tym, jak synek miał iść do szkoły, na studia, ożenić się, mieć dzieci. W wyobraźni Emerson był uzdolniony artystycznie i muzykalny, chociaż, prawdę mówiąc, ani ona, ani Ted nie przejawiali zdolności w tym kierunku. Byłby grzeczny i kochany. Emerson nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, więc i Noelle wiedziała, jak by było. Słuchała i myślała: „mój siostrzeniec”. I sama czuła pustkę po stracie.

Była jedyną bezdzielną położną, a marzenie o stworzeniu własnej rodziny rosło w niej z każdym odebrany porodem. Właśnie z tego powodu zaczęła patrzeć na Iana innymi oczami.

— Uwielbiam cię, jesteś wspaniała — powiedział jej którejś nocy w pokoju gościnnym u Emerson. Przed chwilą kochali się po cichu. — Nikt tak jak ty nie potrafiłby pomóc Emerson i Tedowi.

Ian nie tylko ją uwielbiał, ale wręcz wielbił, i to od dłuższego czasu. Akurat takie traktowanie nigdy jej nie pociągało. Czy go kochała? Tak, w ten sam sposób, w jaki kochała wszystkich przyjaciół, i tyle musiało wystarczyć. Nie odnalazła klona Sama, a miała pewność, że Ian będzie dobrym ojcem i mężem, nie zasługiwała na taką wierność.

— Łatwo jej pomóc — odparła, opierając głowę na jego ramieniu. — Kocham ją, chcę, żeby była szczęśliwa.

— Pasują do siebie z Tedem.

— Tak — zgodziła się. — Rzeczywiście.

Ted należał do mężczyzn, którzy nie opowiadają o swoich uczuciach, lecz co jakiś czas Noelle dostrzegała u niego wzruszające gesty. Kiedyś widziała, jak czule pogładził Emerson po policzku, gdy oglądali

telewizję. Chowając niepotrzebny fotelik samochodowy do plastikowej torby przed wyniesieniem go na strych, miał w oczach smutek. W takich chwilach Noelle chciała od życia czegoś więcej, niż miała.

— Jak tam, czy udział w harmonijnym życiu rodzinnym podsuwa ci jakieś pomysły? — podśmiewał się Ian.

Normalnie ucięłyby temat ze śmiechem, Ian kilka razy prosił ją o rękę, lecz zawsze dowiadywał się, że jest o wiele za wcześnie na rozmowy o małżeństwie. Tej nocy natomiast, myśląc o Emerson i Tedzie, o tym, jak dobrze im jest razem, mimo bardzo różnych charakterów, nie odpowiedziała od razu.

— Właściwie... — odezwała się w końcu — ... dosyć mi się to podoba.

— Ooo... — Ian się uśmiechnął. — Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Czy wobec tego wyjdiesz za mnie?

Musiała się zaśmiać. Podparła się na łokciu.

— Mam do ciebie prośbę — powiedziała, Ian zsunął z jej ramienia kosmyk włosów.

— Jaka?

— Pytaj mnie nadal, dobrze? — Uśmiechnęła się lekko. Możliwe, że za którymś razem cię zaskoczę.



# *Rozdział 32*

*Emerson*

*Wilmington, Karolina Północna 2010*

W noc po rozmowie z Ianem, gdy powiedział nam o tym, że Noelle była zastępczą matką, leżałam w łóżku nieprzytomna ze zmęczenia, a mimo to nie mogłam zasnąć. Po wyjściu z biura pojechałam do Jacksonville, na kilka chwil do dziadka. Nie zamieniliśmy nawet słowa, bo spał. Właściwie mi to nie przeszkadzało. Bardzo przeżywał fakt, że nie dane mu było spędzić choćby paru chwil z Noelle, a mnie bolał jego smutek i głęboki żal.

W domu zastałam wiadomość od Iana i numer telefonu kobiety, która ostatnia skorzystała z pomocy Noelle jako zastępczej matki. Szczęście, że ani Ted, ani Jenny jeszcze nie wrócili. Usiadłam przy kuchennym stole i wybrałam numer. Kobieta miała na imię Angela. Gdy wyjaśniłam, kim jestem i w jakiej sprawie dzwonię, chyba powstrzymywała płacz.

— Prawnik powiedział mi, że się zabiła... Nie mogę się otrząsnąć. Kochaliśmy ją z całego serca. Gdyby nie jej pomoc, nie mielibyśmy dwójki wspaniałych dzieci.

— Czy Ian powiedział też pani, że nie wiedzieliśmy o tej stronie życia Noelle?

— Tak. Właściwie nie jestem zaskoczona, bo była osobą bardzo skrytą. Nie wiedzieliśmy z Robem zbyt wiele o jej życiu. Z początku mieliśmy wątpliwości, czy podjęliśmy właściwą decyzję, bo przecież zastępcza matka powinna mieć własną rodzinę. Zasięgnęliśmy języka u



innej pary, której Noelle pomogła jako matka zastępcza, a oni ocenili ją tak wysoko, że zaufaliśmy jej bez reszty.

Miałam kłopoty z formułowaniem pytań, chociaż je przygotowałam, zanim zadzwoniłam.

— Gdzie mieszkała, oczekując porodu?

— Gdy nosiła naszego syna, wynajęliśmy jej pokój w hotelu, natomiast przy drugiej ciąży, tej z córką, znaleźliśmy się i lubiliśmy już na tyle, że na ostatnie trzy miesiące zamieszkała z nami. Szczerze powiedziawszy, okazała się bardzo pomocna.

— Czy zdradziła, dlaczego to robi?

— Mówiła, że takie ma powołanie. Właśnie takiego słowa używała. Powołanie.

— Czy nie odniosła pani wrażenia, że nadużywa leków?

— W zasadzie nie zamierzałam zadawać tego pytania, jakoś samo wyskoczyło mi z ust.

Angela dłuższy czas milczała.

— Dlaczego pani o to pyta? — odezwała się w końcu.

— W kontrakcie została umieszczona klauzula, że nie wolno jej brać żadnych leków bez pozwolenia lekarza i naszej zgody

— Cierpiała na bóle pleców, jakiś czas potrzebowała środków przeciwbólowych. Chciałabym wiedzieć, jak sobie bez nich radziła.

— O plecach wiedziałam. Wiedziałam, że czasem bierze leki przeciwbólowe, sama nas o tym zawiadomiła. Ostatnie trzy miesiące spędziła z nami. Wiedzielibyśmy, gdyby coś zażywała. Ja jej ufałam.

— Pani zdaniem, była zdrowa psychicznie?

— Powiedziałabym, że zdrowo świrnięta! — zaśmiała się Angela. — Cudownie zwariowana. Ale to nie była choroba psychiczna. Po prostu... — Westchnęła głośno. — Kochała to, co robiła. Rola matki zastępczej ją uszczęśliwiała. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jest mi bardzo przykro, że odeszła. Trudno mi sobie wyobrazić, że mogła popełnić samobójstwo.

— Mówiła coś o rodzinie? Przepraszam, że tak panią zarzucam pytaniami, ale naprawdę potrzebuję...

— Nie ma problemu. Pewnie czułabym się podobnie, gdybym nagle odkryła, że któryś z członków mojej rodziny prowadzi podwójne życie. Wracając do pani pytania, tak, owszem, mówiła o siostrze, czyli, jak rozumiem, o pani. Mówiła często i dużo. Chwaliła pani zdolności kulinarne...

— Nazywała mnie siostrą?

— Tak. Przecież była pani siostrą, prawda?

— Wiem o tym od niedawna.

— Aha. Dla mnie to nie nowość. Zawsze nazywała panią siostrą. Chyba że... może ma jeszcze inne siostry?

— Tylko mnie — powiedziałam, lecz daleko mi było do jakiegokolwiek pewności. Kto wie, co jeszcze przed nami ukrywała? — Zostało mi jedno pytanie. Czy wspominała o niejkiej Annie Knightly?

— Anna Knightly... — Angela się zamyśliła. — Chyba nie. Nie wydaje mi się. Czy ją także obdarzyła dzieckiem?

Zamknęłam oczy. Wręcz przeciwnie.

— Nie — powiedziałam. — Po prostu staram się odnaleźć tę osobę.

Teraz, leżąc w łóżku, nie mogłam spać ani myśleć o niczym innym, tylko o Noelle i jej tajemnicach. Patrzyłam na światło księżyca rozlane po suficie. Ted wreszcie zasnął, ale też długo przewracał się z boku na bok. I nic dziwnego. Ja ledwo pojmowałam, że Noelle świadczyła usługi jako zastępcza matka, a co dopiero on? Jeszcze nie przywykł do myśli, że byliśmy siostrami, gdy dotarła do niego prawda o jej „pracy w terenie”. Rozmawialiśmy o tym do późna w nocy, lecz chyba żadne z nas nie pogodziło się z prawdą. A na dodatek nie znał nawet połowy faktów. Chętnie bym mu opowiedziała o Annie Knightly. Z drugiej strony, chciałam chronić Noelle. Jej pamięć. Ted zaczynał się krzywić za każdym razem, gdy o niej wspominałam. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak by zareagował, gdybym mu powiedziała wszystko, co o niej wiem.

Doszliśmy z Tarą do wniosku, że znamy motyw działania Noelle. Była nim kradzież dziecka. Stając się zastępczą matką, nasza przyjaciółka zmazywała winę. Odprawiała pokutę. A przy tym jedno dziecko nie wystarczyło, by się uwolniła od winy. Musiała ją odkupywać ciągle na nowo. Jedno dziecko zabiła przez przypadek, drugie ukradła... prześladowało ją to w dzień i w nocy, póki nie znalazła sposobu, by uspokoić sumienie. Smutne. Chciała mieć własne dzieci. Kochała dzieci. Pewnie uznała, że na nie nie zasługuje. Gdyby tak mi uświadomiła, że jesteśmy siostrami... gdyby mi się zwierzyła... Może zdołałabym jej pomóc.

Ciągle miałam przed oczami umowy dotyczące zastępczego macierzyństwa, usiłowałam sobie wyobrazić, jak wyglądała przy tym pomoc Sama. O czym jeszcze wiedział, co dla nas pozostawało tajemnicą?

Przypomniały mi się rejestry prowadzone przez Noelle. Czy rzeczywiście tożsamość kobiety, której dziecko zmarło, kryła się gdzieś między ich stronami, czy też byliśmy bardzo daleko od znalezienia odpowiedzi na nasze pytania? Zaczynałam nabierać przekonania, że rozwiązanie zagadki znajdowało się na wydartej kartce, zapewne już

nieistniejącej. Nie miałyśmy sposobu, by się dowiedzieć, o którą pacjentkę chodziło. Centrum Położnictwa nie udostępniało takich informacji osobom postronnym. Zakładając, że w ogóle nimi dysponowało, wyłącznie na drodze prawnej mogłyśmy się ubiegać o przekazanie danych z archiwum, a na to nie byłyśmy gotowe. Ja osobiście zaczynałam wątpić we wszystko, od początku do końca. Musiałam od czasu do czasu przypomnieć sobie treść listu Noelle do Anny Knightly, żeby cała sprawa nie wydawała mi się mało rzeczywista.

Bez przerwy myślałam o dzieciach Denise Abernathy, blond aniołkach z zielonymi oczami. Córka tej pacjentki była ostatnią dziewczynką odebraną przez Noelle.

Leżałam obok Teda, wpatrywałam się w sufit, a widziałam Noelle, desperacko szukającą noworodka o oczach, które miały szansę nabrać koloru zielonego, jak u matki.

Noelle umiała przewidzieć kolor oczu, potrafiła ocenić, jak się u dziecka zmieni, jaki będzie ostatecznie. W wyobraźni podążałam za nią przez szpital w środku nocy, patrzyłam, jak unosi powieki kolejnych noworodków, zaglądając im w oczy. Szalony pomysł. Bezsensowny. Równie dziwaczny jak przyjmowanie na siebie roli matki zastępczej pięć razy.

Gdybyśmy znały datę narodzin córki Anny Knightly, byłoby łatwiej. Mogłybyśmy wtedy ustalić, czy zielonooka córka Denise Abernathy jest tą, której szukamy. A przynajmniej byłybyśmy w stanie określić, czy Noelle uwzględniła w zapiskach poród, który zakończył się tragedią.

Usiadłam gwałtownie.

Czy rejestry narodzin były dostępne w sieci?

Wstałam z łóżka. Musiałam to sprawdzić natychmiast.

Po drodze zabrałam z lodówki jeden z grzybów faszerowanych przygotowanych na jutrzejsze przyjęcie Suzanne, i na serwetce zaniósłam do biura. Skubiąc go, czekałam, aż komputer będzie gotów do działania. Potem jakiś czas szperałam w sieci, nim znalazłam rejestry urodzin dla stanu Karolina Północna. Niestety, nie mogłam z nich wydobyc żadnych informacji, ponieważ należało wpisać nie., tylko nazwisko, lecz także imię dziecka.

Patrzyłam w ekran i myślałam o Annie Knightly. Została dyrektorem Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Strata dziecka stała się dla niej bodźcem do niesienia pomocy innym. Niewiele o niej wiedziałam, lecz i tak ogromnie jej współczułam. Trudno sobie wyobrazić, jak musiała się czuć, gdy odkryła, że jej dziecko zniknęło. Jak ona to w ogóle przeżyła? I jak Noelle mogła jej to zrobić?

Nie chciałam wiedzieć dużo o tej skrzywdzonej kobiecie, interesowała mnie jedynie data zniknięcia dziecka.

Chciałam, by Anna jako taka pozostała dla mnie nazwiskiem bez twarzy. Gdy dowiemy się, u kogo jest jej córka, zawiadomimy władze. Miałam nadzieję nigdy jej nie spotkać.

Z drugiej strony, musiałam skorzystać z rejestrów narodzin, bo chyba jedynym sposobem na znalezienie dziewczynki było określenie daty jej zniknięcia. Przeszukałam stronę Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Wcześniej zaglądałam tu, spodziewając się wyczerpującej biografii pani Knightly, lecz nic takiego nie znalazłam. Strona była zaprojektowana ciasno, zawierała taki natłok informacji, że nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć. Stworzono tam odnośniki dla rodzin poszukujących dzieci oraz formularze, które można było wykorzystać, by zawiadomić o dziecku, które mogło się okazać zaginione, a także wiadomości na temat systemu AMBER Alert. Zaglądałam na chybił trafił w różne miejsca, kilkakrotnie natknęłam się na aktualności, gdzie pani Anna Knightly wydawała oświadczenia związane z konkretnymi przypadkami, lecz nie wyszperałam nic na temat niej samej.

W końcu coś wymyśliłam.

Jak daleko mogłam się cofnąć w czasie w poszukiwaniu zaginionego dziecka na stronie tego biura? Otworzyłam okno z opcjami wyszukiwania i wpisałam to, co wiedziałam. Karolina Północna. Dziewczynka. Knightly. Kiedy zginęła? Wybrałam trzynaście lat, bo Noelle porzuciła praktykę przed dwunastu laty, wtedy też po raz pierwszy została zastępczą matką. Kliknęłam „szukaj” i natychmiast otrzymałam informację: „O pasujących wyników”. Może dziecko miało inne nazwisko, kto wie?

Odchyliłam się na oparcie i czas jakiś patrzyłam w ekran, szukając nowych pomysłów. Wtedy zobaczyłam drobne zielone litery na samym dole: „Mapa strony”. Po kliknięciu otworzyło się okno wyszukiwania na stronie. Nareszcie! Wpisałam Anna Knightly i nagle stanęłam z nią twarzą w twarz: uzyskałam zdjęcie i krótką biografię. W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się od zdjęcia, lecz było już za późno. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Miała okrągłą twarz. Nie z powodu nadwagi, tylko miękką i miłą. Lekko falujące jasnobrązowe włosy przycięte na wysokości brody. Oczy duże, intensywnie zielone. Całkiem jak u dzieci Denise Abernathy. Ujął mnie jej uśmiech. Nie szeroki, lecz taki, jaki się zwykle widuje na wizerunkach osób odpowiedzialnych. Ciepły, dodający otuchy, a jednocześnie powściągliwy. Jestem osobą poważną, zawiadamiał ten uśmiech. Pomogę wam odnaleźć dzieci.

Przeczytałam kilka skromnych linijek tekstu pod fotografią.

*Dyrektor Biura do spraw Dzieci Zaginionych Anna Chester Knightly, lat 44, pracuje w BDSZ od dziesięciu lat. Jej córka Lily zginęła wkrótce po narodzinach, ostatni raz była widziana w szpitalu położniczym w Wilmington, w Karolinie Północnej, w roku 1994. Anna Knightly ma drugą córkę, Haley.*

Och, więc miała drugie dziecko. Cudownie.

Ale 1994? Tak dawno? Najwyraźniej szukałyśmy w niewłaściwym przedziale czasu. Wróciłam do formularza poszukiwania dziecka i zmieniłam trzynaście lat na siedemnaście. Od razu wyskoczyła mi Lily Ann Knightly.

Nie było żadnego zdjęcia i tylko jedno zdanie.

*Lily Ann Knightly urodziła się 29 sierpnia 1994 w szpitalu w Wilmington w Karolinie Północnej, zaginęła wkrótce po urodzeniu.*

Serce zabiło mi mocniej. 29 sierpnia 1994 roku. Odsunęłam krzesło od komputera, podeszłam do długiego stołu pod oknem, gdzie leżały rejestry Noelle. Wzięłam tom oznaczony „Marzec 1994 — listopad 1994”. Otworzyłam go, wstrzymując oddech. Przewróciłam kilka stron.

— Nie — wyrwało mi się na głos, gdy znalazłam stronę, której szukałam, choć przecież już od dłuższej chwili wiedziałam, co będzie na niej napisane.

Na górze kartki znajdowały się dane pacjentki: Tara Vincent. Data urodzenia dziecka: 1 września 1994.

W tej samej dobie Jenny przyszła na świat przez cesarskie cięcie, a Tara rodziła Grace siłami natury. Po raz pierwszy w życiu podziękowałam Bogu, że nie mogłam rodzić w domu i Noelle nie miała styczności z moim dzieckiem w chwili narodzin.

Przeczytałam uważnie notatki dotyczące długiego i trudnego porodu, zakończonego obarczonymi ryzykiem narodzinami, dnia pierwszego września, niedługo przed brzaskiem. W pośpiechu przerzuciłam następne strony, mając nadzieję na znalezienie kolejnego porodu blisko tej daty, jednak następne narodziny miały miejsce dopiero piętnastego września, na dodatek był to chłopiec. Wróciłam do porodu Tary i strona za stroną uważnie przeczytałam zapiski Noelle. Szczególnie przy-



glądałam się ostatnim linijkom, szukając miejsca, gdzie odręczne pismo zmieniłoby się ze starannego ciągu liter zapisywanego przez godną zaufania położną w notatki przerażonej kobiety, która przypadkiem zabiła dziecko przyjaciółki. A potem pobiegła do szpitala znaleźć inne w zamian. Przyglądałam się wyrazom uważnie, lecz niczego nie odkryłam — dobrze zatarła za sobą ślady. Ostatnie zdanie brzmiało: „Jest prześliczna. Dadzą jej na imię Grace”. Czy pisała wtedy o córce Tary, czy o dziewczynce, którą znałam i kochałam?

O Grace, która nie należała do tej rodziny?

THR



*Część trzecia*

*Grace*

TLR

# Rozdział 33

## Grace

Obudziłam się o szóstej i nawet nie próbowałam z powrotem zasnąć. Cleve miał przyjechać do domu już za kilka godzin! Wczoraj wieczorem napisał w e— mailu, że przyjaciel go podrzuci, więc będzie przed lunchem. Nie zaproponował, żebyśmy się na lunch wybrali we dwoje, ale z drugiej strony, ostatnio pisał częściej niż dawniej. Listy i esemesy. Pewnie dużo o mnie myślał w związku z przyjazdem do domu. Wczoraj na przykład napisał: „Niedługo się widzimy!”. Jeszcze do tej pory cieszyłam się tymi trzema słowami. Najbardziej mi się podobał wykrzyknik.

Zaplanowałam już cały dzień. Jeżeli będzie ładnie, pójdziemy na Riverwalk i pogadamy. Tak od serca dla odmiany, jak dawniej. Miałam nadzieję, że znowu będziemy razem. Przed nami długi weekend, trzy dni wolnego, więc nawet gdyby pierwszego dnia nie był jeszcze przekonany, że należymy do siebie nawzajem, miałam dwa następne, by nad nim popracować.

Mniej więcej o ósmej siedziałam na stronie Facebooka, gdy mama znienacka zajrzała do pokoju.

— Nie śpisz? — Chyba była naprawdę zdziwiona. .

— Rozumiem, że to pytanie retoryczne.

— Mądrała. — Uśmiechnęła się do mnie.

Od kilku dni zachowywała się dziwnie i uśmiech był sztuczny.

— Pomożesz mi w paru drobiazgach? — spytała. — Mam milion spraw do załatwienia z okazji przyjęcia.

— Sorki, ale to niemożliwe. Muszę napisać artykuł. Poza tym Cleve lada chwila wraca do domu.

Dlaczego to powiedziałam? Jakoś nie dałam rady się powstrzymać. No i teraz dopiero zacznie się wypytywanie.

— Będziecie się widzieć? — Uważała to za kiepski pomysł. Wiedziała o tym doskonale. — Jeszcze przed przyjęciem?

Wzruszyłam ramionami, jakby mi było wszystko jedno.

— Pewnie tak — rzuciłam niezobowiązująco.

— Możesz go zapytać, jakie zajęcia w Chapel Hill lubi najbardziej.

Popatrzyłam na nią, jakby się urwała z choinki.

— Mamo, umiem z nim rozmawiać — powiedziałam.

— Jasne, jasne. A w co się ubierzesz na wieczór?

Najwyraźniej była w nastroju pod tytułem „zagrajmy

w dwadzieścia pytań". Normalnie szybko ją spławiałam, ale dzisiaj byłam tak zakręcona na punkcie tej nowej kiecki, że postanowiłam się pochwalić. Kupiłam ją w poniedziałek, gdy pochodziłyśmy z Jenny po sklepach, i od tego czasu byłam zakochana w swojej nowej sukience. Wyjęłam ją z szafy, ściągnęłam z niej biały plastikowy worek. Mamę dosłownie zatkało. Jasna sprawa, zareagowałam w sklepie tak samo.

— Córeńko! Prześliczna!

Niezupełnie. I nie o to mi chodziło. Chciałam rzecz seksowną i wyuzdaną i taką miałam. Ale wiedziałam, co mama chce powiedzieć. Sukienka była czerwona, krótka i bez ramiączek. Uszyta z jakiejś atłasowej tkaniny, no i ze srebrnym paskiem. Na wieszaku może i wyglądała prześlicznie, ale na mnie była seksowna. Jenny przysięgła tysiąc razy, że tak jest.

— Dzięki — rzuciłam.

— Jakie buty masz do tego?

Wyjęłam czerwone sandały na szpilce. Wydałam na nie prawie całe kieszonkowe.

— Idealne — oceniła mama. — Nie za wysokie. Mądra z ciebie dziewczyna. A ja się nawet jeszcze nie zaczęłam zastanawiać, co na siebie włożę. — Zerknęła na zegarek. — Jadłaś coś?

— Jeszcze nie.

— Zrobić ci...

— Nie, dzięki, nie jestem głodna.

Wróciłam do komputera.

— Na pewno nie chcesz ze mną pojeździć? Podrzuciłabym cię z powrotem najdalej w południe.

— Naprawdę mam co robić.

Całe szczęście, że stamtąd gdzie stała, nie było widać monitora. A na nim Facebooka.

— Dobra. No to miłego dnia.

Oczywiście nie zamierzałam pisać żadnego artykułu. Nawet nie spróbowałam. Odrobiłam trochę matmy, zjadłam banana, umyłam głowę i wrzuciłam na fejsa z tysiąc komentarzy do postów przyjaciół, których w życiu nie widziałam na oczy. Mniej więcej milion razy spojrzałam na telefon, upewniając się, że jest włączony. W południe skończyła mi się cierpliwość, wysłałam esemesa

„W domu już?”.

Odpisał natychmiast. „Jesteś wieczorem?”.

Wszystko mi opadło. Załamalam się. Wieczorem? Jak to: wieczorem? Wolne żarty. Dlaczego nie teraz? Mieliśmy dla siebie całe popołudnie. Mogliśmy pójść na Riverwalk. Pośmiać się. Pogadać.

„Chodź teraz” — waliłam kciukami w klawisze telefonu. — „Nie pracuję”.

„Pomagam mamie” — odpisał. — „Później”.

Usiadłam na łóżku i głośno się rozplakałam. Nic nie rozumiałam, nie ogarniałam, po prostu do mnie nie docierało. Czułam się prawie tak samo okropnie jak wtedy, gdy ze mną zerwał. Zadzwoiłam do Jenny, ale nie odbierała. Twitter zaczął popiskiwać, pozwoliłam mu wejść na łóżko. Wiedział, że jestem zdenerwowana, usiłował mi się cały wepchnąć na kolana. Ukryłam twarz w jego sierści i rozszlochałam się na dobre.

Mniej więcej po godzinie wstałam, poszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Wszystko czerwone. Nos, oczy, policzki. Musiałam doprowadzić się do porządku, w przeciwnym razie na przyjęciu będę miała twarz pod kolor sukienki. Przycisnęłam do oczu ręcznik zmoczony w zimnej wodzie.

Głodna nie byłam, ale życie bym oddała za kawę. Zeszłam do kuchni. Okazało się, że zostało trochę kawy w dzbanku, chociaż oczywiście wystygła. Nie szkodzi. Można ją podgrzać w mikrofalach. Otworzyłam szafkę, żeby wyjąć kubek. Coś tu się zmieniło. Mój ulubiony czarny kubek stał na miejscu, więc go wzięłam, ale wiedziałam, że czegoś brakuje. Mama wiecznie wszystko przestawiała, irytowało mnie to koszmarnie.

Nagle załapałam. Zniknął kubek turystyczny, który kupiłam tacie. Kochałam ten kubek. Zawsze na niego zerkałam, otwierając szafkę. Przypominał mi tatę! Przeszukałam inne szafki, dokładnie, jedną po drugiej. Nic z tego. Kubka nie było.

Nie miałam zamiaru płakać. Nie, za nic w świecie. Przed chwilą zrobiłam się na człowieka. Zamiast płakać, chwyciłam telefon i wybrałam numer mamy.

TLR

# *Rozdział 34*

## *Tara*

Van był pełen balonów. Młoda sprzedawczyni, cała w kolczykach, spytała mnie, jakie kolory przygotować, a ja poprosiłam, żeby mi zrobiła niespodziankę. Normalnie wybierałabym je starannie i rozważnie, tym razem moje myśli w tempie odrzutowym miały się między przygotowaniami do przyjęcia dla Suzanne a odkryciem działalności Noelle i świadomością, że Sam o wszystkim wiedział. Niesłychane. Znał całą sprawę, od lat. Dobry Boże. Na pewno szalenie trudno mu było utrzymać język za zębami. To się nazywa etyka zawodowa! Podziwiałam go szczerze. Nie miałam pewności, czy ja na jego miejscu zdołałabym równie skutecznie dochować tajemnicy. Noelle miała rację, zwracając się o pomoc właśnie do niego. Wiedziała, kogo obdarzyć zaufaniem.

W lusterku wstecznym widziałam jedynie morze balonów, toteż do cukierni, gdzie miałam odebrać tort urodzinowy, jechałam bardzo wolno. Prowadzenie vana wypełnionego po dach balonami z helem było nie mniej niebezpieczne niż pisanie esemesów w czasie jazdy. Tak mi przyszło do głowy, gdy wpasowywałam się w miejsce parkingowe jakieś pół przecznicy od cukierni. Wrzuciłam wsteczny i wołnięteńko, centymetr za centymetrem, wsuwałam się w lukę, którą widziałam tylko w bocznym lusterku.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy wyłączyłam silnik. Odruchowo uznałam, że to Emerson, która przypomniwała sobie o czymś jeszcze do zabrania. Nawet nie zerknęłam na wyświetlacz.

— Cześć, Em.

— Jak mogłaś?! — usłyszałam Grace.

Wrzasnęła tak głośno, że odsunęłam aparat od ucha. Jeszcze nie wiedziałam, co zrobiłam, lecz i tak natychmiast poczułam się winna.

— O co chodzi? — wydukałam, odzyskawszy głos.

— Nie możesz zostawić w domu chociaż jednej rzeczy tatusia?

W słowach Grace było tyle gniewu, że jej nie poznawałam. Co znowu zrobiłam? Przed oczami stanęła mi jego część szafy, ciągle tak pusta, że zamieszkało w niej echo. Na nocnym stoliku, dawniej zawalonym długopisami i książkami spiętrzonymi pod lampką nocną, została głównie pustka. W szufladzie leżała latarka z zapasowymi bateriami. Szafki na dokumenty oddałam. W biurku znajdowały się teraz różne materiały piśmienne i drobiazgi potrzebne w szkole.

— Co masz na myśli? — spytałam.

— Kubek — odparła. — Ten pasiasty, fioletowy, który mu dałam.

Oczywiście. Doskonale pamiętałam, jak go wyjęłam z szafki. Dość paskudny, przez nikogo już nieużywany, niepotrzebnie zajmujący miejsce na półce. Po co trzymać coś, z czego nikt nie korzysta? Włożyłam go do kartonu naszykowanego dla Goodwill Industries.

— Och — wyrwało mi się. — No tak... Jakoś nie pomyślałam, kochanie. Wszedł mi pod rękę, a nie lubię bałaganu i zapomniałam...

— Zawsze ty jesteś najważniejsza! Ty nie lubisz bałaganu, więc kubek musi zniknąć. Nie przyszło ci do głowy zapytać, co ja o tym myślę?! Skoro ci tak bardzo przeszkadzał, to trzeba było mi go oddać, a ja bym go wzięła do swojego pokoju, bo mnie gównie obchodzi bałagan!

Rozłączyła się, nie czekając na moją reakcję. Siedziałam, ściskając telefon w dłoni. Nigdy wcześniej nie odzywała się do mnie w ten sposób, z taką złością, takimi słowami. Nawet nie wiedziałam, że potrafi się tak wyrażać. Ale odrzuciłam na bok bolesną formę tej wypowiedzi i



wtedy pojęłam, że miała rację. Zachowałam się egoistycznie. I głupio. To ona kupiła ten kubek Samowi. Dla mnie brzydki przedmiot był zadną w sercu, bolesnym przypomnieniem tragedii. Budził we mnie te uczucia za każdym razem, gdy się na niego natykałam. Dla niej natomiast stanowił cenną pamiątkę po ukochanej osobie.

Ze ściśniętym gardłem zadzwoniłam do córki, ale nie odebrała telefonu. Powiedziała mi już wszystko, co miała do powiedzenia.

Ostrożnie wyjechałam na jezdnię. Tort będzie musiał poczekać. Dotarłam do Goodwill Industries dość szybko, pobiegłam do frontowego wejścia. Za drzwiami, w niewielkim pomieszczeniu, gdzie zostawiano się przywiezione rzeczy, jakaś kobieta akurat podawała stołek kuchenny ponuremu młodemu człowiekowi, który wystawiał pokwitowania.

— Przepraszam — odezwałam się do niego — któregoś dnia przywiozłam tutaj rzecz, która okazała się jednak potrzebna. Jak mogę ją odzyskać?

— Nie da się, psze pani. — Odstawił taboret na stos kartonów. — Nie ma opcji.

Zajrzałam przez otwarte drzwi za jego plecami do ogromnej sali, gdzie kobiety w gumowych rękawiczkach na rękach sortowały zawartość najprzeróżniejszych worków i pudeł. Usiłowałam wypatrzeć w tym rozgardiaszu swój samotny kartonik, lecz była to próba z góry skazana na porażkę, szukanie igły w stogu siana.

Wróciłam do samochodu i powoli, ostrożnie pojechałam drugi raz do cukierni. Zastanawiałam się po drodze, jak to było, gdy Grace otworzyła szafkę i zorientowała się, że zniknęła ostatnia pamiątka po zmarłym ojcu. Postawiłam się na jej miejscu. Odczułam ból trudny do zniesienia.

Do domu Emerson nieomal pofrunęłam, podczepiona do chmury balonów. Drzwi nie były zamknięte, więc weszłam, nie czekając na zaproszenie, uwolniłam balony w salonie i dopiero wtedy rozejrzałam się za przyjaciółką.

— Em? — zawołałam.

— Jestem w kuchni!

— Przywiozłam balony. Zaraz do ciebie przyjdę, tylko wezmę tort z samochodu.

Z tortem w rękach poszłam od razu do kuchni. Siwy i Dym węszyły, mocno zainteresowane zawartością kartonu, który ustawiłam na blacie. Emerson właśnie myła miskę.

— Cześć. — Podniosła na mnie niezbyt przytomne spojrzenie. — Zrobiłam miejsce w lodówce, możesz tam wstawić tort? Dzięki za przywiezienie.

Wsunęłam ciasto na pustą dolną półkę. Na pozostałych brakowało tylko dziada z babą. U Emerson wewnątrz lodówki zawsze wyglądało intrygująco.

— Balony zostawiłam w salonie — powiedziałam. — Później porozkładałam.

— Jest kłopot... — Emerson w dalszym ciągu z pasją szorowała idealnie czystą miskę. — Siostra Suzanne przysłała trochę zdjęć i Jenny miała z nich zrobić kolaż, ale coś ją rozłożyło i poszła do łóżka. Mogłabyś się tym zająć? Wszystko jest w moim biurze.

— Jasne. Nie ma sprawy. Każde zajęcie dobre, byle nie myśleć o... o wszystkim. — Uśmiechnęłam się do Emerson, ale ona była zbyt wykończona, by odpowiedzieć uśmiechem. — Co z Jenny?

— Twierdzi, że się przeziębiła — Wreszcie opłukała miskę po raz ostatni i odstawiła na suszarkę. — Obudziła się z bolącym gardłem.

Pomagała mi przy zastawianiu stołu, ale w pewnym momencie uznała, że ma dosyć. Chyba po prostu nie chciało jej się pomagać. Pewnie do wieczoru stanie na nogi.

Dostrzegłam w dzbanku kawę.

— Mogę się napić?

— Jasne, tylko musisz podgrzać.

Wytarła ręce w ściereczkę do naczyń i ledwie na mnie spojrzawszy, przeszła do spiżarki.

— A ty dobrze się czujesz? — spytałam, sięgając do szafki po kubek.

W myślach zobaczyłam szafkę w swojej kuchni, czystą i z uporządkowaną zawartością, skoro już fioletowy kubek nie górował nad pozostałymi.

— Dobrze — odparła, wracając z paczką serwetek. — Tylko tak jakoś... — pokręciła głową. — ... sama rozumiesz.

— Aha.

Objęłam ją za ramiona. Wiedziałam o jej rozmowie z kobietą, której dziecko urodziła Noelle. Dziwaczne to wszystko, jeszcze bardziej dla Em niż dla mnie. Nie było czasu obgadać najnowszych wiadomości, obie czułyśmy się z tym nieszczególnie. Po przyjęciu damy sobie chwilę na nadrobienie zaległości. Miałyśmy wrażenie, że powinnyśmy zorganizować jeszcze jedno nabożeństwo żałobne za zmarłą przyjaciółkę. Bo pierwsze było za kobietę, której w zasadzie nie znałyśmy.

Nalałam sobie kawy.

— Palnęłam ostatnio straszne głupstwo — wyznałam.

Emerson sięgnęła do szuflady po nożyczki i znieruchomiła z nimi nad paczką serwetek.

— To znaczy?

Po raz pierwszy dzisiejszego dnia spojrzała na mnie naprawdę.

— Wyrzuciłam kubek Sama. — Wstawiłam kawę do mikrofal, wdusiłam przycisk timera. — Zapomniałam, że dostał go od Grace. To znaczy, właściwie pamiętałam, tylko nie pomyślałam, że to ma znaczenie. Zadzwoiła do mnie teraz, gdy odbierałam ciasto, i zmieszała mnie z błotem. W życiu nie była na mnie taka wściekła.

Emerson przecięła opakowanie, wsunęła nożyczki z powrotem do szuflady.

— Przejdzie jej — pocieszyła mnie. — Przeżyje.

— Na pewno dobrze się czujesz? — spytałam ponownie. — Jesteś jakaś nieswoja.

— Po prostu...

Ściągnęła folię z serwetek i stała wpatrzona w nie, jakby je liczyła.

— Powinno być dwadzieścia cztery — powiedziałam. Tak było napisane na opakowaniu, ale tego już nie miałam serca jej powiedzieć.

— Zależy mi, żeby przyjęcie się udało.

— Będzie rewelacyjne, zobaczysz. — Kuchenka zapikała, więc wyjęłam z niej kubek z kawą. — Obawiam się jedynie o spotkanie Grace i Cleve'a.

— Mogłabyś zająć się tym kolażem? — spytała, jakby nie usłyszała mojego ostatniego zdania.

— Pędzę.

Zachowywała się bardziej jak ja niż jak ona. To ja zazwyczaj martwiłam się o szczegóły, dążyłam do perfekcji. Wobec tego postanowi-

łam jak najszybciej uporać się z kolażem i od razu zaproponować pomoc w następnych pracach.

We wspólnym biurze Emerson i Teda, na jednym z długich stołów pod oknem, leżał ogromny biały karton. Mniej więcej połowę jego powierzchni zajmowały przyklejone zdjęcia. Wzięłam karton, stertę fotografii luzem oraz klej i z tym wszystkim wróciłam do kuchni, żebyśmy mogły z Emerson pogadać przy robocie.

Akurat wyjmowała z szafki wino, podniosła na mnie zdziwione spojrzenie.

— Jestem gotowa do pracy — oznajmiłam.

— Ciasnawo tutaj. W biurze jest więcej miejsca.

— Ale samotnie. — Rozłożyłam karton na stole i usiadłam.

Zaczęłam od przeglądania zdjęć. Na kilku Suzanne była w towarzystwie Noelle, nie chciałam ich oglądać. Automatycznie nasuwały mi się pytania: Czy Noelle jest tutaj w ciąży? A może na tym zdjęciu?

Na wielu widniał Cleve w różnym wieku. Śniada skóra. Smoliście czarne włosy po ojcu i niebieskie oczy po matce. Śliczne dziecko. Przystojny młody człowiek.

— Cleve był przesłodkim maluchem — zauważyłam. Emerson wycierała z kieliszków plamki po kroplach wody, chyba mnie nie usłyszała. Grace kiedyś mi powiedziała, że nie potrzebuję rozmówcy, żeby prowadzić rozmowę. Spokojnie nawijam za obie strony. Tym razem nie zamierzałam do tego doprowadzić. Wstałam, podsunęłam przyjaciółce fotografię pod nos, tak, żeby nie musiała opuszczać rąk z kieliszkiem.

— Ile on tu może mieć? — spytałam. — Ze trzy latka? Rozkoszny, prawda?

Emerson ledwo zerknęła na podobiznę chłopca. Nagle odstawiła kieliszek, odłożyła ściereczkę, objęła mnie i przytuliła. Przycisnęła mocno. Nieomal za mocno.

— No dobrze — powiedziałam, gładząc ją po plecach. — Co jest grane?

— Kocham cię — odrzekła. — Przykro mi, że jestem taka zajęta. Wysłwobodziłam się z jej uścisku. W oczach miała łzy.

Wzięłam ją za rękę.

— Emerson, co się dzieje? — spytałam cicho, na wypadek, gdyby Jenny lub Ted znaleźli się w pobliżu. — Ciągłe myślisz o Noelle? — szepnęłam. Nagle zrozumiałam. — Dziadek?! Twój dia...

— Nic mu nie jest — zapewniła mnie szybko. — Daj spokój, pewnie mam zespół napięcia albo coś w tym stylu.

— Rozumiem... — powiedziałam z namysłem. Nie bardzo jej wierzyłam. Nigdy się nie skarżyła na zespół napięcia przedmiesiączkowego. — To może się położyć i odpocznij, co? Ja się zajmę resztą.

— Wielkie dzięki! — odpowiedziała z wyraźną ulgą. — Kiepsko spałam...

— Idź! — Lekko pchnęłam ją w stronę korytarza. — I nic się nie przejmuj, przygotowania do przyjęcia są pod kontrolą.

— No dobrze — westchnęła. — Może rzeczywiście spróbuję trochę odpocząć.

Odprowadziłam ją wzrokiem. Na pewno przyda jej się solidny odpoczynek, a taki będzie możliwy dopiero jutro, po przyjęciu. Za dużo miała na głowie. Wszystkie te sensacje związane z Noelle, dziadek w hospicjum, przyjęcie Suzanne... Nic dziwnego, że jest wykończona.

Wróciłam do zdjęć. Trzeba najpierw skończyć kolaż, potem sprawdzić, czy catering jest zapięty na ostatni guzik, a później iść do domu i się wyszykować. Chętnie bym zrobiła Grace zdjęcie w tej nowej czerwonej sukience, ale miałam przeczucie, że mi na to nie pozwoli. Oczami wyobraźni zobaczyłam nas obie jadące na przyjęcie. Ja gadam za dużo. Ona milczy, nadal wściekła. Koszmar. Powinnyśmy koniecznie uporać się z tematem wcześniej. Przykleiłam w dolnym rogu zdjęcie Suzanne z Noelle. Muszę to koniecznie załatwić.

Sięgnęłam do torebki po telefon, wdusiłam przycisk ponownego wybierania. Grace nie odebrała. Nie zamierzała mi ułatwić życia.

TLR

## *Rozdział 35*

*Noelle*

*Wilmington, Karolina Północna*

*1994*

— Chcę, żeby był skromny — oświadczyła Noelle.

W saloniku domu w Sunset Park był Ian, a także Emerson i Tara, które miały pomóc w zaplanowaniu ślubu przewidzianego na listopad, ponieważ ona nie miała w tym doświadczenia, a co więcej, najmniejszego drygu do takich spraw.

— Może być w skromnym stylu — odezwał się Ian — ale naprawdę chciałbym przeżyć te chwile w towarzystwie wszystkich naszych przyjaciół.

Noelle wiedziała, że swoim dążeniem do prostoty doprowadza Iana do granic wytrzymałości. Nie zgodziła się na ślub kościelny, chociaż jemu właśnie na tym zależało, odrzuciła też koncepcję hucznego wesela w wynajętej sali. Doprowadziła do wymiany pierścionka zaręczynowego na skromniejszy, bo pod ciężarem tego, który wybrał fen, rzekomo ręka jej opadała. On chciał zawrzeć związek małżeński w sierpniu, ona wolała odłożyć sprawę do listopada, by Tara i Emerson zdążyły dojść do siebie po urodzeniu dzieci i położeniu. Tara miała termin na koniec sierpnia, czyli za miesiąc, Emerson na połowę września. Obie miały być równorzędnymi druhnami, Noelle nie przewidywała druhny honorowej. Jak zawsze dbała, by obie przyjaciółki traktować jednakowo.



— Może najpierw uściślijmy, co znaczy dla każdego z was określenie „skromny” — zaproponowała Tara.

Siedziała na końcu kanapy, na kolanach trzymała notatnik, a w oczach miała podniecenie, ponieważ planowała ślub z niekłamaną przyjemnością. Emerson siedziała w drugim rogu kanapy. Co prawda ciąża obfitowała w komplikacje i wszystkich kosztowała mnóstwo nerwów, a na dodatek nie mogła się zakończyć wymarzonym porodem domowym, jednak najważniejsze było to, że tym razem nie doszło do poronienia. Noelle miała asystować przy porodzie szpitalnym, lecz jedynie jako pomocnica odpowiedzialnego za rodzącą położnika, i na nic innego nie chciała przystać. Dziecko Tary miało się urodzić w domu. Jak dotąd, wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stanie. Dwie ciężarne wyglądały jak istoty z dwóch różnych światów.

— Dla mnie „skromnie” oznacza wzięcie ślubu w wygodnym ubraniu — powiedziała Noelle. — W czymś, w czym dobrze się czuję i co noszę na co dzień.

Ian jęknął z cicha. Spojrzał na Tarę, potem na Emerson.

— Widzicie, co ja muszę znieść?

W jego głosie było tyle miłości, że Noelle pochyliła się i cmoknęła go w policzek. Dobry z niego człowiek. Będą zgodnym małżeństwem. Miała zamiar o to zadbać.

— Kochani, bądźcie przez chwilę poważni — poprosiła Tara. Kliknęła długopisem. — W listopadzie jest za zimno na ślub na dworze, a ponieważ Noelle nie chce wychodzić za mąż w kościele, to może u mnie w domu? Jest mnóstwo miejsca. Może zabraknąć krzeseł na ceremonię, ale miejsca na pewno wystarczy.

— A ja coś ugotuję — zaofiarowała się Emerson. — I jeszcze...

— Mowy nie ma — sprzeciwiła się Noelle. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby wychodziła za mąż w domu Sama. — Każda z was bę-

dzie miała pod opieką niemowlę. Uwierzcie mi, wolny czas zechcecie poświęcić wyłącznie na sen.

— Daj spokój! — Tara nie zamierzała rezygnować. — To będzie czysta przyjemność.

Ian popatrzył na Noelle.

— Nie mam nic przeciwko ślubowi u Tary i Sama — powiedział. — Ewentualnie wypożyczymy meble i najmiemy kogoś do zorganizowania ceremonii i do sprzątnięcia. A ty możesz się ubrać, w co tylko zechcesz. W swoje ulubione stare rzeczy.

— Nic z tego — oznajmiła Tara. — Zabierzemy ją na rundkę po sklepach. Gdybym zobaczyła ją idącą do ołtarza w starej spódnicy...

— Do ołtarza? — przerwała jej Noelle. — Nie chcę ołtarza.

Naprawdę nie chciała. W ogóle nie chciała być w centrum uwagi.

— To tylko figura retoryczna — wyjaśniła Tara. — Możesz brać ślub przed naszym kominkiem, jeśli ci to pasuje.

Obraz był pociągający. Ona i Ian przed kominkiem, dłoń w dłoni, krąg przyjaciół... Ze zdziwieniem poczuła łzy w oczach.

— No dobrze — zwróciła się do Tary. — Zapytasz Sama, czy się zgadza? Chciałabym mieć pewność, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Na pewno nie — oznajmiła z przekonaniem Tara.

Noelle nie miała aż takiej pewności. Z Tarą bardzo się

do siebie zbliżyły przez okres ciąży, silna więź łącząca zwykle Noelle z pacjentkami okazała się jeszcze mocniejsza, gdy podopieczną została serdeczna przyjaciółka. Między nią a Samem utrzymywało się jednak pewne napięcie. Owszem, w miarę jak coraz bardziej angażował się w sprawy ciąży, sytuacja się poprawiała, ale nadal nie był przeko-

nany, że akurat Noelle powinna być położną w ich przypadku. Nie dlatego, by nie doceniał jej umiejętności, bo je znał i cenił wysoko. Po prostu nie czuł się przy niej komfortowo w sytuacjach, gdy istotną rolę odgrywały emocje. Oczywiście nigdy tego nie powiedział na głos, aż tak otwarcie nie rozmawiali. Raczej właśnie brak szczerych rozmów uświadomił jej sytuację. Noelle tęskniła za dawną formą przyjaźni i siebie winiła za dzielący ich dystans.

Każdy ruch boleśnie odczuwany w plecach, każda bezsenna noc naznaczona bezlitosnymi skurczami mięśni przypominały jej o tamtej plaży. Potrzebowała coraz więcej leków, by przetrwać dzień, a jeśli tylko nie oczekiwała wezwania do porodu, jeszcze więcej ich zażywała nocą. Przerażało ją rosnące uzależnienie od środków farmakologicznych. Nawet teraz, gdy siedziała w saloniku, w otoczeniu przyjaciół, planując ślub, w jej żyłach razem z krwią krążył środek przeciwbólowy — bez niego nie mogłaby funkcjonować. Nie potrafiła określić, w jakim stopniu należało przypisać jej cierpienia przyczynom fizycznym, a w jakim emocjonalnym, poczuciu winy i niespełnionej tęsknocie.

Czas najwyższy z tym skończyć.

— Wiesz co? — zwróciła się do Iana. — Wszystko mi jedno, jak będzie. Zgadzam się na to, na czym tobie zależy. Mnie wystarczy, że będę twoją żoną.

— Super! — ucieszyła się Emerson.

— To się nazywa decyzja! — orzekła Tara z uznaniem i zapisała coś w notatniku.

Na policzkach Iana wykwitły rumieńce. Z zaskoczenia. Z radości.

— Jesteś skłonna rozważyć ślub kościelny? — zapytał z uśmiechem, kując żelazo, póki gorące.

— Tak. — Stanowczo kiwnęła głową. — Skoro chcesz ślubu kościelnego, może być kościelny.

W końcu co za różnica? Chciała wyjść za Iana. Kochała go tak mocno, jak się to okazało możliwe, i gotowa była starać się o jego szczęście. Kto wie, może za rok czy dwa ich rodzina także się powiększy. Na razie, siedząc obok mężczyzny, który ją ubóstwiał, w towarzystwie dwóch serdecznych przyjaciółek i naszpikowana środkami przeciwbólowymi do tego stopnia, że plecy niezbyt mocno dawały jej się we znaki, poczuła coś, co przypominało zadowolenie. A zatem więcej, niż miała prawo żądać.

TLR

# *Rozdział 36*

*Emerson*

*Wilmington, Karolina Północna*

*2010*

Co powinnam zrobić?

Bardzo chciałam, żeby przyjęcie urodzinowe Suzanne wypadło wspaniale, a z drugiej strony, byłam tak przejęta tym, czego się dowiedziałam na temat Tary i Grace, że nie mogłam się na niczym skupić. Patrzyłam na gości, którzy jedli, pili, śmiali się i rozmawiali, a widziałam ich jak przez grubą warstwę wody. Głosy docierały do mnie stłumione, słowa były niezrozumiałe, rysy mieli nieostre. Nie mogłam się doczekać końca przyjęcia i gorąco pragnęłam się z kimś podzielić swoją straszną wiedzą. Wędrowałam po domu, zrozpaczona, przestraszona i niezdecydowana.

Co powinnam zrobić?

Goście dobrze się bawili. Lgnęli do Suzanne, wznosili toasty, przeczucali się dowcipami, jednym słowem świętowali jej pięćdziesiąte urodziny, do których dotarła z niemałym trudem. Ja nie czułam się dobrze, i to nie tylko z powodu Tary i Grace. Zjawilo się mnóstwo wolontariuszy biorących udział w realizacji projektu „Dzieci w potrzebie”, wskutek czego przyjęcie urodzinowe zbyt mocno przywodziło mi na myśl stypę po nabożeństwie żałobnym za Noelle, które zostało odprawione zaledwie trzy tygodnie wcześniej. Zaledwie i aż trzy tygodnie. Zdarzenia biegły, jak dla mnie, stanowczo zbyt szybko. Miałam nieodparte wrażenie, że tracę panowanie nad sytuacją.

Ted podszedł do mnie, gdy z drinkiem w ręku stałam między salo-  
nem a jadalnią. Potarł mi ramiona.

— Świetnie zorganizowane przyjęcie — powiedział. — Trzymasz się jakoś? Krótco dzisiaj spałaś.

— Trzymam się — odpowiedziałam. Z uśmiechem, tak mi się przynajmniej wydawało.

Nie bardzo do mnie docierało, co robię ani dlaczego. Byłam wyczerpana fizycznie, a na dodatek rozdrażniona. W nocy prawie nie spałam, gdy zaś w ciągu dnia Tara wysłała mnie, bym się zdrzemnęła, okłamałam ją, mówiąc, że idę do łóżka. Musiałam po prostu wyjść. Nie mogłam znieść obecności przyjaciółki, ani na nią patrzeć. Podobnie bym się czuła, gdybym wiedziała, że ona niedługo umrze, a ja nie mogę jej w żaden sposób pomóc ani nawet jej przestrzec.

Zła byłam na siebie, że zachciało mi się grzebać w przeszłości Nolle. Powinnam posłuchać Teda i od razu wyrzucić ten feralny karton razem z całą jego zawartością. W zasadzie nadal mogłam to zrobić. Wyrzucić list, artykuły, rejestry. Mogłam wymazać koszmar. Wystarczyło trzymać język za zębami. Niestety, wiedziałam, że nie Potrafię żyć z taką tajemnicą.

Grace i Tara przyjechały wcześniej, by mi pomóc w ostatnich przygotowaniach. Między nimi wyrósł gruby mur. Tara była niespokojna, podminowana. Grace jej najwyraźniej nie wybaczyła... o co to chodziło? Aha, Tara wyrzuciła kubek Sama. Taki drobiazg! Nic ważnego. Mimo wszystko Grace nadal była zła na matkę. Ledwo się ze mną przywitała, a już zniknęła na górze, w pokoju Jenny. Tara wzięła na siebie przyjmowanie cateringu i barmana, a ja snułam się po domu otepiała, udając, że jestem zajęta.

Teraz dzieciaki — Cleve, Jenny i Grace — siedziały na górze. Spędziły z dorosłymi tylko tyle czasu, ile wymagała grzeczność, po czym zniknęły. Jenny pociągała nosem, faktycznie przeziębiona, ale

równocześnie zła, że Devon, jej chłopak, wyjechał z rodziną na długi weekend. Cleve przez półtora miesiąca poza domem zmęźniał i zrobił się jeszcze przystojniejszy, o ile to było w ogóle możliwe. Przede wszystkim jednak przyglądałam się Grace. Badałam wzrokiem jej twarz, szukając w niej rysów Tary albo Sama. Wyglądała pięknie. Nigdy dotąd nie łączyłam z nią tego słowa. Urocza, tak. Śliczna, owszem. Ale piękna? A dziś — jak najbardziej. Włożyła idealnie dopasowaną czerwoną sukienkę bez ramiączek. Nie prowokacyjną, lecz świetnie podkreślającą niewielką wypukłość piersi. Cleve miał poważne trudności z oderwaniem od niej wzroku. Grube włosy spływały tej piękności na plecy gładką jedwabistą zasłoną. Umalowała się na „dymne oko”, nie za mocno, ale wystarczająco, by podkreślić naturalną urodę. Zawsze miała niesamowite oczy. Brązowe, jak u Tary, ale gdy się człowiek przyjrzał bliżej, dostrzegał jodełkowe blaski, podobne do okruchów szlachetnego kamienia. Nie wiem, jaki wymyślny makijaż zastosowała, lecz jej oczy wyglądały bardziej zielono niż zwykle.

Znienacka przestałam w niej widzieć naszą Grace. Z ogromnym wysiłkiem doszukiwałam się w tej nieznajomej młodej kobiecie dziewczyny, którą kochałam od urodzenia. Przywykłam do myśli, że widzę w niej Sama, choć bardziej jego nawyki i gesty niż rysy twarzy. Uśmiechała się tak samo nieśmiało jak on, tylko u niego wyglądało to uprzejmie i ciepło, a u niej sugerowało brak pewności siebie. Z rozdartym sercem obserwowałam, jak starała się prowadzić grzecznościową rozmowę z obcymi dorosłymi. Ta urzekająca istota mieszkała w naszych sercach od zawsze. Wychowaliśmy ją. Nie mogliśmy jej zostawić. Nie wolno mi było dopuścić do tego, by Tara straciła córkę, na dodatek w krótkim czasie po śmierci męża. Zresztą na pewno by jej nie straciła, prawda? Przynajmniej fizycznie. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie odbierał matce szesnastoletniej córki. Z drugiej strony, co ja wiedziałam na temat aspektów prawnych takiej dziwacznej sytuacji? Nic. I to mnie przerażało. A przy tym nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, jak by się czuła Tara ze świadomością, że jej



dziecko jest martwe. Swoją drogą, co właściwie Noelle z nim zrobiła? Nie chciałam o tym myśleć. O małej zapomnianej dziewczusce, nad którą nikt nie uronił łzy.

Może lepiej byłoby zatrzymać to wszystko dla siebie? Nic nikomu nie mówić? Opłakać córkę Tary w samotności? Zatrzymać dla siebie prawdę o Grace?

Nic z tego.

Rozważając różne możliwości, szukałam Iana. Musiałam się podzielić ciężarem wiedzy z kimś, kto znał Tarę, komu nie była ona obojętna. Czyli z Ianem. Z mężczyzną, który dodatkowo potrafił określić implikacje prawne zaistniałej sytuacji.

Zauważyłam go, gdy w jadalni rozmawiał z Tarą i kilkoma innymi osobami. Miałam go na oku, aż podszedł do baru, tam nadarzyła się okazja, by dyskretnie zamienić parę słów.

— Chcę ci zadać kilka pytań w cztery oczy.

Uniósł brwi.

— Na temat rozmowy z panią Angelą?

— Z kim? — Nie od razu skojarzyłam, o czym mówi. — A, nie. Chodzi o coś innego. Mógłbyś jutro do mnie zajrzeć? Na przykład wczesnym popołudniem?

Ted miał w tym czasie pokazywać jakieś domy ewentualnym nabywcom, a Jenny bez wątpienia wyjdzie w towarzystwie Grace albo Devona.

— Czy to bardzo pilna sprawa? — zawahał się Ian. — Powinienem wyjechać z miasta jeszcze w nocy, jestem trochę pod kreską, jeśli chodzi o czas.



Spuściłam głowę, lecz pewnie zdążył zobaczyć, że mam łzy w oczach. Dotknął mojego ramienia.

— Wobec tego dobrze — powiedział. — Zajrzę do ciebie jutro.

— Nie mów nic nikomu — poprosiłam. — Zwłaszcza Tara nie powinna o niczym wiedzieć. — Zerknęłam nerwowo przez ramię. Na szczęście nikt mnie nie słyszał.

Ian przechylił głowę i przyjrzał mi się z uwagą.

— O co chodzi?

— Opowiem ci jutro.

Odstąpiłam o krok i dałam się wciągnąć w ludzki strumień.

Zrobione, pomyślałam.

W końcu podjęłam decyzję.

A mimo to wcale nie czułam ulgi.

## *Rozdział 37*

### *Grace*

Cleve się zmienił. Jak można się zmienić w półtora miesiąca? A jednak. Nawet wyglądał inaczej. Gdy zjawił się na przyjęciu, miałam wrażenie, jakbym spotkała kogoś obcego. Był wyższy i chyba zmienił mu się kształt twarzy, czy coś takiego. Podszedł od razu i mnie uściaskał.

— Świetnie wyglądasz — powiedział.

Jedno się nie zmieniło, pachniał tak samo. Chciałam go bez końca obejmować i nim oddychać.

Trochę się pokręciliśmy między ludźmi, a potem w trójkę z Jenny poszliśmy na górę pogadać. Prawie jak wtedy, kiedy jeszcze byliśmy po prostu przyjaciółmi, tylko że teraz jakoś nie bardzo wiedziałam, co mówić. Pokazałyśmy mu rzeczy dla dzieci, łącznie z torbami na wyprawkę, które ostatnio nauczyłam się szyć, a on powiedział, że to wszystko super, jednak był znudzony. Dużo mówił o szkole, o koszykówce i w ogóle o Tar Heels, czyli uczelnianych sportowcach, o sportowcach absolwentach i o fanach.

— Ja też pójdę na UNC — oznajmiła Jenny. — W Chapel Hill jest super.

My dwie, obie bose, siedziałyśmy na wersalce. Moja wystrzałowa kiecka, rewelacyjna, gdy stałam, nie nadawała się do siedzenia. Przez cały czas albo obciągałam spódnicę, albo podciągałam górę. Jenny włożyła ładną luźną sukienkę i siedziała wygodnie, ale i tak wyglądała

okropnie, bo złapała przeziębienie, więc nie dość, że chrypiała, to jeszcze miała czerwony nos i ścisnęła w rękę chusteczki.

— Daj spokój — wyhamował ją Cleve. — Nie dostaniesz się na UNC, jeśli nie wiesz, czego chcesz.

Rozsiadł się na obszernym pufie, wyjął spomiędzy dziecinnych rzeczy smoczek i przerzucał go z ręki do ręki.

— Jesteś Miss Towarzystwa — ciągnął — ale stopnie masz denne, nie?

— Wiesz co, odwal się — zaśmiała się Jenny. — Mogę się podciągnąć.

— Ja miałem średnią pięć i dwa.

— Ty jesteś w połowie Murzynem — przypomniała Jenny. — Dlatego cię wzięli.

Kopnęłam ją.

— Zachowuj się — powiedziałam.

Były to w zasadzie pierwsze słowa, jakie wymówiłam od czasu, gdy weszliśmy na górę. Dlaczego nagle czułam się przy nim taka idiotycznie onieśmielona?

Cleve uśmiechnął się szeroko.

— Na pewno mi to nie zaszkodziło — przyznał.

— Jeszcze mam czas — oświadczyła Jenny. — W każdym razie wiem na pewno, że chcę pomagać ludziom.

— Tak? — zaśmiał się Cleve. — Chcesz być pielęgniarką?

— Albo lekarzem, ty szowinisto. Albo nauczycielką, albo radcą prawnym. Chcę pomagać ludziom. Nie będę na przykład architektem, bo oni przejmują się tylko domami.

Zawsze rozmawiali w tym tonie.

— Rany, sama nie wiesz, co mówisz. — A dla kogo te domy, według ciebie?

Obserwowałam jego dłonie w ciągłym ruchu. Pamiętałam, jakie to uczucie, gdy po udach wsuwają się pod spódnicę. Poważnie, gdyby nie było z nami Jenny, pewnie bym się na niego rzuciła. A może i nie. Ale naprawdę miałam ochotę to zrobić.

— Przynajmniej Grace ma jakieś ambicje — powiedział Cleve. Zaskoczył mnie dźwięk mojego imienia w jego ustach. — Mało kto pisze tak dobrze, jak ona.

— Aha, tylko że z pisania nie da się wyżyć — zauważyła Jenny.

— To trudne, ale możliwe. Poza tyra będzie robiła coś, co kocha, a to też się liczy.

Rozmawiali tak, jakby mnie nie widzieli, ale się tym nie przejmowałam. Cleve się do mnie uśmiechał. Naprawdę, szczerze.

Zależy mu na mnie, pomyślałam.

Bardzo chciałam, żeby Jenny zniknęła. We dwoje łatwiej by się nam rozmawiało.

Cleve podrzucił smoczek wysoko jedną ręką, a złapał drugą.

— Chodźcie do parku — powiedział, wstając.

Tak! Do parku! ,

Spędziliśmy tam niejedną wieczór. Tam się kochaliśmy, pierwszy raz, w noc przed tym, jak ze mną zerwał. Zawsze się bałam, że jedno z drugim było jakoś powiązane.

— Fajnie. — Jenny też się podniosła.

— Dogonię was — rzucił Cleve, wychodząc na korytarz.

Pewnie do łazienki.

Chwyciłam Jenny za ramię, zanim dotarła do szczytu schodów.

— Jen, proszę cię, nie idź. Dobrze? Nie gniewaj się. Muszę z nim pogadać sam na sam.

W jej oczach błysnęło zaskoczenie, lecz zaraz się opanowała.

— Nie ma problemu. I tak się koszmarnie czuję. Powiedz mu, że mama kazała mi coś zrobić.

— Jesteś boska! — Uściskałam ją z całej siły.

— Tylko pamiętaj... — Pociągnęła nosem. — Nie daj się skrzywdzić.

Byłam już w połowie schodów.

— Jasne.

Miałam całkiem odmienne plany.

Czekałam na niego na trawniku przed domem, więc zobaczyłam go na podjeździe. Wyszedł tylnymi drzwiami, pewnie po to, by ominąć tłum gości.

— Jenny musi pomóc mamie — powiedziałam.

— Okej.

Nie oznaczało to „świetnie”, ale „trudno”. Ruszyliśmy do parku, zanurzając się po drodze w blasku kolejnych latarni.

— Szkoda, że nie poszła z nami — odezwał się po chwili.

— Dlaczego?

— Po prostu... Nie powinniśmy być tylko we dwoje.

Zaśmiałam się.

— Uważasz, że potrzebna mi przyzwoitka?

— Owszem. Zwłaszcza że wyglądasz, jak wyglądasz.

O Boże.

— Dzięki — powiedziałam.

— Poważnie. Przyglądałem ci się dzisiaj i cały czas myślałem, jaki ze mnie dupek, że z tobą zerwałem.

Chce się zejść?

Mało brakowało, a byłabym go o to zapytała, lecz bałam się przeholować.

— Aha. Fakt.

— Mimo wszystko to była właściwa decyzja — kontynuował. — Bo widzisz... wyglądasz bosko, ale nie możemy do siebie wrócić. Mieszkam teraz trzy godziny stąd, poznaję różnych ludzi, nie chcę czuć się winny.

— Nowe dziewczyny.

Rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

— Dziewczyny, chłopaków. Nowych ludzi. — Wsadził rękę w kieszenie. — Chcę na razie być wolny.

— Wiem, wiem. Zostawmy ten temat. — Już za pierwszym razem ta rozmowa była bardzo trudna i bolesna. — Dotarło. Załapałam. Nie musisz mi tłumaczyć wszystkiego od początku.

— Jasne.

Przez kilka minut milczeliśmy. Minęliśmy wejście do parku i jak na komendę skręciliśmy w stronę placu zabaw. Naprawdę nie wiedziałam, o czym z nim rozmawiać, jeśli miałam nie poruszać tematu

wspólnej przyszłości. Zanim się wszystko rozleciało, gadaliśmy jak na-  
jęci, a teraz, cokolwiek bym wymyśliła, zaraz chciało mi się płakać.

Cleve usiadł na huśtawce, ja zrzuciłam buty i zajęłam sąsiednią.

— Nie przeszkadza mi, że jesteś daleko — wymknęło mi się.

— Grace, nie zaczynaj.

— Nie przeszkadzałoby mi nawet, gdybyś chodził z innymi dziewczynami, tylko bez... no wiesz. Rozumiem, że chcesz poznać nowych ludzi, i tak dalej.

— Posłuchaj... Naprawdę nie wiem, co będzie za jakiś czas. Teraz na razie musimy posmakować świata. Oboje. Jeżeli nie poznamy innych ludzi, skąd mamy wiedzieć, kto jest tym jedynym?

Zawsze byłam niezła w czytaniu między wierszami.

„Chcę ciebie, ale muszę poznać inne dziewczyny, żeby to wiedzieć na pewno”.

Żadne z nas się nie huśtało. Tylko siedzieliśmy, trzymając się łańcuchów, i trochę obracaliśmy, wciskając stopy w piasek. W pewnej chwili doszłam do wniosku, że dłużej tego dystansu nie zniosę. Podniosłam się, stanęłam przed jego huśtawką. Wiedziałam, że sobie poradzę. Nie potrzebowałam nawet minuty. Chwyciłam łańcuchy nad jego dłońmi, pochyliłam się i go pocałowałam. Nie protestował. No pewnie. Oderwałam usta od jego warg tylko po to, żeby mu położyć rękę na stwardniałym penisie. Chwycił moją dłoń, ale nie odsunął, tylko przycisnął mocniej. Ale ja się odsunęłam. Podciągnęłam sukienkę, wsunęłam kciuki pod figi.

— Gracie, proszę cię, nie rób tego — jęknął.

Protesty się skończyły na słowach. Gdy weszłam na huśtawkę, na niego, ogarnęło go to samo uczucie co mnie.

## *Rozdział 36*

### *Grace*

— Nie idę dzisiaj do kościoła — powiedziałam mamie przy śniadaniu, nazajutrz po przyjęciu.

Nie miałam apetytu. Ona jadła. Owsiankę z bananami. A ja miałam gulę w żołądku, więc tylko skubałam tost.

— Chodź ze mną, kochanie — poprosiła. — Śpiewam dziś solo.

Już miała na sobie kościelne ubranie — beżowe spodnie, białą koszulę i niebieski żakiet, a pod szyją apaszkę w biało—niebieską kratkę. Ja nadal byłam w spodniach od pidżamy i T—shircie.

— Jestem zmęczona. Wolę zostać w domu.

Wyglądała na zawiedzioną, może nawet urażoną, ale naprawdę nie chciałam iść do kościoła. Najgorzej było na koniec, kiedy wszyscy stali przed wyjściem i gadali. Oczywiście mama akurat to uwielbiała. Do wizyty w kościele mogło mnie nakłonić jedynie spotkanie z Jenny, dzisiaj jednak nie mogłam na to liczyć, bo była chora. Zresztą musiałam czekać na telefon od Cleve'a. Musiałam się z nim zobaczyć, zanim wyjedzie. Długi weekend długim weekendem, a on i tak miał wracać dzisiaj wieczorem, bo zabierał się z powrotem w tym samym towarzystwie, w którym przyjechał.

Poprzedniego wieczoru bardzo późno zadzwoniłam do Jenny i opowiedziałam jej, jak było cudownie.

— Jesteście znowu razem? — spytała.



Głos miała tak zachrypnięty, że ledwo ją rozumiałam.

— W to nie wnikaliśmy — odparłam. To była noc akcji, a nie konwersacji. Obskubując tost, uśmiechnęłam się na wspomnienie słów mamy. Ze dwa tygodnie wcześniej powiedziała wyraźnie: „Powinnaś coś robić. Działać”.

Posłuchałam cię, mamusiu, miałaś absolutną rację. Rany, ale było super! Już po wszystkim Cleve cały czas powtarzał: „Jasny szlag!”. Przytulał mnie i całował we włosy. To była naprawdę niesamowita noc.

— Jak ci poszło z Cleve'em? — spytała mama. Poderwałam głowę. Czytała mi w myślach czy co? Ile wiedziała?

— To znaczy?

— Pierwsze spotkanie od zerwania. — Upiła łyk kawy. — Martwiłam się, że będzie ci trudno.

— Nie ma sprawy. Wszystko w porządku. Przyglądała mi się w milczeniu. Chyba nie była pewna, czy mi wierzyć.

Wstałam, żeby odnieść talerz i zejść jej z oczu.

— Cieszę się, że to słyszę — powiedziała w końcu. — Co sądzisz o przyjęciu?

— Miło było. Wrzuciłam tost do kosza na śmieci.

— Córeńko, wybacz mi ten kubek taty — odezwała się znienacka

— Nie tykaj tematu, dobrze?

Jeszcze nie byłam gotowa jej przebaczyć.

Wstała, spojrzała na zegarek. Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjdzie. Bałam się, że Cleve zadzwoni, gdy mama jeszcze będzie w

domu. Mój telefon leżał na blacie, bez przerwy zerkałam na wyświetlacz, czekałam, aż się zaświeci.

— Po południu mam spotkanie z komitetem w sprawie chóru — powiedziała. — Zbieramy się w Port City Java, będziemy planować oprawę muzyczną do końca roku. Przyjdiesz? Mogłabyś tam poodrabiać lekcje, potem byśmy razem coś przekąsiły.

Nie pojmowałam, jak mogła choćby patrzeć na tę sieciową kafeję, skoro było to ostatnie miejsce, gdzie widziano tatę żywego.

— Nie, dzięki. Chyba się powłóczę z Jenny.

Oplukałam ręce i sięgnęłam po papierowy ręcznik. Nie mogłam jej powiedzieć, że będę z Cleve'em, boby mnie zamordowała pytaniami.

— Mogłabyś umyć swoją łazienkę, kochanie? — rzuciła przez ramię, idąc do drzwi. — Kiepsko wygląda.

— Nie ma sprawy — zgodziłam się natychmiast.

Byle nareszcie wyszła.

O wpół do jedenastej poszłam z telefonem do salonu i położyłam się na sofie. O tej porze na pewno już wstał.

„Wstałeś?”, napisałam.

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach.

„Jadę do CH”.

Co takiego? Usiadłam gwałtownie, przetarłam oczy.

„Byliśmy umówieni!”.

Czekałam, ściskając aparat w dłoniach.

„Nie mój wóz, sorry”.

Wlepiłam wzrok w ekranik. W cholerę z esemesami! Wybrałam numer.

— Cześć — usłyszałam.

— Nic mi nie powiedziałaś i wyjechałaś???

— Grace, posłuchaj... Jeśli chodzi o wczorajszą noc, to... Bardzo mi przykro.

— Jak to: przykro?

— Nie chciałem... Nie powinienem był... Wykorzystałem cię...

— Nic z tych rzeczy. Wiedziałaś, co robię, robiłam, co chciałam.

— Tak, tak, wiem, a ja to wykorzystałem.

— Cleve! Ja...

— Ty tego chciałaś, bo chcesz, żebyśmy się znów zeszli, a ja tego nie chcę.

— Owszem, chcesz.

— Grace, nic się nie zmieniło. Wszystko, co powiedziałem o tym, że musimy poznać innych ludzi, o wolności... Tu się nic nie zmieniło.

— Cleve!

— Jesteś dla mnie bardzo ważna, pamiętasz o tym, tak?

— Tak!

— Ja też. Niezależnie od tego, co się będzie działo. Ale teraz już wiem, że niepotrzebnie do ciebie pisałem listy i esemesy.

— Jak to?

— Wydawało mi się, że tak będzie w porządku. Nie chciałem... zachować się jak troglodyta, a teraz wiem, że to był błąd. Przez te listy

i esemesy wydawało ci się, że nie zerwaliśmy naprawdę. Musimy sobie odpuścić kontakty, przynajmniej na kilka miesięcy.

Na kilka miesięcy?

Miałam wrażenie, że umieram. Rozplakałam się. Z początku usiłowałam nie dać nic po sobie poznać, ale nie mogłam wydusić ani słowa, więc się zorientował. Życie straciło sens. Tata umarł. Jenny spędzała coraz więcej czasu z Devonem. A teraz Cleve odchodził na dobre. Tylko on mnie trzymał przy życiu.

— Nie płacz — powiedział. — Proszę, nie płacz. Jest mi naprawdę bardzo przykro, ale tak musi być. Powinienem był to zrobić wcześniej. Kumpel mówi, że to jak zdejmowanie plastra. Nie ma co zdrapywać po kawałku, trzeba pociągnąć raz a dobrze. Parę minut będzie piekło jak diabli, ale to lepsze, niż... Wprowadziłem cię w błąd, chociaż nie zrobiłem tego celowo.

— Pieprzyłeś się ze mną wczoraj!

— Nie mów o tym w taki sposób.

— Tylko tym to dla ciebie było. Właśnie mi to tłumaczysz.

Usłyszałam głębokie westchnienie.

— To bez sensu — powiedział. — Nie wiem, jak z tobą zerwać. Musimy po prostu zerwać. Teraz. Po tym, jak się rozłączymy, koniec z esemesami, listami i telefonami. To najlepszy sposób, żebyś zaczęła żyć beze mnie.

— Bo ty postanowiłeś żyć beze mnie.

— Tak. To prawda. Teraz właśnie tego potrzebuję.

Rozłączyłam się, po czym od razu zadzwoniłam ponownie, ale nie odebrał.

„Przepraszam, że się rozłączyłam”, napisałam.

Czekałam, wpatrzona w czarny wyświetlacz. Nic. Cleve nie zamierzał odpowiedzieć.

Cudownie, bosko czułam się z nim zeszłej nocy. Gdy był ze mną, chciał ze mną być. W chwili gdy się rozstawaliśmy, słuchał przyjaciół idiotów.

Musiałam się z nim zobaczyć.

Musiałam działać.

TLR

## *Rozdział 39*

### *Tara*

Wróciwszy z kościoła, zastałam Grace w kuchni. Siedziała przy stole nad kubkiem kawy, przed nią leżał telefon.

— Jak tam twoje solo? — zapytała.

Nie przypuszczałam, że mnie w ogóle usłyszała, gdy rano o tym wspomniałam.

— Bardzo dobrze.

Znajomi mówili, że śpiewałam pięknie, a ja z przyjemnością przypomniałam sobie, jak to jest napełniać przestrzeń własnym głosem. Z drugiej strony, czułam w sobie dziwną pustkę. Dopiero w drodze powrotnej uświadomiłam sobie jej przyczynę: nie było ze mną Sama. Zawsze mówił, że mój śpiew go porusza. Nie tak konkretnie i nie tymi słowami, lecz wiedziałam, co czuje, odgadywałam to z dotknięcia ręki, gdy wracałam do ławy.

— Kiedy wychodzisz? — — pytałam.

Grace była ubrana w spodnie ze skróconymi nogawkami i pasiastą koszulkę. Włosy miała wilgotne.

— Zaraz. Sprzątnęłam łazienkę.

— Fantastycznie!

Schyliłam się i ją przytuliłam, chłodne włosy przykleiły mi się do policzka. Rzadko się zdarzało, bym o sprzątnięcie łazienki musiała poprosić tylko raz.

Grace splotła dłonie, ścisnęła je tak mocno, że kłykcie pobieleły.

— Mamo — podniosła na mnie wzrok — posłuchaj. Wiem, że się nie zgodzisz, więc proszę, wysłuchaj mnie do końca, zanim cokolwiek powiesz, dobrze?

Było to chyba najdłuższe zdanie, jakie od niej usłyszałam od paru miesięcy.

— Dobrze.

Oparłam się o blat.

Bardzo dobrze. Nie zabronię niczego od razu. Niech mówi.

— Jadę dzisiaj do Chapel Hill. Zostanę na noc. Muszę...

— Do Chapel Hill? Dzisiaj? Po co?

Obrzuciła mnie zirytowanym spojrzeniem.

— Taka jedna dziewczyna... Jest na ostatnim roku, Jenny ją zna. I ona... ta dziewczyna, chce skoczyć do przyjaciół w Chapel Hill, ale nie ma samochodu, więc pojedziemy razem, będzie pilnowała, jak prowadzę, i jutro wrócę.

Po raz pierwszy w życiu odjęło mi mowę. Grace bała się prowadzić samochód, a mnie podobnie przerażała myśl, że miałyby usiąść za kierownicą.

— Po pierwsze — zaczęłam — nie jedziesz.

— Mamo, prosiłam cię, żebyś nie odpowiadała od razu.

— Ścisnęła ręce jeszcze mocniej. Wpatrywała się we mnie błagalnym wzrokiem. — Posłuchaj do końca.

— Czy ta wyprawa ma coś wspólnego z Cleve'em?

— zapytałam, chociaż sama nie wierzyłam w taką ewentualność. Cleve przyjechał na weekend do domu, więc dlaczego niby Grace miałyby z jego powodu jechać do Chapel Hill?

— Tak — przyznała. — Musiał dzisiaj wracać do akademika, a ja koniecznie muszę się z nim zobaczyć. Poza tym chcę się rozejrzeć na uczelni, bo pewnie będę tam zdawała.

Kosmiczna bzdura. To znaczy, owszem, kto wie, może będzie tam zdawała, jednak nagła chęć oglądania uczelni była kłamstwem szytym tak grubymi nićmi, że nikt by w nie nie uwierzył. Grace odwróciła głowę, nie potrafiła mi patrzeć w oczy.

— Kochanie. Sama rozumiesz, że to wszystko nie ma sensu. Jeżeli chcesz pojechać do Cleve'a, przynajmniej szczerze mi to powiedz, a nie wymyślaj jakichś historii o nagłym oglądaniu uczelni.

Przycisnęła płasko rozłożone dłonie do blatu.

— Cleve nie wiedział, że będzie musiał wracać dziś z samego rana, a wczoraj wieczorem nie skończyliśmy rozmowy. Dlatego prosił, żebym przyjechała.

— Zeszliście się?

Wyraźnie miała trudność z podjęciem decyzji, ile mi zdradzić.

— Cleve nie bardzo wie, co i jak — wyznała w końcu.

— Wydaje mu się, że nie powinniśmy do siebie wracać, ale musimy o tym jeszcze porozmawiać, a nie zdążyliśmy.

— Zmarszczyła czoło. — Mamo, to nie takie proste! Muszę z nim porozmawiać sam napami

— A gdzie miałybyś nocować?

— U tej przyjaciółki Jenny.

— Ona ma jakieś imię?

— Elena.

— Gdzie Jenny poznała studentkę ostatniego roku?



— Była... Nie wiem... chyba Elena mieszkała niedaleko, czy coś takiego. Chcesz z nią porozmawiać? Mogę...

— Nie ma potrzeby, bo nigdzie nie jedziesz.

— A jeśli Elena będzie prowadziła?

— Nic z tego. Jest mi naprawdę bardzo przykro, że nadal nie możecie się porozumieć z Cleve'em, jednak będziesz musiała wyjaśnić wasze sprawy przez telefon. Jeżeli natomiast chcesz obejrzeć uczelnię w Chapel Hill, zaplanujemy taki wypad i któregoś dnia tam pojedziemy. Będę musiała się najpierw przekonać, że dajesz sobie radę za kierownicą i...

— Elena poprowadzi.

— Co nagle, to po diable. Nie pozwalam ci jechać. Bardzo mi przykro, ale to nie podlega dyskusji.

Zerwała się na równe nogi.

— Ty nic nie rozumiesz! — krzyknęła i oczy napęłniły jej się łzami.

— Więc mi wytłumacz. — Chwyciłam ją za ramiona i trzymałam mocno, choć usiłowała się uwolnić z mojego uścisku. — Dlaczego nie możesz załatwić sprawy z Cleve'em przez telefon?

Zrzuciła moje dłonie z barków.

— Chciałam jechać, i tyle.

Odwróciła się, pobiegła do schodów.

— Grace! — krzyknęłam za nią. — Nie zostawiaj mnie tak! Porozmawiaj ze mną!

Odpowiedziały mi tylko szybkie kroki na piętrze. Osunęłam się na krzesło. Znowu zawałam sprawę, chociaż tym razem nie wiem, co mogłam powiedzieć lub zrobić inaczej.

Nie przejmuj się, pocieszyłam siebie. Matki i córki się kłóca. To normalne. Dotknęłam policzka, który przytuliłam do jej włosów. Chciałam znowu poczuć na skórze słodką wilgoć. Przypomniała mi ona o czasach, gdy Grace była mała, a ja kołysałam ją w ramionach i obie byłyśmy szczęśliwe. Dawno, dawno temu.

TLR

# *Rozdział 40*

*Emerson*

Okoliczności pokrzyżowały mi plany. Jenny czuła się na tyle źle, że została w domu, tego nie przewidziałam. Dlatego z niepokojem wypatrywałam przez okno salonu samochodu Iana. Poszarzałe niebo nabrzmiało chmurami. Zanosiło się na deszcz. Ścisnęłam w dłoniach rejestr Noelle i teczkę z listem do Anny i wydrukami informacji znalezionych na stronie Biura do spraw Dzieci Zaginionych.

Odeszłam od okna dosłownie na sekundę, żeby wyjąć z kuchenki resztki zapiekanki szpinakowej w cieście francuskim, a gdy wróciłam na posterunek, na podjeździe stał samochód Iana, a po nim samym nie było śladu. Najpewniej poszedł do bocznych drzwi.

Znajomi wchodzili do mojego domu kuchennymi drzwiami, nawet nie pukając, więc puściłam się biegiem, żeby Iana uprzedzić. Chwycałam klamkę akurat w chwili, gdy on miał to zrobić.

— Jenny jest w domu — szepnęłam. — Myślałam, że wyjdzie, ale jest chora. Musisz się wpasować w sytuację na bieżąco.

— A co się dzieje?

Przyłożyłam palec do ust.

— Powiem ci...

— Cześć.

Jenny stanęła w drzwiach kuchennych. Miała na sobie spodnie od pidżamy i koszulkę na ramiączkach, z jednego boku włosy stały jej dęba.

— Cześć, Jenny. Chora jesteś?

— Odchorowuję wczorajsze przyjęcie — wychrypiała.

Potarła gardło i lekko zmieszana spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Równie dobrze mogła zapytać na głos: „Co on tu robi?”.

— Musimy omówić sprawy związane z majątkiem Noelle — powiedziała. Wydawało mi się, że podejrzliwie spojrzała na rejestr i teczkę w moich dłoniach, ale może po prostu zaczynałam cierpieć na paranoję. — Pomóc ci w czymś? — zapytałam. — Chcesz herbaty z cytryną i miodem?

— Nie, dzięki. Idę się położyć.

— Doskonale. Może wypijesz trochę soku?

— Aha, wypiję.

Zrobiła krok w stronę lodówki, ale ją ubiegłam. Odłożyłam dokumenty na stół i szybko nalałam jej szklanek soku pomarańczowego, Ian przez ten czas czekał spokojnie obok wyspy. Widziałam, że nie wie, co ma robić albo mówić, żeby niczego nie zawalić. Podałam Jenny szklankę.

— Dzięki — rzuciła. — Dozo,

— Kiepsko wygląda — zauważył Ian, gdy odprowadzaliśmy ją wzrokiem.

— Rzeczywiście.

Przełożyłam zapiekanekę na talerz.

— Została z przyjęcia — wyjaśniłam, stawiając jedzenie na stole.

— Ręce ci się trzęsą — zauważył Ian. — Zniżył głos. — Naprawdę chcesz porozmawiać o Noelle, czy... o innych sprawach, które w związku z nią poruszaliśmy?

— Ani o jednym, ani o drugim. — Oparłam się dłońmi o wyspę, przez chwilę oddychałam głęboko. — Zaraz ci wszystko powiem — odezwałam się wreszcie. Spojrzałam w kierunku schodów. Naprawdę wolałabym, żeby w domu nie było nikogo... Zwłaszcza chorego dziecka, które mogło mnie potrzebować. Ruchem głowy wskazałam Ianowi krzesło. — Usiądź. Chcesz mrożonej herbaty? Kawy? Mogę ci zaparzyć bezkofeinową. A jak usłyszysz, co mam do powiedzenia, może zechcesz wypić kieliszek wina.

— Niech będzie kawa.

Usiadł. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Nalałam kawy do kubka, po czym usiadłam po przeciwnej stronie stołu. Znów zerknęłam na schody.

Ian spojrział na rejestr Noelle, ale go nie dotknął.

— Co to jest? — zapytał.

Odetchnęłam głęboko.

— Otworzyłam puszkę Pandory i nie wiem, jak ją zamknąć — powiedziałam cicho. — Miałam zamiar zatrzymać wszystkie informacje dla siebie, jednak nie potrafię. Muszę się nimi z kimś podzielić. W grę wchodzisz tylko ty. — Przycisnęłam palce do skroni. — Potrzebuję twojej pomocy, bo nie wiem, co robić.

— Chodzi o kwestie prawne?

— I tak, i nie. — Wyjęłam napisany na komputerze list Noelle do Anny i położyłam przed Ianem.

Przeczytał. Krew odpłynęła mu z twarzy.

— Ożeż... — Podniósł na mnie wzrok. Pokręcił głową. — Co dalej? Naprawdę, aż trudno... Co jeszcze Noelle zostawiła nam w spadku? I kim jest ta Anna?

Opowiedziałam mu, jak natrafiłam na list, a następnie o naszych poczynaniach z Tarą i w końcu o tym, że odkryłyśmy tożsamość Anny.

— A jeśli chodzi o to, co jeszcze...

Wyglądał, jakby wcale nie był pewien, czy chce słuchać.

Pochyliłam się ku niemu.

— Moim zdaniem, Noelle upuściła córkę Tary — powiedziałam cicho.

Gwałtownie się odsunął, jakbym go uderzyła.

— Jakim... Dlaczego tak sądzisz?

— Na stronie Biura do spraw Dzieci Zaginionych odszukałam datę zniknięcia córki Anny Knightly. A w zasadzie datę jej urodzin. Jedy-  
nym dzieckiem, jakie Noelle przyjmowała na świat w tym czasie, była Grace. To znaczy, dziecko, które... Prawdziwą Grace. — Wyjęłam z teczki arkusz papieru. — To są informacje ze strony Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Zobacz: Lily Ann Knightly przyszła na świat 29 sierpnia 1994 i zniknęła ze szpitala w Wil-  
mington wkrótce po narodzinach.

Gdy podniósł wzrok znad kartki, nadal miał ściągnięte brwi.

— Czy mi się zdaje, czy Jenny urodziła się mniej więcej w tym samym czasie?

— Jenny trzydziestego pierwszego sierpnia, a Grace pierwszego września, ale ja rodziłam w szpitalu i Noelle nie miała styczności z Jenny. Tara miała bóle, gdy mi robiono cesarkę.

Ian zapatrzył się w sufit.

— Trochę pamiętam tę noc, gdy Grace przyszła na świat — powiedział. — Byłem wtedy zaręczony z Noelle.

Pokiwałam głową.

— Kilka razy dzwoniła do mnie od Tary i Sama, opowiadała, jak się sprawy mają. Martwiła się. Chciała przywieźć Tarę do szpitala, jednak w końcu wszystko dobrze się skończyło. — Gwałtownie potrząsnął głową. — Wybacz, Emerson, ale cała ta historia jest pozbawiona sensu. Tara by się zorientowała, gdyby raptem podmieniono jej dziecko.

— Niewiele wiem o tamtej nocy, bo byłam pacjentką porodówki, ale doskonale pamiętam, jak Tara mi mówiła, że była nafaszerowana wszystkim, czym się dało. Ledwo pamiętała, czy w ogóle miała córkę na rękach. Oprzytomniała dopiero następnego dnia rano.

— Ale Sam nie opuścił jej ani na krok — zauważył Ian.

— A on był przytomny i zorientowałby się, gdyby zobaczył martwe dziecko.

— Straszne! — Zadrżałam.

— Mówimy o strasznych zdarzeniach. — Niespodziewanie w jego głosie zabrzmiała złość. Wolałabym, żeby mówił ciszej. — Noelle zabiła dziecko, jakoś pozbyła się ciała, a następnie uknuła ten... — Zamachał listem. — Ten szaleńczy plan. Pojechała do szpitala, wyszukała odpowiedni zamiennik i przywiozła cudze niemowlę do Tary, a wszystko to... kiedy? Gdy Sam i Tara spali w najbardziej ekscytującą noc w ich życiu? Nie kupuję tego.

— Ale wiemy, że tak się stało. Mamy na dowód słowa Noelle.

— Może pomagała w porodach, których nie ma w rejestrze — podsunął.

— W takim razie musiałaby wyrwać kartki, a w roczniku 1994 niczego nie brakuje.

— Powinnyście były przyjść do mnie z Tarą znacznie wcześniej.

— To prawda. Nie wiedziałyśmy, o co właściwie chodzi, czy w ogóle jest o czym mówić. A z drugiej strony, miałyśmy nadzieję, że cała sprawa okaże się jedną wielką pomyłką.

Zdjął okulary, przetarł oczy.

— Ile wie Tara?

— Nie ma pojęcia, że może chodzić o Grace. Noelle porzuciła praktykę w 1998, więc z początku doszliśmy do wniosku, że pacjentka, której dziecko... straciło życie, rodziła mniej więcej w tym czasie.

Ian sięgnął po rejestr.

— Pokaż mi zapis z narodzin Grace.

Wcześniej zaznaczyłam strony, toteż od razu otworzyłam na właściwej. Czekałam, aż Ian przejrzy sprawozdanie z narodzin Grace. Najpierw dziecko było ułożone poślad— kowo, Noelle zdołała je odwrócić, lecz na tym kłopoty się nie skończyły, bo już ułożone prawidłowo utknęło w kanale rodnym. Poród był skomplikowany i trwał bardzo długo. Noelle musiała się wykazać niepowседневną zręcznością, a Tara znosiła rozdzierający ból i cierpiała katusze. Podziwiałam je obie. Moim zdaniem, Noelle dokonała cudu.

— Straszne. — Ian się skrzywił. — Natomiast nie ma nic na temat upuszczenia dziecka.

— Oczywiście, że nie ma. Zacierała ślady, jak mogła. Nie zauważyłeś do tej pory, że Noelle... moja przyrodnia siostra Noelle, całkiem zgrabnie kłamała?

— A gdzie się podziało dziecko? — zapytał Ian. — To dziecko, które urodziła Tara?

— Wcale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

— Oczy mnie zapiekły.



Tara była mi bliska jak siostra. Co się stało z jej dzieckiem? Czy trafiło do płytkiego grobu? A może na śmietnik? Dokąd Noelle zaniósła truchelko maleństwa, które powinniśmy byli opłakać z miłością?

Ukryłam twarz w dłoniach.

— Ian, nie wiem, co robić — wyznałam.

— Przede wszystkim trzeba zawiadomić Tarę.

— O Boże... — westchnęłam, choć oczywiście miał rację. Sama o tym wiedziałam, lecz musiałam to od kogoś usłyszeć. — Straszne.

Odniosłam wrażenie, że od strony schodów dobiegło mnie ledwo słyszalne skrzyknięcie. Podniosłam wzrok, lecz nie zauważyłam nic szczególnego, a Ian wyraźnie nic nie słyszał.

— Wyobraź sobie sytuację odwrotną: Tara i ja wiemy, że Jenny nie jest twoim dzieckiem. Czy powinniśmy ci o tym powiedzieć?

— Oczywiście, tylko... — Zamknęłam oczy, wyobraziłam sobie scenę przekazywania takich wieści. — Miałabym rozdarte serce, że moje dziecko umarło, a ja o tym nic nie wiedziałam. I że Jenny została ukradziona innej kobiecie... Pokręciłam głową. — Dobry Boże! Chybabym tego nie przeżyła.

— Bez przesady. Miałabyś oparcie w Tarze. Przeszłyście razem niejedno i teraz również jej pomożesz, prawda? Ja też będę z wami.

— Dopiero co straciła Sama... — Zdławiłam szloch. — A teraz mamy jej odebrać córkę?

Byłam rozdrażniona, lecz czułam ulgę, bo nagle mogłam użyć liczby mnogiej, powiedzieć „my”, a nie „ja”.

— Nie będziemy jej odbierać córki — sprostował Ian. — W zasadzie najlepiej będzie, jeśli najpierw zorientuję się w sytuacji. Sprawdzę, jak to wszystko wygląda w świetle prawa. Z pewnością jednak nie na-

leży się śpieszyć. Nie przypuszczam, żebym miał kłopoty ze znalezieniem policjantów, którzy prowadzili śledztwo w dziewięćdziesiątym czwartym. Może się nawet okazać, że któregoś znam.

— Powinniśmy uświadomić Tarę, zanim zaczniesz z kimkolwiek rozmawiać — zasugerowałam. — Pewnie nawet będzie mi miała za złe, że tobie powiedziałam pierwszemu. Podkreślę też, że mogę się mylić. W końcu przecież nie mamy żadnych niezbitych dowodów, prawda? Powiem jej tylko to, co wiem. Może coś pojęłam na opak.

— Bardzo słusznie. Trzeba będzie zrobić testy DNA i wznowić śledztwo. Na pewno nie należy się śpieszyć.

— Powiemy jej dzisiaj? — spytałam niepewnie.

Bałam się tej rozmowy.

Ian założył ręce na piersi.

— Wolałbym zaczekać dwa dni — oznajmił. — Wieczorem jadę do Charlotte, jutro przez cały dzień mam turniej golfa. — Uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili przestąpienia progu mojego domu. Położył dłoń na rejestrze Noelle. — Nie mówię, że golf jest ważniejszy. Ale jutro jest święto, a ta sprawa czekała szesnaście lat. Do śledczego zadzwonię dopiero po rozmowie z Tarą, więc jeżeli dasz radę poczekać, porozmawiamy z nią we wtorek po południu, jak wróci ze szkoły.

Usłyszałam wyraźne skrzypnięcie na schodach. Tym razem zaalarmowało nas oboje.

— Jenny? — zawołałam. Żadnej odpowiedzi. Oblizalam wargi.

— Dobrze — zwróciłam się do Iana szeptem. — Zaczekajmy.

# *Rozdział 41*

## *Grace*

Bolało mnie tak, jakbym miała w klatce piersiowej ogromną koleczastą kulę. Zabrakło mi sił, żeby się pozbierać. Żyłam nadzieją, że odzyskam Cleve'a. Ta nadzieja jeszcze nie umarła. Bardzo chciałam do niego zadzwonić w ten najgorszy dzień swojego życia. Wtedy sobie uświadomiłam, jak często do tej pory dzwoniłam do niego i pisałam. Może go irytowałam? Mogłabym zadzwonić i przeprosić, że tak często dzwoniłam. Bez ustanku wymyślałam preteksty, by się z nim skontaktować. Z drugiej strony jednak wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić, bo w ten sposób jeszcze skuteczniej bym go od siebie odepchnęła.

Matki nie było w domu, a ja leżałam na łóżku, z nogami opartymi na zagłówku, i pisałam do Jenny. Przez całe popołudnie. Opowiedziałam jej o planach wyjazdu do Chapel Hill i o tym, jaką wredną suką jest moja matka. A potem o tym, że wymyśliłam tę całą Elenę. To na wypadek, gdyby moja matka ewentualnie kiedyś o nią zapytała Jenny. Wszyscy moi znajomi kłamali jak najęci, a ja właściwie wcale. Okazało się, że to całkiem łatwe. Mama jest taka łatwowierna! Musiałam przyznać, że ogólnie pomysł był rzeczywiście głupi, ale i tak nadal chciałam pojechać do Chapel Hill. Teraz jednak lał deszcz, dotarłabym tam dopiero po zmroku, a w dodatku nie bardzo wiedziałam, jak trafić do Cleve'a. Niby miałam adres akademika, ale... No, to był po prostu głupi pomysł. Wyglądałabym na wariatkę godną pożałowania, a i tak nie miał o mnie zbyt dobrej opinii.

Jenny napisała, że idzie po sok.

„Jesteś?“, zapytałam po jakimś czasie, ale nie odpisała.

Sama nie wiem, kiedy zasnąłam. Obudził mnie dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu zobaczyłam jej numer.

— Zasnąłam — powiedziałam zamiast „cześć”.

— Idę do ciebie. — Jej głos brzmiał okropnie. Na pewno od mówienia bolało ją gardło.

— Jak to? Przecież leje, a ty jesteś chora.

— Muszę ci coś powiedzieć. I pokazać. Twoja mama jest w domu?

— Nie. Co masz mi...

— Już idę, okej?

Opuściłam nogi na podłogę i usiadłam.

— Chodzi o Cleve'a? — spytałam.

Nie odpowiedziała, bo już się rozłączyła.

Parę minut później stanęła w drzwiach, rozdygotana, pod parasolką. Chwyciłam ją za rękę, wciągnęłam do środka.

— Co masz takiego ważnego? — zapytałam.

— Twojej mamy nie ma, tak? — upewniła się.

Głos miała zachrypnięty, nos czerwony. W rękę trzymała plastikową reklamówkę, w środku była chyba jakaś książka.

— Nie ma. Chodzi o Cleve'a?

Miał wypadek? Boże! Chybabym tego nie przeżyła.

Pchnęła mnie lekko w stronę schodów.

— Nie chodzi o Cleve'a. Idziemy do ciebie.

Pozwoliłam się poprowadzić.

— Wystraszyłaś mnie — powiedziałam na stopniach.

— Idź.

W moim pokoju Jenny najpierw zagarnęła pudełko chusteczek stojące na nocnej szafce. Usiadła w nogach łóżka, z pudełkiem po jednej i plastikową torbą po drugiej stronie, i wydmuchwała nos. A ja przez cały ten czas stałam i wyłamywałam palce, czekając, aż w końcu coś powie.

— Posłuchaj — odezwała się wreszcie. — Koszmar, że to akurat teraz i w ogóle... jest mi strasznie przykro, ale dowiedziałam się czegoś, o czym muszę ci powiedzieć. Chodzi o ciebie. O to, kim jesteś.

— Jak to: kim jestem?

Czy chodziło jej o mój charakter? Miałam takie potworne wady, że musiała tu przygnać w deszczu i chora, żeby mi o nich opowiedzieć? Może i tak. W końcu Cleve też najwyraźniej nie był mną zachwycony. I mama. I ja.

— Nie przerywaj. I pamiętaj, że jestem twoją przyjaciółką i zawsze będę, dobrze? Zawsze. Do końca życia, żeby nie wiem co!

Oczy jej się zaszklily, a ja się rozplakałam, nawet nie wiedząc dlaczego. Jeżeli coś ją tak bardzo rozstroiło, to już jestem skreślona.

— Mów.

— Z godzinę temu był u nas Ian.

Jeszcze on?

— W sprawie spadku?

Nie przeszkadzało mi, że Noelle zostawiła Jenny więcej pieniędzy niż mnie. Jenny na nie zasługiwała. Ja nie.

— Nie, nie chodzi o spadek. Też tak myślałam, ale wcale nie. Byłam u siebie, wiesz, pisałyśmy przecież. A jak poszłam na dół po sok, usłyszałam ich rozmowę i... Nie pamiętam, co właściwie powiedziała

mama, ale stanęłam, żeby posłuchać. Rozmawiali o... — zawahała się.  
— Tak mi przykro!

— Dlaczego?

— Nie jesteś rodzonym dzieckiem swojej mamy. Zostałaś porwana.

— Co? — Nic nie rozumiałam. — Na pewno mówili o mnie?

— Tak.

— Ale... Dlaczego? Bez sensu.

— Wiem. Trudno w to uwierzyć, ale tak mówili. A ja słuchałam i nie mogłam się ruszyć. — Znowu wydmuchała nos. — Stałam i słuchałam, i nie bardzo rozumiałam, o co właściwie chodzi. Twoja mama nic nie wie, mają jej dopiero powiedzieć.

— O czym nie wie? Jak mogą wiedzieć o mnie coś, czego by nie wiedziała mama? — Spróbowałam się zaśmiać. — Ale numer!

— Tak, wiem, tylko...

— Czy ty słyszysz, co mówisz? Właśnie powiedziałaś, że moja mama mnie ukradła. To samo w sobie idiotyczne, ale skoro mnie ukradła, to jakim cudem nie wie, że zostałam ukradziona? — Chętnie bym czymś rzuciła w Jenny. — Odbiło ci czy co?

— Przykro mi, naprawdę, tak mi strasznie przykro. Ja wiem, to brzmi jak jakieś wariactwo, ale wszystko ci wytłumaczę. — Wyjęła z siatki dużą brązową książkę i żółtą teczkę na dokumenty. Ręce jej drżały. — Siedziałam na schodach, póki Ian nie wyszedł, potem poszłam do kuchni po sok. Mama chyba się bała, że coś usłyszałam, ale zachowywałam się, jakbym dopiero co wyszła z pokoju. Gdy nalewałam sok, widziałam, że chowa te rzeczy do szuflady. Do tej w stole, wiesz.

— Co to za książka?

Usiadłam przy niej na łóżku.

— To notatnik. Noelle zapisywała w nim odbierane porody. Przeczytałam o twoich narodzinach i nie znalazłam nic dziwnego. Ale są też te papiery... — Otworzyła teczkę, wyjęła z niej kartkę z wydrukowanym tekstem. — To jest list. Niedokończony. Napisany przez Noelle.

Podawała mi go.

Przeczytałam. Nie wierzyłam własnym oczom.

— Ohyda! — Byłam przerażona. — Niemożliwe. Noelle by nigdy czegoś takiego nie zrobiła.

— No właśnie. Tylko że...

— A dlaczego uważasz, że to ja jestem tym porwanym dzieckiem?

— Właściwie nie bardzo wiem, ale oni są tego pewni. Chyba tu jest jakieś wyjaśnienie. — Wyjęła z teczki następne dwie kartki, wskazała adres URL u dołu jednej z nich. — Widzisz? To ze strony Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Tylko jedna linijka. „Lily Ann Knightly urodziła się 29 sierpnia 1994 w szpitalu w Wilmington w Karolinie Północnej, zaginęła wkrótce po urodzeniu” — przeczytała, walcząc z potworną chrypą.

Wolno pokręciłam głową. Zrobiło mi się niedobrze.

— A jakieś inne... Może to było jakieś inne dziecko? Noelle odbierała mnóstwo porodów. Dlaczego uznali, że to akurat ja? Ty urodziłaś się dzień wcześniej. Lily.

Czy możliwe, że tak mam na imię?

— Tylko że z moimi narodzinami Noelle nie miała nic wspólnego.

Jenny objęła mnie w pasie. Z wolna docierała do nas prawda. Wiedzieliśmy, że wcale nie przypominam rodziców. Owszem, miałam

piwne oczy, jak oni, lecz takie same oczy miała połowa dzieciaków w kraju. Wszyscy zawsze mówili, że jestem bystra i spokojna jak tata, jednak mnóstwo dzieciaków ma te same cechy. A mamy nie przypominałam wcale. Ani trochę.

— Nie wierzę — powiedziałam cicho.

— Bardzo ci współczuję. Przepraszam, że ci to zwałam na głowę, ale uznałam, że powinnaś wiedzieć, a oni chyba nie zamierzali cię o niczym informować.

Przesunęłam dłonią po kartce.

Lily Ann Knightly.

Lily.

— Kim ja jestem?

Jenny przycisnęła policzek do mojego ramienia, objęła mnie mocniej.

— Jesteś Grace — powiedziała. — Moją najlepszą przyjaciółką. Pamiętaj o tym, żeby nie wiem co.

Błądziłam myślami w innym wymiarze.

— Zawsze wiedziałam, że tu nie pasuję. A mama... Od dawna mi się wydawało, że wolałaby, żebym była kimś innym — powiedziałam. — A to martwe dziecko? Ono powinno być córką mojej matki. — Wstałam. — Jenny, Boże drogi... Noelle zabiła noworodka. Nienawidzę jej. Jak można zrobić coś takiego?

— Pomyśl o tym inaczej. Gdyby cię nie ukradła, nie byłabyś moją przyjaciółką. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Rzeczywiście. Ja też nie wyobrażałam sobie życia bez Jenny. Z drugiej strony, było to chyba jedyne pocieszenie.



— Kiedy mają zamiar powiedzieć mojej mamie?

Wtedy dopiero się zaczniesz. Wtedy mama kompletnie się ode mnie odsunie. Wyrzuci mnie ze swojego serca. Na razie musiała mnie kochać i o mnie dbać, nie miała wyjścia.

Jasne, że nie mamy ze sobą nic wspólnego, pomyśli sobie.

Na pewno tak pomyśli. I zaczniesz się zastanawiać, jak zupełnie inne, jakie cudowne byłoby jej życie z prawdziwą córką.

— Zdaje się, że we wtorek — powiedziała Jenny. — Nie mów jej o niczym, dobrze? Bo mnie by moja mama zabiła za podsłuchiwanie. Muszę odłożyć te rzeczy na miejsce.

— A co jest na drugiej kartce?

— Nic takiego. — Jenny wetknęła oba arkusze do teczki.

Nie umiała kłamać.

— Pokaż.

Nie od razu, jednak podała mi drugą kartkę z wydrukiem ze strony Biura do spraw Dzieci Zaginionych.

*Dyrektor Biura do spraw Dzieci Zaginionych Anna Chester Knightly, 44, pracuje w BDSZ od dziesięciu lat. Jej córka Lily zaginęła wkrótce po narodzinach, ostatni raz była widziana w szpitalu położniczym w Wilmington w Karolinie Północnej, w roku 1994. Anna Knightly ma drugą córkę, Haley.*

Odebrało mi mowę. Moja matka? I siostra?

— Gdzie mieszkają? — wydusiłam z siebie po jakimś czasie. — W Wilmington?

— Raczej nie. Ona jest szefem Biura do spraw Dzieci Zaginionych, a u nas chyba nie ma czegoś takiego.

— Ona mnie szuka — szepnęłam. — Szuka mnie przez całe moje życie. — Ogarnęło mnie współczucie dla tej nieznajomej kobiety. Współczucie, a zarazem tęsknota, tak silna, że zalała mnie od stóp do głów. — Pewnie myśli, że nie żyję.

Jenny wyjęła mi arkusz z ręki i włożyła go do teczki.

— Muszę wracać. Powiedziałam mamie, że idę po syrop na kaszel. Zaraz będzie do mnie dzwoniła.

— Zostaw mi te rzeczy.

— Nie mogę. Zauważy, że zniknęły.

— Proszę cię. Są mi potrzebne.

— Nie mogę.

Chwyciłam teczkę i przycisnęłam do piersi.

— Grace! Muszę ją odłożyć na miejsce!

— Nie oddam. To moje. O mnie.

— Gracie, bardzo cię proszę, bo mnie matka zabije.

Sięgnęła po teczkę, lecz ja obróciłam się, wrzuciłam papiery do szuflady biurka i zatrzasnęłam ją stanowczym gestem.

— Grace! — Usiłowała dostać się do szuflady, jednak trzymałam ją na dystans. — Przecież to samo masz w Internecie! Wszystko jest na stronie tego biura od zaginionych dzieci.

Nadal broniłam dostępu do szuflady. Miała rację. Mogłam ściągnąć te same informacje z sieci, ale wolałam zatrzymać zawartość teczki. Raptem poczułam, że nie dam sobie już nic odebrać.

— Zostaw mi to, proszę. — Łzy płynęły mi po policzkach. — Muszę mieć coś swojego.

Patrzyła na mnie jakiś czas, po czym zamknęła mnie w serdecznym uścisku.

— Zrób kopie — powiedziała w moje włosy. — Oddasz mi jutro.

Nie wiem, która z nas płakała bardziej rozpaczliwie.

Po wyjściu Jenny dobrą godzinę tkwiłam na łóżku z dwiema kartkami papieru na kolanach. Długi czas wpatrywałam się w widniejące na nich słowa, aż zrobiło się ciemno i przestałam je widzieć. Nie miałam siły wstać, by zapalić światło. Gdy mama wróciła do domu, zajrzała do mojego pokoju z wiadomością, że przyniosła kanapki na kolację. Wtedy włączyłam lampkę, bo chciałam sprawdzić, czy będzie mi się wydawała inna. Nie dostrzegłam żadnej odmiany. To nie ona się zmieniła w ciągu paru ostatnich godzin.

Gdy zeszła na parter, zalogowałam się do sieci. Znalazłam stronę Biura do spraw Dzieci Zaginionych i po adresie URL trafiłam do wzmianki o Annie Knightly.

Zdjęcie!

Aż się zatchnęłam.

O rany, wyglądała olśniewająco. Miała piękną, szczerą twarz. Tak wiele można było z tej fotografii wyczytać. Anna Knightly sprawiała wrażenie osoby czulej i kochającej. Miała zielone oczy, co tłumaczyło plamki zieleni na moich tęczęwkach. Poza tym w zasadzie nie dopatrzyłam się innych podobieństw. Bardziej byłam podobna do swojej mamy, to znaczy tej, która mnie wychowała, niż do Anny Knightly. Staralam się odszukać siebie w jej twarzy. Wzięłam do ręki lusterko, żeby łatwiej porównać dwie podobizny, lecz niewiele to dało. Pewnie byłam podobna raczej do ojca. Zadrżałam. Miałam drugiego ojca. Cho-

cięż tego, który mnie wychowywał, będę kochała do końca życia, żeby nie wiem co.

Ciągle na nowo odczytywałam jeden fragment: „jej córka Lily zaginęła”. Jak to było, gdy jej powiedzieli, że dziecka nie ma? Wyobraziłam sobie, jak ta ładna kobieta o miłej twarzy wchodzi na oddział noworodków i rozgląda się za córeczką. Po chwili dziecka szukają również pielęgniarki, panika rośnie i w końcu do wszystkich dociera, że niemowlę zniknęło. Ja zniknęłam. Nadal nie mieściło mi się w głowie, że to ja jestem Lily. Wyobrażałam sobie, jak czuła się Anna Knightly, gdy jej powiedzieli, że nie odnaleziono dziecka. Na pewno pogrzyżała się w rozpacz. Po mnie. Moje życie mogło wyglądać całkiem inaczej.

Zaginione dzieci zwykle odnajdują się martwe. Często mówią o nich w wiadomościach. Anna Knightly z pewnością właśnie tego się spodziewała. Szczególnie po tylu latach. Wiedziała jedynie, że zniknęłam. Nie знаła reszty mojej historii.

— Ja żyję — powiedziałam do zdjęcia na monitorze. — Jestem tutaj.

A gdzie ona mieszka? Może znajdę numer jej telefonu? Zadzwoń do niej teraz, zaraz? W tej chwili. Chciałam jej powiedzieć, że żyję. Przecież mogła jutro umrzeć, możemy się nigdy nie spotkać.

Na stronie znalazłam numer telefonu do biura, zapisałam go skrupulatnie. Był też adres w Alexandrii, w stanie Wirginia. W sąsiednim stanie. Moja mama, moja rodzona mama mieszkała w sąsiednim stanie!

Nie mogłam spać. Bez przerwy odtwarzałam w myślach mapę. Alexandria znajdowała się chyba w północnej części Wirginii? Niedaleko Waszyngtonu. Do Waszyngtonu było tylko pięć godzin jazdy. Musiałam poznać Annę. Musiałam się dowiedzieć, jaka jest naprawdę. Mogłabym do niej zadzwonić, do Biura do spraw Dzieci Zaginionych, z samego rana, ale o wiele lepiej byłoby spotkać się z nią twarzą w twarz. Usiadłam, totalnie nakręcona. Musiałam się z nią zobaczyć. Już,

natychmiast, jak najszybciej. Życie było krótkie. Jutro Anna mogła zginąć w drodze do pracy. Takie rzeczy się zdarzają.

Chwyciłam telefon i wcisnęłam klawisz szybkiego wybierania numeru Cleve'a. Gdy odebrał... odebrał!, załamam się łzami.

— Nie rozłączaj się, błagam, nie przerywaj połączenia! — wyrzuciłam z siebie gorączkowo. — Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Nie martw się, nie o nas. Po prostu muszę z tobą porozmawiać, bo zwa-riuję.

— Grace, już prawie północ. — Wcale nie wydawał się zaspany. W tle słyszałam głosy, dziewczęcy śmiech. — Porozmawiamy jutro, dobrze?

— Właśnie się dowiedziałam, że jako noworodek zostałam porwana!

Zapadła cisza.

— Słuchaj, kurde, nic nie rozumiem.

Opowiedziałam mu o wszystkim: o tym, jak Jenny podsłuchiwała rozmowę swojej matki z Ianem, o liście Noelle do Anny Knightly, o porwanym dziecku. O Biurze do spraw Dzieci Zaginionych.

— Nie wierzę — oznajmił Cleve. — Wymyśliłaś to wszystko, tak?

— Nie. Jutro możesz zadzwonić do Jenny, jeśli mi nie wierzysz. Mojej mamie powiedzą we wtorek. Mama myśli, że jestem... — Głos mi się załamał, straciłam opanowanie.

— Nigdy mnie naprawdę nie kochała. Zawsze chciała, żebym była inna, niż jestem. Wolą tamto dziecko, tamto, które umarło. Ono by pewnie było takie jak ona.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Cleve.

Tło się zmieniło, chyba słyszałam otwarcie i zamknięcie drzwi.

— Wyszedłem na korytarz — odezwał się Cleve. — Mój współlokator ma towarzystwo. Posłuchaj, nie bardzo wiem, co się dzieje, ale jedno jest pewne: mama cię kocha. Każdy miewa czasem przechlapanie u matki. Ja też często chętnie bym się do niej nie przyznawał. Ale jest moją matką i mnie kocha, a twoja kocha ciebie.

— W tym rzecz. Twoja mama jest twoją mamą, a moja nie jest moją. Chcę poznać swoją prawdziwą matkę i wszystko jej powiedzieć. Jadę tam.

— Dokąd?

— Do Wirginii. Chcę ją poznać.

— Kiedy? I jak tam dotrzesz?

— Jutro. Samochodem.

Zaśmiał się głośno.

— Dzieciaku!

Ukłuły mnie jego słowa.

— Pojęcia nie masz, jak to jest!

— Posłuchaj mnie uważnie. Jutro powiesz mamie, czego się dowiedziałaś od Jenny, i...

— Nie mogę, bo Jenny będzie miała kłopoty. Teoretycznie nic nie wie.

— Jakoś da sobie radę. Powiesz mamie o wszystkim. Jeżeli to prawda, w co mocno wątpię, będziecie potrzebowały rady prawnika, Ian jest prawnikiem, zdaje się? Będzie sporo prawnych kwestii do uregulowania.

— Prawnicy zawsze ze wszystkim zwlekają.

Tata był wspaniałym prawnikiem, a stale podkreślał, że nie wolno się śpieszyć. Na pewno Ian jest taki sam. Co by zrobił tata, gdyby żył?

— Och, Cleve — westchnęłam. — I mój tata nie był moim prawdziwym tatą!

— Był twoim tatą, a twoja mama jest twoją mamą. Nawet jeśli ta druga kobieta cię urodziła, twoi rodzice cię wychowali i przez to są twoimi rodzicami.

— Poniosło mnie — przyznałam, jednak myślami byłam już daleko.

Podeszłam do komputera i włączyłam Google Maps.

Cleve znowu westchnął.

— Grace, obiecaj mi, że jutro powiesz mamie o wszystkim i że nie zrobisz nic głupiego — powiedział. — Jesteś dla mnie ważna. To się nigdy nie zmieni. Pamiętaj. No jak, obiecujesz?

— Obiecuję — rzuciłam w słuchawkę, zapisując adres Biura do spraw Dzieci Zaginionych.

## *Rozdział 42*

*Anna*

*Waszyngton*

— Tato, zobacz, fajne? — zawołała Haley do Bryana, gdy tylko odsunął zasłonkę przy szpitalnym łóżku.

Byliśmy tam już kilka godzin, ale dopiero teraz osłabło działanie steroidów. Przeglądała się w metalowej tacy jak w lustrze i gładziła dłonią ciemne odrosty, które pojawiły się na głowie w ciągu ostatniego tygodnia.

— Rewelacja — przytaknął Bryan.

Pogłaskał córkę po krótkich miękkich włoskach. Wiedziałam, że łaskoczą. Dawały też fałszywe poczucie zwycięstwa. Musiałam się pilnować, stale sobie powtarzać, że to jedynie cisza przed burzą.

Następnego dnia czekała Haley kolejna dawka chemioterapii podtrzymującej i tak miało być aż do znalezienia dawcy. Wtedy inna chemioterapia oraz naświetlania zniszczą nie tylko włosy, a organizm mojej córki będzie przygotowywany do transplantacji. Nie chciałam się zastanawiać, czy zdążymy znaleźć dawcę, zanim choroba zabierze mi dziecko. Nie brałam takiej możliwości pod uwagę. A dzisiaj chciałam jedynie, by się cieszyła widokiem ciemnego języka oraz ostatnimi godzinami z ojcem. Zamierzałam z nią zostać na noc, on natomiast musiał na krótko wrócić do siebie, bo rano leciał do San Francisco rozmawiać na temat pracy. Nie cieszyła mnie ta podróż. Owszem, zajmowałam się



Ha— ły sama prawie całe jej życie, więc niby nie potrzebowałam pomocy byłego męża, lecz z drugiej strony, naprawdę się przydawał. Chyba przywykłam do jego obecności. Haley też. Chciałyśmy, żeby był z nami.

— A, dzień dobry, dzień dobry! — odezwał się Tom, ulubiony pielęgniarz mojej córki. — Przyniosłem tabletkę na dobranoc.

Haley wzięła z jego ręki mały papierowy kubek.

— Wiedziałem, że dzisiaj przyjdiesz — ciągnął Tom — więc coś dla ciebie naszykowałem.

Podał jej artykuł na temat akcji poszukiwania dawców szpiku kostnego skopiowany z piątkowego „Washington Post”.

Haley podbiła serce dziennikarki z tej gazety, a z reporterką waszyngtońskiego kanału telewizyjnego WJLA poradziła sobie jeszcze lepiej. Dzieliła się wspomnieniami z pierwszego ataku białaczki.

— Myślałam, że wszystkie małe dzieci muszą dostawać takie leki — wyznała po prostu. — Nie wiedziałam, że można żyć inaczej.

O Lily mówiła w sposób wyjątkowy, dla mnie niepojęty.

— Lily zaginęła, więc moja mama straciła pierwsze dziecko. Nie chciałam, żeby mnie też straciła.

Skurczyłam się w sobie, słysząc te słowa. Oby tylko nikt nie doszukał się w nich obłudy. Ja wiedziałam, co miała na myśli, doskonale rozumiałam każde zdanie i byłam szczerze wzruszona.

Najwyraźniej podobnie odebrało ten wywiad wiele postronnych osób. Następnego dnia w salonie samochodowym zrobiło się tłoczno od ludzi, którzy chcieli zostać dawcami szpiku.

Gdy Tom wyszedł z pokoju, Haley rozłożyła łóżko prawie całkiem płasko.

— Wrócisz w środę? — spytała Bryana.

— W środę o szesnastej — sprecyzował.

Wyłączył jasne światło nad szafką nocną. Ja siedziałam w nogach łóżka i przyglądałam się plecom byłego męża. Mięśniom pod koszulką polo. W tym tygodniu odkryłam, że nie tylko celebryci przyprawiają mnie o szybsze bicie serca. A przecież gdyby mi ktoś powiedział, że mężczyzna, którym przez tyle lat gardziłam, wyrze na mnie podobne wrażenie, postukałabym się w głowę.

— Co ci przywieźć z San Francisco?

— Siebie — odpowiedziała Haley.

Dostrzegłam na twarzy Bryana wzruszenie. Haley nie kryła się z uczuciami. Nigdy nie nosiła maski, którą zbyt wielu z nas nakłada codziennie. Odsłaniała się, jak gdyby zdawała sobie sprawę, że nie ma czasu na gierki. Nie wiedziałyśmy, czy nastanie dla nas jutro. Nikt tego nie wie. Dużo się od niej nauczyłam.

— Jesteś kochana — powiedział Bryan. — Ale pytam poważnie. Może czekoladę Ghirardellego?

Skrzywiła się niemiłosiernie.

— Teraz to bym chciała, ale w środę pewnie będzie mi niedobrze.

— Zaczekamy, aż znowu nabierzesz apetytu. — Spojrzał na zegarek. — Muszę uciekać.

— Odprowadzę cię. — Odwróciłam się do Haley, która zwinęła się w kłębek i przytuliła Freda. — Zostaniesz trochę sama?

Ziewnęła szeroko, pokiwała głową. Bryan schylił się, pocałował ją w policzek, a ona objęła go za szyję.

— Nie zapomnij o nas — powiedziała cicho.

Wyprostował się, przytrzymał jej rękę w dłoniach.

— Nie zapomnę — odparł. — Nigdy.

W milczeniu poszliśmy do windy i zjechaliśmy do garażu. O tej porze było tu prawie pusto. Odprowadziłam Bryana aż do samochodu. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał. Może Haley zaraziła mnie swoimi obawami. Tym swoim „Nie zapomnij o nas”. Chociaż istotniejsze było chyba coś innego. Miałam zamiar uwolnić się od swojej maski.

Bryan otworzył drzwi.

— Wracaj szybko — powiedziałam.

Uśmiechnął się, po czym zamknął mnie w mocnym uścisku, który obudził wspomnienia. Dobre wspomnienia, z czasów gdy byliśmy młodzi, a przyszłość niosła ze sobą kuszące obietnice.

— Zaczekaj — poprosił, wypuszczając mnie z objęć.

Otworzył tylne drzwi, wsiadł do samochodu i pociągnął mnie za sobą. Zaśmiałam się głośno, wpadłam na siedzenie tuż obok Bryana. Pocałował mnie. Zachowywaliśmy się jak dawniej, jak dzieciaki. Z początku się śmialiśmy, bo do czego to podobne, żeby parka z czterdziestką na karku baraszkowała w publicznym garażu niczym nastolatki, ale po chwili śmiech ucichł, a my oddychaliśmy coraz szybciej i dotyk przyniósł nam nowy początek skomplikowanej miłości.

# *Rozdział 43*

## *Grace*

*Wilmington, Karolina Północna*

Minęła trzecia nad ranem, a ja nie mogłam zasnąć. Leżałam i planowałam, co dalej. Im dłużej myślałam o wypadzie do Alexandrii, tym bardziej nabierałam przekonania, że muszę tam pojechać. Już wcześniej wydrukowałam wskazówki na temat dojazdu do Biura do spraw Dzieci Zaginionych. Wydawał się dość łatwy. Z Wilmington prowadziła tam droga prawie całkiem prosta, chociaż nie bardzo widziałam siebie za kierownicą na tej prostej drodze, dłuższej, niż mi się wydawało. Na stronie Google Maps uzyskałam informację, że powinnam dotrzeć na miejsce w ciągu pięciu godzin i pięćdziesięciu minut. Pięć godzin i pięćdziesiąt minut dzieliło mnie od spotkania z biologiczną matką. Jak tak na to popatrzeć, to właściwie drobiazg, nie ma o czym mówić.

Musiałam ruszyć od razu po wschodzie słońca. Mama zawsze wstawała wcześniej, nawet jeśli nie szła do szkoły. Trudno będzie wyjechać, zanim się obudzi. Nastawiłam budzik w telefonie na szóstą, lecz po namyśle przestawiłam na piątą. Powinnam ruszyć jeszcze po ciemku. Jeżeli wyjadę o wpół do szóstej, dotrę na miejsce w czasie lunchu. Serce zamarło mi na myśl o tym, jak wejść do siedziby Biura do spraw Dzieci Zaginionych i powiem mamie, kim jestem.

A jeśli wyjdzie na lunch? Na długi lunch służbowy, jak się często zdarzało tacie? Znowu wzięłam w rękę telefon i rozświetliłam ekran, żeby sprawdzić, która godzina. Trzecia dziesięć. Nadal nie mogłam za-

snąć. Czułam się, jakbym wypila wiadro kawy. Gdybym pojechała teraz, dotarłabym na miejsce dobrze przed lunchem. Niestety, panowały egipskie ciemności, a w dodatku padał deszcz. W deszczu prowadziłam tylko kilka razy, a potem w ogóle przestałam siadać za kierownicą.

— Rusz się — powiedziałam głośno.

Prędko wstałam, włożyłam spodnie i niebieski sweter, który nosiłam poprzedniego dnia. Wyrzuciłam z plecaka zeszyty i podręczniki, zapakowałam czystą bieliznę, szczoteczkę oraz pastę do zębów i teczkę, którą mi zostawiła Jenny. Poruszałam się szybko, jakbym się z kimś ścigała. I w pewnym sensie tak było, bo starałam się uprzedzić sprzeciw zdrowego rozsądku, który mi mówił, że mój plan jest nie tylko głupi, ale i niebezpieczny. Nie prowadziłam samochodu od śmierci ojca, nigdy nie jechałam sama i nie siedziałam za kierownicą dłużej niż dwie godziny ciurkiem. Chwyciłam wydruk z Google Maps, zarzuciłam plecak na ramię i cicho zeszłam na parter. Z szafki na klucze wiszącej przy tylnych drzwiach wzięłam kluczyki od hondy i ruszyłam w drogę, zanim zdążyłam się rozmyślić.

Przez jakąś godzinę radziłam sobie całkiem nieźle. Jechałam o wiele za wolno, ale mało co było widać. Mokry asfalt błyszczał w ciemności jak lustro, a ja bez przerwy wyobrażałam sobie sarnę wyskakującą mi prosto pod koła. Ruch był znikomy, co z jednej strony mi pomagało, z drugiej trochę paraliżowało. W pewnej chwili deszcz lunął jak z cebra. Mało powiedziane. W samochód waliła ściana wody, potworny grzechot zagłuszał radio. Ustawiłam wycieraczki na najszybszy bieg, a mimo to widziałam drogę dosłownie parę metrów od maski, dalej nic. Zwolniłam do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, potem do pięćdziesięciu, trzymałam się blisko pobocza. Ruch był już wtedy większy i jakoś żaden kierowca nie miał takich problemów z deszczem. Śmigali obok mnie bez problemu. Któryś na mnie zatrąbił, pewnie jechałam za wolno. Dłonie miałam mokre od potu, ale nie śmiałam nawet na moment puścić kierownicy. Siedziałam spięta i wychylona do przodu.

du, jakby przysunięcie twarzy do przedniej szyby gwarantowało mi lepszy widok.

Właśnie postanowiłam zjechać na pobocze i przeczekać ulewę, gdy nagle ustała. Usiadłam odrobinę swobodniej i wypuściłam powietrze z płuc. Znowu słyszałam radio. Wcisnęłam gaz trochę mocniej, rozpędziłam się do dziewięćdziesiątki i nie zamierzałam przyśpieszać bardziej, dopóki nie wzejdzie słońce. Tyle w kwestii pięciu godzin i pięćdziesięciu minut.

Zanim dotarłam do granicy stanów, zrobiło się całkiem jasno, lecz deszcz nadal kroił. Cały czas się zastanawiałam, czy powinnam zadzwonić do Jenny i powiedzieć jej, gdzie jestem.

Nagle uświadomiłam sobie straszną rzecz.

Pamiętałam, że zmieniłam godzinę na budziku w telefonie. Widziałam ten telefon na nocnej szafce. Natomiast nie pamiętałam, że bym go wsadziła do plecaka.

O Boże.

Wcisnęłam hamulec, zjechałam na pobocze. Zatrąbiła na mnie ciężarówka, hondą zatrzesło, gdy minęła mnie z wizgiem. Odszukałam przycisk świateł awaryjnych, włączyłam je i zaczęłam przetrząsać plecak, choć i tak wiedziałam, że telefonu tam nie ma.

Ale ze mnie idiotka!

Cztery godziny od domu, na autostradzie i bez telefonu. Jakiś czas siedziałam sparaliżowana, zerkając od czasu do czasu na podłogę i fotel pasażera, jakby telefon miał się tam pojawić za sprawą czarów.

Co robić?

Miałam za sobą dwie trzecie trasy. Należało jechać dalej.

Z trudem przełknęłam ślinę, wyłączyłam światła awaryjne i pocze-  
kałam na większą lukę między samochodami. Wróciłam na szosę.

Dwie godziny później nie bardzo widziałam, gdzie jestem, lecz  
tkwiłam w gigantycznym korku. Ci, którzy u nas w Wilmington skar-  
żyli się na godziny szczytu, nie wiedzieli, co mówią. Tutaj przez dzie-  
sięć minut stercza.— Iłam w miejscu, potem podjeżdżałam ze trzy me-  
try i znowu grzęzłam. Z obu boków miałam ogromne ciężarówki, czu-  
łam się zakleszczona, schwyтана w pułapkę, zaczynałam dostawać  
klaustrofobii. Były tak wielkie, że pod nimi widziałam auta na następ-  
nym pasie. Doceniłam teraz jazdę w ciemności przez deszcz, gdy nie  
miałam czasu za dużo myśleć. Musiałam się skupić na prowadzeniu,  
żeby nie stracić życia. Teraz byłam zmęczona, pozbawiona energii, a  
plan, który o trzeciej nad ranem wydawał się genialny, wyglądał idio-  
tycznie.

Powinłam była zostawić mamie wiadomość, chociaż nie bardzo  
wiedziałam jaką. Tak czy inaczej, gdy się zorientowała, że mnie nie  
ma, pewnie uznała, że pojechałam do Chapel Hill. Nieważne. I tak będę  
miała przechłapanie.

Niespodziewanie przypomniało mi się, co powiedział tata, gdy  
kiedyś wściekłam się na mamę.

— Czy wiesz, dlaczego mama układa plasterki pomarańczy na ta-  
lerzu dla twojej drużyny? Albo dlaczego planuje twoje przyjęcie uro-  
dzinowe z dwumiesięcznym wyprzedzeniem? Nie wiesz? W ten sposób  
okazuje, że cię kocha.

Dlaczego przyszło mi to do głowy akurat teraz? Słyszałam głos oj-  
ca tak wyraźnie, jakby siedział na tylnym fotelu.

W ten sposób okazuje, że cię kocha.

Wiedziałam, że mnie kocha. Właściwie nigdy w to nie wątpiłam.  
Będzie zdruzgotana, gdy się dowie, że nie jestem jej dzieckiem, a jej

rodzona córka zmarła. Wyobraziłam sobie, jak Emerson ją sadza, by powiedzieć prawdę, zobaczyłam skurczoną twarz matki.

Wreszcie coś się ruszyło na drodze. Przepuściłam ciężarówkę i dopiero wtedy zobaczyłam budynki, kominy, dźwigi. Łzy zamazały mi obraz.

Ścisnęłam kierownicę z całej siły.

— Co ty robisz najlepszego? — szepnęłam do siebie. — Co ty wyprawiasz?

TLR



## *Rozdział 44*

### *Tara*

Grace spała do późna. I dobrze, skoro wczoraj tak bardzo ją rozstroiła sprzeczka o wyjazd do Cleve'a. Trzeba przyznać, że ja też nie najlepiej poradziłam sobie ze sprawą. Oczywiście musiałam zburzyć ten niedorzeczny plan jazdy do Chapel Hill, ale pewnie mogłam to zrobić jakoś inaczej. W sposób, który by nie zniszczył porozumienia... Jakiego porozumienia? Niczego takiego między nami nie było. Od razu we wtorek trzeba będzie zadzwonić do terapeutki, z którą widziałyśmy się ze dwa razy po śmierci Sama. Grace nie chciała z nią rozmawiać, więc może profesjonalistka mnie podsunie jakieś pomysły na dogadanie się z córką od nowa. Bardzo nam było potrzebne odbudowanie dawnej więzi.

Siedziałam przy kuchennym stole i robiłam listę zakupów, próbując się skupić na czymś mniej denerwującym niż coraz gorsze stosunki między mną a Grace. Zostawiłam jej karteczkę z wiadomością, że pojechałam do sklepu, i poszłam do garażu.

W progu stanęłam jak wryta. Honda Sama zniknęła. Złodowaciłam. Ścieła mnie irracjonalna nadzieja, że Sam, cały i zdrowy, pojechał do pracy. Że ostatnie siedem miesięcy to koszmarny sen. Z drugiej strony jednak byłam realistką twardo stąpającą po ziemi, więc piękne złudzenie nie trwało długo. Albo samochód został skradziony, albo wzięła go Grace. Nie potrafiłam ocenić, która z tych możliwości jest bardziej nieprawdopodobna.

Poszłam na piętro, zastukałam do drzwi pokoju córki. Nie doczekałam się odpowiedzi, więc je otworzyłam. W środku panował zwykły

bałagan, na łóżku leżało tyle różnych rzeczy, że musiałam zdjąć z niego książki i ubrania, by się przekonać, iż naprawdę jej tam nie ma. Nie czułam gniewu, ogarnęło mnie czyste, niezafałszowane przerażenie. Bez wątpienia pojechała do Chapel Hill. Padał deszcz, a ona była zła i nie myślała jasno, a na dodatek nie siedziała za kierownicą od siedmiu miesięcy. Jakby tego jeszcze było mało, droga prowadziła autostradą z licznymi skomplikowanymi rozjazdami. Zagrozały jej samochody pędzące z dużą prędkością oraz kierowcy zmęczeni po całej nocy w trasie. Sam zginął na pobliskim dobrze znanym skrzyżowaniu. Jakie są szanse, że Grace dotrze do Chapel Hill żywa?

Sięgnęłam po telefon stacjonarny stojący na biurku Grace, lecz nie wybrałam numeru. Jeszcze by tylko brakowało, żeby prowadząc, odbierała telefon. Zaraz potem przypomniało mi się, że pewnie jest z tą starszą koleżanką Jenny i raczej tamta prowadzi. Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej zniknął mi sprzed oczu obraz Grace za kierownicą. Pozostało mieć nadzieję, iż przyjaciółka Jenny jest osobą odpowiedzialną i godną zaufania.

Zadzwoiłam do córki.

Niespodziewanie sygnał jej telefonu dobiegł mnie z nocnej szafki.

— O nie!

Chwyciłam komórkę. Na rozświetlonym ekraniku widniał nasz domowy numer. Pojechała bez telefonu? Przerwałam połączenie, usiadłam na łóżku.

Co się stało? Grace nigdzie się nie ruszała bez telefonu.

Przewinęłam listę kontaktów na jej komórce i zadzwoniłam do Jenny. Musiałam odczekać kilka sygnałów, zanim odebrała, więc na pewno ją obudziłam.

— Myślałam o tobie całą noc — powiedziała schrypniętym głosem. — Trzymasz się jakoś?

Najwyraźniej była dobrze zorientowana. Wiedziała o wielkiej przygodzie.

— Jenny, tu Tara.

Zapadła cisza.

— Och — usłyszałam w końcu. — Przepraszam. Dlaczego pani dzwoni z telefonu Grace?

— Potrzebny mi numer do tej twojej koleżanki, z którą teraz jest Grace — zażądałam, nie wdając się w wyjaśnienia. — Nie pamiętam jej imienia.

Jenny ponownie zamilkła.

— Nie wiem, o co chodzi — przyznała po chwili. — Grace nie ma w domu?

— Nie. Wyjechała, zanim wstałam. Przypuszczam... — Czyżbym się myliła? — Wzięła hondę i zapomniała o telefonie. Przypuszczam, że jest w drodze do Cleve'a. Powiedziała mi wczoraj, że chce tam jechać i może skorzystać z pomocy jakiejś twojej przyjaciółki, starszej dziewczyny.

Jenny milczała. Albo coś przede mną ukrywała, albo była równie zaskoczona jak ja.

— Jenny? — odezwałam się po chwili. — Czy wiesz, gdzie ona jest?

— Pogubiłam się — przyznała.

— Kim jest ta twoja starsza przyjaciółka? Helen... już wiem, Elena! — przypomniało mi się nagle. — Ma na imię Elena.

— Nie bardzo rozumiem, o co chodzi...

Zerwałam się na równe nogi.

— Jenny! — odezwałam się ostro, bo ogarniało mnie coraz większe przerażenie. — Powiedz mi, co wiesz. Sprawa jest poważna. Czy Grace pojechała do Chapel Hill?

— Nie — zaprzeczyła Jenny. — Naprawdę nie wiem, gdzie jest. Dzwoniła pani do niej?

— Powiedziałam ci, nie wzięła telefonu. Zadzwoń do Cleve'a. Jeżeli będziesz miała jakąś wiadomość od Grace albo od Eleny... masz taką koleżankę?

Znowu cisza.

— Jenny!

— Nie — przyznała.

Cholera.

— Jeśli się czegokolwiek dowiesz, natychmiast dzwoń — poleciłam i przerwałam połączenie.

Wyszukałam na liście kontaktów numer do Cleve'a. Zadzwołam, lecz rozmowa została natychmiast przerzucona na pocztę głosową.

— Witaj, mówi Tara — nagrałam. — Zadzwoń do mnie natychmiast po odsłuchaniu wiadomości, proszę. Sprawa jest poważna.

Na koniec jeszcze podyktowałam mu swój numer, żeby nie musiał go szukać.

Odłożyłam telefon, spojrzałam na zegarek. Dopiero minęła dziesiąta. Grace musiała wyjechać, zanim się obudziłam, a wstałam o siódmej. Wobec tego istniała możliwość, choć niewielka, że już dotarła do Chapel Hill.

Z okna jej sypialni widziałam, jak deszcz stuka w liście klonu rosnącego na naszym podwórzu.

Pokręciłam głową. Potrzebowałam sporego wysiłku, by ją sobie wyobrazić prowadzącą samochód przez dwie ulice. A taki kawał drogi, i to w deszczu? Nieprawdopodobne i przerażające.

Boże, błagam, niech dojedzie bezpiecznie.

Wzięłam w rękę jej komórkę i ponownie zadzwoniłam do Cleve'a.

TLR

# *Rozdział 45*

## *Grace*

### *Alexandria, Wirginia*

Znalazłam się na autostradzie o nazwie Beltway. W życiu nie widziałam naraz tylu pędzących samochodów. Czułam się jak na zatłoczonym parkingu gnającym z prędkością stu kilometrów na godzinę. Musiałam się do nich dostosować, noga na gazie mi drżała. W końcu z ogromną ulgą dostrzegłam znak wskazujący zjazd do Alexandrii. Potem GPS kazał mi kilka razy skręcić i nagle znalazłam się w centrum zatłoczonego miasteczka. Kończyła mi się benzyna, a co więcej, bardzo potrzebowałam kawy. Podjechałam na pierwszą stację, kupiłam paliwa za dwadzieścia dolarów i grzebień. Mieli tylko męskie, bardzo gęste, nie wiedziałam, czy w ogóle przeciągnę go przez włosy. Kawa okazała się letnia i zwietrzała, było mi jednak wszystko jedno, wypiłam ją od razu.

Gdy wróciłam na szosę, GPS mnie zawiadomił, że jestem zaledwie kilometr od celu. Potem pół kilometra. Sto metrów. Miałam wrażenie, że źle mnie prowadzi. Chyba Biuro do spraw Dzieci Zaginionych powinno się znajdować w jakimś okazałym biurowcu?

Przez całą drogę wyobrażałam sobie spotkanie z matką na czterdziestym czy pięćdziesiątym piętrze wieżowca. Tymczasem przy ulicy, którą jechałam, stały budynki niewysokie, przypominające raczej sklepy czy kamienice niż biurowce.

Gdy stanęłam na czerwonym świetle, mój wzrok przyciągnął baner zawieszony nad jezdnią przecznicę dalej. „Dzień Kolumba”.

O nie! O nie!

Zapomniałam, że poniedziałek był dniem świątecznym.

Czy Biuro do spraw Dzieci Zaginionych będzie czynne?

GPS obwieścił „Dotarłeś na miejsce”. Byłam pewna, że gada bzdury, lecz skoro już stałam, a nie jechałam, przyjrzałam się numeracji budynków i rzeczywiście, na jednym z nich, niedużym, żółtawym, mniej więcej pośrodku rzędu podobnych, dostrzegłam numer 237. Niemożliwe, żeby to było tutaj, ale obok drzwi znajdowała się jakaś prostokątna tabliczka. Niestety, z tej odległości nie mogłam przeczytać, co na niej napisano. Musiałam znaleźć się bliżej.

Nie umiałam parkować równolegle. Na kursie zawsze przewracałam słupki. Nie miałam szans wykonać tego manewru w ruchu ulicznym. Skreśliłam w boczną uliczkę i przejechałam jeszcze ze dwie przecznice, zanim znalazłam dwa wolne miejsca jedno za drugim. Tam udało mi się postawić samochód przy krawężniku. Gdy w końcu wyłączyłam silnik, dotarło do mnie, czego dokonałam. Jakiś czas siedziałam bez ruchu.

Przejechałam z Wilmington do Alexandrii.

I chociaż było to największe wariactwo w moim życiu, rozpierała mnie duma. Niezależnie od tego, co będzie dalej, dokonałam zdumiewającego wyczynu.

Teraz jednak czekało mnie najtrudniejsze zadanie.

Przyjrzałam się swojej twarzy w lusterku wstecznym. Wyglądałam okropnie. Próbowałam doprowadzić włosy do porządku, ale tym durnym grzebieniem się nie dało.

Błagam, niech będzie otwarte, myślałam, wysiadając z samochodu.

Wąskim chodnikiem wróciłam na główną ulicę. Szłam szybko, przez ramię miałam przewieszony plecak, a w nim teczkę z zawartością, która miała mi pomóc udowodnić prawdziwość mojej historii.

Na prostokątnej tabliczce przy drzwiach widniał napis „Biuro do spraw Dzieci Zaginionych”, przez okno dostrzegłam światło. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnęłam je i weszłam do niewielkiego pomieszczenia, gdzie ustawiono staromodne krzesła i kanapę. Parapet w oknie wykuszowym kipiał od kwiatów. Na środku pokoju stało biurko, natomiast nigdzie nie widziałam żywej duszy i nie bardzo wiedziałam, co robić.

Zaraz jednak usłyszałam jakiś nieokreślony dźwięk i w progu stanęła kobieta. Miała bardzo krótko obcięte siwe włosy, wąskie okulary w czarnych oprawkach, a w ręku trzymała seler. Na mój widok uniosła wysoko brwi.

— Aleś mnie wystraszyła! — powiedziała z uśmiechem. — W czym mogę ci pomóc?

— Przyjechałam do pani Anny Knightly.

— Ach, pani Knightly jest z córką na oddziale.

Usiadła za biurkiem.

Zakręciło mi się w głowie. Po raz pierwszy ktoś przy mnie wspominał Annę Knightly zwyczajnie, jak normalną ludzką istotę z krwi i kości. W momencie gdy zaczynała dla mnie zmieniać się w twór nierzeczywisty. Musiałam się przytrzymać biurka.

— Źle się czujesz, kochanie? — spytała kobieta. Dopiero wtedy rzeczywiście dotarły do mnie jej słowa.

Z córką. Z moją siostrą... Gdzie?

— Na jakim oddziale? — zapytałam kompletnie skołowana. — To tu nie jest Biuro do spraw Dzieci Zaginionych?

— Owszem, jest... — Ona też wydawała się zdezorientowana. — Aha! — Rozpromieniła się nagle. — Anna jest na oddziale w szpitalu dziecięcym. Czy ty może... — Spojrzała na mnie jakoś dziwnie, po



czym zerknęła na monitor komputera. — Chyba nie jesteś umówiona? Głowę bym dała, że dotarłam do wszystkich.

— Nie jestem umówiona, ale muszę się z nią zobaczyć.

— W szpitalu dziecięcym? Czyżby moja siostra była chora? — Mam informacje o zaginionym dziecku — dodałam.

— Muszę z nią o tym porozmawiać.

Nie chciałam tej obcej kobiecie mówić, kim jestem. Mogła przecież uznać, że kłamię, i na przykład wezwać policję.

— Możesz u mnie zostawić wszystkie informacje. Pani Knightly w zasadzie nie zajmuje się bezpośrednio...

— Nie, dziękuję. Muszę porozmawiać z nią, z nikim innym. Kiedy wróci?

— Wzięła wolne, chce być z córką... Napijesz się kawy? Może wody?

Wyraźnie się o mnie obawiała. Na pewno nie wyglądałam najlepiej po bezsennej nocy w drodze. Na dodatek nie umyłam zębów. Kompletnie zapomniałam o szczoteczce i paście w plecaku.

— Nie, dziękuję. — Głos mi się załamał. — Przyjechałam z daleka... Jak mogę się z nią skontaktować? Proszę mi pomóc.

Przyglądała mi się, niepewna, co zrobić.

— Daj mi numer komórki — zdecydowała w końcu. — Będę mogła...

— Nie mam komórki. — Splotłam dłonie i zacisnęłam palce. — Zostawiłam w domu. Proszę mi powiedzieć, jak trafić do szpitala.

Natychmiast się zorientowałam, że popełniłam błąd.

Kobieta pokręciła głową.

— Widzisz... Pani Knightly jest zajęta ważnymi sprawami osobistymi i nie wolno jej przeszkadzać.

Ja jestem jej ważną sprawą osobistą, pomyślałam, i

— Tak, tak, rozumiem — powiedziałam. — Nie będę przeszkadzała.

Kobieta podała mi niewielki notatnik.

— Zapisz swoje nazwisko i numer telefonu.

— Nie wzięłam telefonu.

Westchnęła z rezygnacją.

— Powiedz mi, o co chodzi, kochanie. Wtedy będę mogła ci pomóc.

— To sprawa prywatna.

Obdarzyła mnie uśmiechem świadczącym wyraźnie, że zaczynam ją irytować.

— Wobec tego... — Odchyliła się na oparcie. — Będę tutaj do piątej. Na pewno do tej pory uda mi się z nią porozmawiać. Zapytam, jak możesz się z nią skontaktować. Zajrzyj tu późnym popołudniem, powiem ci, czego się dowiedziałam. Gdybyś jednak mogła zdradzić mi coś więcej, na pewno poszłoby nam sprawniej.

Przyszło mi do głowy, że mogę kupić telefon prepaido— wy. Nigdy z takiego nie korzystałam, ale w końcu po coś przecież istniały. Przynajmniej miałabym numer, który ta kobieta mogłaby podać Annie Knightly.

— Może mi pani dać numer telefonu do siebie?

— Oczywiście.

Podowała mi jedną z wizytówek leżących na tacy na biurku. Schowałam kartonik do kieszeni.

— Dziękuję.

Ruszyłam do wyjścia.

— Przyjdiesz później?

Pytanie dogoniło mnie w progu. Nie zawróciłam, nie odpowiedziałam, bo już obmyślałam następny ruch.

W drodze do samochodu mijałam bank, więc skorzystałam z okazji i wzięłam pieniądze z bankomatu. Miałam przy sobie czterdzieści dolarów, a potrzebowałam więcej, na benzynę, no i może na telefon, gdybym jakiś znalazła. Myślałam jednak głównie o czymś innym. Wróciwszy do samochodu, włączyłam GPS i kazałam systemowi wyszukać szpitale. Szybko znalazł kilka, lecz tylko jeden dziecięcy, a mianowicie Narodowe Centrum Medycyny Dziecięcej. Czy to tam? Podobało mi się określenie „Centrum Medycyny”. Znacznie lepsze niż słowo „szpital”.

Znajdowało się w Waszyngtonie. Trzydzieści dwie minuty drogi. Jeszcze wczoraj trzydzieści dwie minuty prowadzenia wydałyby mi się niemożliwością. Dzisiaj mogły się równać z zaczerpnięciem kolejnego oddechu.

Zaraz. Mimo wszystko kobieta w biurze użyła słowa „szpital”. Nie sposób temu zaprzeczyć. Natychmiast zobaczyłam poranioną twarz ojca. Zamachałam dłonią przed oczami, jakbym w ten sposób mogła odgonić wspomnienie.

Pojadę. Wejdę do holu i tam kogoś poproszę o przekazanie wiadomości. Przebyłam sześćset czternaście kilometrów, sama, po bezsennej nocy. Jakoś zniosę ten szpitalny hol. Muszę.

# *Rozdział 46*

*Emerson*

*Wilmington, Karolina Północna*

W kafejce panował tłok. Mimo święta chyba połowa mieszkańców Wilmington postanowiła tego ranka zajrzeć do Hot! Zabrakło nam croissantów z twarogiem i malinami, dzięki którym zdobywałam coraz większą sławę, Sandra i kelnerka z trudem nadażały z obsługą. Nic dziwnego, że zignorowałam dzwonienie komórki. Nie miałam czasu nawet zerknąć na wyświetlacz. Wiedziałam, że Jenny jest w domu, wiadomości miałam zamiar sprawdzić w czasie przerwy. Po chwili jednak zadzwonił telefon kawiarniany. Tego zignorować nie mogłam. Policjanci często zamawiali lunch z samego rana i chociaż nie spodziewałam się wielu takich telefonów w Dzień Kolumba, odebrać musiałam.

Chwyciłam słuchawkę aparatu stojącego przy kasie.

— Hot!

— Mamo! — krzyknęła mi Jenny prosto w ucho schrypniętym głosem, pełnym przerażenia. — Muszę ci coś powiedzieć.

— Co? — Wyszłam ze słuchawką do kuchni.

— Błagam, nie zabij mnie! — Zabrzmiało to, jakby podpaliła dom.  
— Grace chyba pojechała szukać pani Anny Knightly.

Dobre sobie. Skąd niby Grace... Skąd Jenny wiedziała o istnieniu Anny Knightly?

— Nie rozumiem.

— Jej mama dzwoniła. Powiedziała, że Grace zniknęła. Wzięła samochód. Jej mama myśli, że Grace pojechała do Chapel Hill, ale mnie się wydaje...

— Grace przecież nie prowadzi. — Kompletnie się pogubiłam.

Musiałam znaleźć w jej teorii jakieś dziury. Obok mnie przemknęła Sandra z tacą kanapek, usunęłam się z drogi, przeszłam pod tylne wyjście.

— Zadzwoiłam do Cleve'a i on mówi, że rozmawiał z Grace wczoraj w nocy. Podobno miała zamiar jechać do Wirginii, szukać swojej matki.

— Zaraz! — przerwałam potok słów córki. — A skąd ona właściwie... Skąd ty wiesz o Annie Knightly?

Nie odpowiedziała od razu.

— Słyszałam was. — Z trudem powstrzymywała płacz. — Nie chciałam podsłuchiwać, ale akurat zeszałam po sok i was usłyszałam. A potem znalazłam list Noelle. Poszłam do Grace i wszystko jej powiedziałam.

Przypomniał mi się trzask na schodach. Boże jedyny.

Trudno sobie wyobrazić, co przeżyła Grace. Oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak czyta list Noelle.

— Powinnaś była z tym przyjść do mnie, a nie lecieć do Grace!

— Przepraszam... Ale Grace miała prawo wiedzieć.

— Może i miała, tylko że jeszcze nie powiedzieliśmy Tarze.

— Nie pomyślałam, że ucieknie z domu. Cleve myślał, że ją przekonał, żeby nie robiła nic głupiego, ale ona wyjechała z samego rana i nie ma jej w Chapel Hill. W każdym razie nie było, kiedy rozmawiałam z Cleve'em. Dlatego myślę, że pojechała szukać tej kobiety.

W jej głosie znowu odezwały się piskliwe tony.

— Kończymy rozmowę — oznajmiłam. — Jadę do Tary, muszę jej powiedzieć, co zaszło.

— Grace okropnie źle prowadzi — jęknęła Jenny. — Gdybym wiedziała, że zrobi coś takiego, nigdy bym...

— Wiem. Jadę do Tary.

Odłożyłam słuchawkę, w biegu przeprosiłam Sandrę, że zostawiam ją samą, i obiecałam wrócić najdalej za dwie godziny. Obrzuciła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, lecz na tym poprzestała, więc pewnie wyczytała z mojej twarzy, że nie ma sensu się sprzeczać. Zanim uruchomiłam silnik, zadzwoniłam do Iana, niestety, odezwała się poczta głosowa. Pewnie grał w golfa. Krótko mówiąc, musiałam sobie poradzić sama.

Gdy dojechałam do domu Tary, na podjeździe zobaczyłam auto Jenny, ona zaś czekała na mnie tuż obok, na chodniku, w gęstej mżawce, skulona i drżąca, ciasno objęta ramionami.

A więc jednak nie będę sama.

## *Rozdział 47*

*Tara*

Usłyszawszy trzaśnięcie, podbiegłam do okna, z głupią nadzieją, że zobaczę Grace. Były to jednak Emerson i Jenny. Niemal pędem dotarły do drzwi. Zdążyłam tylko pomyśleć, że pewnie mi niosą jakieś straszne wieści. Scenariusz był zupełnie inny, jednak miałam to samo mdlące przeczucie co wtedy, gdy w drzwiach szkolnej sali stanął policjant, który miał mnie zawiadomić o śmierci Sama. W tej samej sekundzie, gdy zobaczyłam młodego człowieka w mundurze, wiedziałam, że wydarzyło się coś straszego. Takie samo uczucie miałam teraz.

Szarpnęłam drzwi i otworzyłam je na oścież.

— Co się stało?! — zawołałam.

Krew odpłynęła mi z twarzy, świat zamazał się przed oczami.

— Chyba wiemy, gdzie jest Grace — powiedziała Emerson, wchodząc na ganek.

— Z Cleve'em?

Emerson obróciła mnie za ramiona i poprowadziła korytarzem.

— Sądźmy, że nie dzieje się z nią nic złego. Usiądźmy, dobrze? Musimy ci sporo wyjaśnić.

— Nic nie rozumiem.

Pozwoliłam się zaprowadzić do pokoju.

— Jenny, rozmawiałaś z nią? Co to znaczy „sądzić”? Gdzie ona jest?

— Wiemy na pewno, że nic jej nie jest — poprawiła się Emerson.

Podprowadziła mnie do sofy. Opadłam na miękkie poduszki. One usiadły na kanapie.

— Czy Grace jest z Cleve'em? — zapytałam, patrząc na Jenny.

Córka przyjaciółki potrząsnęła głową, po czym spuściła wzrok, jakby z jakiegoś powodu nie mogła znieść mojego spojrzenia. Wcale mi się to nie spodobało.

— Posłuchaj spokojnie — zaczęła Emerson. — Parę dni temu odkryłam tożsamość dziecka, które Noelle ukradła ze szpitala. Moim zdaniem to była Grace.

Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

— Niemożliwe — odezwałam się wreszcie. — Przecież Grace nigdy nie była w szpitalu. Doskonale o tym wiesz.

Zerknęłam na Jenny. W dalszym ciągu unikała mojego spojrzenia, jednak najwyraźniej znała historię Noelle i porwanego dziecka.

Emerson pochyliła się ku mnie.

— Posłuchaj, kochanie. Dowiedziałam się, kiedy zniknęło dziecko Anny Knightly. Zdarzyło się to prawie w tym samym czasie, gdy ty urodziłaś Grace. W ostatnich dniach sierpnia 1994.

— Skądże. Dziecko zaginęło w 1998, gdy Noelle porzuciła zawód położnej.

— To było w 1994. Gdy pomagała ci urodzić Grace.

— Ależ Grace urodziła się pierwszego września.



Zdawałam sobie sprawę, że uparcie uciekam od sedna tej rozmowy.

— Wiem, że trudno to wszystko pojąć — przyznała Emerson. — Wiem, że jeszcze trudniej uwierzyć. Moim zdaniem Noelle upuściła jednak właśnie twoje dziecko. A potem poszła do szpitala, zabrała stamtąd córkę Anny Knightly i podłożyła u ciebie w domu jako... twoje dziecko. Twoją Grace.

— Bez sensu.

— W tamtym czasie nie odbierała żadnego innego poro du. W rejestrze nie brakuje kartek. Naprawdę są powody, by sądzić, że chodzi o Grace. Taro, bardzo mi przykro.

Przeczesałam włosy palcami. Musiałam pomyśleć. Pamiętałam noc narodzin Grace. Świadomość, że coś idzie źle. Momenty, gdy Noelle zastanawiała się nad wezwaniem pogotowia, zanim jej się udało obrócić mi Grace w brzuchu. Pamiętałam długą ciemną noc i sen podobny do śmierci, w jaki zapadłam nad ranem.

— Miałam ją na rękach — powiedziałam w zamyśleniu. — Przystawiałam do piersi zaraz po urodzeniu.

Taka była ciepła, właściwie gorąca. Cudowna. Nigdy tego nie zapomnę. Potem ten sen bez marzeń... A Sam? Czy on także usnął? Czyżbyśmy spali dość długo? Noelle, upuściwszy dziecko, zdążyła do szpitala i z powrotem z porwaną dziewczynką? Cała koncepcja od razu wydała mi się naciągana, a teraz po stokroć bardziej nieprawdopodobna.

— Twoim zdaniem... moje dziecko nie żyje?

Emerson usiadła obok mnie, objęła mnie za ramiona.

— Nie sposób wyrazić, jak mi przykro.

— Od kogo Jenny się dowiedziała?

Córka przyjaciółki w dalszym ciągu na mnie nie patrzyła. Dzisiaj, taka cicha, przypominała mi Grace.

Emerson się zawahała.

— Wczoraj rozmawiałam o tym z Ianem. Jenny nas usłyszała.

— Jemu powiedziałaś? A mnie nie? — Odsunęłam się od niej, nagle rozzłoszczona. — Dowiaduję się ostatnia? Od kiedy ty wiesz?

— Połączyłam fakty dzień przed przyjęciem dla Suzanne.

— I nic mi nie powiedziałaś?! — Miałam ochotę ją uderzyć. Zalała mnie wściekłość. Wstałam. — Dlaczego Ianowi powiedziałaś, a mnie nie? Jak śmiałaś...?

— Nie wiedziałam... — Emerson pokręciła głową. — Bałam się, że cię zranię.

Nie mieściło mi się to wszystko w głowie. Po prostu nie mieściło mi się w głowie.

— Gdzie jest Grace? — zapytałam.

Nie potrafiłam się w tej chwili skupić na utraconym dziecku. Na tym, które właściwie dla mnie nie istniało. Mogłam myśleć tylko o córce, którą kochałam całym sercem.

— Gdzie jest Grace? — powtórzyłam. — Dlaczego...

— Wczoraj wieczorem zadzwoniła do Cleve'a — odezwała się Jenny ochryple. — Była strasznie zdenerwowana. Powiedziała mu, że pojedzie do Wirginii, do tej kobiety. Tłumaczył jej, żeby nie jechała...

— Nie miałaś prawa jej o niczym mówić! — krzyknęłam.

— Tak, wiem.

Oczy miała czerwone, zsunęła się niżej na kanapie.

— Taro, proszę cię — odezwała się Emerson. — Ona już zrozumiała, że źle zrobiła.

— Skąd Grace miałyby wiedzieć, gdzie szukać Anny Knightly?

Krażyłam między sofą a oknem.

— Myślę, że pojechała do Biura do spraw Dzieci Zaginionych — powiedziała Jenny. — W Alexandrii.

W Alexandrii!

Sama, w deszczu, taki kawał drogi! Kimże ona jest? Jaka siła pchała moją córkę w taką podróż? Jaka potrzeba, której ja nie zaspokajałam?

— Dobry Boże — szepnęłam. — Córeńko...

Poprzedniego wieczoru była niezwykle cicha. Czy już wtedy wiedziała?

— Na pewno jest przerażona i czuje się zagubiona — dodałam.

A jak się musiała przestraszyć, gdy sobie uświadomiła, że telefon został w domu. Aż trudno to sobie wyobrazić.

— Czuję się strasznie — wyznała Emerson.

— W tej chwili akurat mało mnie obchodzi twoje samopoczucie — syknęłam. — Teraz trzeba znaleźć Grace. Nie miałaś prawa ukrywać przede mną tego, co wiedziałaś. Naraziłaś moją córkę na niebezpieczeństwo. — Odwróciłam się od nich. — Jestem na was wściekła. Jeżeli Grace stanie się coś złego, nigdy wam nie wybaczę.

Wyszłam do kuchni. Tam był telefon.

— Do kogo zadzwonić? — spytałam sama siebie. — Jak ją znaleźć?

# *Rozdział 48*

## *Grace*

### *Waszyngton*

Po raz drugi podjechałam na stację benzynową, kupiłam niedrogi telefon prepaidowy i postanowiłam, że jeśli nie zdołam odszukać Anny Knightly w Narodowym Centrum Medycyny Dziecięcej w ciągu godziny, zadzwonię do kobiety z Biura do spraw Dzieci Zaginionych i podam jej swój numer. Tak czy inaczej, dzisiaj znajdę rodzoną matkę.

W końcu zobaczyłam znak kierujący do Centrum Medycyny. Wjechałam do gigantycznego podziemnego garażu. Tam było jeszcze gorzej niż na autostradzie. Jedne samochody przejeżdżały mi tuż przed maską, inne trąbiły na mnie z tyłu — czysty koszmar. Jakoś jednak udało mi się zaparkować.

W wejściu do szpitala widniała informacja, że należy się wylegitymować jakimś dowodem tożsamości, więc przygotowałam prawo jazdy. Strażnik spojrzął na nie i nawet nie przenosząc wzroku na mnie, zapytał:

— Gdzie twój opiekun?

Ręce mi drżały, pewnie wyglądałam na winną.

— Mama i siostra są w środku — powiedziałam.

— Ej, ty! — zawołał strażnik do jakiegoś chłopaka gdzieś za moimi plecami.

Bardziej był zainteresowany nim niż mną, więc kiwnął przyzwalająco. Przeszłam szybko. Poszcęściło mi się.

Hol był przestronny i kolorowy. Gdybym jako dziecko przyszła tu do lekarza, czułabym się swobodnie. Wcale nie przywodził na myśl szpitala, a już na pewno nie przypominał izby pogotowia ratunkowego, do której zabrali mojego tatę. Teraz jednak już nie byłam dzieckiem i nie przyszedłam tu do lekarza. I... co właściwie tutaj robię? Otaczali mnie rodzice z dziećmi, lekarze i pielęgniarki, a wszyscy oprócz mnie sprawiali wrażenie zajętych swoimi sprawami i doskonale zorientowanych.

Pod jedną ze ścian dostrzegłam punkt informacyjny. Za ladą siedziała Afroamerykanka o siwych włosach i w okularach w szarych oprawkach na nosie. Przywitała mnie uśmiechem. Robiłam, co mogłam, by wyglądać na pełnoletnią. Bałam się, że zostanę wyrzucona.

— Dzień dobry — powiedziałam. — Mam ważną wiadomość dla matki jednej z pacjentek. Czy mogę liczyć na to, że ktoś jej przekaże karteczkę?

— Nazwisko pacjentki?

Mimo uśmiechu wydawała się rozdrażniona.

— Haley... — Czy Haley miała takie samo nazwisko jak matka? — Jej matka nazywa się Anna Knightly. K— n— i...

— Znam to nazwisko. Jej córka jest we wschodnim skrzydle. Pokój numer czterysta szesnaście. Proszę dać mi tę karteczkę, poproszę wolontariusza o zanieśenie w wolniejszej chwili. To może potrwać. Brakuje nam ludzi.

Wyciągnęła rękę po karteczkę, której jeszcze nie miałam.

— Muszę napisać — powiedziałam. — Zaraz wrócę.

Znalazłam jakąś ulotkę, zachęcającą do udziału w biegu na rzecz dzieci. Po drugiej stronie była pusta, więc usiadłam z nią na jednej z ławek i wyjęłam z plecaka długopis.

Co dalej?

„Szanowna Pani”, napisałam. „Nazywam się Grace Vin— cent. Bardzo proszę, niech Pani zejdzie do holu. Muszę z Panią porozmawiać. Sprawa jest bardzo ważna. Czekam przy punkcie informacyjnym. Mam szesnaście lat, długie włosy”.

Złożyłam ulotkę i zaniósłam do kobiety w informacji. Zachowywała się, jakby mnie pierwszy raz widziała na oczy.

— Wiadomość dla matki pacjentki z pokoju czterysta szesnaście we wschodnim skrzydle — powiedziałam.

Wzięła ode mnie kartkę.

— To może potrwać — powtórzyła.

Wróciłam na ławkę. Po jakichś dwudziestu minutach podszedł do stanowiska informacji wolontariusz, starszy mężczyzna, wziął wazon z kwiatami i poszedł w stronę windy. Dyżurna informatorka nawet nie podała mu kartki.

Wszędzie dookoła widziałam różne tabliczki. Na jednej z nich zobaczyłam napis: skrzydło wschodnie, a poniżej strzałkę wskazującą odpowiedni kierunek.

Nie bądź tchórzem, powiedziałam sobie.

Wstałam i poszłam do wind. Czekałam razem z kilkoma lekarzami, pielęgniarką oraz kobietą z chłopczykiem, który przysypiał oparty o jej nogę. Przyjechała winda, weszliśmy wszyscy. Pielęgniarka wcisnęła czwórkę. Gdy kabina ruszyła, zakręciło mi się w głowie. Nie jadłam od wieków.

Na piętrze wysiadłyśmy obie. Ona poszła korytarzem, ja zostałam, niezdolna do ruchu. Pod nogami miałam wykładzinę w wielkie wzory geometryczne, od patrzenia na nią nasiliły mi się zawroty głowy. Kolejna tabliczka na ścianie wskazywała drogę do pokoi szpitalnych. Pokój numer czterysta szesnaście znajdował się po mojej prawej stronie, lecz nie mogłam iść. W holu nie czuć było szpitalnego zapachu, tutaj natomiast uderzał w nozdrza.

Nie myśl o tacie. Po prostu nie myśl.

— Mogę w czymś pomóc? — spytała mnie jakaś kobieta.

Chyba pielęgniarka. Miała stetoskop na szyi i fartuch z materiału zadrukowanego w psy.

— Zgubiłaś się?

— Nie, dziękuję. — Udało mi się uśmiechnąć. — Wszystko w porządku.

Ruszyłam przed siebie, udając, że doskonale wiem, dokąd idę i po co.

Dotarłam do właściwego pokoju i stanęłam przy otwartych drzwiach. Serce waliło mi tak mocno, że lada moment mogłam sama skończyć na pogotowiu. Szli w moją stronę jacyś ludzie, wiedziałam, że nie mogę stać na korytarzu wiecznie. Zebrałam się na odwagę i zająrzałam, bardzo ostrożnie, sprawdzając, kto jest w środku.

Do tej pory miałam do czynienia tylko z imionami. Nie z prawdziwymi ludźmi. Nagle stanęłam twarzą w twarz z rzeczywistością. Na wielkim łóżku siedziała prawie łyśa dziewczynka, a obok niej, na krześle, kobieta. Patrzyły na coś na kolanach małej. Chyba jakieś czasopi-smo.

Kobieta się zaśmiała, dziewczynka uśmiechnęła. Wystarczyła ta krótka chwila, żebym wyczuła łączącą je więź. Stanowiły team, do któ-

regu nie należałam. Nagle zyskałam pewność, że nie ma tam dla mnie miejsca. Ani tam, ani gdzie indziej.

Kobieta podniosła wzrok, nasze spojrzenia się spotkały. Na jedną sekundę. Cofnęłam się pośpiesznie, odsunęłam od drzwi, oparłam o ścianę. Serce biło mi w takim tempie, że słyszałam je w uszach nie jako uderzenia, lecz jeden ciągły warkot. Nie wiedziałam, co robić.

Kątem oka zobaczyłam, że kobieta wyszła na korytarz.

— Cześć — powiedziała.

Odsunęłam się o krok od ściany i odwróciłam do niej twarzą. Miała prześliczny uśmiech.

— Cześć — odpowiedziałam.

— Jesteś przyjaciółką Haley z oddziału?

Wyglądała na zdziwioną.

— Jestem pani córką.

Uśmiech spełził jej z twarzy. Odsunęła się ode mnie o krok.

— Nie rozumiem.

— Właśnie się dowiedziałam. Mieszkam w Wilmington, w Karolinie Północnej. Znalazłam list... Moja przyjaciółka znalazła list, który położyła mojej mamy do pani napisała, tylko że nie wysłała. — Zdjęłam plecak z ramienia, chciałam z niego wyciągnąć teczkę, ale ręce mi się tak trzęsły, że nie mogłam jej chwycić. W końcu się poddałam. — Ona... ta położna... Przepraszała, że ukradła pani dziecko w szpitalu. Tej nocy, kiedy ja się urodziłam.

Nie rozumiała mnie i wcale jej za to nie winiłam. Nie odezwała się słowem, tylko między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Oddychała ciężko i szybko, przestraszyłam się, że zemdleje.



Oblizalam wargi i mowilam dalej:

— Upuscila dziecko mojej matki... to znaczy, tej mojej drugiej matki, i ono sie zabilo.

Czulam ucisk w piersiach. Za duzo bylo tego wszystkiego. Nagle rozpaczliwie zatęsknilam za mamą. Chcialam, zeby mnie przytulila. Ta mama, która mnie znala, a nie stojaca przede mną obca kobieta o twarzy pozbawionej uśmiechu, o oczach, które mówiły mi, że kłamię. Cały wyjazd był błędem. Impulsywnym, szalonym błędem. Szpitalne zapachy natarły na mnie jak fale oceanu, wiedziałam, że zaraz stracę przytomność. Oparłam się o ścianę. Tak daleko miałam do domu i do mamy. Wydało mi się, że dzieli nas pół świata.

— Czy... czy ty to wszystko wymyśliłaś? — spytała obca. — Czy to jakiś okrutny żart?

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Gardło miałam suche jak wiór, w życiu nie czulałam się taka samotna i opuszczona.

Pokręciłam głową.

Kobieta wzięła mnie pod ramię.

— Chodź ze mną.

# *Rozdział 49*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

Stałyśmy w kuchni. Emerson szukała w laptopie numeru Biura do spraw Dzieci Zaginionych, ja trzymałam w ręku telefon, gotowa wstukiwać cyfry. Jenny tkwiła przy wyspie, przygryzała wargi. Miałam ogromną ochotę wyzwać je od najgorszych, rozpętać piekło i wyrzucić obie ze swojego domu, ale potrzebowałam ich pomocy, żeby odszukać Grace. Nie patrzyłam na żadną. Musiałam się skoncentrować na opamowaniu gniewu.

— Jest numer — powiedziała Emerson. — To gorąca linia, nie telefon do biura.

Przedyktowała mi go, a ja szybko uzyskałam połączenie. Mężczyźnie na drugim końcu linii wytłumaczyłam, że chcę się dodzwonić do siedziby w Alexandrii. Bardzo uważałam na każde słowo, co było tym trudniejsze, że Emerson ciągle mi podpowiadała.

— Zamknij się — nie wytrzymałam w końcu, po czym przeprosiłam swojego rozmówcę i mimo wszystko uzyskałam od niego właściwy numer. Niestety, tam odebrała sekretarka automatyczna.

— Muszę porozmawiać z panią Anną Knightly — oznajmiłam. — Proszę, by ona... lub ktoś inny jak najszybciej się ze mną skontaktował. Sprawa jest niezwykle pilna.

Zostawiłam numer komórki i telefonu domowego.

Emerson po raz kolejny usiłowała się dodzwonić do Iana, lecz było jasne, że nic z tego nie wyjdzie, skoro grał w golfa.

— Może zawiadomić policję? — zastanowiła się głośno, zostawiwszy Ianowi kolejną informację. — Mogliby poszukać samochodu Grace. Albo wysłać kogoś do Biura do spraw Dzieci Zaginionych, żeby tam na nią poczekał.

— Ja tam pojedę — oznajmiłam.

— Nawet nie wiesz, gdzie to jest — sprzeciwiła się Emerson. — Lepiej zostań tutaj.

— Jadę.

Chwyciłam torebkę i ruszyłam do garażu.

— Ja poprowadzę. Ty jesteś cała w nerwach.

Obróciłam się z furją.

— Nie chcę cię widzieć.

— Będiesz mnie potrzebowała. A Grace będzie potrzebowała Jenny. Jedziemy z tobą obie.

Można by powiedzieć, że nie jechałyśmy, lecz frunęłyśmy. Tkwiłam na miejscu pasażera sztywna i spięta, ściskając w dłoniach telefon, tak wściekła i przerażona, że mi się trzęsły i ręce, i nogi. Jenny na tylnym siedzeniu bez przerwy przeproszała. Emerson też. Ja ich jednak nie słuchałam i pierwsze dwie godziny w ogóle się nie odzywałam, poza jednym wyjątkiem, gdy zostawiłam Ianowi wiadomość, gdzie jesteśmy i co się dzieje. Emerson usiłowała mnie nakłonić do rozmowy, ja jednak mogłam wyłącznie myśleć o Grace, która z pewnością czuła się samotna, opuszczona, niespokojna i przestraszona. Wiedziałam, dokładnie wiedziałam, jak się czuje. Po raz pierwszy od dawna, odkąd była małą dziewczynką, wiedziałam to z absolutną pewnością, chociaż dzieliła nas ogromna odległość. Po raz pierwszy od bardzo długiego

czasu połączyła nas niewidoczna więź. W naszych żyłach płynęła ta sama krew. Nasze serca biły w jednym rytmie. Nie obchodziły mnie testy DNA. Grace była moją córką.

Nie chciałam myśleć o Annie Knightly. Gdy wcześniej starałam się dociec, kto ma jej dziecko, serdecznie tej kobiecie współczułam. Była nieznajoma. Zaledwie imię z listu. Zastanawiałam się, jak bym się czuła na jej miejscu. Teraz już wiedziałam, z doświadczenia. Anna Knightly miała drugą córkę. Będzie musiała jej wystarczyć.

Bardzo żałowałam, że Grace nie ma z nami, teraz, w tej chwili. Przytulałabym ją i zapewniała, że choć nie potrafiłam być dobrą matką, bardzo ją kocham i zrobię dla niej wszystko. Czy mnie chciała, czy nie, przyciskałabym ją z taką siłą, że nikt by nas nie rozdzielił. Czasami trudno wyrazić, jak bardzo się kocha. Padają słowa, lecz nie oddają głębi uczuć. Nie sposób przytulić dość mocno. Chciałam zyskać szansę, by przynajmniej spróbować.

— Ktoś potrzebuje chwili przerwy? — zapytała Emerson pod Richmond, gdy ruch nieco zmałał.

— Nie — odpowiedziałam za nas obie.

Nic mnie nie obchodziło, czy Jenny musiała zrobić sobie przerwę. Jeśli o mnie chodziło, mogła pęknąć.

— Jedź — nakazałam.

Wzbierały we mnie dwa przeciwstawne uczucia. Nienawiść do Noelle, przelewająca się na Emerson i Jenny, choć wiedziałam, że takie powiązanie jest całkowicie irracjonalne, oraz miłość do córki.

— Och, Grace — powiedziałam na głos bezwiednie.

Emerson pogładziła mnie po ręce.

— Nic jej nie będzie — powiedziała. — Nic złego się nie stanie.

Odwrociłam od niej twarz.

— To moja wina — odezwała się Jenny z tylnego siedzenia.

Głos miała drżący od łez. Zastanowiłam się odruchowo, jak długo płacze.

Miałam prawo obwiniać wiele osób. Emerson i Iana, bo zataili przede mną prawdę. Jenny za bezmyślne przekazanie Grace informacji. Siebie za to, że byłam złą matką. A byłam, skoro nie zwróciła się do mnie z szokującymi wiadomościami. I Mattie Cafferty, przez którą straciłam męża. Przez nią musiałam radzić sobie sama. Oraz, oczywiście, Noelle, kryminalistkę, która popełniła czyn niewybaczalny. Z drugiej strony... gdyby nie popełniła przestępstwa, nie miałabym Grace.

Mojej kochanej Grace.

Telefon zadzwonił, podniosłam go do ucha.

— Tara Vincent — wyrzuciłam z siebie.

— Nazywam się Elaine Meyers, pracuję w Biurze do spraw Dzieci Zaginionych, prosiła pani o telefon.

— Tak! Dziękuję bardzo. — Przycisnęłam dłoń do policzka. — Sprawa jest dość złożona... Mówiąc w skrócie, moja szesnastoletnia córka prawdopodobnie trafi do państwa w poszukiwaniu Anny Knightly, a ja chciałabym...

— Śliczna, wysoka, z długimi włosami?

— Tak. Jest tam może?

— Już wyszła. Wyjaśniłam jej, że pani Knightly nie ma w biurze. Była wyraźnie rozstrojona, powiedziała, że ma informacje na temat zaginionego dziecka.

— Gdzie jej teraz szukać?

— Tego nie wiem. Nie chciała zostawić nazwiska, powiedziała, że nie ma telefonu. Zaniepokoiła mnie.

— Czy możliwe, że jest gdzieś w pobliżu? Na przykład przed siedzibą biura?

— Nie. Powiedziałam jej, że Anna jest w szpitalu dziecięcym z córką i nie wróci...

— Jak to: z córką?

Poczułam na sobie wzrok Emerson.

— Jej córka jest poważnie chora, Anna większość czasu spędza z nią w szpitalu.

— Czy może... Czy moja córka... Czy wie, że pani Knightly jest w szpitalu?

— Wspomniałam o tym. Nie przypuszczam jednak...

— Gdzie jest ten szpital? W Waszyngtonie, prawda?

— Na Michigan Avenue, jednak...

Jenny zadziałała błyskawicznie. Zanim się zorientowałam, wsunęła między przednie fotele rękę z iPhone'em, z adresem szpitala dziecięcego na ekranie.

— Już mam — powiedziałam do swojej rozmówczynie.

— Proszę dać mi znać, gdyby moja córka się odezwała.

— Przerwałam połączenie i odwróciłam się do Jenny. — Możesz nas pokierować?

— Tak.

W zamyśleniu postukałam aparatem w usta.

— Do szpitala nie pojedzie — powiedziałam. — Od czasu wypadku nie wejdzie do szpitala za nic w świecie.

— Zawiadomić policję? — spytała Emerson.

— Jeszcze nie — zdecydowałam. — Póki nie wyczerpiemy wszystkich innych możliwości.

Nie chciałam, by między mną a moją córką pojawiła się policja. W ogóle nikogo nie chciałam między nami.

TLR

# *Rozdział 50*

*Anna*

*Waszyngton*

Marzyłam o tej chwili od lat, a to, co się właśnie działo, w niczym nie przypominało wypieszczonych marzeń. Wyobrażałam sobie, że moją uwagę przyciągnie szczególna dziewczynka. Czasami było to dziecko dwu— czy trzyletnie, kiedy indziej miało dziewięć, może dziesięć lat. Niekiedy, jak ta dziewczyna tutaj, szesnaście. Wiek doskonale zgodny z rzeczywistością. Łączył te sny jeden element, którego zabrakło teraz: była to natychmiastowa i całkowita pewność, że mam rzeczywiście do czynienia z córką. Ze znalazłam Lily. Dziecko, które nosiłam pod sercem. Siedząc w niewielkiej poczekalni z Grace, która dla mnie była znacznie bardziej Grace niż Lily, słuchałam jej wyjaśnień. Mówiła tak cicho, że musiałam się ku niej pochylić. Przyglądałam się ślicznej twarzyczce w kształcie serca.

Pokazała mi list położnej. Wyjęła go z plecaka rozdygotanymi rękami. Opowiedziała mi o jej samobójstwie.

Przeczytałam list, lecz ciągle nie dowierzałam. Miałam nieodparte wrażenie, że jest w tym wszystkim jakieś drugie dno. Szukając dawcy szpiku, zaistniałyśmy w mediach. Może zbyt otwarcie mówiliśmy z Bryanem o zniknięciu Lily. Może przesadziliśmy ze szczerością, mając nadzieję na wzbudzenie współczucia, przyciągnięcie uwagi i zyskanie pomocy dla Haley. Pozwoliliśmy, by media nagłośniły naszą sprawę, by pisały o Lily i naszej gehennie, by o niej mówiły, by ją upiększały. I właśnie dlatego ktoś sfabrykował list, pojawiła się dziewczyna z fałszywą historyjką, by mi namieszać w głowie. Tylko po co? Czyżby ktoś sądził, że mam pieniądze? Wobec tego popełnił błąd.



Gdzie to natychmiastowe, spontaniczne matczyne uczucie, o którym śniłam? Ta dziewczyna w niczym mnie nie przypominała. Ani mnie, ani Haley czy Bryana. Miała duże piwne oczy, jednak niewłaściwego kształtu.

Jak śmiesz dzielić to dziecko na części, skarciłam się w myślach.

Czułam, że się ode mnie odsuwa, zamyka się w sobie, jakby wyraźnie odbierała moją rezerwę.

— Kiedy się urodziłaś? — spytałam, zdecydowana podnieść ją na duchu.

— Pierwszego września 1994.

— Tak?

Sięgnęła do plecaka, ręce nadal trzęsły się jej niemiłosiernie. Wyjęła prawo jazdy. Podała mi je. Spojrzałam na datę urodzenia. 1 września 1994. Pasowało. Aż za dobrze. Może dokument został sfalszowany? Nie potrafiłam tego stwierdzić.

Podniosłam wzrok na dziewczynę. Bałam się obudzić w sobie nadzieję. Bardzo się bałam. Poznałam już gorycz rozczarowania. Może to rzeczywiście Lily, ale ja nie myślałam o tym, żeby jak najszybciej zrobić testy DNA, tylko o jej szpiku kostnym. Ta reakcja mnie przeraziła, jednak nie miałam wpływu na swoje odczucia. Nie byłam gotowa widzieć w niej córki. Postrzegałam ją raczej jako towar, powiedzmy: szansę — na ocalenie życia Haley, która na pewno była moim dzieckiem.

— Czy twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś? — spytałam.

Jeżeli rzeczywiście była tym, za kogo się podawała,

ktoś powinien się o nią martwić.

— Mój tata nie żyje — powiedziała. — A mama... to znaczy, ona myśli, że jest moją mamą... nie wie, że tu przyjechałam. Jeszcze o niczym nie wie. Prawdę odkryła jej przyjaciółka i jeszcze z nią nie rozmawiała.

Historia robiła się tak skomplikowana, że zaczynałam w nią wierzyć. Nikt by czegoś takiego nie wymyślił.

— Według twojej mamy, dokąd się wybrałaś?

— Chyba... Pewnie myśli, że pojechałam do chłopaka do Chapel Hill. Do byłego chłopaka.

— Musisz do niej zadzwonić i powiedzieć jej, gdzie jesteś — oświadczyłam.

— Tylko że ona w ogóle o niczym nie wie. — Wyglądała na przestraszoną. — Nie wie, że nie jestem jej córką.

— Mimo wszystko powinnaś jej dać znać, co się z tobą dzieje.

Oblizła wargi.

— Dobrze — powiedziała, lecz nie sięgnęła po telefon.

— Posłuchaj mnie. Sama rozumiesz, że to wszystko jest bardzo dziwne. Ja nie znam ciebie, ty nie znasz mnie... w innych okolicznościach... gdyby sytuacja wyglądała inaczej, mogłybyśmy się powoli ze sobą zaznajomić i dowiedzieć się, czy rzeczywiście jesteś moją córką. Teraz jednak... moja córka... — Omal nie powiedziałam: moja prawdziwa córka.

— Haley jest poważnie chora. Na białaczkę. Jeśli ma zyskać szansę na przeżycie, musi przejść transplantację. To jedyna możliwość. Nie każdy może zostać dawcą, do tej pory nie znaleźliśmy właściwej osoby. — Głos mi się załamał. Nadal czasami emocje brały górę. — Istnieje prawdopodobieństwo, że dawcą mogłaby zostać siostra.

Potraktowałam ją okrutnie. Niezależnie od tego, kim była ta siedząca przede mną dziewczyna, nie po to się tu zjawiała. Nie tego oczekiwała. Wszystko jedno. Chciałam, żeby została przebadana. Musiałam sprawdzić, czy przypadkiem, dziwacznym zrzędzeniem losu, nie okaże się zgodnym dawcą. I wszystko jedno, czy jest siostrą Haley, czy nie.

Grace z trudem przełknęła ślinę, wyraźnie się bała. Wiedziałam, że postępuję niewłaściwie, lecz nie potrafiłam zachować się inaczej. Haley umierała.

— Chciałabym ci przedstawić Haley. Naturalnie pod warunkiem, że obie też tego zechcecie — powiedziałam. — Potem będziesz mogła zdecydować, czy poddasz się testom sprawdzającym. To tylko zebranie wacikiem nalotu z wewnętrznej strony policzka. Nie boli wcale. Oczywiście nie musisz się na to zgodzić. No i będzie potrzebne oświadczenie twojej matki. — Odetchnęłam głęboko. Dziewczyna siedziała z rękami ciasno splecionymi na kolanach.

— Widzisz, Grace — odezwałam się — nie wiem, o co tu właściwie chodzi. Wiem jednak, że czasem coś się zdarza nie bez przyczyny, chociaż bardzo trudno ją dostrzec.

Uniosła głowę. Zorientowałam się, że moje słowa miały dla niej szczególne znaczenie.

— Ty też w to wierzysz, prawda? — spytałam cicho. — Że nic nie dzieje się bez przyczyny.

— Chcę w to wierzyć — potwierdziła, choć w jej oczach, które w ogóle nie przypominały oczu Haley, widziałam zwątpienie.

Wzruszyły mnie jej słowa, szczere i serdeczne.

— Nie sędzę, żebym była twoją matką — powiedziałam. — W twojej opowieści jest mnóstwo nieścistości. Moja córka miała włosy ciemniejsze niż twoje, takie jak Haley. Jak jej ojciec. Ty na pewno urodziłaś się z jasnymi włosami.

— Miałam brązowe. Ciemniejsze niż teraz. — Dotknęła grubych, długich pasm. — Są rozjaśnione.

— Mimo wszystko nie przypuszczam, żeby były tak ciemne jak mojej córki. Chcesz coś wypić albo zjeść?

Pokręciła głową, objęła się ramionami.

— Nie dam rady.

— Z nerwów?

— Nienawidzę szpitali.

Przekrzywiłam głowę.

— Jesteś bardzo dzielna — uznałam. — Posłuchaj, muszę zamienić dwa słowa z Haley. Zaczekaj na mnie.

Bałam się, że ją wystraszyłam, że odejdzie. Żałowałam, że nie mam długiej liny, którą mogłabym nas połączyć na czas rozmowy z córką.

— Obiecuj, że na mnie zaczekasz — poprosiłam. — I zadzwoń do mamy, powiedz jej, gdzie jesteś i co się dzieje. Ale proszę, nie odchodź. Nie musisz oddawać szpiku, proszę cię tylko...

— Zaczekam — powiedziała. — Przyjechałam z daleka. Zaczekam.

— Gdzie zniknęłaś? — spytała Haley, gdy wróciłam do pokoju.

— Widzisz... — Stałam w nogach łóżka, oparłam się o poręcz. — Zdarzyło się coś dziwnego.

— Trzęsiesz się.

Rzeczywiście. Drżałam tak mocno, że aż łóżko grzechotało. Stałam prosto, uśmiechnęłam się do córki.

— Zauważyłaś tę dziewczynę, która zaglądała do pokoju, zanim wyszłam?

Pokręciła głową.

— Przyszła tu pewna... nastolatka. Twierdzi, że jest Lily.

Haley szeroko otworzyła oczy.

— Naszą Lily?

— Tak mówi.

Otworzyła usta szeroko i tak znieruchomiała.

— Naszą Lily? — powtórzyła wreszcie, tym razem szeptem.

— Nie wiem, czy to ona, kochanie. — W dalszym ciągu nie chciałam pozwolić obu na nadzieję. — Nie wiem, co o tym sądzić... — wyznałam. — Pokazała mi list od położnej... Wiesz, kto to położna?

Haley pokręciła głową.

— Osoba, która pomaga przy porodach. Ta położna, która napisała list, najwyraźniej pomagała przy porodach domowych. Zresztą wszystko jedno, muszę się streszczać, bo zostawiłam tę dziewczynę...

— No to mów! — Zerknęła w stronę korytarza. — Tam została?

— W poczekalni.

Oby tam jeszcze była. Wiedziałam, że wystraszyłam ją niemiłosiernie.

Przekazałam Haley to, co pamiętałam z listu, a ona chłoneła moje słowa bez tchu.

— O, psiamać.

— No właśnie — zgodziłam się bez oporu. — Daty pasują, a ta dziewczyna uważa się za Lily. Przyjechała tutaj z Wilmington, bo sądzi, że jestem jej matką.

— A czy to jest ona?

— Pamiętam Lily bardzo wyraźnie — powiedziałam. — Jakby mi ktoś odcisnął w mózgu jej obraz. Nie wydaje mi się, żeby wyrosła na taką dziewczynę. Z drugiej strony...

— Chcę ją poznać!

— Na pewno? To będzie raczej osobliwe spotkanie... I naprawdę nie wiadomo, czy to rzeczywiście twoja siostra. Musisz o tym pamiętać. Nie obiecuj sobie za wiele.

— Koniecznie chcę ją poznać. Czekałam na nią całe życie.

— Ale ona może nie...

— Bardzo bym chciała, żeby to była Lily.

Przypomniało mi się, jak po raz drugi zdiagnozowano

u niej białaczkę. Powiedziała wtedy, że bardzo by chciała, żeby Lily się znalazła, bo wtedy po jej śmierci nie zostałabym sama. Wzruszyła mnie jej odwaga. I szczodrość. Mimo wszystko jednak nie chciałam, żeby rozumowała i czuła w ten sposób. Pod żadnym pozorem.

Ścisnęłam jej stopę przykrytą kocem.

— Nikt mi ciebie nigdy nie zastąpi. Doskonale o tym wiesz.

— Mamo, przyprowadź ją — poprosiła, popędzając mnie gestem.

— Idź, przyprowadź ją, zanim znowu zniknie.

# *Rozdział 51*

## *Grace*

Położyłam ręce na kolanach i siedziałam bez ruchu. Z jednej strony, umierałam ze strachu, co będzie dalej, z drugiej, bez przerwy wracałam myślami do mamy. Kiedy się zorientowała, że mnie nie ma? Kiedy zdała sobie sprawę, że nie pojechałam do Chapel Hill? Na pewno się o mnie martwiła. Zadzwoiła do Emerson, wówczas może się dowiedziała, że nie jestem jej córką. W piersiach coś mnie zakłuło na tę myśl, zacisnęłam dłonie. Wtedy na pewno poczuła się straszliwie osamotniona. Najpierw straciła męża, teraz dziecko. Pewnie wyobraziła sobie tamto, które umarło, zaczęła się zastanawiać, jakie by wyrosło. Zapewne byłoby mądre jak tata i lubiane w towarzystwie jak mama. Całkiem inne niż dziewczyna, która jej się przypadkowo trafiła.

Ale przecież... Mama mnie kochała. Zateśkniłam za nią. Chciałam z nią być w tej chwili, chciałam dać jej znać, że wszystko jest w porządku, tylko muszę coś załatwić. Sama. Mimo wszystko bałam się do niej zadzwonić. Wiedziałam, że oberwę.

Anna Knightly okazała się zimna jak ryba. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego. Oczekiwałam, że gdy usłyszy, kim jestem, oczy jej się zaświecą z radości. Potem powinna mnie uściskać i natychmiast otoczyć miłością, którą każda matka darzy swoje dziecko. A tu — nic z tych rzeczy. Zachowywała się w stosunku do mnie podejrzliwie i zależało jej wyłącznie na tej drugiej córce, na Haley. Tak to bywa, gdy się chwytą dwie sroki za ogon. Z jednej strony moja prawdziwa matka, Anna, która dawno mnie pochowała i całą swoją miłość przelała na kogoś innego, z drugiej — matka, która mnie wychowała, która teraz już pewnie miała w głowie wyłącznie żalobę po swoim utraconym dziecku.

Mama.

Dlaczego ciągle ją odpychałam?

Martwiła się o mnie. Wiedziałam to z całkowitą pewnością. W tej chwili najprawdopodobniej rwała włosy z głowy.

Wyjęłam z plecaka telefon, wystukałam jej numer.

— Halo? — odezwała się natychmiast.

Po jednym słowie poznałam, że ledwo się trzyma.

— To ja — powiedziałam.

— Grace! Grace! Wszystko w porządku? Nic ci się nie stało? Skąd dzwonisz? Zostawiłaś telefon...

— Nic mi nie jest. Dzwonię, żebyś się nie martwiła Muszę załatwić pewną sprawę, a potem...

— Jesteś w szpitalu dziecięcym?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Skąd wiedziała?

— Już do ciebie jedziemy — mówiła szybko. — Z Emerson i Jen-ny. Jesteś w szpitalu, tak? Kocham cię, córeńko, bardzo cię kocham. Strasznie się o ciebie bałam.

— Mamo, nie musisz tu przyjeżdżać. Ja teraz... — Podniosłam wzrok, w drzwiach salki zobaczyłam Annę. — Muszę kończyć — powiedziałam i zamknęłam aparat.

— Rozmawiałaś z mamą? — spytała Anna.

Pokiwałam głową. Telefon zadzwonił, ale nie odebrałam, wrzuciłam go do plecaka.

— To pewnie ona — powiedziała Anna.

Kiwnęłam głową.



Anna się do mnie uśmiechnęła. Miała naprawdę miły uśmiech.

— Haley czeka na ciebie, jeśli chcesz ją poznać.

Wstałam. Anna objęła mnie za ramiona i tak poszliśmy

korytarzem. Była dla mnie obca. Nie tyle mnie przytulała, ile prowadziła. W uszach miałam głos mamy: „Kocham cię, córeńko, bardzo cię kocham”. Uśmiechnęłam się leciutko.

— Mama powiedziała, że tu jedzie.

— O, to dobrze — ucieszyła się Anna. — Mamy parę spraw do omówienia. Daleko jest?

— W Wilmington. A nie, powiedziała, że już jedzie. Nie wiem, gdzie jest teraz. Będzie też jej przyjaciółka. I moja przyjaciółka.

Wyobraziłam je sobie wszystkie trzy razem.

Stałyśmy znowu pod drzwiami pokoju Haley. .

— Chodź.

Weszłam za nią do środka i stanęłam tuż za progiem.

— Haley, to jest Grace. Grace, to Haley.

Haley siedziała na łóżku po turecku, podłączona do różnych rurek i przewodów, otoczona stojakami, maszynami i torebkami z płynną zawartością. Miała bardzo krótkie brązowe włosy. Albo zostały specjalnie tak ogolone, albo właśnie odrastały.

— Cześć — powiedziałam.

— O rany, wyobrażałam sobie Lily zupełnie inaczej.

Miałam wrażenie, że rozczarowałam je obie. Przycisnęłam plecak do piersi.

— A ja w ogóle sobie nie wyobrażałam, że mam siostrę.

— Chciałam się uśmiechnąć, lecz najwyraźniej utraciłam tę zdolność.

— Możliwe, że nie masz siostry — przypomniała mi Anna. — Mama Grace tu przyjedzie — zwróciła się do córki.

— Jest już w drodze. Będziemy mogły sobie wiele rzeczy wyjaśnić. Zadzwoń teraz do twojego taty. — Zerknęła na mnie. — Usiądziesz? — Wskazała mi wersalkę.

Zrobiłam kilka kroków, usiadłam. Nadal przyciskałam do siebie plecak.

— Wrócę za parę minut — powiedziała Anna i zostawiła mnie samą z Haley.

Znowu odezwał się mój telefon. Wyjęłam go z plecaka i wyłączyłam dzwonek.

— Może to twoja mama — zauważyła Haley.

— Nie ma sprawy. — Nie bardzo wiedziałam, o czym z nią rozmawiać. Współczułam jej, wiedziałam, że jest dzielna, bo ja bym się załamała, gdyby mnie podłączyli do tych wszystkich urządzeń. — Jak się czujesz?

— Mama opowiedziała mi o tej położnej i w ogóle — odezwała się, jakby nie słyszała mojego pytania. Patrzyła mi prosto w oczy. — Zimno ci?

Rzeczywiście, cała się trzęsłam, ale raczej niewiele to miało wspólnego z temperaturą w pokoju.

— Nic mi nie jest.

— Zajrzyj pod to moje technolożko — zarządziła Haley. — I weź sobie koc.

Wyciągnęłam spod łóżka bladoniebieski miękki koc, zarzuciłam go na ramiona.

— Jak myślisz, naprawdę jesteś moją siostrą? — spytała Haley.

— Mama ci mówiła o liście?

Ponownie sięgnęłam do plecaka i wyjęłam list. Podałam go dziewczynce i patrzyłam, jak czyta.

— Rany Julek! — sapnęła, skończywszy. — Normalnie zwariowana sprawa. Fajnie by było, gdyby to było naprawdę. To znaczy, gdyby się okazało, że znalazłyśmy z mamą Lily. Wcale się nie spodziewałam, że tak wyskoczysz jak diabeł z pudełka.

Wzięłam od niej list, złożyłam go na pół i wsunęłam do plecaka.

— Jacy są twoi rodzice? — spytała Haley. — Ci ludzie, którzy cię wychowali? Miałaś kiedyś wrażenie, że do nich nie pasujesz?

— Cały czas — odpowiedziałam, chociaż raczej nie do końca zgodnie z prawdą. Z tatą czułam się związana, tylko z mamą nie. — To znaczy nigdy mi nie przyszło do głowy, że na przykład jestem adoptowana albo coś takiego. Tyle że nie bardzo się dogaduję z mamą.

— A z tatą?

— Nie żyje. W marcu zginął w wypadku samochodowym. Zderzenie spowodowała jedna z uczennic mamy, moja mama jest nauczycielką, bo w czasie prowadzenia pisała esemesa.

— Oż, psiamać... — zakląła Haley. — Okropne. Jakaś maszyna przy łóżku zaczęła popiskiwać. Dziewczynka wcisnęła jeden z guzików, wyłączając dźwięk. — Ja poznałam tatę właściwie dopiero teraz. To znaczy, wiedziałam, że jest i w ogóle, ale odszedł od nas, jak byłam mała. A kiedy zachorowałam teraz drugi raz, to wrócił. W sumie go lubię. To znaczy, wiesz, jestem na niego wkurzona, że go przy mnie nie było właściwie całe życie, chociaż zawsze przysyłał pieniądze i nawet

prezenty, ale mama mówi, że okazał się nieodpowiedzialny i nie dał sobie rady, kiedy zachorowałam, więc po prostu spakował walizki. Najpierw Lily zniknęła, a mama zachorowała, co już z trudem znosił, potem jeszcze na dodatek zachorowałam ja, i wtedy to już było dla niego za wiele, więc raczej nie mogę powiedzieć, żebym go szanowała. Sama rozumiesz. Mama nie miała takiego komfortu, nie zostawiła mnie. No, a teraz wrócił i stara się być dobrym tatą. Zorganizował wielką akcję poszukiwania dawcy szpiku.

— Jest też moim ojcem — powiedziałam, ciągle rozdygotana.

— Jeśli jesteś Lily, to tak.

Zastanowiłam się, jak ona to odbiera. Odzyskała ojca po latach, a tu nagle zjawia się obca dziewczyna i też chce go mieć dla siebie.

— Nie chciałam tego wszystkiego — wyjaśniłam. — Nie chcę ci odbierać rodziców ani nic w tym rodzaju. Po prostu musiałam...

— Jasne, spoko — powiedziała z uśmiechem. — Jeśli jesteś Lily, to będziesz naszą rodziną, tak? Modliłyśmy się, żeby cię znaleźć. To znaczy ja się modliłam, bo mama tak w ogóle nie bardzo się modli. Czekałam na ciebie od zawsze.

— Ile masz lat?

— Prawie trzynaście.

Nie do wiary, że była ode mnie ponad trzy lata młodsza. Siedziała, taka blada i spuchnięta, ewidentnie chora, ale jednocześnie silna. Pewna siebie, jak Jenny. Już czułam się zdominowana, a znałam ją pięć minut.

— Jesteś taka... całkiem inna niż ja — powiedziałam. ; — To znaczy?

— Bardzo mi przypominasz moją mamę. Jesteś do niej o wiele bardziej podobna niż ja. Taka... pozytywnie nastawiona i bezpośrednia.

Haley wzruszyła ramionami.

— Nie zawsze jestem pozytywnie nastawiona — wyznała. — Czasami dopada mnie taka deprecha, że głowa mała. No wiesz, jechałam na antydepresantach już z milion razy. Nie tracę jednak nadziei, przez duże N. To moje drugie imię. Poważnie. Jak byłam mała, miałam białaczkę i choroba się cofnęła. Ale tak mi się wydaje, że tym razem nadzieja nie wystarczy. — Podniosła wzrok na jeden z worków zwisających ze stojaka przy łóżku. — Ta choroba jest wredna.

— Strasznie mi przykro — powiedziałam. — Twoja mama mówiła, że może ci pomóc przeszczep szpiku kostnego.

— Jak znajdziemy dawcę. Jeżeli jesteś Lily, możesz się okazać odpowiednim dawcą.

— Wiem.

— Mama zawsze robiła wszystko, żeby odnaleźć Lily. Szukała jej wszędzie. I ciągle szuka. Parę razy byliśmy w Wilmington, żeby pochodzić po ulicach, porozglądać się za jakąś podobną do mnie dziewczynką.

— A ja tam byłam przez cały czas.

— Jak ci się żyje? — Jak?

Musiałam się zastanowić, to pytanie wytrąciło mnie z równowagi. Pomyślałam o swoim domu, zawsze wypucowanym i uporządkowanym od piwnic po dach, z wyjątkiem mojego pokoju. Przypomniało mi się, jak latem zmieniliśmy z Jenny wystrój sypialni na kolorowy i w kropki, gadając o chłopakach i zaśmiewając się do łez. Albo jak z tatą wymyślaliśmy nowe napoje kawowe. I jak wielu znajomych po jego śmierci przez długie tygodnie przynosiło nam jedzenie. Ze ściśniętym sercem myślałam o tym, że mama zawsze planowała moje przyjęcia urodzinowe po najdrobniejsze szczegóły, choćby kolor posypki na torcie. „W ten sposób okazuje, że cię kocha”. Dzieciństwo wśród przyja-

znych osób, nieomal należących do rodziny. Jenny, Emerson, Ted, a nawet Noelle. I samo Wilmington, znajome i kochane, od hiszpańskiego mchu na dębach, przez promenadę Riverwalk, aż po park w sąsiedztwie. Zorientowałam się nagle, że nie potrafię sobie wyobrazić swojego życia inaczej. Bez dobrych i złych wydarzeń, które złożyły się na moją historię. Raczej nie powinnam się cieszyć, że Noelle mnie ukradła, to było niewłaściwe nastawienie, a jednak w tej chwili rzeczywiście byłam z tego zadowolona.

Jak miałam to wszystko wytłumaczyć komuś, kto nie znał ani otaczających mnie ludzi, ani mojego świata?

— Jakoś mniej więcej — odparłam słabo. — Zwyczajnie. Czasem lepiej, czasem gorzej.

— Mam nadzieję, że zgodzisz się na testy. Ale oczywiście nie będę miała ci za złe, jeśli się nie zdecydujesz. Jasna sprawa. Dopiero co się poznałyśmy, a my cię już łapiemy i wyciągamy z ciebie, co się da.

Zaśmiała się głośno, a ja ciałniej owinęłam się kocem.

— Przecież twoja mama mówiła, że to tylko przejechanie wacikiem po wewnętrznej stronie policzka, tak?

— Aha, zgadza się. Najpierw osad z wewnętrznej strony policzka. Jeżeli komórki okażą się zgodne, wtedy badają krew. A *jeśli i tu* wszystko pasuje, robią operację, żeby pobrać trochę szpiku kostnego. To chyba nie jest takie straszne. W każdym razie raczej nie gorsze od tego, co mnie robią. Dostanę chemię, a potem naświetlania, bo trzeba zniszczyć układ odpornościowy, żeby organizm nie odrzucił przeszczepu. No, ale to i tak moja jedyna szansa.

Pomyślałam o ojcu. Przypomniało mi się, jak to było, gdy się dowiedziałam, że zmarł. Jak bardzo pragnęłam, by dało się coś wymyślić, cokolwiek, żeby mu przywrócić życie. Zrobiłabym dla niego wszystko. Przypomniał mi się e— mail pomyłkowo wysłany do Noelle, ten podły

list, który mógł przyczynić się do jej śmierci. Może los właśnie podsunął mi szansę na ocalenie ludzkiego życia? Na dokonanie czynu trudnego i strasznego, lecz jednocześnie słusznego i właściwego? Jeśli wybiorę tę drogę, zgodzę się na klucie i krojenie, pewnie będę musiała zostać w szpitalu na całą noc. Ale może zdołam uratować ludzkie życie. Życie mojej siostry.

Rzecz tylko w tym, że bardzo chciałam, by mama była ze mną, zanim w ogóle mnie dotkną.

Chciałam usłyszeć jej zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

TLR

## *Rozdział 52*

*Anna*

Psiamać, jak ja się bałam.

Usiadłam w szpitalnej kawiarence i zadzwoniłam do Bryana. Cała się trzęsłam, z trudem trzymałam komórkę w ręku. Bryan tak niedawno znalazł w sobie odwagę, by do nas wrócić. W dalszym ciągu szukał dla siebie miejsca w naszym życiu. A tu kolejna sensacja. Bałam się, że znów ucieknę. Po prostu zostanie w Kalifornii. Owszem, pamiętałam, że jest teraz całkiem inny niż wówczas, gdy zniknęła Lily. A także zupełnie różny od tego, który uciekł, gdy Haley zachorowała po raz pierwszy. Dorósł. Zmężniał. A może oszukuję sama siebie? Może ów dojrzały mężczyzna istnieje jedynie w mojej wyobraźni? Może wymyśliłam go takiego, jakiego chciałam mieć?

Jeszcze bardziej bałam się uwierzyć, że ta obca nastolatka to naprawdę Lily, bo nie chciałam po raz kolejny stracić nadziei. Uczyłam Haley zawsze z ufnością patrzeć w przyszłość, lecz znałam prawdę: nadzieja może łatwo wyprowadzić w pole.

Wiele odwagi kosztowało mnie zostawienie córki w towarzystwie Grace na czas tej rozmowy telefonicznej.

Musiałam zorientować Bryana w sytuacji, zanim pojawi się matka dziewczyny. Najzwyczajniej w świecie nie potrafiłam zatrzymać tego przy sobie.

— Cześć — odezwał się Bryan. — Wszystko w porządku?

Och, to ciepło w jego głosie! Tak się bałam, że więcej



go nie usłyszę. Obawiałam się, że to, co między nami pojawiło się na nowo, może szybko zniknąć.

— Tak — odpowiedziałam, chociaż prawda wyglądała inaczej.

Wiedziałam, o co pyta. Chciał wiedzieć, czy z Haley nie jest gorzej. A nie było.

— Zdarzyło się coś niesłychanego — powiedziałam.

— Niesłuchanie dobrego czy niesłuchanie złego?

— Przyszła dzisiaj do szpitala dziewczyna, która twierdzi, że jest Lily.

On milczał, a ja się zastanawiałam, jakie znaczenie mają dla niego moje słowa. Czy podobnie jak ja boi się nadziei?

— Co to za jedna? O co jej chodzi? Myślisz, że to przez nagłośnienie w mediach...

— Nie wiem — wpadłam mu w słowo. — Ma ze sobą pewien list... — Opowiedziałam mu, co wiedziałam. O dacie narodzin na jej prawie jazdy. — Nie odniosłam wrażenia, żeby ją ktoś do tego nakłonił, ale coś mi tu nie pasuje. Nie potrafię określić co. Jej matka jedzie tu z Wilmington. O ile dobrze zrozumiałam, ta dziewczyna... ma na imię Grace, dowiedziała się o wszystkim od przyjaciółki i przyjechała tutaj, nie uprzedzając matki. Jej ojciec nie żyje.

Dłuższy czas milczał.

— Rozmawiałaś z jej matką? — zapytał.

— Jeszcze nie. Wiesz, ta mała się zgadza na testy.

— Wierzysz, że to Lily?

— Już sama nie wiem, w co wierzyć... Oczywiście, chcę, żeby nią była, ale ona wcale nie przypomina Lily z moich wyobrażeń. Nie jest

podobna do żadnego z nas ani do Haley. Jest prześliczna i chyba dobry z niej dzieciak, ale...

— Gdzie jest teraz?

— Z Haley.

— Pozwoliłaś jej spotkać się z Haley?

Nie aprobowałam tego, lecz ja wiedziałam, że postąpiłam właściwie.

Nie znasz własnej córki, pomyślałam.

Mało brakowało, a powiedziałabym to głośno.

— Wyjaśniłam Haley całą sprawę. Nie kryłam wątpliwości. Chciała ją poznać.

— W tej sytuacji wracam dzisiaj — zdecydował Bryan. — Spotkanie przebiegło doskonale. Drugie mam wyznaczone na jutro rano, ale wytłumaczę się pilną sprawą rodzinną...

— Nie rób tego — poprosiłam. — Zostań, dokończ, co trzeba. Dam sobie radę sama.

— Dawałaś sobie radę sama przez dziesięć lat. Chcę być z wami.

— Jak wolisz — zgodziłam się. — Wracam do pokoju. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz znał godzinę przylotu.

Rozłączyłam się i z uśmiechem na ustach ruszyłam do pokoju Haley.

Bryan wracał do domu.

## *Rozdział 53*

*Tara*

Wybrałam numer Grace pewnie z dziesięć razy, nim w końcu odebrała.

— Nie rozłączaj się! — powiedziałam na wstępie. — Proszę. Nie przerywaj połączenia, póki się nie spotkamy.

— Mamo, nie mam tylu minut. Kupiłam telefon na kartę. Będzie mi potrzebne twoje pozwolenie na wykonanie testu sprawdzającego, czy mogę być dawcą dla tej małej, dla mojej siostry. Czy ty... Wiesz już o niej, tak? O Haley? Ma białaczkę i konieczny jest przeszczep szpiku, więc muszą sprawdzić, czy się nadaje na dawcę.

Ogarnęło mnie przerażenie. Co oni tam chcą zrobić z moją córką? Chyba nigdy nie była tak bezbronna, nigdy nie potrzebowała mnie aż tak bardzo, jak w tej chwili.

— Grace — starałam się mówić spokojnie. Potrzebowałyśmy porady prawnej. Niechby Ian wreszcie odsłuchał pocztę głosową! — Zwolnij, kochanie. Najpierw się spotkamy, potem porozmawiam z lekarzami i w ogóle ze wszystkimi zainteresowanymi. Może masz wrażenie, że ci ludzie są ci bliscy, ale w rzeczywistości ich nie znasz. My ich nie znamy. Jesteś moją córką. — Każde słowo osobno podkreślone. — Rozumiesz? Nie pozwalam, żeby ktokolwiek cię dotknął. Gdy przyjadę, zorientujemy się w sytuacji.

Emerson oderwała oczy od drogi, żeby na mnie zerknąć.

— Co się dzieje? — spytała.

— Ona jest śmiertelnie chora — powiedziała Grace.

Znałam ten ton. Bała się. Chciała, żebym jej zabroniła. Chroniła ją. Broniła. Znałam swoją córkę lepiej, niż mi się zdawało.

— Będę za... Za ile będziemy? — spytałam Emerson.

— Dosłownie za parę minut, jesteśmy już blisko. Wszystko zależy od korków.

— Dojedziemy praktycznie za kilka minut. Niedługo będę przy tobie, kochanie.

— Mamo? Nie wiem, co robić.

Oczy weszły mi łzami.

— Ja się wszystkim zajmę, kochanie. Razem sobie poradzimy.

Nie chciałam kończyć rozmowy, lecz nagle połączenie się urwało. Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej. Wyłączyłam telefon, spojrzałam na Emerson.

— Dobry Boże — szepnęłam.

— Co się dzieje? — spytała Jenny, wychylając się z tylnego siedzenia.

— Wygląda na to, że córka Anny Knightly czeka na przeszczep szpiku kostnego. Chcą zrobić badania Grace, żeby sprawdzić, czy byłaby zgodnym dawcą.

— Wolne żarty! — zaperzyła się Emerson. — Ci ludzie są bez serca.

— Potraktowali Grace jak zbiór komórek, a nie jak człowieka? — upewniła się Jenny. — Mamo, jedź szybciej.

— Nikt jej nie dotknie bez mojego pozwolenia, więc się niczym nie przejmuj — oznajmiłam.

Zadzwoił telefon, to był Ian.

— Nareszcie! — krzyknęłam w słuchawkę.

— Przykro mi, że się dowiedziałaś...

— Słuchaj, jestem na ciebie wściekła, ale to załatwimy później. Teraz potrzebuję twojej pomocy.

— Jeśli chodzi o panią Knightly, to radzę niczego z nią nie ustalać. Najlepiej w ogóle z nią nie rozmawiaj. Po prostu zabierz Grace i wyjdź. Niech ich prawnik skontaktuje się ze mną i od tego zaczniemy rozmowę. Zadzwoię do paru osób w policji w Wilmington. Ale to wszystko potem. Teraz przede wszystkim Grace musi być bezpieczna.

„Zabierz Grace i wyjdź”.

— Dobrze — zgodziłam się.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro. Na pewno jesteś &a mnie...

— Nie chcę blokować linii, bo może Grace zadzwoni \* powiedzia-  
łam.

; — Pogadamy później.

Rozłączyliśmy się oboje, otarłam czoło.

— Powiedział, żeby zabrać Grace i wyjść — oznajmiłam, jakbym kiedykolwiek miała jakiś inny plan. Przypomniałam sobie ton głosu córki. — Grace jest przerażona — dodałam, po czym odwróciłam się do Jenny. — Gdzie zawałam sprawę? Co zrobiłam źle? — Nie mogłam dłużej skrywać bezsilności. — Dlaczego nie potrafię się z nią porozumieć?

— To typowe między rodzicami a nastolatkami — wyjaśniła Jenny spokojnie.

— Niezupełnie.

— Ależ tak! — poparła ją Emerson.

Nie spuszczałam wzroku z Jenny.

— Między tobą a Emerson jest znacznie lepiej niż między mną a Grace. To bezdyskusyjne. Coś zawałam.

— Nieprawda — sprzeciwiła się Jenny. — Po prostu Grace jest wrażliwa i skryta. Dlatego trudniej się do niej zbliżyć niż do innych.

Uważałam jednak, że jej odpowiedź podyktowana jest głównie uprzejmością. Sam jakoś nie miał problemu ze zrozumieniem córki. Przypomniała mi się mowa pochwalna wygłoszona przez Noelle na jego pogrzebie. „Sam był słuchaczem doskonałym. Dlatego był też dobrym mężem i ojcem”. Głos jej się załamał. „Oraz wspaniałym przyjacielem”.

Był bardzo dobrym ojcem, pomyślałam.

Świetnie sobie dawał radę z Grace. Umiał z nią nie robić nic. Nie to co ja. Ja zawsze musiałam mówić, ruszać się, coś zmieniać.

— Jest kierunkowskaz do szpitala. — Emerson wskazała tablicę. — Chcesz, żebyśmy z tobą poszły, czy lepiej, żebyśmy poczekały w kawiarni? Nie chciałabym, żeby się przez nas zrobiło większe zamieszanie. Jak sądzisz?

W osobie Emerson zyskałabym wsparcie moralne, jednak miałam przecież zamiar tylko wejść, zabrać Grace i wyjść, zgodnie z radą Iana. Niepotrzebne były żadne wielkie sceny z nami czterema w rolach głównych.

— Zaczekajcie w kawiarni — zdecydowałam. — Ale telefon miejcie pod ręką, w razie czego będę dzwonić.

Wyłonił się przed nami szpital, zbiór brył ze szkła i metalu. Tam była moja córka. Z trudem uwierzyłam, że znalazła w sobie odwagę, by wejść do środka. Mało tego, sama tutaj przyjechała. Jenny powiedziała,

że Grace jest wrażliwa i skryta. Tak, to prawda. Zamierzałam ją wreszcie poznać. Pozostawało mi mieć nadzieję, że jeszcze nie jest na to za późno, chociaż miałam podstawy do obaw.

TLR

# *Rozdział 54*

## *Grace*

Anna kręciła się po szpitalnym pokoju Haley. Układała książki, piloty, pudełka z chusteczkami, ustawiała szklanki i kubeczki, a Haley opowiadała o filmie, który niedawno widziała, i bez przerwy zerkała na drzwi. Czekaliśmy na moją mamę. Skoro tylko się pojawi, będę się czuła zupełnie inaczej. Ona przejmie dowodzenie. Uświadomiłam sobie, jak bardzo na niej polegam. Jak bardzo chcę, żeby się wszystkim zajęła.

Rozmawialiśmy we trzy na najróżniejsze błahe tematy: o szkole na Starym Mieście w Alexandrii i o tym, jakie jest Wilmington... Całkiem jakbym tu zajrzała z grzecznościową wizytą, a nie w roli nowo odkrytej córki i siostry.

Podskakiwałam za każdym razem, gdy dostrzegałam kogoś na korytarzu.

Wreszcie przyszła mama. Ledwo ją poznałam, taka była blada i wycieńczona. Zerwałam się na równe nogi, koc zsunął mi się z pleców, podbiegłam do niej i wpadłam w jej ramiona.

— Mamo — jęknęłam.

Nagle wielkim ciężarem spadły na mnie wszystkie zdarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin — wizyta Jenny z listem Noelle, koszmarne podróże nocą w deszczu, szukanie Anny Knightly... Nogi się pode mną ugięły, stałam tylko dlatego, że mama mnie trzymała.

— Kochanie moje — wyszeptała mi w ucho. — Moje słoneczko najmilsze. Już dobrze. Jestem.



Przytuliłam się do niej.

— Nie gniewaj się, że tak wyjechałam bez słowa.

— Nie ma o czym mówić. — Miała mokre oczy. — Nieważne.

Mogłabym tak stać do końca życia, bezpiecznie ukryta w jej ramionach, czułam jednak na sobie wzrok Anny i Haley. Odsunęłam się od mamy. j — To moja mama — przedstawiłam ją pani Knightly.

Mama podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

— Nazywam się Tara Vincent.

— Anna Knightly. A to moja córka, Haley.

Mama przeniosła wzrok na małą.

— Cześć. — Objęła mnie za ramiona. — Rozmawiałam z prawnikiem — zwróciła się do pani Knightly. — Będziemy w kontakcie.

Anna Knightly przekrzywiła głowę. Widziałam, że jej się to nie podoba.

— Mogłybyśmy zamienić dwa słowa? — poprosiła. — Jak matka z matką.

— Porozmawiaj, mamo — wtrąciłam się. — Nie możemy tak po prostu wyjść.

Wiedziałam, że nie do końca rozumie, co się dzieje. Nie zdawała sobie sprawy, że to kwestia życia i śmierci.

Przeniosła wzrok ze mnie na matkę Haley.

— Zgoda — zdecydowała. — Ale najpierw muszę porozmawiać z córką w cztery oczy.

Pani Knightly skinęła głową. Bała się, widziałam to wyraźnie. Bała się, że mama mnie zabierze. Rzeczywiście, chciałam odejść. Bardzo. Niestety, nie mogłam.

— Na końcu korytarza jest poczekalnia — powiedziała Anna Knightly. — Zwykle pusta.

Mama wzięła mnie za rękę jak małą dziewczynkę i poprowadziła korytarzem. W końcu przecież byłam jej małą dziewczynką.

W każdym razie właśnie tego chciałam.

TLR

# *Rozdział 55*

## *Tara*

Tyle miałam do powiedzenia, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Chciałam Grace zadać tysiąc pytań o jej strach i zagubienie, chciałam poznać wszystkie jej myśli i uczucia. Chciałam ją przekonać, że zawsze będzie moją córką, że nigdy nikt mi mego dziecka nie odbierze i że ciało Grace stanowiło jej własność. Nie musiała nikomu niczego ofiarowywać, nawet jednej komórki, by sprawdzić, czy może być dawcą dla obcej dziewczynki.

Gdy usiadłyśmy na dwuosobowej kanapie w niewielkiej poczekalni, nie powiedziałam nic z tego, co mi się cisnęło na usta. Nie zadawałam pytań. Czułam obecność Sama, on mnie powstrzymywał. On by cierpliwie wysłuchał wszystkiego, co miałam do powiedzenia. Bez poganiania. On umiał ją kochać.

— Kocham cię — powiedziałam.

Okazało się, że więcej nie było trzeba. Rozpłakała się.

— Nie gniewaj się, że tak wyjechałam bez słowa — powtórzyła.  
— Strasznie głupio zrobiłam.

— Nieważne. Ważne, że jesteś cała i zdrowa.

— Wolałabym o tym wszystkim nie wiedzieć. Że nie jesteś moją matką.

— Zanim w to uwierzę, zrobimy testy DNA — odparłam — ale żadne badania nie zmienią moich uczuć.

Zwinęła na palcu pasmo włosów.

— Wściekałam się na ciebie — wyznała. — Czasami nawet cię nienawidziłam. A dzisiaj nie pamiętam dlaczego. Chciałam jechać do Cleve'a, ty mi zabroniłaś... Teraz to się wydaje głupie.

Kiwnęłam głową, jedynie po to, by wiedziała, że słucham.

— Już wcale o nim nie myślę. — Puściła włosy, pochyliła się ku mnie. — Mamo, nie wiem, kim jestem.

Bardzo chciałam jej powiedzieć, kim jest. Wrażliwym człowiekiem, utalentowanym literacko, cichą dziewczyną, która tak wiele ma do przekazania na papierze. Żrenicą oka swojego ojca i nicią łączącą mnie z Samem na zawsze, niezależnie od wyników badań. Pięknością, rzeczywiście niepodobną ani do mnie, ani do Sama. Wspaniałą młodą kobietą, którą bardzo chciałam poznać.

Tego wszystkiego nie powiedziałam. Szukałam słów, które pozwolą jej się otworzyć. Co powiedziałałby Sam?

— Jesteś Grace.

Natychmiast się zorientowałam, że były to najwłaściwsze słowa.

Popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem, w skupieniu.

— Nie chcę przestać być Grace — przyznała — chociaż nieraz sobie życzyłam czegoś wręcz przeciwnego. Chciałam być bardziej podobna do ciebie.

Naprawdę?

W życiu bym tego nie podejrzewała. Odruchowo chciałam spytać dlaczego, jednak zdołałam się powstrzymać.

— Zawsze chciałam przypominać Jenny. Ją wszyscy uwielbiają. A ja nigdy nie wiem, co powiedzieć, i w ogóle... Jestem inna. Jestem dziwaczna.

Nieprawda, cisnęło mi się na usta.

Jak zostawić taką opinię bez komentarza? Na szczęście nie zdążyłam nic wtrącić. Podjęła wątek, zanim otworzyłam usta.

— Nagle wszystko się zmieniło. I chcę być sobą. Nie chcę innej matki. Haley jest miła, naprawdę fajna. Tylko że wszyscy czekają, że bym ratowała jej życie, a ja... — Pokręciła głową. — Mogłabyś coś zrobić, żeby to wszystko zniknęło?

Przysunęłam się do niej, objęłam ją, przytuliłam.

— Bardzo bym chciała. — Pogładziłam córkę po włosach. Kiedy ostatnio pozwoliła mi na taki gest? — Tylko nie wiem jak. — To ja byłam od naprawiania. Od ustalania. Nigdy w życiu nie czułam się równie pozbawiona wpływu na wydarzenia, jak w tej chwili. — Jedno mogę ci obiecać: nie będziemy się z niczym śpieszyć.

— Ona może umrzeć bez mojej krwi.

Niewiele brakowało, żebym ją poprawiła. Taka się wydawała krucha, taka maleńka. Dziecko, które nie rozróżnia krwi od szpiku kostnego. Postanowiłam, że pozwolę jej być tym dzieckiem jak najdłużej.

— I twoje dziecko umarło... — dodała.

Głowę wsparła na moim ramieniu, ciepły oddech muskał mi szyję.

Miałam świadomość, że w pewnym momencie widmo tamtego dziecka znajdzie drogę do mojego serca, lecz jeszcze nie dzisiaj.

— Ja o nim nie myślę — powiedziałam. — Myślę o tobie.

— Mogę być przy twojej rozmowie z Anną? Proszę cię.

Łatwo było Ianowi powiedzieć: „Zabierz Grace i wyjdź”, a ja posłusznie postanowiłam usłuchać jego rady. Wszystko było proste, nim przekroczyłam próg szpitalnego pokoju, bo wtedy „Anna Knightly” zmieniła się z nazwiska w żywą kobietę. W matkę.

Przytuliłam córkę mocniej. Bała się, że Anna Knightly jakimś cudem przekona mnie, bym jej oddała Grace bez walki. Jak to się działo, że akurat dzisiaj tak zdumiewająco dobrze rozumiałam córkę? Czy może znałam ją zawsze?

— Tak. Rozmowa będzie dotyczyła ciebie, więc możesz z nami być.

TLR

## *Rozdział 56*

*Anna*

Ta kobieta, Tara, chciała, żeby Grace była obecna przy naszej rozmowie. Moim zdaniem lepiej, żeby dziewczyna została z Haley, jednak miałam do czynienia z monolitem.

I bardzo dobrze, powiedziałam sobie.

Tak właśnie powinno być.

Na wypadek gdyby Grace istotnie okazała się moją Lily, chciałam mieć świadomość, że była kochana i bezpieczna. Z drugiej strony, dziewczyna wydawała mi się jednak zbyt wrażliwa, by brać udział w naszej rozmowie. Tak czy inaczej, decyzja nie do mnie należała.

Grace bez wątpienia przypominała znacznie bardziej Tarę niż mnie, chociaż w zasadzie do żadnej z nas nie była wyraźnie podobna. Usiadły na kanapie, trzymając się za ręce. Obie miały dość ciemne włosy, o ile mogłam to ocenić mimo blond pasemek. Łączyły je piwne oczy, natomiast rysy twarzy wyraźnie różniły. Mimo woli przyglądałam się im, porównując jedną do drugiej. Kształt ust. Rysunek brwi.

Nie potrafiłam zignorować faktu, że nadal nic do Grace nie czuję i postrzegam ją jedynie jako ewentualną dawczynię szpiku dla Haley. Naprawdę mnie to rozstrajało. Nigdy nie przypuszczałam, że tak będę patrzeć na swoją długo wyczekiwaną córkę.

— Nie rozumiem, jak do tego wszystkiego doszło — odezwała się Tara. — Czy pani mieszkała w Wilmington?

— Od kilku godzin sama się nad tym zastanawiam... Mieszkałam tutaj, natomiast jako reprezentantka firmy farmaceutycznej często bywałam w Wilmington. — Musiałam sobie sama poukładać przeszłość w pamięci. — Przy okazji ostatniej podróży byłam chyba w trzydziestym piątym tygodniu ciąży. Akurat w Wilmington zaczął się przedwczesny poród, tam Lily przyszła na świat. Ważyła już dwa kilo osiemdziesiąt, a ja miałam kłopoty z ciśnieniem. Kilka godzin po urodzeniu Lily przeszłam udar mózgu i zapadłam w śpiączkę.

— Dobry Boże! — Tara wydawała się wstrząśnięta.

— Przewieźli mnie do Duke University Hospital w Durham. Mąż był w Somalii, starał się o pozwolenie na powrót do domu, ale ja oczywiście o niczym nie wiedziałam. W końcu przyjechał, zatrzymał się w hotelu niedaleko szpitala, gdzie leżałam. Sądzę, że przeżywał katusze. — Nieczęsto zdarzało mi się zastanawiać nad tym, jak trudny był to czas dla Bryana. — Dom mieliśmy w Alexandrii, nowo narodzoną córkę w Wilmington, a ja, w śpiączce, leżałam w szpitalu w Durham. Przyjechał do mnie, a ponieważ Lily przy mnie nie było, zadzwonił do Wilmington i dowiedział się, że tam również jej nie ma i że podobno zabrano ją ze mną do Durham. Kontaktował się z ratownikiem, który mnie przewoził, nikt jednak nie miał żadnych dokumentów świadczących o przejęciu mnie z dzieckiem. Lily — podniosłam wzrok na Grace — przepadła jak kamień w wodę, razem ze wszystkimi dokumentami dowodzącymi jej istnienia. Bryan nie znał nazwiska lekarza odbierającego poród. Panował bałagan. Leżałam w śpiączce z gorą dwa tygodnie. Dzięki Bogu, nie ucierpiałam bardzo z powodu udaru. Lewą stronę ciała miałam słabszą, gorzej widziałam i mówiłam. Lewą rękę nadal mam nie do końca sprawną. — Poruszyłam palcami. — Niewiele pamiętałam, nazwiska lekarza też nie potrafiłam sobie przypomnieć. Mimo wszystko jednak pamiętałam, że urodziłam śliczną córeczkę, i chciałam ją odzyskać.

— Tak mi przykro — powiedziała Tara.



Równocześnie mocno objęła córkę za ramiona.

— Gdy wydobrzałam na tyle, by wsiąść do samochodu — ciągnęłam — pojechaliśmy do Wilmington. Lily miała wtedy siedem tygodni. Obawialiśmy się, że ktoś mógł ją uznać za porzuconą, bo przecież w pewnym sensie tak właśnie było. Mogła trafić do ośrodka adopcyjnego. Dlatego w takich miejscach jej szukaliśmy.

— Straszne — wtrąciła Tara.

Nadal ścisnęła dłoń Grace.

— Widziałam list, który do mnie napisała ta położna... Właściwie... Nie do końca rozumiem, co się stało. Czy wy wiecie coś na pewno?

— Niestety, nie — odparła Tara. — Noelle niedawno zmarła... — Przeniosła spojrzenie na Grace. — Mówiłaś o tym?

Dziewczyna pokiwała głową.

— Popelniła samobójstwo — dodała Tara. — Moja przyjaciółka znalazła w jej rzeczach ten list, adresowany do jakiejś Anny. Poszukiwania doprowadziły nas do pani, lecz nie wiedziałyśmy, czyje dziecko zastąpiła pani córka. W najśmielszych przewidywaniach nie spodziewaliśmy się, że moje.

— Nie jestem pewna... Jak by to powiedzieć... Czy rzeczywiście mogła się pani nie zorientować, że dziecko raptem wygląda inaczej?

— Przyszła na świat dobrze po północy, poród był bardzo ciężki. Miałam ją w ramionach przez chwilę niedługo po urodzeniu, potem dopiero rano. Podejrzewam, że wcześniej już... dokonano zamiany, ponieważ od tamtej pory z pewnością było u mnie jedno i to samo dziecko.

— Trudno... wysoko cenić tę położną.

— Zrobiła rzecz straszną — przyznała matka Grace — jednak trudno mi przez to zanegować wszystkie jej dobre uczynki.

— Powiedz o projekcie pomocy dzieciom — odezwała się cicho nastolatka.

— Może ty opowiesz? Jesteś w to znacznie bardziej zaangażowana.

— Noelle założyła organizację pomagającą dzieciom. Wcześniakom i chorym niemowlętom. — Zdobyła za to nagrodę gubernatora, ale jej nie przyjęła.

Staralam się na nią nie patrzeć. Bałam się do niej przywiązać. Patrzyłam raczej na jej matkę.

— Może właśnie dlatego. Może czuła, że nie zasługuje na uznanie?

— Możliwe — zgodziła się Tara. Pogładziła Grace po włosach. — Uważam, że należy zrobić testy DNA — powiedziała. — I pewnie dobrze byłoby, gdyby każda strona porozumiała się ze swoim prawnikiem. Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy być przeciwniczkami, ale...

— Zgadzam się całkowicie. Powinniśmy wszyscy wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Pozostaje druga kwestia. Jak mówiłam wcześniej Grace, Haley potrzebuje dawcy szpiku kostnego. Jest bardzo poważnie chora. Jest... — Zadrżałam. — Jest śmiertelnie chora. Grace zgodziła się...

— Anno, Grace nie wiedziała, na co się zgadza. Bardzo mi przykro, jednak nie będziemy się z tym śpieszyć. Najpierw niech porozmawiają nasi prawnicy, ustalą termin testów DNA, potem zastanowimy się, co dalej.

Miałam ochotę rzucić się na próg i zabarykadować drzwi.

— W normalnej sytuacji takie postępowanie byłoby najstosowniejsze — przyznałam.

Tylko nie płacz. Żadnych łez. Tara potrafiła zachować zimną krew, a i ja przez lata pracy nauczyłam się, że spokój jest najważniejszy. Mimo wszystko nie zdołałam opanować drżenia w głosie.

— Proszę, postaraj się mnie zrozumieć. Nie wiem, czy Grace jest Lily... — Spojrzałam na Grace. — Po prostu nie wiem. Jeżeli jednak nią jest? Jeśli jest zgodnym dawcą dla Haley? Rozumiesz, co będzie, jeśli się o tym dowiemy zbyt późno? Do tej pory nie znaleźliśmy dawcy, choć szukamy naprawdę intensywnie, możesz mi wierzyć. A rozdzieństwo to szansa jeden do czterech.

Tara pokręciła głową.

— Żądasz od niej zbyt wiele. Ta decyzja będzie musiała poczekać.

— Chcę to zrobić — odezwała się Grace. Podniosła wzrok na matkę. — Muszę.

— Nie musisz, kochanie. Nikt cię do niczego nie zmusza.

— Chcę — powtórzyła.

Błagam, pozwól jej, modliłam się w myślach.

Tara wyraźnie zmiękła. Prawnik na pewno będzie zniechęcał do pośpiechu, lecz sytuacja była szczególna. W grę wchodziły dwie matki. I dwie córki.

— Dobrze — poddała się Tara. — Jeżeli jesteś tego absolutnie pewna.

# *Rozdział 57*

*Emerson*

Lody z owocami i śmietaną w pucharku przed Jenny zmieniły się w beżową zupę, a ona dalej mieszała je łyżeczką. Moja sałatka stała nietknięta. Siedziałyśmy w kawiarence pod oknem, wokół nas rozbrzmiewały rozmowy lekarzy, pielęgniarek i odwiedzających, lecz my dwie przebywałyśmy we własnym świecie, odizolowanym od reszty.

Może jednak lepiej było pójść z Tarą do pokoju chorej? Przekonałam siebie, że nie powinnyśmy się mieszać w ich sprawy. Sytuacja wydawała się wystarczająco skomplikowana. Dwie osoby więcej oznaczały jeszcze większe zamieszanie. Z drugiej strony, ucieszyłabym się, gdyby Tara pragnęła naszego towarzystwa. Trudno mi było biernie patrzeć, jak sama walczy z zawirowaniami losu. Czułam się winna. Nie dość, że nie powiedziałam jej od razu, czego się dowiedziałam, to jeszcze moja córka zraniła Grace, przedwcześnie zdradzając jej prawdę. Na dodatek dręczyła mnie świadomość, że przyjaciółka w potrzebie musi sobie radzić sama.

Jak może się potoczyć rozmowa Tary z Anną Knightly? Dwie matki walczące o córkę... Oczywiście Grace zostanie z Tarą. Jakakolwiek inna możliwość była nie do pomyślenia. Z drugiej strony... dziecko pani Knightly zostało porwane, wobec czego rodzona matka z pewnością upomni się o swoje prawa i będzie chciała żyć z córką.

Jenny odsunęła pucharek.

— Przepraszam, mamo — powtórzyła znowu.

Już dawno się pogubiłam, nie miałam pojęcia, który raz przepraszam.

— Wiesz co... — Odsunęłam sałatkę. — Zawaliłaś sprawę, gdy mi nie powiedziałaś, że podsłuchiłaś naszą rozmowę. Ja zawaliłam sprawę, bo nie powiedziałam przyjaciółce natychmiast, czego się dowiedziałam. Ani jedno, ani drugie nie zmieni tego, co zrobiła Noelle. Konsekwencje ponosimy wszyscy. Na tym musimy się skoncentrować. Wesprzeć nasze przyjaciółki w tym, co je czeka.

— Nie chcę, żeby się przeprowadziła i zmieniła rodzinę, i...

— Nic takiego nie nastąpi. Grace ma szesnaście lat, więc w każdej sytuacji jej zdanie będzie brane pod uwagę. Poza tym chyba sobie nie wyobrażasz, że Tara powie: „Nie ma sprawy, proszę bardzo, możecie ją sobie wziąć”?

— A co ty byś zrobiła na miejscu Tary?

Zapatrzyłam się w sufit.

— Przekazałabym pani Knightly wyrazy najszczerzego współczucia, a następnie zrobiłabym to, co Tara robi teraz, mam nadzieję. Zabrałabym córkę i zostawiła sprawę prawnikom.

Zaczynałam się martwić, ponieważ odbieranie Grace trwało niepokojąco długo. Po wejściu do kawiarenki zastanawiałyśmy się z Jenny, czy w ogóle cokolwiek zamawiać, bo spodziewałyśmy się zobaczyć je obie dosłownie za kilka chwil. Tymczasem minęło czterdzieści minut i nic. Co się działo?

— A jak ty byś się czuła na miejscu Grace? — spytałam.

Przygryzła wargę i milczała jakiś czas.

— Chciałabym poznać tych ludzi. Moją drugą rodzinę. Ale nie chciałabym, żeby tamci próbowali mnie wam odbierać. I na pewno bym się na to nie zgodziła. I byłoby mi smutno z powodu twojego zmarłego dziecka. Straszne to wszystko. Biedna Tara.

— Rzeczywiście — przytaknęłam. — Prawdziwy koszmar.

— Grace też serdecznie współczuję.

— Masz rację. — Spojrzałam jej w oczy. — Obie będą potrzebowały naszego wsparcia.

— Powinnyśmy były pójść z nimi na górę.

Moja córka wykazała się większą odwagą niż ja.

— Chcesz być z Grace? — spytałam.

Jenny pokiwała głową.

— Dobrze. — Wstałam. — Chodźmy.

TLR

# Rozdział 58

## Grace

Czekałyśmy w pokoju Haley na pielęgniarkę, która miała wacikiem pobrać mi ślinę z wewnętrznej strony policzka. Mama gadała z panią Knightly, jak to ona. Ktoś przyniósł dodatkowe krzesło. Ja ciągle trzęsłam się z zimna, chociaż w pokoju panowała normalna temperatura. Siedziałam otulona niebieskim kocem, czułam się w nim jak w zbroi. Nie wiedziałam, czego chcieć. Drżałam ze strachu na myśl o tym, co mnie czeka, gdy się okażę zgodnym dawcą. Haley mogła niedługo umrzeć. Tak więc, gdy myślałam o sprawie w ten sposób, właściwie nie miałam wyboru.

Mama była równie zdenerwowana. Słowa padały z jej ust z szybkością pocisków karabinu maszynowego, co akurat było u niej dość naturalne. W ciągu dziesięciu minut dowiedziała się wszystkiego na temat okolicy, gdzie mieszkały Haley i pani Anjia, jakie przedmioty szkolne Haley lubi najbardziej i mnóstwo o wszystkich innych codziennych sprawach. Zachowywała się jak gdyby nigdy nic, lecz oczami przeska kiwała stale z Haley na panią Annę i na otwarte drzwi, przysunęła krzesło do mojego, stale mnie dotykała. Byłam z tego zadowolona. Należałam do niej. Chciałam to powiedzieć pani Knightly.

„Wiem, że jestem pani dzieckiem i bardzo źle się stało, że zostałam porwana, ale mama mnie wychowała, jestem jej córką”.

Mama mówiła bez przerwy. Pani Knightly i Haley nie spuszczały ze mnie wzroku, jakbym była dojrzałą brzoskwinia na sklepowej półce, a one podejmowały decyzję, czy mnie biorą, czy nie. W końcu miałam tego dosyć.

— Przestańcie na mnie patrzeć — poprosiłam.

Mama przysunęła się jeszcze bliżej, Anna Knightly zaś zwyczajnie się roześmiała.

— Nie mogę się powstrzymać — wyjaśniła.

— Chyba chciałabym mieć takie włosy — oznajmiła Haley.

Zastanowiłam się, czybym mogła jej oddać część swoich włosów. Obciąć je i przekazać organizacji *Lock of Love*, zbierającej włosy i pieniądze na wyrób peruk dla dzieci, które wyłysiały z powodu choroby. Wtedy dostałaby perukę z moich włosów. Czy można zastrzec, kto ma dostać perukę z ofiarowanych włosów?

Właśnie nad tym rozmyślałam, gdy w drzwiach stanęły Jenny i Emerson.

— Puk, puk! — odezwała się Emerson. — Przyszliśmy zobaczyć, co tam u was.

Anna zerwała się z krzesła, jakby ją ktoś ukłuł, Haley, siedząca na łóżku, gwałtownie się wyprostowała.

— O psiamać — powiedziała.

Świat wywrócił się do góry nogami.



## *Rozdział 59*

*Noelle*

*Wilmington, Karolina Północna*

*1994*

Oczywiście, zdarzało jej się odbierać trudne porody. Bywało, że zapowiadało się rozwiązanie bez żadnych komplikacji, a w trakcie akcji porodowej dochodziło do niespodziewanych i niebezpiecznych zdarzeń, lecz jednym z najgorszych doświadczeń okazała się noc, gdy Tara rodziła Grace.

Z samego rana przyjaciółka zadzwoniła z wiadomością, że zaczęły się skurcze, więc Noelle nie zaaplikowała sobie codziennej porcji tabletek przeciwbólowych. Zamiast tego wsunęła sobie do ust kawałek ostryża i przygotowała w termosie napar z koniczyny. Zawsze lepsze to niż nic. Podawała rośliny lecznicze przy porodach, ale na bóle pleców takie środki nie wystarczały. W tych dniach akurat cierpiała bardziej niż zwykle. Pomagały jej wyłącznie silne leki. Błogosławiła wynalazców para— cetamolu i eukodalu.

Z każdą godziną tamtej długiej i wyczerpującej nocy plecy bolały ją bardziej, niekiedy musiała ukrywać łzy bólu, nie chcąc, by Sam lub Tara martwili się o nią, gdy mieli się skupiać na sobie. Ona sama w jednakowym stopniu myślała o porodzie i o pigułkach w torebce.

Wezmę tylko jedną, powtarzała sobie co jakiś czas.

Tylko tyle, żeby nie wyć z bólu.

Mimo wszystko nie sięgała po lek. Zajmowała się przyjaciółką.

Już po południu, około czwartej, zadzwoniła Emerson. Zawiadomiła, że wody odeszły i sąsiad wiezie ją do szpitala, choć do terminu zostały jeszcze trzy tygodnie. Ted był akurat na konferencji w Kalifornii, więc musiała dawać sobie radę sama. Płakała w słuchawkę, a Noelle czuła się rozdarta.

— Ted jest dopiero w drodze na lotnisko — skarżyła się Emerson. — Wsiądzie w pierwszy samolot, ale musi się przesiąść w Chicago. Wieki miną, zanim tu dotrze.

— Będziesz w dobrych rękach, kochanie — zapewniła ją Noelle.

Bez Teda, bez przyjaciółek Emerson będzie cierpiała emocjonalnie, lecz na szczęście miała zapewnioną doskonałą opiekę medyczną, a to było w jej sytuacji najważniejsze. Tym razem wszystko musiało pójść jak należy. Po dwóch poronieniach nadszedł czas, by łatwo i szybko urodzić śliczną, zdrową dziewczynkę.

Noelle utrzymywała z siostrą kontakt telefoniczny, pocieszając ją i podnosząc na duchu. Musiała poczekać, aż Tara urodzi, bo była jej potrzebna, lecz potem, gdy już matka i dziecko będą bezpieczne, zamierzała poprosić przyjaciółkę o zgodę na zorganizowanie zastępstwa.

Przysłałaby do nich pomocnicę, z którą pracowała od kilku lat. Tara znała Clare Briggs i na pewno będzie się przy niej czuła swobodnie. Wtedy, jeżeli u Emerson będzie nadal trwała akcja porodowa, Noelle dotrzyma jej towarzystwa w szpitalu.

Późną nocą, gdy Ted przestępował z nogi na nogę w Chicago, a Tara walczyła ze strachem i bólem, Noelle po raz kolejny zadzwoniła do szpitala. Dowiedziała się, że zdecydowano się na cesarskie cięcie.

Och, jak bardzo chciała być z Emerson, trzymać ją za rękę!

Przez cały czas operacji na bieżąco zdobywała wieści o siostrze, co nie było trudne, skoro знаła właściwie wszystkie pielęgniarki na oddziale położniczym. Wreszcie odetchnęła z ulgą. Na świecie pojawiła się zdrowa dziewczynka, Emerson także świetnie zniosła zabieg operacyjny.

Usłyszawszy te wieści, naląła soku jabłkowego dla Tary, Sama i dla siebie. Pomiedzy skurczami wypili toast za Jenny McGarrity Stiles. Tylko Sam wiedział o pokrewieństwie łączącym tę istotkę z Noelle. Gdy siadła na krawędzi łóżka, ścisnął ją za rękę.

Noelle nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy siostrzenicę, lecz najpierw musiała dotrwać do końca porodu u Tary.

Rola położnej jest wyczerpująca. Wymaga schylania się, dźwigania, podpierania, jednym słowem, doskonałej kondycji fizycznej, ale także psychicznej. Tamtej nocy po raz pierwszy w życiu Noelle zwątpiła w swoje siły. Piekący ból w krzyżu nie zelżał ani na moment, coraz częściej myślała o wzięciu tabletki.

Tylko jednej.

Wyraźnie słyszała wołanie środków przeciwbólowych dobiegające z torebki zostawionej w kuchni. Ona sama byłaby skuteczniejsza, bardziej pomocna, gdyby się uwolniła od bólu.

Nie, jednak nie. Znała ogrom ryzyka. A poród był trudny. Dziecko ułożyło się pośladkowo, należało rozważyć konieczność przewiezienia Tary do szpitala.

Przyjaciółka zareagowała na tę wiadomość płaczem.

— Kochanie — uspokajała ją Noelle. — Ważniejsze jest zdrowe dziecko niż poród w domu.

Jednocześnie zapewniła, że zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by uniknąć wzywania karetki.

Żeby podjąć obiektywną decyzję, musiała najpierw uporządkować myśli. Oddzielić chęć jechania do szpitala, by znaleźć się blisko Emerson i jej córeczki, a także pragnienie, aby poród Tary wreszcie się skończył, a ona sama mogła wreszcie zażyć leki przeciwbólowe — od rzeczywistej konieczności wzywania pomocy.

Jeśli mieli nie jechać do szpitala, trzeba było odwrócić dziecko główką do dołu.

Trudny zabieg trwał wieczność, a jeszcze dłuższy musiał się wydawać Tarze. Noelle bardzo żałowała, że nie ma przy sobie pomocnicy, bo przydałyby się cztery ręce, a nawet i pięć. Gdy dziecko właściwie się ułożyło, odetchnęła z nieklamana ulgą. Serce płodu biło równo i mocno.

Na tym jednak problemy się nie skończyły. Przy pełnym rozwarciu szyjki, w drugim etapie porodu, maleństwu groziło utknięcie w kanale rodnym.

Noelle razem z Samem pomagała Tarze zmieniać pozycję, wspierała ją fizycznie i psychicznie, podawała nalewkę z pluskwicy groniastej i inne zioła — jednym słowem robiła wszystko, by pozwolić dziecku przyjść na świat.

Jakiś czas później noworodek wydał pierwszy krzyk. Noelle miałyby ogromne trudności z określeniem, która z czterech istot w mrocznym, przegrzanym pokoju była najbardziej wyczerpana i odczuła największą ulgę.

Gdy kąpała małą w kuchni, Sam przyszedł popatrzeć.

— Wszystko z nią dobrze? — spytał. — Z Tarą — uściślił.

— Nic złego się nie dzieje.

Sam przestraszył się, gdy tuż po porodzie Tara na krótko straciła przytomność. Noelle doskonale rozumiała jego uczucia, wiedziała, że

kocha żonę z całego serca. Miała na to dowody przy każdym spotkaniu. Z jednej strony, cieszyło ją szczęście dwójki ludzi, których obdarzyła miłością, z drugiej — nie mogła się uwolnić od piekającej zazdrości. A teraz jeszcze mieli dziecko, które z pewnością połączy ich mocniej. Cieszyła się, że za dwa miesiące sama wyjdzie za mąż. Po raz pierwszy w życiu myślała o budowaniu przyszłości, o własnym potomstwie, o tworzeniu rodziny i więzach krwi, których nie będzie musiała ukrywać.

Odesłała Sama z powrotem do sypialni, do Tary, a sama skończyła badać noworodka i zadzwoniła po zmienniczkę. Położyła maleństwo owinięte w puchaty koczek na miękkim ręczniku na kuchennym blacie i sięgnęła do torebki.

Nareszcie.

Poród się skończył, Clare przyjedzie za kilka minut, mogła sobie pozwolić na złagodzenie bólu.

Zaniosła dziecko do sypialni. Tarę i Sama zastała przytulonych w łóżku. Przyjaciółka zmęczonym gestem wyciągnęła ręce po córeczkę.

— Damy jej na imię Noelle — powiedział Sam.

Natychmiast zrozumiała, że wybaczył jej noc na plaży, ale choć serdeczny gest ją wzruszył, nie mogła na niego przystać. Ciągłe jeszcze zdarzały się momenty, gdy powracało do niej poczucie winy. Jak teraz.

— Nie róbcie tego — powiedziała. — Obiecujcie, że nie obarczyście dziecka moim imieniem.

Zaprotestowała pewnie gwałtowniej, niż zamierzała, tak czy inaczej oboje natychmiast wycofali się z pomysłu, a jej kamień spadł z serca. Nie mogła pozwolić, by Tara, w błogiej niewiedzy, dała córce jej imię.

Clare od razu po przyjściu zakrzętała się wokół dziecka, pewna siebie i zawsze budząca w świeżo upieczonych rodzicach poczucie

bezpieczeństwa. Noelle upewniła się, że jej podopieczni są zadowoleni i dobrze się czują pod opieką pomocnicy, po czym ruszyła do szpitala. Była wyczerpana do granic możliwości, musiała jednak zajrzeć do Emerson i zobaczyć siostrzenicę. Maleństwo mogło ją przypominać z wyglądu. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Chciała jedynie, żeby dziewczynka nie była do niej zbyt podobna. Nie na tyle, by ten fakt zwracał uwagę.

Tuż przed wyjściem od Sama i Tary połknęła jeszcze jedną tabletkę. Stanowczo zbyt wiele wycierpiała w ciągu minionej doby. W drodze poczuła zbawienne działanie leków. Napięcie mięśni w plecach nieco zelżało, przestała zaciskać zęby. Idąc od auta do drzwi oddziału położniczego, miała wrażenie, że płynie albo frunie. Ból minął, Emerson z córeczką były coraz bliżej... Cudownie!

Uwielbiała szpital nocą, gdy królował półmrok i panowała niemal całkowita cisza.

Oddział położniczy podzielono na mniejsze części, po cztery pokoje. W centrum każdej z nich znajdowała się niewielka dyżurka przeznaczona dla jednej lub dwóch pielęgniarek.

Noelle szybko trafiła na miejsce. Tego dnia dyżur pełniła Jill Kenney, jej znajoma od lat. Pochylona nad jednym z dwóch przezroczystych wózków, zmieniała pieluszkę bobasowi o karmelowej skórze. Powitała Noelle zmęczonym uśmiechem. Wyraźnie miała za sobą równie ciężką noc jak ona.

— Cześć — odezwała się cicho. — Pewnie chcesz obejrzeć małą Stiles? Sądziłam, że wpadniesz wcześniej, dotrzymać towarzystwa mamie. Jest przecież twoją serdeczną przyjaciółką, prawda?

— Nie mogłam przy niej być, bo miałam poród domowy u drugiej serdecznej przyjaciółki — odpowiedziała Noelle z uśmiechem. — Następnym razem poproszę, żeby lepiej rozłożyły narodziny dzieci w czasie.

Stała w drzwiach i napawała się rozkosznym uczuciem nieważkości. Miała wrażenie, że śni. Plecy były miękkie, elastyczne, pozbawione jakichkolwiek napięć i wreszcie przestały boleć.

— Dała jej na imię Jenny. — Jill wyprostowała się z trudem i przeszła do umywalki, by umyć ręce. — Nie Jennifer, tylko Jenny. To naprawdę przemię.

Noelle podeszła do wózków.

— A te maluszki to kto?

Jill usiadła i potarła skronie. Od jej ciemnych włosów odbijała się bardzo blada plama twarzy.

— Mama tego kwiatuszka musi odpocząć. — Wskazała dziecko o ciemniejszej skórze.

— Dobrze się czujesz? — spytała Noelle.

— Nieszczególnie — przyznała Jill. — Mam migrenę. Przejdzie mi, jak wrócę do domu. Dzisiaj zwariowana noc, ale czemu się dziwić. — Zerknęła na jeden z monitorów, po czym wcisnęła parę klawiszy. — Zresztą sama wiesz, jak jest. Jak się człowiek gorzej czuje, to oczywiście w robocie sądry dzień.

— Co zrobić. — Noelle zajrzała do drugiego wózka. — A to słonko czemu tutaj? — spytała.

— Przykry przypadek. Matka miała udar i jest w śpiączce.

— O rany!

Spod różowej włóczkowej czapeczki wystawały jasnobrązowe włoski. Wagę noworodka Noelle oceniła na oko na niecałe trzy kilogramy. Skóra maleństwa miała zdrowy różowy odcień, więc przejścia matki najwyraźniej nie zaszkodziły dziecku.



— Podobno mają ją przesłać do matki, do Duke. — Pielęgniarka jeszcze kilkakrotnie stuknęła w klawisze. — Chociaż zdaje się, że jeszcze nie wiedzą, czy lepiej tam, czy na pediatrię.

— Jak wygląda sytuacja?

Noelle stała z coraz większym trudem, nie mogła się doczekać, kiedy usiadzie w pokoju Emerson.

Jill pokręciła głową i natychmiast skrzywiła się z bólu.

— Na razie nieciekawie. A ojciec w armii, poza granicami kraju, wyobrażasz sobie? Poród był przedwczesny, matka sądziła, że to jeszcze prawie miesiąc, więc przyjechała tu w sprawach zawodowych, a w okolicy nie ma żadnej rodziny. Z samego rana zadzwonimy do Ellen, chyba że jeszcze w nocy zabiorą małą do matki.

Ellen pracowała w opiece społecznej.

— Takie życie — westchnęła Noelle. — W którym pokoju jest Emerson?

Jill wskazała drzwi za swoimi plecami.

— Emerson śpi, ale małą trzeba by przewinąć i nakarmić. Chcesz to zrobić? — spytała z nadzieją w oczach.

Noelle zaśmiała się cicho.

— Naprawdę powinnaś iść do domu. Zaciągnąć zasłony i położyć się do łóżka.

Uśmiechnęła się ze współczuciem. O bólu wiedziała wszystko. Akurat w tej chwili łatwiej było o nim myśleć, bo właśnie ustępował. Plecy już właściwie nie doskwierały, a głowę miała cudownie lekką. Uwielbiała to uczucie.

Jill spojrzała na zegarek.



— Nie mogę się doczekać. Therese będzie lada moment.

— Siedź — powiedziała Noelle, kładąc dłoń na ramieniu koleżanki. — Ja się zajmę małą Stiles. I trzymaj się, bo jak wyjdę, to pewnie cię już nie zastanę.

W pokoju panowała cisza. Emerson, ułożona wygodnie w miękkim łóżku, spała głębokim snem. Wyglądała prześlicznie. Noelle, przepętniona czułością, pocałowała ją w czoło.

— Masz swoje wymarzone maleństwo — szepnęła. — Swoją wy-czekaną dziewczynkę.

Żałowała, że nie mogła być z siostrą wcześniej. Szkoda, że Emerson czuła się samotna i opuszczona w tych trudnych i ważnych chwilach.

Butelkę z mieszanką przygotowaną przez Jill postawiła na stoliku obok fotela. Porządnie umyła ręce i dopiero wtedy podeszła do wózka z przezroczystego plastiku.

Przez chwilę miała przedziwne wrażenie *deja vu*. Czy rzeczywiście już gdzieś widziała to dziecko? Spod różowej włóczkowej czapeczki wystawały ciemnomiodowe włoski. Delikatne rysy twarzyczki. Prawie trzy kilogramy wagi. Potrzebowała chwili, by sobie uprzytomnić, że tak wyglądało niemowlę przy dyżurce, a nie córeczka przyjaciółki. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, jednak uświadomiło jej wyraźnie, że leki wywarły na nią znacznie mocniejszy wpływ, niż sądziła.

— Witaj, skarbie — szepnęła.

Rozpięła rzepy pieluszki. Jenny się poruszyła, na maleńkiej twarzyczce pojawił się lekki grymas, z usteczek dobiegło miauknięcie.

Noelle łyzy zakreśliły się w oczach, przygryzła wargę.

Czyściutką Jenny w zmienionej pieluszcze wyjęła z wózka. Usiadła z nią na fotelu. Niemowlę zamrugało, między ledwo widocznymi brewkami pojawiła się zmarszczka, a idealnie wykrojone usteczka rozchyliły się nieznacznie. Innymi słowy, za chwilę rozlegnie się zew głodu. Noelle trąciła smoczkiem wargi noworodka i spęczniała z dumy, gdy Jenny chwyciła go od razu, mocno i zdecydowanie. W czasie karmienia przyglądała się maleńkiej rączce trzymającej ją za palec. Każda kosteczka była doskonała.

Pochyliła się i pocałowała maleństwo w czoło. Trzymała na rękach dziesiątki niemowląt, lecz pierwszy raz w życiu szepnęła: „Kocham cię”.

TLR

# *Rozdział 60*

*Anna*

*Waszyngton*

*2010*

Gdy dziewczyna stanęła w drzwiach, spojrzałam na nią tylko raz, i tyle wystarczyło. Serce mi się do niej rwało, lecz zmieniałam się w słup soli. Stałam obok łóżka Haley, z jedną ręką na stoliku z tacą, drugą przyciśniętą do piersi. Tara podeszła do dziewczyny i jej matki. Coś do nich mówiła... równie dobrze mogłyby rozmawiać w obcym języku. Przedstawiła nas sobie, lecz w uszach miałam tylko szum. Haley chwyciła mnie za rękę, ścisnęła za nadgarstek. Czyli ona też już nie patrzyła na Grace i Tarę. Tej drugiej kobiety również nie widziałyśmy. Przed oczami miałyśmy tylko dziewczynę.

Szum w uszach nagle przycichł, bo Tara zamilkła. Patrzyła na nas, nic nie rozumiejąc.

— Mamo — odezwała się Haley. — Powiedz coś.

— Co się dzieje? — spytała Tara.

Gdybyśmy z Haley zobaczyły tę dziewczynę na ulicy w czasie którejś z wypraw do Wilmington, poszłybyśmy za nią na koniec świata, musiałybyśmy się z nią spotkać. Tak długo jej szukałyśmy. Od razu byśmy wiedziały, że to ona, tak jak w tej chwili.

— Czy ta położna... — Odchrząknęłam. — Czy Noelle pomagała również przy twoim porodzie? — spytałam, choć znałam odpowiedź.

Kobieta stojąca w progu objęła dziewczynę, przyciągnęła ją do siebie bliżej.

— Nie — odparła. — Jenny urodziła się w szpitalu, przy lekarzu położniku.

Kłamała. Na pewno. Nogi miałam jak z waty, lecz udało mi się zrobić dwa kroki i wziąć w rękę fotografię Haley z kuzynkami Collier, zrobioną na jednej z przybrzeżnych wysp. Trzymałam ją obiema rękami, jakby stanowiła najcenniejszy skarb. Podałam kobiecie stojącej w drzwiach.

— To są dzieci mojej szwagierki — powiedziałam. — Proszę spojrzeć.

Wiedziałam, co widzą na zdjęciu. Cztery dziewczyny o okrągłych ciemnych oczach, włosach prawie czarnych i jasnej skórze. Lekko cofnięte brody. Nosy odrobinę zbyt szerokie, by dziewczęta mogły претендовать do miana klasycznych piękności. Cofnęłam się, wróciłam do Haley, bo się bałam, że dotknę tej dziewczyny, pochwycę, będę usiłowała zamknąć ją w ramionach. Na razie musiałam nauczyć się oddychać powietrzem, które ją otaczało.

Nareszcie, pomyślałam.

Tara i Grace podeszły do kobiety w drzwiach. Tara dotknęła ramki, którą tamta trzymała w drżącej dłoni.

— Emerson, dobry Boże... — wyjąkała. — Jakim cudem...?

— Taro — wykrztusiła tamta, jakby prosiła przyjaciółkę o naprawienie czegoś, co jej się wymknęło spod kontroli. — Niemożliwe — zaprzeczyła. — Nieprawda.

Przyglądałam się całej czwórce, wpatrzonyj w zdjęcie. Obserwowałam, jak dociera do nich prawda. Trzymałam Haley za rękę i czekałam na chwilę, gdy będę mogła objąć swoje drugie dziecko, swoją pierwszą córkę. Chciałam ją przytulić, śniłam o tym przez szesnaście lat. W pięknych ciemnych oczach dziewczyny widziałam niepewność i strach. Serce mi się krajało.

— Jenny — odezwałam się z cicha. — Tak masz na imię, prawda? Przepraszam, nie bardzo słyszałam, gdy Tara nas sobie przedstawiała.

Dziewczyna powoli uniosła wzrok znad fotografii.

— Tak — szepnęła.

— Nie bój się — powiedziałam. Grace popatrzyła na matkę.

— To ja nie jestem...?

Potrwało chwilę, nim Tara potrząsnęła głową.

— Raczej nie. — Dotknęła ramienia przyjaciółki. — Em, czy to możliwe? Co pamiętasz?

— Rodziłam w szpitalu — odezwała się ta druga. — To nieprawdopodobne. Niemożliwe.

— Kiedy się urodziłaś? — spytałam Jenny.

— Trzydziestego pierwszego sierpnia — wyszeptała.

Córciu.

Łzy napłynęły mi do oczu. Przez dwa dni leżała w szpitalu bez matki. Nikt jej nie przytulał, nie całował. Nikt do niej nie mówił. Była zupełnie sama, aż ukradła ją położna. Kobieta, która zabrała też wszelkie dokumenty, zatarła ślady jej istnienia. Dlatego nie mogłam jej znaleźć.

— Jesteś moją Lily — oświadczyłam. — Na pewno.

— Dość tego! — warknęła kobieta, która ją wychowała. Przycisnęła Jenny do siebie. Powiedziałam za dużo i za wcześnie. Trudno, nie zdołałam się opanować.

Dziewczyna wyswobodziła się z objęć matki i uciekła na korytarz. Grace pobiegła za nią. Tara chwyciła przyjaciółkę za ramię i zatrzymała ją w pokoju.

— Zostaw to Grace — powiedziała.

Przyjaciółka była przerażona.

— Nic z tego nie rozumiem!

— Ona jest Lily — powiedziała Haley. — Normalnie Lily. Tara spojrzała na mnie, cały czas trzymając przyjaciółkę za rękę.

— Muszę porozmawiać z Emerson — oznajmiła.

Nie chciałam, żeby wychodziły. Bałam się, że Lily znowu rozplynie się w powietrzu. Ale co mogłam zrobić?

— Oczywiście — powiedziałam.

Emerson już się odwróciła, już zniknęła w korytarzu. Chciała być jak najdalej ode mnie. Możliwie najszybciej.

— Proszę, nie wyjeżdżajcie — szepnęłam, lecz one obie były już daleko i tylko Haley usłyszała moje słowa.

# *Rozdział 61*

*Noelle*

*Wilmington, Karolina Północna*

*1994*

Obudziła się z drgnieniem. Nie od razu przypomniała sobie, gdzie jest. Zdezorientowało ją dziwne, przyćmione światło. Zamrugła raz i drugi, z trudem skupiła wzrok. Niewielka umywalka. Szpitalny wózek dla noworodka.

Obróciła głowę w prawo, zobaczyła łóżko. Ktoś w nim spał. Coś twardego ugniatało ją w udo. Butelka ze smoczkiem, między nogą a podłokietnikiem. Czyli karmiła dziecko. Jakże ta mała dostała na imię? Aha, Grace. Chcieli ją nazwać Noelle. Zaraz, nie, to nie tak. Ta nie była Grace. To córeczka Emerson, Jennifer. Nie Jennifer, tylko Jenny.

Pamiętała, że wstała, by odłożyć dziecko do wózka. Ale wózek był pusty. Myślenie nastrecało jej sporych trudności. Czyżby Jill wzięła od niej niemowlę?

Powoli wciągnęła powietrze do płuc, równie wolno je wypuściła. Zamierzała wstać, ale bała się, że przy zmianie pozycji zakręci jej się w głowie. Mocno wsparła dłonie na podłokietnikach, a gdy zaczęła się podnosić, spojrzała na podłogę, gdzie tuż obok jej stóp leżało dziecko.

Dziecko, które się wyślizgnęło z jej zmęczonych ramion i zsunęło po śliskiej spódnicy.

Bez tchu rzuciła się do przodu, sięgnęła po noworodka, upadła na podłogę, uderzając się w biodro. Chwyciła maleństwo, dźwignęła się na kolana, jednak wiedziała, że jest już za późno. O wiele za późno.

Głowa noworodka była przekrzywiona pod nienaturalnym kątem, martwe usta zsiniały.

Noelle patrzyła na dziecko szeroko otwartymi oczami. Dławiący strach podchodził jej do gardła.

Zabiłaś ją, zabiłaś!

Drżącymi rękami usiłowała wyprostować główkę na złamanym karku. Własnymi wargami tchnąć życie w zsiniałe usteczka i maleńki nosek, pod którym już zasechł strumyczek krwi.

Wstała, przytrzymując się umywalki. Wydawało jej się, że krzyczy na cały głos, lecz skowyt ugrzązł jej w piersiach. Podniosła dziecko, włożyła do wózka. A potem stała bez ruchu, usiłując myśleć.

Dziecko przy dyżurce.

Bliźniaczo podobne. Matka umiera. Ojciec na wojnie.

A na dyżurze Jill.

Cicho podeszła do drzwi, zajrzała do dyżurki. Nikogo. Jill zniknęła, dziecko w dalszym ciągu leżało w wózku. Brązowe włosy. Prawie trzy kilogramy wagi.

Prędko, nie ma czasu do stracenia. Nie ma czasu na myślenie.

Chwyła małą, złapała kartę dziecka i wślizgnęła się z powrotem do pokoju Emerson. Trzęsącymi się rękami ułożyła niemowlę pozbacone matki obok martwej siostrzenicy, po czym zawinęła trupka we flanelową pieluchę i włożyła do swojej dużej skórzanej torby.

Opaski! Sięgnęła ponownie do torby, zdjęła identyfikator z nadgarstka Jenny, po czym założyła go na rączkę obcej dziewczynce. Zabrała jej opaskę z napisem KNIGHTLY, PŁ. Ż. Razem z kartą dziecka włożyła do torby. Kartę spali. Opaskę też. Już widziała ogień w kominie.



Uciekła ze szpitala cichcem, po drodze minęła zaledwie dwie pielęgniarki i jednego znajomego położnika, nikt jednak nie zwrócił na nią szczególnej uwagi, bo wszyscy byli zajęci własnymi pilnymi sprawami. Na oddziale panował tej nocy spory ruch. W duszy Noelle też trudno byłoby znaleźć spokój. I tak już zostało do końca życia.

Do domu wróciła o wpół do czwartej nad ranem, nieprzytomna od przyływu adrenaliny. Nieomal bez zastanowienia przyniosła z szopy łopatę, wybrała najdalszy kąt podwórka i w ciemnościach zaczęła kopać. Kopała bez wytchnienia, jak w transie pogłębiała dół w ziemi miękkiej od sierpniowych deszczów. Wykopała grób wąski i głęboki. Owinęła dziecko swoją ulubioną spódnicą, ponieważ była to rzecz piękna, a także dlatego, że czuła potrzebę oddania czegoś, co kochała. Położywszy się, ostrożnie umieściła ciało na dnie wykopu, po czym zasypała je ziemią i wreszcie się rozplakała.

Długo siedziała bez ruchu przy grobie martwego dziecka, Jenny, córeczki Emerson. Nie wstała nawet, gdy zaczęło mżyć. Siedziała, aż niebo rozjaśniły różowe, żółte i lawendowe pasma, niczym bukiet kwiatów dla maleńkiej dziewczuszki. Natchnęło ją to nową myślą. Wybierze się do sklepu ogrodniczego i zapyta, jakie rośliny utworzą kobierzec pastelowych kwiatów, przy którym każdy, nawet obcy, będzie się musiał zatrzymać.

Postanowiła założyć ogród jako świadectwo miłości.

# *Rozdział 62*

*Tara*

*Waszyngton*

*2010*

Znalazłyśmy Grace i Jenny w poczekalni na końcu korytarza. Siedziały na podłodze, oparte o jedną z kanap, i moja córka... tak, moja córka, obejmowała przyjaciółkę. Gdy weszłyśmy, obie podniosły na nas wzrok.

— Mamo — odezwała się Jenny. — Proszę cię, powiedz mi, że nie jestem jej córką! Wiem, że wyglądam jak tamte dziewczyny, ale co z tego?!

Emerson osunęła się na kanapę. Twarz miała bladą jak kreda. Przeciągnęła dłonią po głowie Jenny i delikatnie ścisnęła garść jej włosów, jakby w ten sposób chciała przytrzymać córkę.

— Nie rozumiem, jak mogłoby do tego dojść — powiedziała. — Noelle nie miała nic wspólnego z twoimi narodzinami.

W jej oczach dostrzegłam jednak zwątpienie. Obie widziałyśmy zdjęcie tamtych dziewcząt. Gdyby Jenny zastawiła któraś z nich, nikt by nie zauważył.

— Noelle nie napisała w liście, gdzie była, gdy upuściła dziecko, prawda?

Emerson poderwała głowę, czuła się zdradzona.

— Naprawdę uważasz, że chodzi o Jenny? — warknęła z pretensją. — W takim razie wyjaśnij mi, jak mogło do tego dojść.

Usiadłam naprzeciwko, zastanawiając się, ile powiedzieć. Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Ale jak to powiedzieć, by nie być okrutną?

— Noelle denerwowała się, że jesteś w szpitalu sama. — Czułam na sobie wszystkie spojrzenia. — Ted łapał samolot, żeby wrócić do domu, a Noelle była u nas, pamiętasz? Natomiast zaraz po narodzinach Grace zastąpiła ją pomocnica, Noelle zaś pojechała do ciebie, do szpitala.

— Tyle że nie dotarła — sprzeciwiła się Emerson.

Spuściłam oczy. Obróciłam obrączkę na palcu.

— Tak nam powiedziała — odezwałam się cicho. Podniosłam wzrok. — Oczywiście, że tak nam powiedziała. Że była zmęczona, wróciła prosto do domu i położyła się spać. A my w to uwierzyliśmy. Niesłychane. Twoim zdaniem, naprawdę u ciebie nie była?

Emerson spojrzała w bok. Nadal ścisnęła w dłoni garść włosów Jenny.

— Mamo...! — Jenny zatkała uszy, jakby mogła się w ten sposób odgrodzić od rzeczywistości. — Ja tego nie wytrzymam!

Gdy zyskałam pewność, że Grace i mnie ten koszmar nie dotyczy, poczułam ogromną ulgę, lecz teraz widziałam tę samą rozterkę, tę samą rozpacz u serdecznej przyjaciółki.

Powiedz Jenny, że zawsze będzie twoją córką, pomyślałam.

Emerson najwyraźniej odebrała mój milczący przekaz.

— Nie wiem, co będzie dalej, kochanie — zwróciła się do Jenny. — To się jeszcze okaże. Ale niezależnie od tego, kto cię urodził, my z tatą cię wychowaliśmy i jesteś naszą córką.

— Haley potrzebuje przeszczepu szpiku — wtrąciła Grace. — Miałam zostać sprawdzona, czy jestem zgodnym dawcą. To tylko potarcie policzka wacikiem. Od wewnętrznej strony.

— Grace — odezwałam się ostrzej, niż zamierzałam. — Kochanie, daj Emerson i Jenny szansę oswojenia się z tym, co je spotkało. Pamiętasz, jak się czułaś dwie godziny temu?

— Masz rację — przyznała Grace skruszona. — Przepraszam.

Dorosła w ciągu jednego dnia. Sama pokonała setki kilometrów. Weszła do szpitala. Zgodziła się na inwazyjne zabiegi medyczne, by pomóc siostrze, o której istnieniu jeszcze wczoraj nie miała pojęcia.

— Chcę do domu — powiedziała Jenny. — Nie wrócę do tamtego pokoju. Mamo, proszę, zabierz mnie do domu.

Emerson popatrzyła na mnie.

— Chyba powinniśmy wracać — oświadczyła. — Muszę porozmawiać z Ianem.

Wstałam.

— Powiem im, że jedziemy. Zostawię im twój numer telefonu, dobrze? I wezmę dla ciebie numer pani Knightly.

— Nie chcę, żeby do mnie dzwoniła.

Oczywiście.

— Wobec tego podam jej numer Iana.

Niechętnie kiwnęła głową.

Pochyliłam się, by ją objąć, cmoknęłam Jenny w czubek głowy.

— Kocham cię, Jen — powiedziałam. — Zaraz wrócę.

Annę Knightly zastałam siedzącą na łóżku Haley. Bez wątpienia obie płakały. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak się czuły, skoro

dziewczynka poszukiwana od tylu lat nagle znalazła się tak niespodziewanie blisko, a jednocześnie nie mogły jej dotknąć ani nawet z nią porozmawiać.

Na mój widok Anna zerwała się na równe nogi.

— Jak ona się czuje? Pozbiera się?

Pokiwałam głową.

— Mają z Emerson wiele do przemyślenia — powiedziałam. — Nie są pewne... Cóż, sama rozumiesz, teraz trudno im o trzeźwe spojrzenie... Przyszłam wam powiedzieć, że wyjeżdżamy, i zostawić...

— Nie! — krzyknęła Haley. — Musimy porozmawiać z Lily!

— Przykro mi, Haley. Jenny chce wracać do domu i, moim zdaniem, w tej chwili to rzeczywiście najlepsze wyjście. Emerson rozmawia z prawnikiem i on się z wami skontaktuje. Jak najłatwiej was znaleźć?

Anna podniosła neseser leżący obok wersalki i wyjęła z niego wizytówkę. Z trudem powstrzymywała łzy. Na tylnej stronie kartonika dopisała kilka numerów telefonicznych, a ja w tym czasie zanotowałam numer służbowy Iana na kartce ze swojego notatnika.

— Nie mamy zamiaru krzywdzić Jenny — zapewniła mnie Anna, podając mi wizytówkę. — Chcemy, by wszystko odbyło się jak należy. Tylko że Haley potrzebuje...

— Wiem. Na razie Jenny jest w szoku. Podobnie Emerson. — Uśmiechnęłam się smutno. — Ja też czuję się wstrząśnięta.

— My również — odezwała się Haley.

Gdy odwróciłam się do wyjścia, Anna chwyciła mnie za ramię.

— Grace jest piękna — powiedziała. — Gdy ją zobaczyłam, pomyślałam: „Jaka śliczna dziewczyna”, ale tutaj — przycisnęła rękę do

piersi — nie czułam nic. Gdy zobaczyłam Jenny, wiedziałam od razu. Nawet gdyby nie była tak podobna do kuzynek Haley, i tak bym wiedziała. Miałam wrażenie, że wreszcie odzyskałam brakujący fragment serca. Rozumiesz mnie?

Kiwnęłam głową.

Brakujący fragment mojego serca został w poczekalni na końcu korytarza. Czułam, że tego trudnego dnia powoli, ostrożnie wpasowuje się we właściwe miejsce.

TLR

# *Rozdział 63*

## *Grace*

My z Jenny siedziałyśmy z tyłu, moja mama za kierownicą. Samochód mamy został na szpitalnym parkingu. Nie znalazłyśmy innego rozwiązania. Tylko jedna z nas była w stanie prowadzić, a nawet jej nie szło najlepiej.

Wszystko się poplątało. Trochę tak jak wtedy, gdy człowiek musi koniecznie zrobić coś bardzo trudnego i strasznego... na przykład przejść po rozżarzonych węglach, i nagle coś się odmienia i zamiast niego robi to najlepsza przyjaciółka. Wtedy człowiek doskonale wie, co ona czuje, bo przed chwilą był w identycznej sytuacji i boli go świadomość jej cierpienia.

Myślałam kiedyś wcześniej o tym, jak zdraдлиwa jest miłość. Któregoś dnia, gdy miałam jedenaście lat, nagle zdałam sobie sprawę, że kocham Jenny tak samo jak mamę i tatę. Byłyśmy wtedy na plaży w Wrightsville, opalałyśmy się, skakałyśmy przez fale i szczęście nas rozpierało. Spojrzałam w pewnej chwili na przyjaciółkę i pomyślałam: „Kocham cię”. Ot, tak. To było niesamowite odkrycie. Jakiś rok później Jenny powiedziała przez telefon „Kocham cię”, tak samo jak mówią nasze matki, i nagle moje życie nabrało kolorów. Miłość czasem boli. Gdy Jenny dwa lata temu zwichnęła nogę w kostce i siedziałyśmy we dwie na schodach prowadzących na ganek, czekając na karetkę, czułam się tak, jakbym sama miała uszkodzoną kostkę. Okropnie.

Teraz siedziałyśmy na tylnym siedzeniu auta i znowu czułam się jak Jenny.

— Jakie one są? — spytała. — Nawet im się dobrze nie przyjrzałam.

— Miłe — zapewniłam ją, chociaż dwie godziny wcześniej nic do nich nie czułam. Przypomniał mi się chłód pani Knightly. — Właściwie nie wiem, bo sama rozumiesz, weszłam do pokoju i powiedziałam: „Cześć, jestem pani córką!”, więc trochę je przyblokowało. A potem jeszcze bardziej, kiedy zobaczyły ciebie.

Emerson i moja mama rozmawiały przyciszonymi głosami. Widziałam chusteczkę w dłoni mamy Jenny. Przez pierwszą godzinę jazdy docierało do mnie głównie: „Nie wierzę w to” i „Ted tego nie przeżyje”, a od czasu do czasu: „Gdzie jest moje dziecko?”. Te słowa padały szeptem, ja też nie chciałam, żeby Jenny je słyszała, więc ją zagadywałam. Emerson rozmawiała przez telefon z Tedem, tak cicho, że nic nie rozumiałam. Jak to będzie, gdy oznajmi mężowi, że ich córka nie jest ich dzieckiem?

— Opowiedz mi o chorobie Haley — poprosiła Jenny po jakimś czasie.

— To białaczka. Rozmawiałam z Haley tylko parę minut, ale ona jest fajna. — Poczułam ukłucie zazdrości. Jeżeli Jenny naprawdę była córką pani Knightly, to miała siostrę. — Wydaje się bardzo silna. Nie wygląda na to, żeby mogła umrzeć jutro, ale tak jest naprawdę. — Nie mogłam się powstrzymać. Wiedziałam, że zdaniem mojej mamy Jenny tego nie zniesie, jednak musiała znać prawdę. — Dokładnie rzecz biorąc, umrze na pewno, jeśli nie dostanie szpiku kostnego.

— I chcą pobrać ten szpik ode mnie?

— Nikt ci nic nie każe. Ale uważam, że powinnaś się zgodzić. Rodeństwo daje dwadzieścia pięć procent szans na zgodność.

Emerson mnie usłyszała. Odwróciła się do tyłu.

— Jenny, na razie o tym w ogóle nie myśl, dobrze? Nie mamy pojęcia, co się dzieje. Nawet gdyby się okazało, że faktycznie jesteś dzieckiem, które zabrała Noelle, nie musisz o niczym teraz decydować.



Ani o tym, czy będziesz chciała znać tamtą rodzinę, ani o niczym innym, a już na pewno nie o szpiku kostnym. — Chyba nigdy nie słyszałam jej mamy mówiącej z takim naciskiem. — Nie musisz decydować ani teraz, ani później, jeśli nie będziesz chciała.

Jenny milczała, a Emerson zwróciła się do mnie:

— Co musi zrobić dawca szpiku?

— Na początek bada się zgodność przez pobranie śliny z wewnętrznej strony policzka. Potem, jeśli zgodność się potwierdzi, przeprowadza się badania krwi. Jeżeli i to się zgadza, muszą pobrać trochę szpiku kostnego. Nie wiem dokładnie, jak to się robi. — Odwróciłam się do Jenny. — Jeśli postanowisz oddać szpik, będę przy tobie.

— Ty zamierzałaś to zrobić?

— Tak, ale to nie znaczy, że ty musisz.

— Jesteś zawsze pełna wątpliwości... a jednak chciałaś to zrobić.

Sama byłam zdumiona.

— Ona może umrzeć. — Wzruszyłam ramionami.

Jenny zmarszczyła nos, po czym stuknęła mamę w ramię.

— Mamo... Muszę się dowiedzieć, czy mogę być dawcą dla Haley.

Emerson znowu się odwróciła. Zmierzyła Jenny poważnym spojrzeniem. Potem przeniosła wzrok na mnie. Twarz miała kredowobiałą, poznaczoną czarnymi smugami tuszu.

— Dobrze. Sprawdzimy.

Zadzwoił telefon Jenny.

— To Cleve. — Podniosła na mnie spojrzenie. — Rozmawiałam z nim w drodze do Waszyngtonu, powiedziałam mu, co się dzieje. Odebrać?

Wzięłam od niej aparat.

— Cześć.

— Grace! To ty? Gdzie jesteście? Strasznie się o ciebie martwiłem. Szalałem z nerwów.

Uśmiechnęłam się. Martwił się o mnie. Szalał z nerwów.

— Nic mi nie jest — zapewniłam. — Nie dam rady teraz wszystkiego ci opowiedzieć, za dużo tego. Pogadamy jutro, dobrze?

— Powiedz mi tylko, czy jesteś cała i zdrowa.

— Jestem cała i zdrowa.

Cleve, no cóż... On nigdy nie zrozumie, co się stało. Miałam wokół siebie osoby, które naprawdę potrafiły mnie zrozumieć: mamę, Emerson i Jenny. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Cleve należy do innego rozdziału mojego życia, odległego, zamkniętego. Dotarła do mnie niezaprzeczalna prawda: w ciągu tego długiego dnia, gdy miałam stać się kimś zupełnie innym, rzeczywiście tak się zdarzyło.

# *Rozdział 64*

*Emerson*

*Topsail Island, Karolina Północna*

Stałam przy rozsuwanych szklanych drzwiach domku nad oceanem. Zajmowaliśmy go we troje: Ted, Jenny i ja. Teraz, w październiku, na plaży nie było żywej duszy. Zostaliśmy na wyspie praktycznie sami. Właśnie dlatego wynajęliśmy ten dom.

Ted i Jenny poszli gdzieś z psami, ja wolałam zostać w domu. Obiecałam przygotować łazanie na kolację, lecz w rzeczywistości po prostu chciałam być sama. Potrzebowałam czasu na przemyślenia.

Poprzedniego dnia dostaliśmy wiadomość o wynikach badań DNA. Trzymałam się jakoś chyba dlatego, że wcześniej zdołałam pogodzić się z myślą, że nie istnieje inne wyjaśnienie sprawy niż to, które przedstawiła Tara. Ted zadzwonił do znajomego pośrednika w handlu nieruchomościami i zarezerwował dla nas domek, ja zwolniłam Jenny ze szkoły na kilka dni. Potrzebowaliśmy trochę czasu wyłącznie dla siebie. Musieliśmy pobyć we troje, zanim pozwolimy, by ktokolwiek inny, a dokładnie Anna Knightly i jej rodzina, włączył się w nasze życie. Daliśmy sobie trzy dni na oswojenie się z nową rzeczywistością.

Przez dwa dni po żałosnej wyprawie do Waszyngtonu emocje buzowały we mnie tak silnie, że ledwo dawałam sobie radę sama ze sobą. W jednej chwili trzęsłam się z wściekłości na Noelle, w drugiej gotowa byłam gorąco jej dziękować. Raz tonęłam w żalu za straconym dzieckiem, którego ani nie widziałam, ani nie przytuliłam, raz znów przepełniała mnie miłość do Jenny — tak czysta i głęboka, że aż nieskończona. Wszystkie te uczucia bladły jednak wobec pytania: Co nam

przyniesie przyszłość? Jedno wiedziałam na pewno, jedno mnie naprawdę obchodziło: musiałam pomóc Jenny odnaleźć dalszą drogę. Moje własne obawy, żal i gniew już nie miały znaczenia. Liczyła się wyłącznie ona.

Najpierw zobaczyłam psy. Hasały po płytkiej wodzie, ganiały jeden drugiego po piasku, szalały, pełne energii, jakiej nigdy nie miały w domu. Potem dostrzegłam Teda i Jenny. Szli w pewnej odległości za Siwym i Dymem. Ted gestykulował, jakby obrazował ogrom oceanu. A może chciał wyrazić swoją miłość do Jenny. Nigdy dotąd nie był mi tak bliski, jak w ciągu tych dni. Utworzyliśmy zgraną drużynę.

— Jesteś naszą córką — oznajmił Jenny z takim przekonaniem, że nikt nie mógłby wątpić w jego słowa.— I żadne testy DNA tego nie zmieniają.

Gdy podeszli bliżej, wziął ją za rękę. Wymachiwali ramionami w przód i w tył, jak dzieci. Jakby nic złego się nie stało i nie mogło stać. Jak gdyby nasze wspólne życie nie znalazło się na zakręcie, nie utkwilo w przerażającym mroku niewiadomych. Patrząc na nich, niespodziewanie poczułam się szczęśliwa.

Otworzyłam drzwi, wyszłam na drewniany taras. Pomachałam, a oni odpowiedzieli mi tym samym. Nie mogłam się doczekać ich powrotu. Tego wieczoru planowaliśmy oglądanie filmu. Może w coś zagramy. Później będzie czas na szukanie sensu w naszej nowej, niepewnej przyszłości. Jedno wiedziałam z całkowitą pewnością: stawimy jej czoło razem.

Mój mąż.

Ja.

I nasza córka.

# *Epilog*

*Tara*

*Wilmington, Karolina Północna*

*Marzec 2011*

Rytuał oczyszczania domku Noelle to pomysł Emerson, a ja z radością podpisuję się pod nim obiema rękami. Podjeżdżam od frontu, obejmuję budynek spojrzeniem. Jest żółty, ma białe krawędzie i czarne okiennice. Wygląda prześlicznie. Na ganku stoją dwa białe bujane fotele, podwórze pyszni się różanecznikami, które lada moment obsypie kolor.

Suzanne wprowadza się w przyszłym tygodniu. Nie ma pojęcia o planowanym oczyszczaniu. Nigdy nie wydawała się w najmniejszym stopniu zmartwiona czy przestraszona faktem, że Noelle akurat w tym domu odebrała sobie życie, więc nie widziałyśmy powodu, by ją zawiadamić o naszym zamiarze, wiemy natomiast z pewnością, że nasza zmarła przyjaciółka nie miałaby nic przeciwko temu.

Samochód Emerson stał na podjeździe, więc zaparkowałam na ulicy. Byłam w domku już kilka razy od czasu jego przemiany. Kuchnia i łazienka zostały urządzone od podstaw, podłogi odnowiono, a ściany, zgodnie z sugestiami Suzanne, pomalowano na ciepłe kolory w stylu toskańskim. Trwało to całą wieczność, bo Emerson była zajęta innymi sprawami, wreszcie prace jednak dobiegły końca: dom czekał, by Suzanne tchnęła w niego życie.

Przyjaciółka przywitała mnie w kuchni.

— Ty zaczynasz od wschodniego rogu — oznajmiła, podając mi misę z dymiącym pękiem szaławii.

Siwa smużka unosiła się prosto do sufitu. Emerson wskazała mi sypialnię na tyłach domu i przypomniała, co mam robić.

Tego wieczoru, po oczyszczeniu domu, miałyśmy tu wpuścić Grace i Jenny, żeby zaczęły przenoszenie worków z rzeczami dla dzieci. Wyznaczono na nie miejsce w drugiej sypialni. Dziewczętom miał pomagać Cleve, który przyjechał do domu na ferie wiosenne. Nie zaryzykowałabym twierdzenia, że Grace przestała durzyć się w dawnym chłopaku, bo dosłownie czułam, jak jej serce przyśpieszało w jego obecności, lecz mimo wszystko zaczęła się spotykać z przyjacielem chłopaka Jenny, o którym mówi: „On jest okej”, co zapewne oznacza, że bardzo go lubi. Nigdy nie będzie wylewna i otwarta jak ja. Nauczyłam się, że im mocniej ją do czegoś nakłaniam, tym bardziej się przed tym broni. Jeżeli natomiast poczekam, jeśli jestem przy niej, tak jak kiedyś Sam, bez ponagrania i popychania, w końcu się ku mnie zwraca. Czasami przypomina mi to czekanie na wyschnięcie farby. Niemniej jednak każdy przejaw zaufania należy cenić. Przez jeden dzień, długi jak wieczność, nie wiedziałam, kim jest Grace i w jakim stopniu do siebie pasujemy. O ironio, właśnie tego dnia, gdy bałam się, że nie jestem jej matką, nauczyłam się nią być.

Jenny nie zdołała pomóc Haley, lecz mała dostała szpik od dawcy z bazy światowej. W styczniu miała przeszczep. Dochodziła do zdrowia z ogromnym trudem, walczyła z infekcjami, była ciągle hospitalizowana. Teraz jest w domu, przynajmniej na razie. Gadają z Jenny przez Skype'a dzień w dzień. A w zasadzie bez przerwy, jeśli wierzyć Grace, która jest trochę zazdrosna o więź, jaka się tworzy między Jenny i jej siostrą. Emerson też jest zazdrosna, lecz nabiera wprawę, podobnie zresztą jak my wszyscy, w dzieleniu się Jenny z Anną, Haley i Bryanem.

Teraz Emerson wchodzi na drabinkę i wyjmuje baterie z czujnika dymu. Następnie od świecy stojącej na blacie zapala zioła w drugiej misie. Zdmuchuje świecę i pozwala jej dymić.

— Mam nadzieję, że nie spalimy domu — mówi, idąc do pokoju, w którym sypiała Noelle.

Ja powoli okrążam drugą sypialnię, zatrzymując się w kątach, by je napełnić aromatycznym dymem. Wyglądam na ogród, gdzie krokusy i narcyzy wyskoczyły spod ziemi w ciągu jednej nocy. Jeśli chodzi o ogródek Noelle, nie mamy żadnej pewności i nigdy mieć nie będziemy, lecz sądzimy, że zrozumialiśmy, dlaczego tak bardzo kochała ten skrawek ziemi oraz ustawione na nim poidełko dla ptaków z figurką dziewczynki. Gdy przemyślałyśmy sprawę, uprzytomniłyśmy sobie, że Noelle założyła ogródek wkrótce po narodzinach naszych córek. Wcześniej nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania podwórkiem. Od chwili założenia ogródka otaczała go miłością, jak ukochane dziecko. Na przykład siostrzenicę.

Podejrzewam, że Sam wiedział. Moim zdaniem, któregoś dnia Noelle nie zdołała uporać się z brzemieniem strasznej tajemnicy i poprosiła go o spotkanie gdzieś, gdzie nie wpadliby na nikogo znajomego. Na przykład w Wrightsville Beach. Może wyznała mu wszystko, jak klient prawnikowi. Prawie na pewno powiedziała mu o ogrodzie, prosząc, by mnie o niego wypytał. Stąd jego: „Jak tam ogródek Noelle?”.

Jak grom z jasnego nieba.

Widzę Emerson idącą w stronę ogródka. Patrząc, jak obrywa kilka uschłych liści, kładzie rękę na głowie dziewczynki z brązu. Przyglądam się przyjaciółce z miłością. Niosę misę z szałwią do łazienki i wlewam do niej trochę wody, stawiam na blacie. Chcę być z Emerson. W tym roku wielkich zmian tylko jedno jest pewne i trwałe: więź z moją ser-

deczną przyjaciółką. Wychodzę do niej, by jej pomóc w przygotowaniu ogrodu do wiosny.

TLR



## *Podziękowania*

W Karolinie Północnej jest wiele miejsc wyjątkowych, wartych osadzenia w nich realiów powieści. Pisząc Tajemnicę Noelle zyskałam niepowtarzalną okazję, by lepiej poznać urokliwe Wilmington, więc serdecznie dziękuję dwóm specjalistkom od reklamy, Tori Jones i Kim Hennes, za to, że podzieliły się ze mną swoją miłością do tego miasta. Jesteście fantastycznymi przewodniczkami!

Dziękuję także Beth Scarbrough, która uczęszczała do UNC w Wilmington, mieszkała w Galloway Girls i pomogła mi naszkicować życie w kampusie.

Pozostałe sześć członkiń Siódemki z Weymouth jak zwykle pomagało mi, urządzając burze mózgów pomiędzy grą w balderdasza, rozmowami z duchami i pracą nad własnymi powieściami. A oto one, moje koleżanki po fachu, z imienia i nazwiska: Mary Kay Andrews, Margaret Maron, Katy Munger, Sarah Shaber, Alexandra Sokoloff oraz Brenda Witchger.

W podrzucaniu pomysłów na różnych etapach pisania brały udział jeszcze dwie inne zaprzyjaźnione autorki, a mianowicie Emilie Richards i Maureen Sherbondy, a także moja siostra, Joann Scanlon, podobnie jak asystentka, Denise Gibbs. Jestem im wszystkim głęboko wdzięczna.

Indiańską legendę o oplątwie brodaczkowatej, powszechnie zwanej hiszpańskim mchem, opowiedziała mi Tina Blackwell. Pozwoliłam sobie ten przekaz dopasować do swojej opowieści. Dziękuję Kelly Williamson, która umożliwiła mi zerknięcie na życie uczniów w szkołach Karoliny Północnej. Moją wdzięczność zaskarbiła sobie również Janina Campbell, która podzieliła się ze mną wzruszającymi opowieściami o

ojcu, szalenie pomocnymi przy tworzeniu postaci Grace. Eleanor Smith pomogła mi opisać poszukiwania biblioteczne prowadzone przez Emerson, natomiast Phyllis Sabourin zaktualizowała moje informacje na temat oddziałów położniczych i pracy pielęgniarek szpitalnych, a jedno i drugie bardzo się zmieniło od czasów, gdy pomagałam w szpitalu jako wolontariuszka.

Internet pozwala nie tylko na wyszukiwanie faktów, ale także, za pośrednictwem blogów, na obserwację drogi życiowej konkretnych osób. Przy okazji zbierania informacji o białaczce siłą rzeczy poznałam wiele poruszających historii. Szczególnie zapadły mi w pamięć przejścia Kay Howe z Holandii. Do tego stopnia, że nawet po zakończeniu tego etapu pracy nadal czytałam blog pisany przez ojca Kay i ściszałam kciuki za tę dzielną dziesięciolatkę, której chęć życia codziennie mnie inspirowała. Zasmuciła mnie i przygnębiła wiadomość, że Kay przegrała walkę z chorobą. Ona sama i jej rodzina pozostaną w moim sercu na zawsze.

Dziękuję Susan Ginsburg, mojej agentce, która z pewnością jest największą optymistką w biznesie książkowym. Uwielbiam jej podejście do życia!

Szczególne podziękowania składam wydawcy, Mirandzie Indrigo, która nie dość, że potrafi dostrzec las spoza drzew, to jeszcze na dodatek zawsze pomaga mi wypalić prostą ścieżkę przez gęste poszycie.

I wreszcie — John Pagliuca. Człowiek, który przeczytał chyba każde słowo w kolejnych szkicach opowieści, potrafi szczerze skrytykować tekst, a jednocześnie udzielić wsparcia. Co więcej, jest moim nadwornym fotografem i najlepszym przyjacielem. Wybacz, że nie zmieścił się ten pościg samochodowy, za którym tak optowałeś. Może następnym razem.